

STEPHEN KING

JAYD RICHARD BACHMAN

CHUDSZY



Stephen King (Richard Bachman)

Chudszy

Stephen King, mistrz współczesnej literatury grozy, w latach 1977–1984 opublikował kilka powieści pod pseudonimem Richard Bachman. Były to: Kuga, Wielki marsz, Roadwork, Uciekinier oraz Chud-szy. Wywołał tym spore zamieszanie wśród krytyków i czytelników. Zdarzały się nawet zabawne nieporozumienia – jeden z recenzentów wychwalał Richarda Bachmana, na jego tle krytykując Stephe-na Kinga... Dziś, kiedy twórczość autora Lśnienia nie wywołuje już kontrowersji, jest czytany chętnie zarówno jako Stephen King, jak i Richard Bachman.

W Chudszym, podobnie jak w innych jego powieściach, następuje genialne zderzenie ułdzonej, bezpiecznej powszedniości z mrozącą krew w żyłach grozą, a prawdopodobieństwo sytuacji i psychologia postaci jak zwykle budzą podziw.

Rozdział 1

– Chudszy – zaszeptał stary Cygan z gnijącym nosem do Williama Hallecka, w momencie kiedy on i jego żona Heidi opuszczali gmach sądu. Tylko to jedno słowo przesłane wraz z ciepłym,

przesyconym duszącą słodyczą oddechem. – Chudszy. – I zanim Halleck zdążył się odsunąć, stary Cygan wyciągnął rękę i dotknął zgiętym palcem jego policzka. Równocześnie rozchylił usta jak brzegi rany, ukazując parę poczerwiałych pień ków zębów oraz czamozielone dziąsła. Język przesuwał się pomiędzy nimi, a potem dotknął jego uśmiechniętych, gorzkich ust. – Chudszy. Wspomnienie to powróciło do Billy'go Hallecka bardzo wyraźnie, kiedy o siódmej rano stanął na wadze z ręcznikiem przewiązany wokół bioder. Z dołu dochodził przyjemny zapach bekonu i jajek. Zawsze musiał się nieznacznie pochylić, aby odczytać wskazanie wagi. No... teraz nachylił się trochę bardziej niż nieznacznie, a ściśle mówiąc, dość sporo. Był potężnym mężczyzną, zbyt potężnym, jak mawiał dr Houston.

“Pamiętaj, Billy – rzekł do niego Houston przy okazji ostatnich badań – mężczyzna w twoim wieku, wpływowy, wkracza do krainy zawału w wieku trzydziestu ośmiu lat. Powinieneś trochę schudnąć”.

Ale tym razem wieści były pomyślne. Zrzucił trzy funty – z 249 do 246.

No... ostatnim razem, kiedy odważył się stanąć na wadze i spojrzeć na podziałkę, wskazówka zatrzymała się na 251, ale był wówczas w spodniach i miał w kieszeniach trochę drobnych, nie wspominając już o kluczach i szwajcarskim scyzoryku. A poza tym ta waga w łazience na górze nie jest zbyt dokładna, zawsze wskazuje za dużo. Był o tym święcie przekonany.

Z okresu dzieciństwa w Nowym Jorku zapamiętał słowa o Cyganach mających dar przepowiadania przyszłości. Może to był dowód? Spróbował się roześmiać, ale zdobył się jedynie na pogodniejszy wyraz twarzy. Jeszcze za wcześniej na żarty z Cyganów. Przeżyte lata uświadomiły mu, iż wraz z upływem czasu wszystko się wyjaśnia. Teraz jednak na myśl o Cyganach czuł dziwne ssanie w żołądku i w głębi serca miał nadzieję, że już nigdy w życiu nie spotka żadnego z nich. Od tej pory będzie unikał jak ognia chiromantów i plansz Ouija umożliwiających porozumiewanie się z duchami. Jeżeli to prawda.

– Billy? – Głos dochodził z dołu.

– Idę!

Ubierając się, zauważył z niesmakiem, że pomimo spadku wagi o trzy funty spodnie nadal są za ciasne. Obecnie miał w pasie 42 cale. Rzucił palenie dokładnie o 12.01 w Nowy Rok, ale zapłacił za to wysoką cenę. Naprawdę zbyt wysoką. Zszedł na dół niekompletnie ubrany, z rozpiętym kołnierzykiem i krawatem owiniętym wokół szyi. Linda, jego czternastoletnia córka, wyszła właśnie z pokoju, zamiatając frywolnie spódnicą i wymachując końskim ogonem, który tego ranka przewiązała seksownie atłasową wstążką. Pod pachą trzymała książki. W drugiej ręce miała dwa puszyste pompony – cheerleaderek – znak przynależności do drużyny, i wymachiwała nimi od niechcienia.

– Cześć, tato!

– Miłego dnia. Lin.

Usiadł przy stole i wziął do ręki “The Wall Street Journal”.

– Kochany – powiedziała Heidi.

– Najdroższa – rzekł wytwornie i odłożył gazetę obok obrotowej tacy.

Postawiła przed nim śniadanie – dymiącą górę jajecznicy, angielskie bułeczki na maśle z rodzynkami, pięć plasterków kruchego wiejskiego bekonu. Dobre jedzenie. Usiadła naprzeciw niego w kątku śniadaniowym i zapaliła vantage'a. Styczeń i luty przeżyli w napięciu – za “dyskusji”, które wprawdzie zapobiegały gwałtownym kłótniom, ale zamieniły ich noce w samotną udrękę. W końcu jednak odnaleźli spokój: ona przestała narzekać na jego nadwagę, a on nie wymawiał jej, że za dużo pali. Ta ugoda sprawiła, że wiosna minęła im całkiem znośnie. Poza

tym sprzyjały im okoliczności. Na przykład Halleck dostał awans i przystąpił do spółki Greely, Penschley i Kinder. Matka Heidi w końcu spełniła swoją groźbę i powróciła do Wirginii. Linde przyjęto wreszcie do drużyny cheerleaderek, co okazało się wielkim błogosławieństwem dla Billy'ego – był bowiem bliski załamania nerwowego wobec ciągłych hysterii Lin. Wszystko układało się wspaniale.

I wtedy w mieście pojawili się Cyganie.

Chudzy – rzeki stary Cygan. Co, do diabła, działa się z jego nosem? Syfilis? Rak? A może coś jeszcze bardziej złowrogiego, na przykład trąd? A propos, dlaczego nie przestaniesz o myśleć? Dlaczego to wciąż nie daje ci spokoju?

– Nie możesz przestać o tym myśleć, prawda? – odezwała się nagle Heidi, tak nagle, że Halleck niemal nie zerwał się z krzesła.

– Billy, to nie była twoja wina. Tak orzekł sędzia.

– Nie myślałem o tym.

– No to o czym myślałeś?

– O "Journalu" – odparł. – Piszą, że w tym kwartale znów odnotowano spadek liczby przedsięwzięć budowlanych.

Nie jego wina. Racja, tak orzekł sędzia. Sędzia Rossington. Dla przyjaciół – Cary.

Dla przyjaciół takich jak ja – pomyślał Halleck. Rozegrałem ze starym Carym Rossingtonem sporo partyjek golfa. Dobrze o tym wiesz, Heidi. Na naszym sylwestrowym przyjęciu przed dwoma laty, w roku, w którym sporo myślałem o rzuceniu palenia, ale nie mogłem się na to zdobyć, kto złapał cię za twe śliczne cycki podczas tradycyjnych noworocznych pocałunków? Jak myślisz, kto? Wielkie nieba,

nie pamiętasz? To był stary dobry Cary Rossington we własnej osobie!

Tak. Pocciwy Cary Rossington, przed którego obliczem Billy Halleck wygrał ponad tuzin spraw municypalnych. Dobry stary Cary Rossington, z którym Billy grywał czasem w pokera, w klubie, i który nie wycofał się, kiedy jego dobry kumpel od golfa i kart, Billy Halleck (Cary czasami klepał go po plecach i wrzeszczał: "Jak się masz, stary byku!") stanął przed nim w sądzie, aby rozstrzygnąć jakiś aspekt prawa, ale pod zarzutem zabójstwa: przejechania człowieka.

A kiedy Cary Rossington nie wycofał się, to jak sądzicie, dzieci, kto był w stanie się zmienić? Kto w całym mieście Fairview mógł mu zagrozić? Nikt. Otóż to, nikt. No bo kim oni byli w gruncie rzeczy? Zwyczajną bandą brudnych Cyganów. Im prędzej wyjechali z miasta w dalszą drogę w swoich starych zdezelowanych półciążach-rówkach z naklejkami NRA na tylnych zderzakach, im prędzej zobaczyliśmy tyły wykonanych przez nich własnoręcznie bud, furgonów i pojazdów kempingowych, tym lepiej... Im szybciej, tym...

Chudzy...

– Pieprzysz. – Heidi zaciągnęła się papierosem. – Przecież za dobrze cię znam. Ten artykuł w ogóle cię nie interesuje.

Billy przypuszczał, że ona nie da się oszukać. Jej twarz była nazbyt blada. Wyglądała na swój wiek (miała trzydzieści pięć lat), co nieczęsto się zdarzało. Pobrali się bardzo, bardzo młodo, wciąż jeszcze pamiętał komiwojażera, który przyszedł do ich domu, oferując nowy model odkurzacza, dokładnie w dzień po ich trzeciej rocznicy ślubu. Spojrzał na dwudziestodwuletnią Heidi Halleck i spytał uprzejmie: "Czy twoja mama jest w domu, kochanie?"

– Mimo to jak dotąd apetyt mi dopisuje – stwierdził i była to szczerza prawda. Strach czy strach, spustoszył talerz z jajecznicą, a po bekonie nie było już wkrótce ani śladu. Wypił półklanki soku pomarańcowego i obdarzył żonę szczerym uśmiechem godnym starego Billy'ego Hallecka. Próbowła odpowiedzieć mu tym samym, ale zastygła w półuśmiechu. Wyobraził

sobie ją ze znaczkami:

„Mój uśmiech jest chwilowo zawieszony”.

Sięgnął przez stół i ujął ją za rękę.

– Heidi, już wszystko w porządku. A nawet jeżeli nie, to i tak mamy to za sobą.

– Wiem, że tak. Wiem.

– Czy Linda?...

– Nie. Już nie. Ona mówi... Mówi, że jej przyjaciółki bardzo jej pomogły.

Po tym zdarzeniu przez prawie tydzień ich córka przeżywała trudny okres. Wracając ze szkoły do domu zapłakana albo bliska hysterii. Przestała jeść. Bardzo pobladła. Halleck, nie chcąc zareagować zbyt ostro, udał się na spotkanie z jej nauczycielką, wicedyrektorką i ulubienicą Lindy, panną Nearing, uczącą wychowania fizycznego i prowadzącą zajęcia cheerleaderek. Ustalił (tak, to był dobry prawniczy zwrot), że była szykanowana w tak bezceremonialny i niewybredny sposób, na jaki stać młodzież licealną. Z uwagi na okoliczności było to zaiste niesmaczne, ale czegoż można się spodziewać po grupie nastolatków, dla których głupie dowcipy były szczytem inteligencji i polotu?

Zabrał Lindę na długi spacer. Lantem Drive była okolona rzędem wytwornych, ustawionych z dala od ulicy domów, których wartość zaczynała się od siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów sięgając dwustu (sauna i basen wewnątrz domu), nim jeszcze zdążyłeś się zapisać do klubu „Country” na koniec ulicy.

Linda miała na sobie swoje stare madrasowe szorty, które były przetarte wzdłuż jednego ze szwów, a jej nogi – jak zauważył Halleck – były niezwykle zgrabne, długie i smukłe; poprzez rozdarcie w szortach widać było skrawek jej żółtych, bawełnianych majteczek. Poczł w głębi duszy coś, co stanowiło przedziwną mieszankę smutku i przerażenia. Dziewczyna dorastała. Przypuszczał, że celowo włożyła te szorty, które były za małe i nieludzko znoszone, ponieważ kojarzyły się jej z przyjemnym dziecięcym stwem, kiedy tata nie zasiadał na ławie oskarżonych podczas wytoczonego przeciwko niemu procesu (niezależnie od tego, jak pozorny miałby to być proces, to sędzią był stary kumpel od gry w golfa i pokerowego stolika, Cary Rossington, który łapał twoją żonę za cycki), a dzieciaki

nie tłoczyły się wokół ciebie podczas przerwy w meczu piłkarskim czy w czasie lunchu i nie pytały, ile punktów zebrał twój tata za przejechanie tej staruszki.

– Chyba rozumiesz, że to był wypadek, Undo. Kiwa głową, nie patrząc na niego. – Tak, tato.

– Wyszła pomiędzy dwóch samochodów, nie oglądając się na boki. Nie miałem dość czasu, aby zahamować; absolutnie. Nie było szans.

– Tatusiu, nie chcę tego słuchać.

– Wiem, że nie chcesz. A ja nie chcę o tym mówić, ale zamęczają cię w szkole.

Patrzy na niego bojaźliwie. – Tatusiu ty chyba nie...

– Poszedłem do twojej szkoły? Tak. Poszedłem. Wczoraj po południu. Po 15.30, nie było już dzieciaków. W każdym razie nie widziałem żadnego. Nikt się o tym nie dowie.

Uspokaja się trochę.

– Słyszałem, że niektórzy zachowywali się wobec ciebie dosyć ostro. Przykro mi z tego powodu.

– Nie było tak źle – mówi, biorąc go za rękę. Jej twarz z młodzieńszym trądzikiem zdradzała historię. Tamci rzeczywiście się nie patyczkowali. Aresztowanie któregoś z rodziców niełatwo jest zatuszować, nawet Judy Blume (choć kiedyś zapewne jej się to uda).

– Słyszałem też, że dobrze sobie radziłaś – mówi Billy – Nie zrobiłaś z tego wielkiej afery dając po sobie poznać, że tak cię krzywdzą.

- Tak, wiem-mówi ponuro.

- Panna Nearing powiedziała, że była z ciebie naprawdę dumna - mówi. Drobne kłamstwo. Nauczycielka nie użyła tych słów, aczkolwiek mówiła o Undzie w samych superlatywach. To wiele znaczy dla Billa Hallecka, prawie tyle samo, co dla jego córki. Wybieg okazuje się skuteczny. Jej oczy rozjaśniają się i po raz pierwszy spogląda na ojca.

- Tak powiedziała?

10

- Tak powiedziała - potwierdza Halleck. Kłamstwo łatwo przechodzi mu przez gardło i jest przekonujące. Dlaczego nie? Jeszcze nie tak dawno kłamał jak najęty.

Linda ściska jego dłoń i uśmiecha się do niego z wdzięcznością.

- Już niedługo dadzą ci spokój. Lin. Znajdą sobie inny obiekt. Jakaś dziewczyna zajdzie w ciążę albo nauczyciel załamie się nerwowo, albo jakiś chłopak wpadnie na handlu trawą lub kokainą. Ty zostaniesz odsunięta. Wiesz, o co mi chodzi?

Zarzuca mu ramiona na szyję i obejmuje z całych sił. Uznaje, że dziewczyna jest jeszcze bardzo dziecinna, a trochę kłamstwa nikomu nie zaszkodzi. - Kocham cię, tato - mówi.

- Ja też cię kocham. Lin. Obejmuje ją i nagle ktoś włącza olbrzymi wzmacniacz stereo w samym środku jego mózgu i znowu słyszy potworny podwójny łoskot. Pierwszy, gdy przedni zderzak jego oidsa uderza starą Cyganke w jasnoczerwonej chustce na głowie, drugi, gdy olbrzymie przednie koła przetaczają się po jej ciele. Heidi krzyczy. A jej dłoń zsuwa się z Halleckaobejmuje swoją córkę mocniej, czując, że na całym ciele drży.

Jeszcze jajek? - spytała Heidi, przerywając jego rozmyślenia.

- Nie. Nie, dziękuję. - Spojrzał na swój czysty talerz z poczuciem winy. Niezależnie od tego, jak pasko miały się sprawy, jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby cierpiał na bezsenność albo brak apetytu.

- Jesteś pewien, że?...

- Nic mi nie jest? - Uśmiechnął się. - Ani mnie, ani tobie. I Lindzie też nie. Jak powiadają w mydlanych operach, koszmar się skoń czył. Czy możemy powrócić do naszego codziennego życia?

- To wspaniały pomysł. - Tym razem obdarzyła go równie promiennym uśmiechem i zaraz wyglądała na niespełna trzydziestoletnią, tryskającą radością kobietę. - Chcesz resztę? - Chcesz dwa plasterki.

11

- Nie - odparł, myśląc, w jaki sposób jego spodnie trzymały się na miękkiej talii (Jakiej halii!,- odezwał się w jego myślach mały i nieznośny Don Rickles - ostatnim razem miałeś talię gdzieś w 1978, ty zakuta pało) i jak musiał wciągać brzuch, aby zapiąć pasek. Potem pomyślał wadze i powiedział: - Zjem jeden. Straciłem trzy funty.

Podeszła do kuchenki pomimo jego odmowy. Czasami zna mnie tak dobrze, że to mnie przeraża - pomyślał. Obejrzała się.

- A więc nadal o tym myślisz.

- Nie myślę - odparł rozdrażniony. - Czy człowiek nie może stracić w spokoju trzech funtów?

Mówisz o mnie, jakbym był... .chudszy... .trochę mniej muskularny. - I znowu przyłapała go na rozmyślanie o tym starym Cyganie. Cholera! I ten wyżarty nos, i to przerażające uczucie, w chwili gdy staruch przesuwał dłońią po jego policzku - na moment przed tym, jak zareagował odskoczył w bok, tak jak odskakiwałbyś od pająka albo brzęczącego kłębowa robactwa

gnieźdzącego się pod przegniłym pniem drzewa.

Przyniosła mu plasterek bekonu i pocałowała go w skroń .

- Przepraszam. Rób tak dalej i zrzucaj wagę. Ale jeżeli to ci się nie uda, pamiętaj o słowach Boga. "Lubię cię takim, jaki jesteś". - Skoń czyli w zgrabnym unisono.

Spojrzał na gazetę leżącą obok tacy, ale to było po prostu zbyt przygnębiające. Wstał, wyszedł na zewnątrz i znalazł na kwietniku egzemplarz "New York Timesa". Dzieciak zawsze go tam rzucał, nigdy nie dostarczał regularnie gazet, zwłaszcza pod koniec tygodnia, i nigdy nie pamiętał nazwiska Billy'ego. Billy niejednokrotnie zastanawiał się, czy to możliwe, żeby dwunastolatek stał się ofiarą choroby Alzheimera.

Zabrał gazetę do domu, otworzył na stronie z wiadomościami sportowymi i zabrał się do pałaszowania bekonu. Czytał właśnie nowinki ze świata boksu, gdy Heidi przyniosła mu kolejną porcję angielskich bułeczek zlocących się od stopionego masła. Halleck zjadł je wszystkie, wiedząc nawet, że to robi.

Rozdział 2

Sprawa wlokła się od ponad trzech lat, a Halleck spodziewał się, że proces w tej lub innej formie jeszcze się pociągnie przez następne kilka zim, aż tu zgoła nieoczekiwanie zakończył się z chwilą podpisania ugody pomiędzy stronami i ustalenia wysokości odszkodowania. Podczas przerwy w rozprawie doszło do porozumienia, a proponowana suma okazała się kompletnie oszałamiająca. Halleck bezzwłocznie polecił powodowi - fabrykantowi farb z Schenectady - i swemu klientowi, aby podpisali formularz porozumienia w pokoju sędziowskim. Adwokat powoda przyglądał się teraz ze zrozumiałą konsternacją i niedowierzaniem, podczas gdy jego klient, przewodniczący spółki "Szczęśliwa Farba", nabazgrał swoje nazwisko na kopiach formularza; kiedy notariusz potwierdzał podpisem prawdziwość każdej z kopii i pochylał nieznacznie głowę, jego łysa czaszka połyskiwała łagodnie. Billy usiadł spokojnie, złożywszy dłonie, i czuł się tak, jakby wygrał los na nowojorskiej loterii. Do lunchu było już po wszystkim - prócz sporego rozgłosu. Billy poszedł wraz z klientem do O' Lunneya i zamówił szklaneczkę chivas dla klienta i martini dla siebie, a potem zadzwonił do Heidi.

- Mohonk - powiedział, kiedy podniosła słuchawkę. Był to znajdujący się w pobliżu Nowego Jorku kurort, gdzie spędzili miesiąc miodowy - prezent od rodziców Heidi - dawno, dawno temu. Oboje pokochali to miejsce i od tej pory już dwukrotnie spędzali tam wakacje.

- Co?

- Mohonk -powtórzył. - Jeśli nie chcesz jechać, to poproszę Jillian z biura.

- Co to, to nie! O co chodzi, Billy?

- Chcesz jechać czy nie?

- Oczywiście, że chcę. Na ten weekend?

- Jutro, jeżeli zdołasz nakłonić panią Bean, żeby przyszła zająć się Lindą, upewnij się, że pranie jest zrobione i że za sprawą

13

telewizji żadne gorszące sceny nie będą miały miejsca w naszym domu. I jeżeli...

Ale pisk Heidi zagłuszył go na chwilę.

- A twoja sprawa, Billy! Opary farby, załamanie nerwowe, epizod psychotyczny i...

- Caniey chce iść na ugode. Prawdę mówiąc, jest już po sprawie. Po czternastu latach bzdurnych obrad i długich prawniczych wywodów prowadzących donikąd, twój mąż zdołał przechylić szalę na stronę pozytywnych bohaterów. Czysto, rozstrzygająco i raz na zawsze. Sprawa Canieya została załatwiona, a ja jestem u szczytu szczęścia.

- Billy! Boże! - Znów pisnęła, tym razem tak głośno, że w słuchawce przeraźliwie zaskrzeczało. Billy, uśmiechając się, odsunął ją od ucha.

- Hę dostał ten twój facet?

Billy podał jej sumę i tym razem musiał odsunąć słuchawkę od ucha na co najmniej pięć sekund.

- Jak sądzisz, czy Linda wytrzyma pięć dni bez nas?

- Jeżeli mogła wytrzymać do pierwszej, oglądając HBO ostatniej nocy i przez cały czas gadać zą Georgią Deever o chłopakach i zajadać się czekoladkami. Chyba żartujesz! Jak sądzisz, Billy, czy będzie bardzo zimno? Chcesz, żebym zapakowała twój zielony wełniany sweter? Wolisz ciepłą parkę czy kurtkę z denimu? A może obie? Czy?...

Powiedział, żeby sama zdecydowała, i wrócił do klienta, który zdołał się już uporać z połową zawartości szklaneczki chivasa i miał wyraźną ochotę na opowiadanie głupawych dowcipów.

Sprawił wrażenie lekko nieprzytomnego. Halleck wypił swoje martini i jednym uchem wysłuchał serii standardowych dowcipów o cieślach i restauracjach, ale myślami był już gdzie indziej. Ta sprawa mogła mieć daleko idące konsekwencje - było jeszcze za wcześnie, by przewidzieć, jak to zmieni bieg jego kariery, ale czas wszystko pokaże. Może być całkiem nieźle, skoro wielkie firmy zaczną teraz działać niczym instytucje charytatywne. To mogło oznaczać, że...

Pierwsze uderzenie rzuca Heidi do przodu i przez chwilę ściska

14

go mocniej. Prawie nie zdaje sobie sprawy z bólu, który przeszywa mu krocze. Uderzenie jest silne; jej pas bezpieczeństwa zatrzaskuje się automatycznie. Krew tryska w górę, trzy kropelki dziesięciocentówek padają na szybę wozu jak czerwony deszcz. Wszystko dzieje się tak szybko, nie ma nawet czasu na krzyk. Świadomość tego wypadku nadejdzie dopiero za chwilę, w momencie powtórnego uderzenia, a potem...

Przełknął resztę martini jednym łykiem. Łzy nabiegły mu do oczu.

- Nic panu nie jest? - spytał klient David Duganfield.

- Nie. I to niewiarygodne! - rzekł Billy i ponad stołem wyciągnął rękę do swego klienta.

Gratulacje, Davidzie. - Nie będzie myślał o wypadku, nie będzie myślał o Cyganie z gnijącym nosem. Był uczciwym facetem, a potwierdzał to mocny uścisk dłoni Duganfieldajego zmęczony, z lekka fałszywy uśmiech.

- Dziękuję ci, człowieku - rzekł Duganfield. - Bardzo dziękuję. - Nagle pochylił się nad stołem niezdarnie objął Billy'ego. Ten odwzajemnił uścisk. Ale gdy ramiona Davida Duganfielda owinęły się wokół jego szyi, a jedna z dłoni prześlizgnęła się po jego policzku, to znów przypomniał mu się dziwny, pieszczotliwy gest starego Cygana.

Dotknął mnie - pomyślał Halleck i w chwili, kiedy obejmował swego klienta, poczuł na plecach lodowate ciarki.

W drodze do domu próbował myśleć o Davidzie Duganfieldzie - to był dobry temat - ale zanim jeszcze znalazł się na moście Triborough, znów powrócił do rozmyślań o Ginellim.

On i Duganfield spędzili większość popołudnia u O'Lunneya, ale Billy początkowo chciał zabrać swego klienta do "Trzech Braci" - restauracji, której Richard Ginelli był nieformalnie współwłaścicielem. Minęło wiele lat od chwili, gdy po raz ostatni był u "3raci". Jednak z uwagi na złą reputację Ginellego nie byłoby to zbyt mądre posunięcie, choć zawsze go korciło, żeby

tam się wybrać. Billy mile wspominał posiłki i przyjemnie spędzane chwile, choć Heidi nigdy
15

nie żywiła szczególnej sympatii ani do tego miejsca, ani do Ginelle-go. Zawsze mówiła,
Ginelli ją przeraża.

Przejechał przez wyjazd z Guñ Hill Road, wjechał na New York Thruway, kiedy znów pomyślał
o Cyganie – niby koń wracający z uporem do swej stajni.

Od razu przyszedł ci do głowy Ginelli. Kiedy dotarłeś do domu tego dnia, a Heidi siedziała
kuchni, płacząc, właśnie o nim pomyślałeś. "Hej, Rich, zabiłem dziś staruszkę. Mogę wpaść do
miasta, aby zamienić z tobą parę słów? "

Ale Heidi była w pokoju obok, a Heidi nie zrozumiałaby. Dłoń Billy'ego zawisła nad telefonem,
a potem odsunęła się. Nagle doznał olśnienia, że przecież był dobrze sytuowanym prawnikiem z
Connecticut, ale gdy znalazł się w tarapatach, mógł myśleć o telefonie do jednej tylko osoby
nowojorskiego gangstera, który, wszystko na to wskazywało, już od lat kultywował niezbyt
chlubny zwyczaj wykańczania konkurencji.

Ginelli był wysoki, nie za bardzo przystojny, ale mimo wszystko miał klasę. Jego głos brzmiał
mocno i uprzejmie i trudno byłoby go skojarzyć z prochami, prostytutką i morderstwem. Jednak
fizjonomia zdradzała częste związki z każdą z tych trzech profesji. Ale Billy owego straszego
wieczoru, kiedy szef policji z Fairview, Duncan Hopley, pozwolił mu odejść, chciał usłyszeć
jedynie ten głos.

- .. .czy tylko siedzieć tu cały dzień

? Że co? – zapytał Billy zaskoczony. Nagle zdał sobie sprawę, że znajdował się na jednej z kilku
rogatek przejazdowych w Rye, gdzie pobierano opłaty.

- Pytałem, płaci pan czy?...

- Dobra – rzekł Billy i dał poborcy dolara. Odebrał swoją resztę i ruszył w dalszą drogę. Prawie
był już w Connecticut; dziewiętnaście zjazdów, aby dotrzeć do Heidi. Potem w drogę do Mo-
honk. Myślenie o Duganfieldzie nie przyniosło mu ulgi. To może Mohonk. Może zapomniałbyś
na chwilę o tej starej Cygance i tym starym Cyganie, co ty na to?

Ale znów powrócił myślami do Ginellego.

16

Billy spotkał go dzięki firmie, która przed siedmioma laty otrzymała zlecenie od Ginellego
jakieś sprawy korporacji.

Billy – wówczas bardzo młody prawnik w firmie – dostał to zadanie. Żaden ze starszych
partnerów nie chciał się tego podjąć.

Już wtedy Rich Ginelli miał złą opinię. Billy nigdy nie zapytał Kirka Penschleya, dlaczego
wówczas nie odesłano Ginellego z kwitkiem; powiedziano by zapewne, żeby zajął się swoją
robotą, a dyskusje o polityce zostawił starszym. Przypuszczał, że Ginelli miał haka na kogoś
biura; był człowiekiem, który dużo wiedział.

Billy rozpoczął trzymiesięczną pracę na rzecz firmy "Trzej Bracia", oczekując, że znienawidzi,
albo może będzie się bał, człowieka, którego miał reprezentować. Stało się inaczej; poczuł
niego szczerą i nie skrywaną sympatię. Ginelli był obdarzony dziwną charyzmą i sporym
poczuciem humoru. Co więcej, traktował Billy'ego z godnością i szacunkiem.

Billy zwolnił, aby uiścić opłatę wjazdową do Norwalk, wrzucił trzydzieści pięć centów i znów
włączył się w ruch uliczny. Nawet o tym nie myśląc, przechylił się i otworzył schowek na
rękawiczki. Pod mapami, notesem i kartą wozu znajdowały się dwie paczki twinkies. Otworzył
jedną i zaczął jeść gwałtownie, parę okruszyn posypało mu się na kamizelkę.

Jego praca dla Ginellogo została zakończona na długo przed tym, jak sąd nowojorski oskarżył tego człowieka o serię gangsterskich egzekucji po rozpoczęciu kolejnej fali wojen narkotykowych. Akta oskarżenia nadeszły z Sądu Najwyższego jesienią 1980 roku. Zostały wycofane wiosną roku 1981, głównie ze względu na olbrzymią, sięgającą 50% śmiertelność wśród świadków stanowych. Jeden z nich wyleciał w powietrze we własnym samochodzie wraz z dwoma policjantami, których wyznaczono do jego ochrony. Inny został ugodzony w gardło złamanym prętem parasola, kiedy na Grand Central Station siedział na fotelu pacybuta. Dwaj inni świadkowie uznali – co wcale nie powinno być dla niego zaskakujące w gruncie rzeczy wcale nie są pewni, iż to Richie – był człowiekiem, którego udało się im podsłuchać

rozkaz zabicia brooklyńskiego barona narkotycznego Richovskya –
go.

Westport. Southport. Prawie w domu. Znowu się przechylił, grzebiąc w schowku na rękawiczki... Aha! Znalazł jeszcze na wpół wyjedzoną paczkę orzeszków ziemnych. Trochę zleżałe, ale zjadliwe. Billy Halleck zaczął je przeżuwać, nie poświęcając jedzeniu ich więcej uwagi niż przed chwilą twinksom.

On i Ginelli pisywali do siebie kartki świąteczne, raz po raz spotykali się na okazym obiedzie – zwykle w "Trzech Braciach". Ostatnio się nie widywali ze względu na, jak to określił Ginelli, "moje prawne problemy". Była to w dużej mierze decyzja Heidi, która nie darzyła Ginellogo sympatią, choć on sam to zaproponował.

– Lepiej będzie, jak przez jakiś czas nie będziemy się spotykać
– powiedział Billy'emu.

– Co? Dlaczego? – spytał niewinnie Billy, tak jakby on i Heidi nie rozmawiali na ten temat poprzedniego wieczoru.

– Bo w oczach całego świata jestem zwyczajnym gangsterem

– odparł Ginelli. – Młodzi prawnicy, którzy zadają się z kryminalistami, nie mogą zajść daleko, Williamie, a o to przede wszystkim chodzi – a więc cała naprzód.

– O to przede wszystkim chodzi, co? Ginelli uśmiechnął się tajemniczo.

– No cóż... jest jeszcze parę innych rzeczy.

– Na przykład?

– Mam nadzieję, Williamie, że nigdy nie będziesz musiał się o tym dowiedzieć. I wpadaj co jakiś czas na filiżankę espresso. Będziemy mogli sobie pogadać i trochę pożartować. Nie zapominaj mnie. To właśnie chciałem ci powiedzieć.

No i utrzymywał z nim kontakt, wpadał od czasu do czasu (choć kiedy mijał rampę wyjazdową Fairview, musiał przyznać w duchu, że ich spotkania były coraz rzadsze) i kiedy został oskarżony o zabójstwo spowodowane nieostrożną jazdą, pierwszą osobą, która przyszła mu na myśl, był właśnie Ginelli.

Ale stary dobry Cary Rossington, na którego zawsze można

18 •

liczyć, wziął to na siebie. Zatem dlaczego wciąż myślisz o Ginellim? Mohonk; to jest to, czym powinieneś się teraz zająć. I David Dugan-fieid – twój dowód na to, że dobrzy faceci nie zawsze przegrywają. A do tego zrzuciłeś jeszcze parę funtów.

Ale kiedy skręcił na podjazd, zdał sobie nagle sprawę, że myśli o tym, co powiedział mu kiedyś Ginelli.

– Williamie, mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał się o tym dowiedzieć.

- O czym miałbym się dowiedzieć? - zastanawiał się Billy, a w chwilę potem Heidi wybiegła przez frontowe drzwi, pocałowała go i Billy na moment o wszystkim zapomniał.

Rozdział 3

To była ich trzecia noc w Mohonk i właśnie skoń czyli się kochać. Robili to już kilka razy ciągu tych trzech dni. Zawrotne odstępstwo od codzienności. Billy leżał obok niej, czując przyjemne ciepło i zapach perfum - Anais Anais - zmieszanych z potem i wonią seksu. Przez moment znowu widział starą Cygankę, zanim uderzył w nią olds, oraz słyszał brzęk tłuczonej butelki perriera. Potem wizja zniknęła.

Przetoczył się na stronę żony i mocno ją objął. Przytuliła go jedną ręką, a drugą przesunęła jego udzie.

- Wiesz - powiedziała - jak jeszcze raz dopuszczę do tego, że mózg będzie mi uciekał z czaszki, już niedługo nic mi z niego nie zostanie.

- To bajki - rzekł z uśmiechem Billy.

- Że możesz sprawić, aby mózg wypłynął ci z czaszki?

- To bajki, że stracisz te szare komórki na zawsze. One zawsze odrastają.

- Tak, tak, na pewno.

Przylgnęła do niego mocniej. Jej dłoń wędrowała w górę jego ud, dotknęła penisa, łagodnie uwielbieniem, bawiła się kępką włosów łonowych (w zeszłym roku był nieprzyjemnie zdumiony, widząc

19

pierwsze pasemka szarości w miejscu, które jego ojciec nazywał "kępka Adama"), a potem dotknęła palcami jego podbrzusza.

Nagle podparła się na łokciach, co go nieznacznie zaskoczyło. Nie spał, ale z wolna przysypiał.

- Naprawdę straciłeś na wadze!

- Co?

- Billy, ty chudniesz!

Uderzył się po brzuchu, który czasami nazywał "Domem, który zbudował Budweiser", i roześmiał się.

- Nie za bardzo. Nadal wyglądam jak jedyny na świecie facet w siódmym miesiącu ciąży.

- Nadal jesteś potężny, ale nie tak jak kiedyś. Wiem. Mogę to stwierdzić autorytatywnie. Kiedy się ostatnio ważyłeś?

Sięgnął pamięcią wstecz. To było tego ranka, kiedy doszło do ugody z Canieym. Ważył 246.

- Powiedziałem ci, że straciłem trzy funty, pamiętasz?

- No to rano znowu się zważysz - powiedziała.

- W łazience nie ma wagi - rzucił z zadowoleniem Halleck.

- Żartujesz.

- Ani trochę. Mohonk to cywilizowane miejsce.

- Znajdziemy jakąś. Znów zaczął przysypiać.

- Jeżeli chcesz, pewno.

- Chcę.

Była dobrą żoną. Przez ostatnie pięć lat, odkąd znacznie przybrał na wadze, ogłaszał, że przechodzi na dietę i - zaczyna intensywnie ćwiczyć. Z dietą - nie da się ukryć - oszukiwał.

Jeden

czy dwa hot dogi jako uzupełnienie jogurtu, czasami jeden czy dwa przełknięte naprędcie hamburgery w sobotnie popołudnie, kiedy Heidi była na jakiejś aukcji czy wyprzedaży. Raz czy dwa pozwolił sobie nawet na podstępne gorące sandwicze, które oferowano w małym, wygodnym sklepiku, znajdującym się o milę w dół szosy. Mięso w tych sandwi-czach wyglądało zwykle jak twarde, niczym podeszwa, zrazy, które już przedtem znajdowały się we wnętrzu kuchenki mikrofalowej; mi-

20

mo to nigdy nie był w stanie zrezygnować z porcji. Lubił piwo – to niezaprzeczalny fakt – ~~na~~ bardziej kochał jedzenie. Solą z Do-wer w jednej z najlepszych nowojorskich restauracji była wyśmienita, ale jeżeli chciał posiedzieć wygodnie i obejrzeć mecz w telewizji, to najlepiej tego celu nadawała się torba doritos i coś do przepłukiwania gardła.

Programy ćwiczeń fizycznych bawiły go zwykle nie dłużej niż przez tydzień, potem zazwyczaj rezygnował z treningów, gimnastykował się w kratkę, aż w końcu w ogóle przestawał się tym interesować. W piwnicy w rogu stały sztangi i hantle, pokrywając się z wolna warstewką pajęczyny i rdzy. Zdawały się robić mu wyrzuty, za każdym razem kiedy schodził na dół. Starał się tego nie widzieć.

No więc wciągał brzuch bardziej niż zwykle, a potem z dumą oznajmiał Heidi, że stracił dwanaście funtów i obecnie ważył 236. Ona ze swej strony kiwała głową, oczywiście, zauważała różnicę, ale i tak wiedziała swoje, bo stale widywała w koszu torby po zjedzonych doritos.

Adkąd w Connecticut wprowadzono prawo o skupie pustych butelek i puszek, pustki w spiżarniach stały się dowodem winy i słabej woli prawie tak samo rzucającym się w oczy, jak nie używany sprzęt gimnastyczny. Widziała go, jak spał – a nawet gorzej – widziała go, kiedy się odlewał.

– Nie możesz wciągać brzucha, kiedy to robisz. Próbował, ale okazało się to niemożliwe.

Wiedziała, że stracił trzy, najwyżej cztery funty. Możesz oszukać swoją żonę, gdy w grę wchodzi jakaś inna kobieta – przynajmniej przez jakiś czas – ale nie, gdy chodzi o wagę. Kobieta, ~~która~~ wciągała czasami twój ciężar, od czasu do czasu, głównie nocą, dobrze wiedziała, ile ważysz. Ale uśmiechała się i mówiła: "Oczywiście, wyglądasz lepiej, kochanie". Nie do końca w to wierzył, ale przestał jej wyrzucać nadmiar papierosów i starał się zachować szacunek dla samego siebie.

– Billy?

– Co? – Po raz drugi przebudził się i spojrzał na nią przez ramię trochę rozbawiony, a trochę poirytowany.

– Dobrze się czujesz?

21

– Wyśmienicie. A dlaczego pytasz?

– No cóż... czasami... mówi się, że nagle utrata wagi to niepokojący sygnał.

– Czuję się świetnie. A jak nie dasz mi zasnąć, to udowodnię ci to, ponownie wprawiając w mch twoje kosteczki.

– No to jazda!

Jęknął. Wybuchnęła śmiechem. Wkrótce potem oboje usnęli.

A w jego śnie on i Heidi wracali właśnie z Shop'n Save, tylko że on tym razem zdawał sobie sprawę, iż to tylko sen, wiedział, co się stanie, i chciał jej powiedzieć, żeby przestali to ~~nie~~ skupić całą swoją uwagę na prowadzeniu wozu i że już niebawem stara Cyganka wyskoczy spomiędzy dwóch stojących na poboczu wozów – żółtego subam i ciemnozielonego firebirda – i

ta kobieta będzie miała we włosach plastikowe, tanie dziecięce spinki i nie będzie rozglądać wokoło, a jedynie patrzeć przed siebie. Chciał powiedzieć Heidi, że to była jego szansa na odwrócenie tego wszystkiego, na zmianę biegu zdarzeń, na naprawienie popełnionych błędów. Ale nie mógł wydobyć z siebie słowa. Rozkosz znowu obudziła się w jego wnętrzu, gdy jej palce zaczęły go dotykać, z początku niepewnie i delikatnie, potem zaś bardziej zuchwale; jego penis zesztyniał, a on spał – opuścił głowę na metaliczny dźwięk rozsuwanego rozporoka, otwierającego się ząbek po ząbku. Radość mieszała się niepewnie z uczuciem przerażającej nieuchronności. Teraz zobaczył przed sobą żółte subaru zaparkowane za zielonym firebirdem z białym, rajdowym pasem. A pomiędzy nimi dostrzegł błysk pogań skiego koloru, jaśniejszego i bardziej żywego niż jakiegokolwiek barwy fluorescencyjnych farb, używanych w Detroit czy Toyota Village. Próbował krzyknąć:

– Przestań, Heidi. To ona! Jeżeli nie przestaniesz, zabiję ją ponownie! Proszę, Boże, nie! ~~Chcę~~ nie!

Ale postać już wyszła spomiędzy dwóch samochodów. Halleck próbował zdjąć stopę z pedału gazu i nacisnąć na hamulec, ale ta zdawała się przyrośnięta, przytrzymywana w miejscu jakąś potworną nieodwołalną mocą. Magiczny Klej Nieuchronności – pomyślał dziko, próbując przekręcić kierownicę, ale ona również nie ustępo-

22

wała. Kierownica była nieruchoma i zablokowana. Próbował przygotować się na zderzenie i wtedy głowa Cyganki odwróciła się, ale to nie była stara kobieta, o nie. To był Cygan z gnijącym nosem. Tyle że teraz nie miał oczu. W ułamku sekundy, zanim olds uderzył go i wciągnął pod koła, Halleck zobaczył ziejące pustką oczodoły. Usta starego Cygana rozchyliły się wbscenicznym uśmiechu, niby stary półksiężyc poniżej potwornej narośli, którą miał pod nosem. Potem łup! łup!

Jedna ręka uniesiona bezwładnie nad maską oidsa, mocno pomarszczona, na palcach pogańskie pierścienie z kutego metalu. Trzy krople krwi rozprysnięte na szybie. Halleck prawie nie zdawał sobie sprawy, że dłoń Heidi przez cały czas była zaciśnięta na jego zesztyniałym członku. ~~Koń~~ cu doprowadziła go do orgazmu, który przerodził się w szok – przedziwną, upiorną mieszaninę rozkoszy i bólu...

I nagle usłyszał szept Cygana, głos dochodzący jakby spod niego, przenikający przez podłogę eleganckiego wozu, stłumiony, ale dostatecznie wyraźny.

Chudszy.

Obudził się gwałtownie, odwrócił do okna i prawie krzyknął. Nad Catskills unosił się jasny sierp księżycy i przez chwilę miał wrażenie, że to stary Cygan, z przechyloną na bok głową, zagląda do sypialni. Jego oczy błyszczą jak dwie jasne gwiazdy na czarnym niebie nowojorskiego kurortu, a uśmiech wypływa jakby z głębi; cały zaś połyskiwał niczym blask trzymany w niewielkim słoiku sierpniowych robaczek świętojańskich, zimnych jak istoty z bagien, które widział czasami, jako chłopiec w Karolinie Pomocnej, stare, zimne światło, księżyc w kształcie starego uśmiechu, uśmiechu człowieka, który rozmyśla o zemście.

Billy wziął głęboki oddech, zamknął mocno oczy, a potem znów je otworzył. Księżyc był znów już tylko księżycem. Położył się i w trzy minuty później usnął.

Nowy dzień był jasny i ciepły. Halleck poddał się w końcu i zgodził się iść ze swoją żoną ~~z~~ kładem labiryntu. Tereny Mohonk

23

były poprzecinane wieloma trasami o różnym stopniu trudności – od łatwych po wyjątkowo

trudne. Labirynt był określony jako "umiarkowany" i podczas ich miesiąca miodowego on i Heidi wędrowali tym szlakiem dwukrotnie. Pamiętał, z jaką przyjemnością wspinał się po stromych zboczach przełęczy, mając tuż za sobą Heidi, która raz po raz powtarzała, że rusza się ślamazara, a powinien choć trochę przyspieszyć kroku. Przypomniała sobie, jak przeciskał przez jedno z wąskich, jaskiniowych przejść w skale i wyszeptał złowieszczo do świeżo poślubionej żony:

- Czujesz, jak ziemia się trzęsie? - Kiedy znajdowali się na najwęższym odcinku, przecisnął się tamtędy bez większych trudności.

Halleck musiał przyznać przed sobą (ale nigdy nie wyznałby tego Heidi), że to właśnie te wąskie przejścia w skale martwiły go obecnie najbardziej. Podczas ich miodowego miesiąca był szczupły i smukły - jeszcze dzieciak, w znakomitej kondycji fizycznej po latach spędzonych w Massachusetts wśród drwali. Teraz był szesnastu lat starszy i o wiele cięższy. I jak go wyraźnie poinformował wesoły dr Houston, wkraczał na terytorium nawiedzane przez częste ataki serca. Perspektywa dolegliwości sercowych w połowie drogi na szczyt była niezbyt przyjemna, ale w sumie raczej mało prawdopodobna. Jego zdaniem szybciej utknie w jednej z tych wąskich skalnych gardzieli, przez które wiódł kręty szlak, prowadzący na wierzchołek góry. Przypomniał sobie, że musieli się człapać w przynajmniej czterech miejscach.

Za nic nie chciał ugrzęznąć gdziekolwiek na szlaku.

Albo... jak to? Nasz stary, dobry, Billy Halleck utkwiał w mrocznej szczelinie skały, a doznał ataku serca! Ejże! O la, la - dwie wątpliwe przyjemności za jednym zamachem!

Ale w końcu zgodził się spróbować, po prostu, jeżeli on nie będzie w stanie dotrzeć na szczyt, Heidi pójdzie dalej sama. Najpierw musieli jednak pójść do sklepu, żeby kupić dla niego jakieś wygodne "trampki". Heidi przystała na oba postawione warunki.

W mieście Halleck przekonał się, że "trampki" stały się produktem demode. Nikt nie przyznał się, że w ogóle istniało kiedyś takie

24

słowo. Kupił parę zielono-srebrnych niki'ów, butów do chodzenia i wspinaczki, i był naprawdę zadowolony. Wspaniale leżały na nodze. Doszedł do wniosku, że nie miał wygodnych, miękkich, tekstylnych butów od dobrych... pięciu, a może nawet sześciu lat. To zdawało się nieprawdopodobne, ale tak właśnie było.

Heidi zachwycała się nimi i ponownie zwróciła uwagę na jego szczuplejszą sylwetkę. Przed sklepem obuwniczym stała waga, na której za parę centów mogłeś sprawdzić, ile ważysz, i dowiedzieć się, co cię czeka. Halleck nie widział takiej od dziecka.

- Wskakuj, bohaterze - powiedziała Heidi. - Mam trochę drobnych. - Halleck wstrzymał się przez chwilę. Był wyraźnie podenerwowany.

- No dalej, wskakuj. Chcę zobaczyć, ile zrzuciłeś.

- Heidi, te urządzenia nie ważą jak należy, wiesz o tym.

- Chcę poznać przybliżoną wielkość. No dalej, Billy, nie pękaj, wchodź!

Z wyraźnym wahaniem podał jej paczkę z nowo kupionymi butami i wszedł na wagę. Wrzuciła monetę. Rozlega się brzęk, a potem dwie zakrzywione płytki ze srebrzystego metalu zaczęły się rozsuwać. Za górną znajdowała się tabliczka, na której mógł odczytać, ile waży, za niższą, jego przyszłość z punktu widzenia maszyny. Halleck ostro wciągnął powietrze, zaskoczony i zdumiony.

- Wiedziałam! - powiedziała stojąca obok niego Heidi. W jej głosie dało się słyszeć powątpiewające zdziwienie, jakby nie była pewna, czy powinna się cieszyć, bać czy zastanawiać.

- Wiedziałam, że schudłeś!

Jeżeli usłyszała jego chrapliwe westchnienie – pomyślał później Halleck, to na pewno uznała, że wołało je wskazanie wagi. Choć miał na sobie ubranie, w kieszeni spodni szwajcarski nóż wojskowy, a w ~~z~~oładku całkiem okazałe śniadanko, jakie spożył tego ranka w Mohonk, wskazówka zatrzymała się dokładnie na 232. Od dnia zakończenia sprawy Canieya, stracił całe czternaście funtów. Ale to nie jego waga sprawiła, że westchnął przeciągle – to jego przeznaczenie. Dolna plansza nie odsunęła się na bok, by ukazać znajdujący się pod nią następujący tekst: "Wkrótce skończę z twoimi kłopotami

25

finansowe" lub "Złożą ci wizytę starzy przyjaciele" lub "Nie podejmuj pochopnych decyzji". Na tablicy widniało jedno jedyne słowo – CHUDSZY.

Rozdział 4

Większość drogi powrotnej do Faindeu przebyli w milczeniu. Heidi prowadziła, dopóki nie znaleźli się o piętnaście mil od Nowego Jorku i na drogach nie zaczęły się tworzyć korki. Zjechała na pobocze i pozwoliła zasiać za kierownicą Billy'emu. Nie było powodu, dla którego nie mógł prowadzić; stara kobieta została zabita – to fakt, jedno z jej ramion zostało niemal wyrwane ze stawu, miednica zdruzgotana na miazgę, czaszka roztrzaskana, niczym rzucona na marmurową posadzkę waza z epoki Ming, ale Billy Halleck nie stracił swojego prawa jazdy. Dobry stary Cary Rossington o lepkich rękach odpowiednio się o to zatroszczył.

– Słyszysz mnie, Billy?

Patrzył na nią przez chwilę, po czym skierował wzrok na szosę. Ostatnio jeździł lepiej i choć używał klaksonu częściej niż do tej pory ani nie krzyczał i nie wymachiwał rękoma, był bardziej świadomy swoich błędów oraz tych popełnianych przez innych kierowców i mniej skory do wybaczenia zarówno im, jak i sobie. Śmiertelny wypadek samochodowy, który spowodował, potrafi zdziałać cuda z twoją umiejętnością koncentracji. Nie wpływa to najlepiej na szacunek, jaki żywisz do samego siebie, i powoduje, że dręczą cię koszmary, ale poziom uwagi wzrasta doprawdy niepomiarnie.

– Zamyśliłem się. Przepraszam.

– Chciałam ci podziękować za mile spędzony czas. Dziękuję ci.

Uśmiechnęła się i dotknęła jego ramienia. To były wspaniałe chwile – przynajmniej dla Heidi. Nie ulegało wątpliwości, że dla niej wszystko już było przeszłością. Starła się o tym zapomnieć: o Cygance, wstępnym przesłuchaniu, o ich uniewinnieniu, o starym Cyganie z gnijącym nosem. Te przykre chwile stanowiły już historię,

26

ak jak przyjaźń Billy'ego z tym małym gangsterem z Nowego Jorku. Me myślała teraz o czymś innym. Zdradzały to jej częste, pełne niepokoju spojrzenia. Uśmiech przygasł, a ona patrzyła na niego;

yokół oczu pokazały się zmarszczki.

– Nie ma za co. Nie ma za co, kochanie – powiedział.

– A kiedy przyjedziemy do domu...

– To znowu popodskakuję trochę na twoich kosteczkach! – oTyknął z fałszywym entuzjazmem i wysilił się na pogodny uśmiech. W obecnej chwili nie wzruszyłaby go nawet parada Dallas

Cowgiris ibranych w bieliznę zaprojektowaną przez samego Freda z Hollywoodu. Nie miało to nic wspólnego z tym, jak często robili to i w Mohonk: winna była ta cholerna przepowiednia: "Chudszy". Oczywiście nic takiego się nie wydarzyło – ponosiła go wyobraźnia. Ale to nie wyglądało jak wybryk rozbujanych myśli, to było tak diabelnie realnie jak nagłówek "New York Timesa". I ta realność najbardziej przerażała, bo "Chudszy" nie oznaczało propozycji ani przepowiedni w stylu: "Twój los to nieoczekiwana strata na wadze". Przepowiednie mówiły zwykle o takich rzeczach, jak długie podróże czy spotkania ze starymi przyjaciółmi.

Ale to wszystko było tylko złudzeniem.

Taaak. To prawda.

Prawdopodobnie ktoś ukradł ci kilka funtów.

Och. Dajcie spokój. Skończone, z tym, dobra?

Dobra. Nie ma się z czego cieszyć, jak się dowiadujesz, że twoja wyobraźnia zaczyna ci wyrywać spod kontroli.

– Możesz sobie na mnie poskakać, jeżeli chcesz – powiedziała Heidi – ale ja chcę, abyś wskoczył czym prędzej na wagę w łazience... – Daj spokój, Heidi. Schudłem trochę i nic się nie stało.

– Jestem dumna z ciebie, że zrzuciłeś parę kilo, Billy, ale przez ostatnie parę dni byłem bezwzględnie z tobą i nie mam pojęcia, jak ci się to udało.

Tym razem obdarzył ją badawczym spojrzeniem, ale nawet nie fcerknęła na niego, tylko wpatrywała się w szybę samochodu. ; – Heidi...

1

27

– Jesz tyle, co zwykle. Może nawet więcej. Wygląda na to, że górskie powietrze naprawdę ci posłużyło.

– Po co robić z igły widły? – spytał, zwalniając, aby wrzucić czterdzieści centów do puszeki opłat w Rye. Jego usta były ściągnięte w wąską, białą linię, serce biło zbyt szybko. Wściekł się.

– Chcesz po prostu powiedzieć, że jestem wielkim, obrzydliwym wieprzem. Powiedz to wprost, jeżeli chcesz, Heidi. Co, do diabła! Jestem w stanie to przełknąć.

– Wcale tak nie myślałam! – krzyknęła. – Dlaczego chcesz mnie zranić, Billy? Czemu to robisz, po tylu wspólnych chwilach przeżytych razem?

Nie musiał zerkać przez ramię, żeby wiedzieć, iż jest bliska łez. Jej drżący głos potwierdził jego przypuszczenia. Było mu przykro, ale to nie zdołało zabić w nim gniewu – gniewu, pod którym czaił się strach.

– Nie chcę cię zranić – powiedział, ściskając kierownicę oidsa tak mocno, że palce mu zbieleły. Nigdy nie chciałem, ale chudnięcie to zdrowy objaw, więc odczep się ode mnie.

– To nie zawsze zdrowy objaw! – krzyknęła, co go zdziwiło, a wóz zjechał lekko w bok. – To nie zawsze zdrowy objaw i ty dobrze o tym wiesz!

Teraz płakała, płakała i przetrząsała torebkę w poszukiwaniu chusteczki. Podał jej swoją, wytarła oczy.

– Możesz sobie mówić, co ci się podoba, przykre słowa, ranić mnie; możesz nawet zniszczyć pamięć radosnych, wspólnie przeżytych chwil. Ale kocham cię i powiem to, co myślę. Kiedy ludzie zaczynają chudnąć, zwłaszcza gdy nie są na diecie, to może oznaczać chorobę. To jeden z siedmiu znaków ostrzegawczych raka. – Oddała mu chusteczkę. Ich ręce splotły się wzajemnie. Jej dłoń była bardzo zimna.

No cóż, to słowo jednak padło. Rak. Rymuje się z "Żak" i "Pobrudził pan swój frak". Bóg jeden wie, ile razy to słowo przyszło mu na myśl, od chwili gdy stanął na starej wadze przed sklepem obuwniczym. To unosiło się wokół niego, jak jakiś obrzydliwy balon wypu-

28

szczony przez złowieszczo kłowna, ale udawał, że tego nie zauważa. Odwrócił się, jak odwracasz się od starych, bezdomnych że-braczek, które siedzą, kołysząc się w przód i tył, brudnych kącikach przed Grand Central Station, tak jak odwracasz się od płasających cygańskich dzieci, za którymi podąża cała orkiestra. Cygańskie dzieci śpiewają głosami, które są manatowe i dziwnie słodkie; chodzą na rękach, przygrywając przy tym na tamburynach, założonych i utrzymywanych w jakiś tajemniczy sposób na ich bosych stopach; pokazują żonglerskie sztuczki i potrafią zawstydzić miejscowych mistrzów we frisbee, kręcąc dwoma, czasami trzema plastikowymi dyskami jednocześnie – na palcach, na kciukach, czasami nawet na nosach. Robiąc to, przez cały czas się śmieją i wszystkie mają jakieś rzadkie choroby skóry, czasem zezą albo zajęczą wargę. Kiedy nagle znajdziesz się przed tak dziwną kombinacją zręczności i brzydoty, co zwykle robisz? Po prostu się odwracasz. Bezdomne żebraczki, cygańskie dzieci i rak. Przeraziły go nawet jego własne myśli.

Może jednak lepiej, że to słowo w końcu padło?

– Czułem się świetnie – powtórzył może szósty raz, od tej nocy, kiedy Heidi spytała go, czy dobrze się czuje. – I do cholery to była prawda! A ponadto sporo ostatnio ćwiczyłem. i • Co również było prawdą... W każdym razie przez ostatnie pięć

dni. Przebyli razem szlak labiryntu i choć przez całą drogę dyszał jak lokomotywa i wciągał brzuch, żeby przecisnąć się przez parę wąskich szczelin, ani razu było aż tak źle, żeby się w którejś z nich zaklinował. W rzeczywistości to właśnie Heidi, zdyszana i tracąca oddech, poprosiła dwukrotnie o chwilę odpoczynku. Billy dyplomatycznie nie upomniał jej, że za dużo pali. Jestem pewna, że czujesz się dobrze – powiedziała. – To wspaniale. Ale warto byłoby sprawdzić. Nie byłeś na badaniach od ponad osiemnastu miesięcy i założę się, że dr Houston stęsknił się za tobą...

– Myślę, że to mały, parszywy ćpun – mruknął Halleck.

– Mały... co?

29

– Nic.

– Ale, mówię ci, Billy, nikt nie może zrzucić dwudziestu funtów w dwa tygodnie tylko dzięki ćwiczeniom.

– Nie jestem chory!

– No to zgódź się.

Resztę drogi do Fairview przebyli w milczeniu. Halleck chciał ją przytulić i powiedzieć, że zrobi wszystko, czego ona zapragnie. Tylko że nagle przyszła mu do głowy pewna myśl, myśl niemal absurdalna, ale mimo to przerażająca.

A mole, drodzy przyjaciele i sąsiedzi, pojawiła się jakaś nowa odmiana cygańskiej klątwy? Czy na to? Dotychczas Cyganie mogli zamienić cię w wilkołaka albo wysiać demona, aby w samym środku nocy urwał ci głowę, ale wszystko się zmienia, nieprawdaż? A jeżeli ten stary dotknął mnie i zaraził rakiem? To podejrzana historia – zrzucenie dwudziestu funtów w tak krótkim czasie to zły znak. Jak dla górnika widok padającego nagle trupem kanarka... rak płuc... białaczka... melonowa...

To było szalone, ale szalenie nie pomogło przegnać natrętnej myśli. A jeżeli on mnie dotknął i zaraził rakiem?

Linda przywitała się z nimi ekstrawaganckimi buziakami i ku ich zdziwieniu wyjęła z piecyka wyjątkowo udaną lasagnę i podała ją na papierowych talerzykach z wizerunkiem nadzwyczajnego miłośnika owej potrawy – kota Garfielda. Spytana, jak im się udał ich drugi miesiąc miodowy (zwrot, który nieomylnie wiązał się z pojęciem drugiego dzieciństwa zauważył chłodno Halleck, rozmawiając tego wieczoru z Heidi, kiedy już pozmywali po kolacji, a Linda wyfrunęła wraz ze swymi koleżankami, by kontynuować partyjkę gry dungeons and dragons – która ciągnęła się już prawie od roku) i ledwie tylko zaczęli opowiadać jej o podróży, krzyknęła: "O! Przypomniałam sobie o czymś!" I przez resztę posiłku opowiadała im cudowne i przerażające opowieści z liceum w Fairview. Historie te były bardziej fascynujące dla niej niż Hallecka czy jego żony,

30

ie oboje starali się słuchać jej z uwagą. W końcu nie było ich domu przez prawie tydzień.

Wybiegła, pocałowała głośno Halleckę w policzek i krzyknęła: – No to cześć, chudzinko! Halleck patrzył, jak wsiada na rower i pedałuje wzdłuż chodnika rzed domem, powiewając końskim ogonem, a potem odwrócił się do Heidi.

Odebrało mu mowę.

– A teraz – powiedziała – czy zechcesz mnie wreszcie wyuchać?

– Wygadałaś jej. Wypaplałaś wszystko i kazałaś to powiedzieć. Abska konspiracja.

– Nie.

Przyjrzał się jej uważnie, po czym ze znużeniem pokiwał głową.

– Nie, sądzę, że nie.

Poszli na górę i w końcu znalazł się w łazience, całkiem nagi, wyjątkiem ręcznika, którym owinał się w pasie. Był zaszokowany ilnym uczuciem déjà-vu – upływ czasu wywołał strach oraz łagodnie, fizyczne nudności. To była powtórka z dnia, kiedy stał na tej anej wadze, z tym samym niebieskim ręcznikiem owiniętym wokół ioder. Tylko że tym razem z dołu nie dochodził zapach smażonego ekonu. Wszystko inne było bez zmian.

Nie. Nie wszystko. Była jeszcze jedna różnica.

Tamtego dnia musiał się bardzo mocno wychylić, aby odczytać ke wieści na tablicy wagi. Zrobił to ze względu na swój wystający brzuch. Brzuch był tam i teraz, ale o wiele mniejszy. Nie miał do (go wątpliwości, bo bez trudu spojrzał w dół i zobaczył, ile waży. r Waga wskazała-229.

| – To przesądza sprawę – powiedziała spokojnie Heidi. – (mówię cię na spotkanie z doktorem Houstonem. t – Ta waga zaniża – rzucił słabo Halleck. – Zawsze! Dlatego ^lubię. i Spojrzała na niego chłodno.

– Dość tych bzdur, przyjacielu. Przez ostatnie pięć lat spierałeś się ze mną, że waga wskazuje dużo i oboje dobrze o tym wiemy.

31

W ostrym, białym świetle łazienki widział, że była bardzo zaniepokojona. Skóra na jej kościach policzkowych była napięta niemal do granic możliwości.

– Nie mszaj się stąd – rzuciła w końcu i wyszła z łazienki.

– Heidi?

– Nie ruszaj się! – krzyknęła, schodząc po schodach. Wróciła w minutę później z nienaruszoną torbą cukru. Waga netto dziesięć funtów – głosił napis na torbie. Położyła ją na wadze. Waga wahała się przez chwilę, po czym na tablicy pojawiły się czerwone, elektryczne cyfry dwanaście.

– Tak myślałam – powiedziała ponuro Heidi. – Ja też się ważyłam, Billy. Nie zaniża i nigdy tego

nie robiła. Zawyża, tak jak mówiłaś. – To nie było przekomarzenie się od niechcenia i oboje dobrze o tym wiedzieliśmy. Kto ma nadwagę, lubi niedokładne wagi. Dzięki temu łatwiej przełknąć gorzką pigułkę. Jeżeli...

– Heidi...

– Jeżeli ta waga pokazuje 229, to znaczy, że ważysz jeszcze mniej – 227 funtów. A teraz pozwól, że...

– Heidi...

– Pozwól, że zajmę się załatwianiem dla ciebie wizyty u lekarza.

Przerwał, patrząc w dół na swoje nagie stopy, a potem pokręcił przecząco głową.

– Billy!

– Sam się tym zajmę – oświadczył.

– Kiedy?

– W środę. Houston w każdą środę po południu zjawia się w klubie "Country", żeby pograć w dziewięć dołków. Czasami gn Z niezrównanym, lubieżnym Carym Rossingtonem, facetem podrywającym cudze żony, które łapie za cycki. Porozmawiam z nim osobiście.

– Dlaczego nie zadzwonisz do niego dziś wieczorem? Jm teraz?

– Heidi – powiedział – przestań. Już dość. – I coś w jego

32

obliczu musiało ją przekonać, że nie powinna kontynuować tego tematu, bo tej nocy nie wspomniała już o tym ani słowem.

Rozdział 5

Niedziela. Poniedziałek. Wtorek.

Billy na wszelki wypadek starał się unikać wagi stojącej w łazience. Zajadał, ile wlezie, choć, dziwne, nie był zbyt głodny. Przestał ukrywać swoje chrupki za paczkami lipton cup o' soup, stojącymi w spiżarni. Podczas niedzielnego meczu Yankees kontra Red Sox zażerał się krakersami z pepperoni i mimsterskim serem. Paczka karmelowej kukurydzy w pracy, w poniedziałek rano, paczka cheez-doodles tego samego dnia po południu – któraś z nich, a może kombinacja obu, przyprawiła go o kłopotliwe dolegliwości żołądko-

? we, które męczyły go kilka godzin. Linda wyszła z pokoju podczas wiadomości, mówiąc, że wróci, jeżeli ktoś zaopatrzy ją w maskę przeciwgazową. Billy uśmiechnął się z grymasem winy, ale nie ruszył się z miejsca. Jego doświadczenie w tego typu przypadkach nauczyło go, że wyjście z pokoju raczej niewiele daje. Było tak, jakby

, jakieś gnijące stwory przywierały do ciebie niewidzialnymi dłońmi. Szły wszędzie tam, gdzie ty, otaczały ze wszystkich stron. Ale później, oglądając / sprawiedliwości dla wszystkich HBO, on i Heidi zjedli większość sernika Sary Lee.

Wracając do domu we wtorek, zatrzymał się w Connecticut Turnpike w Norwalk i spałaszował parę whopperów z serem w barze "Burger King". Zaczął je jeść tak jak zawsze, kiedy prowadził, przedzierał się przez nie, miażdżył i łykał, kawałek po kawałku... Ocknął się z tego transu dopiero na przedmieściach Westport.

| Przez chwilę poczuł wewnętrzne rozdwojenie – to nie było zamyślenie czy refleksja – to była separacja. Przypomniał sobie czyste fizyczne uczucie mdłości, jakiego doznał, stojąc na wadze w łazience, tej nocy, kiedy on i Heidi wrócili z Mohonk, i nagle przyszło mu na myśl, że wkracza

w

zupełnie nową sferę doznań . Czuł się niemal

33

tak, jakby doświadczył metafizycznych przeżyć i wyobrażeń . Wyimaginowany autostopowicz przygląda mu się z uwagą. I co widzi ów autostopowicz? Najprawdopodobniej coś, co jest bardziej śmieszne aniżeli przerażające. Oto człowiek w wieku prawie trzydziestu siedmiu lat, butach firmy Bally, ze szklami kontaktowymi Bausch and Lomb, mężczyzna w trzyczęściowym garniturze za sześćset dolarów, gruby Amerykanin, typ kaukaski siedzący za kółkiem oidsa model 1981, zażerający się olbrzymim hamburgerem, podczas gdy na jego szarą marynarkę spadają krople majonezu i kawałki sałaty. Można by się śmiać. Albo płakać. Albo krzyczeć. Wyrzucił resztki drugiego whoppera przez okno, a potem z przerażeniem spojrzął na mieszanekę śliny i sosu na dłoni. W chwilę potem rozładował wewnętrzne napięcie, wybuchając śmiechem. I przyrzekł sobie, że nigdy więcej. Te hulanki muszą się skończyć.

Tej nocy, kiedy siedział przed kominkiem, czytając "The Wall Street Journal", Linda weszła, by pocałować go na dobranoc, odsunęła się nieznacznie i powiedziała:

- Zaczynasz wyglądać jak Sylvester Stallone, tatusiu.

- O Chryste - rzekł Halleck, wywracając oczami, a potem oboje wybuchnęli śmiechem.

Billy zdał sobie sprawę, że zawsze, kiedy ma się zważyć, odprawia coś, co przypomina dość bezprecedensowy rytuał. Kiedy to się stało? Nie wiedział. Jako dzieciak po prostu wskakiwał na wagę, rzucał okiem na licznik, a potem zeskakiwał. Ale w którymś momencie, kiedy przybrał na wadze i ze studziwieńcdziesięciofuntowego mężczyzny zmienił się w ważącego - co wydawało się nieprawdopodobne - jedną ósmą tony kolosa, rozpoczął się rytuał.

- Rytuał, cholera! - powiedział Halleck. Nawyk, ot co. Zwykły nawyk.

Rytuał - wyszeptala raz jeszcze głębsza część jego umysłu. Był agnostykiem i nie przekroczył wrót żadnego kościoła, odkąd skończył dziewiętnaście lat, ale zapamiętał jego obrzędowość.

Jego ważenie odbywało się w podobnej atmosferze. Zobacz, Boże. Robię to

34

zawsze tak samo, więc strzeż. Panie, tego tu białego, u progu kariery, adwokata przed atakiem serca czy wylewem, których, jak mówią mi wszystkie tabele świata, mogę się spodziewać po przekroczeniu czterdziestu siedmiu lat. Módlmy się w imię cholesterolu i przepelniających nas tłuszczów. Amen.

Rytuał zaczyna się w sypialni. Zdjąć ubranie. Włożyć ciemnozielony welurowy szlafrok. Cisnąć wszystkie brudne ubrania do zsypu pralniczego. Jeżeli ubranie miałeś na sobie pierwszy albo drugi raz i nie widać na nim żadnych plam czy zabrudzeń, powieś je elegancko w szafie. Udaj do łazienki. Wchodzisz tam z powagą, strachem i niechęcią. Oto konfesjonał, gdzie można dowiedzieć się, ile kto waży i w konsekwencji poznać swoje przeznaczenie. Zdjąć szlafrok. Powiesić go na haku przy wannie. Opróżnić pęcherz. Jeżeli w żołądku coś zalegało - należało się tego pozbyć. Nie wiedział, ile mógł ważyć jego stolec, ale zasada była logiczna i niewzruszona, wyrzucać za burtę tyle balastu, ile tylko zdołasz.

Heidi obserwowała ten rytuał i raz sarkastycznie spytała go, czy nie chciałby dostać w prezencie strusiego pióra. Potem powiedziała, że mogłby włożyć je sobie do gardła i zanim się zważy, zwymiotować raz czy dwa. Billy zwymyślał jej przemądrzałość, a nieco później tej nocy zdał sobie z rozbawieniem sprawę, że ten pomysł w gruncie rzeczy ma swoje dobre strony.

W środę rano Halleck po raz pierwszy od lat zerwał ze swoim rytuałem. W środę rano Halleck stał się heretykiem. Być może był kimś o wiele gorszym, na podobieństwo cziciela szatana, który z rozwagą profanuje religijną ceremonię, wieszając krzyże odwrotnie, i recytuje tekst

Modlitwy Pańskiej wspaniale. Halleck przeprowadził; swój rytuał zupełnie inaczej – od początku do końca.

Ubrał się, zappełnił kieszenie tyłoma drobnymi, ile udało się znaleźć (do tego dojechał jasna, jego szwajcarski scyzoryk i wojskowy), włożył swoje największe i najcięższe buty, potem zjadł ligantyczne śniadanie, ignorując zawzięcie parcie na pęcherz. Połonał dwa smażone jajka, cztery plasterki bekonu, tosta i kawałek danego mięsa. Wypił szklaneczkę soku pomarańczowego i filiżankę kawy z trzema kostkami cukru. Podczas gdy wszystko to

mieszało się z wolną w jego żołądku, Halleck ruszył śmiało po schodach do łazienki. Zatrzymał się na chwilę, spoglądając na wagę. Nigdy patrzenie na nią nie było miłym przeżyciem, ale teraz stało się koszmarem.

Zebrał się w sobie i wszedł na wagę.

221.

To nie może być prawdą! Serce zaczęło mu walić jak oszalałe. Do cholery, nie! Coś się popsuło! Coś...

– Przestań – wyszeptał Halleck cichym, ochryplym głosem. Cofnął się, stając z dala od wagi, jak człowiek uciekający od psa, który może w każdej chwili ugryźć. Przyłożył wierzch dłoni do ust i zaczął przesuwając ją wolno w przód i w tył.

– Billy? – zawołała Heidi od strony schodów. Halleck spojrzał w lewo i zobaczył swoją własną, bladą twarz, patrzącą na niego z lustra. Pod oczami miał fioletowe sińce, których tam nigdy było, a zmarszczki na jego czole zdawały się o wiele głębsze. Rak – pomyślał znowu, a zmieszany wraz z tym słowem, usłyszał ponownie cichy szept starego Cygana.

– Billy? Jesteś na gorze?

Rak. Na pewno. Możesz się założyć. Przeklął mnie jakoś. Ta stara kobieta była jego żoną... może jego siostrą... przeklął mnie. Czy to możliwe? Czy coś takiego może się wydarzyć? Czy właśnie teraz rak zżera moje wnętrze, niszczy mnie od środka, tak jak jego nos? Jego gardła dobył się krótki okrzyk zgrozy. Oblicze w lustrze spowijał grymas przerażenia, była to twarz człowieka ciężko chorego – człowieka walczącego ze śmiercią. W tej samej chwili Halleck niemal w to uwierzył. Był pewien, że ma raka, który trawi jego wnętrze.

– Billyyyy!

– Taak. Jestem tu. – Jego głos był normalny. Prawie.

– Boże. Krzyczę i krzyczę, a ty nic.

– Przepraszam. Tylko tu nie wchodzi, Heidi. Nie możesz zobaczyć mnie w takim stanie, ho jeszcze dziś przed południem wpakowa-

36

Chciałabym do pieprzonej kliniki Mayo. Zostań tam, gdzie jesteś. Proszę.

– Nie zapomnij załatwić wizyty u Michaela Houstona, dobrze?

– Nie – odparł. – Pójdę do niego.

– Dziękuję, kochanie – odparła łagodnym tonem Heidi, i dzięki Bogu, odeszła.

Halleck wysikał się, a potem umył ręce i twarz. Kiedy uznał, że wygląda mniej więcej normalnie, zszedł na dół, próbując pogwizdywać jakąś melodię.

Nigdy w życiu nie był tak przerażony jak teraz.

Rozdział 6

- Jaka waga? - zapytał dr Houston. Halleck uczciwie powiedział, że przez ostatnie trzy tygodnie stracił 30 funtów.

- Ho, ho! - rzucił Houston.

- Heidi trochę się martwi. Wiesz, jak żony się martwią...

- Ma prawo - rzekł Houston.

Michael uosabiał elitę Fairview. Przystojny doktor o szpakowatych włosach i brązowej opaleniznie. Kiedy widziałeś go przy stoliku, w miejscowym klubie, wyglądem przypominał młodszą wersję doktora Marcusa Welby. Siedzieli w barze przy basenie, znanym jako "Wodna Dziura". Houston miał na sobie czerwone spodnie do golfa z białym paskiem oraz golfowe buty. Do tego koszulka Lacoste;

'rolex na ręku. Popijał pina colada. Zwykle żartem określał ów drink jako "czekoladowy penis".

Miał dwójkę niezwykle pięknych dzieciaków i mieszkał w jednym z większych domów przy Lantem Drive - niedaleko od klubu, do którego mógł dojść piechotą. Najbardziej irieszyło to jego żonę, Jenny Houston. Ich dom kosztował dobrze ponad sto pięćdziesiąt tysięcy. Houston prowadził brązowego, czterodrzwiowego mercedesa. Ona miała cadillac, który wyglądał jak Rolls-Royce cierpiący na hemoroidy. Ich dzieciaki chodzą do prywatnej szkoły Westport. Miejskowe plotki (które naj-

37

częściej się sprawdzały) sugerowały, że Michael i Jenny Houstonowie osiągnęli modus vivendi: on był obsesyjnym kobieciarzem, a ona zawsze około trzeciej po południu zaczynała zalewać robaka. Typowa rodzina z Fairview - pomyślał Halleck i nagle poczuł się równie zmęczony jak przerażony. Albo zbyt dobrze znał tych ludzi, albo tak mu się tylko wydawało, co w sumie na jedno wychodziło. Spojrzał na swoje lśniące buty i pomyślał: Z kogo ty żartujesz. Zobacz, jak sam wyglądasz.

- Chcę się z tobą zobaczyć jutro, w moim gabinecie - rzekł Houston.

- Mam sprawę.

- Nieważne, co masz. To ważniejsze. A teraz odpowiedz mi na parę pytań. Czy miałeś ostatnio jakieś krwawienia? Z odbytu? Z ust?

- Nie.

- Zauważyłeś jakieś krwawienie z czaszki, kiedy się czeszesz?

- Nie.

- A rany, które nie chcą się zagoić? Albo wypryski świerzbowe, które odpadają, a potem znów się odradzają?

- Nie.

- Świetnie - rzekł Houston. - A propos, dziś zaliczyłem osiemdziesiąt cztery. Co ty na to?

- Myślę, że minie jeszcze parę lat, zanim załapiesz się na turniej Masters - rzekł Billy.

Houston wybuchnął śmiechem. Pojawił się kelner. Doktor zamówił jeszcze jeden czekoladowy penis, a Halleck millera. Nieomal z przyzwyczajenia powiedział: "Miller lite, poproszę", lecz w ostatniej chwili ugryzł się w język. Potrzebował jasnego piwa tak jak... jak... krwawienia z odbytu. Michael Houston pochylił się do przodu. Miał poważny wzrok, a Halleck znów poczuł strach jak ułucie cienkiej stalowej igły, wbijanej w miękką ściankę brzucha. Ze smutkiem uświadomił sobie, że życie jego zmieniło bieg i zmierza w złym kierunku. Absolutnie tak. Panicznie się bał.

Więcej – był przerażony; cygań ska zemsta.

Houston lustrował Billy'ego spojrzeniem pełnym powagi i Hal-

38

leck prawie usłyszał, jak tamten mówi: Prawdopodobieństwo, że masz raka, szacuję na 5:6.

Nawet nie potrzebuję cię prześwietlić, aby ci to powiedzieć. Czy sporządziłeś już testament?

Zapewniłeś Heidi i Undzie przyszłość? Kiedy się jest względnie zdrowym, raczej nie bierze się pod uwagę, że coś takiego ci się przydarzy, ale przecież może. Może.

Cichym głosem, jakby dzielił się z nim jakąś niezwykle poufną informacją, Houston zapytał:

– Ilu karawaniarzy potrzeba, aby pochować czarnucha z Harie-mu?

Billy uśmiechnął się pod nosem; pokręcił głową na znak, że nie wie.

– Sześciu – odparł Houston. – Czterech niesie trumnę, a dwóch radio.

Wybuchnęli śmiechem, a Billy Halleck pogrążył się w rozmyślaniach. Oczyma duszy widział wyraźnie Cygana czekającego przed gmachem sądu w Fairview. Za Cyganem na rogu ulicy, w strefie objętej zakazem parkowania, stał wielki, stary furgon – pikap z domowej roboty budą mieszkalną, na którego ścianie widniały dziwne znaki okalające centralne malowidło: niezbyt udany portret jednorozca z ugiętymi przednimi nogami i pochylonym łbem oraz Cyganki trzymającej w dłoniach girlandy kwiatów. Cygan nosił zieloną kamizelkę z guzikami ze srebrnych monet. Teraz patrząc, jak Houston zaśmiewa się ze swego dowcipu, a aligatorek na jego piersi podryguje w rytm jego ciała, Billy pomyślał: Pamiętasz tego faceta dużo lepiej, niż się wydawało. Myślałeś, że zapamiętałeś tylko jego nos, ale to nieprawda. Pamiętasz prawie wszystko.

Dzieci. W kabinie starej ciężarówki były dzieci i patrzyły nań pustymi brązowymi oczyma; oczy wydawały się prawie czarne.

– Chudszy – powiedział starzec i pomimo twardości skóry jego dotknięcie było delikatne niczym pieszczota kochanka. Tablice z Delaware – pomyślał nagle Billy. Jego furgon miał tablice z Delaware i naklejkę na zderzaku. Coś... Ramiona Billy'ego pokryły się • gęsią skórą i przez krótką chwilę miał wrażenie, że zacznie krzyżeć, tak jak kiedyś pewna kobieta, której się zdawało, że jej dziecko topi się w basenie.

39

Billy Halleck przypomniał sobie, kiedy zobaczyli Cyganów po raz pierwszy. Było to w dniu, gdy zjawili się w Fairview.

Zaparkowali po jednej stronie miasta i chmara ich dzieciaków popędziła do parku, aby się bawić. Cyganki stały i obserwowały. Były ubrane w krzykliwe stroje, ale w niczym nie przypominały hollywoodzkich Cyganek z lat trzydziestych. Miały kolorowe bluzki, spodnie typu pumpy, sięgające do łudek, i dżinsy firmy Jordache albo Calvin Klein. Wyglądały krzykliwe, jaskrawo skądinąd groźnie.

Z mikrobusu wyskoczył młody mężczyzna i zaczął zonglować wielkimi kęglami. "Każdy musi w coś wierzyć" – brzmiał napis na jego koszulce. "I ja wierzę, że dostanę jeszcze jedno piwo".

Dzieciaki z Fairview podbiegły, krzycząc z żądaniem, jakby przyciągane przez magnes. Pod koszulą młodego mężczyzny napinały się sprężyste mięśnie, a wielki krzyż na jego piersi na przemian to unosił się, to znów opadał. Niektóre matki zaczęły przywoływać dzieci i odprowadzać je do domów. Inne nie były równie szybkie. Starsze dzieci zbliżyły się do Cyganiątek, które przerwały zabawę i bacznie wszystko obserwowały.

Mieszczuchy – mówiły ich ciemne oczy. Wszędzie, dokądkolwiek się udamy, mamy z wami do czynienia. Spotykamy was codziennie, znamy wasze oczy i fryzury, wiemy, jak będą błyszczeć w

stoń cu wasze aparaty na zębach. Nie wiemy, gdzie trafimy jutro, ale na pewno wy tam będziecie. Czy oglądanie stale tych samych miejsc i twarzy was nie nudzi? Sądzimy, że tak. Chyba właśnie dlatego tyle macie w sobie nienawiści.

Billy, Heidi i Linda Halleck też tam byli, na dwa dni przed tym, jak Halleck potrafił i zabił Cyganke o niecałe ćwierć mili od tego miejsca. Jedli piknikowy lunch i czekali na rozpoczęcie, pierwszego tej wiosny, koncertu lokalnego zespołu. Większość ludzi przyszła tu z tego samego powodu i nie ulegało wątpliwości, że Cyganie doskonale o tym wiedzieli.

Linda wstała, ocierając dłoń mi siedzenie lewisów, i ruszyła w stronę młodego mężczyzny żonglującego kręglami.

40

- Linda, zostań tu! - krzyknęła ostro Heidi. Uniosła dłoń do obojczyka i zaczęła go skubnąć. Halleck przypuszczał, iż w ogóle nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Czemu, mam? Przecież to wesołe miasteczko... a w każdym izie tak mi się wydaje.

- To Cyganie - stwierdziła Heidi. - Banda złodziei i naciągaczy.

Linda spojrzała na matkę, a potem na ojca. Billy wzruszył ramionami. Stała tak przez chwilę, patrząc przed siebie, nieświadoma tego, iż bardzo jest podobna do Heidi - po czym ponownie usiadła.

Młody mężczyzna wrzucił kręgle przez otwarte drzwi do wnętrza mikrobusu, a uśmiechnięta ciemnowłosa dziewczyna o niezwyklej rodzie rzuciła mu, jedną po drugiej, pięć indiańskich maczug. 'ygan zaczął nimi żonglować, uśmiechając się, a od czasu do czasu hwytał jedną z maczug pod pachę i wykrzykiwał przy tym gromkie:

-Hoj!

Starszy mężczyzna w ogrodniczkach z dżinsu i koszuli w kratę zaczął rozdawać ulotki. Przemiała, młoda kobieta, która łapała kręgle rzuciła żonglerowi maczugi, wyskoczyła z wnętrza mikrobusu i wyjęła zeń sztalgę. Ustawiła ją. Teraz pokaże jakieś iczowate bohomy w stylu Jeleń na rykowisku albo kiepskiego wrtretu prezydenta Kennedy'ego.

Ale miast obrazu ułożyła na sztalgudze tarczę strzelniczą. Ktoś najdujący się wewnątrz ciężarówki rzucił jej procę.

- Gina! - krzyknął chłopak żonglujący maczugami. Uśmiechnął się szeroko i łatwo było zauważyć, że brakuje mu paru przednich Sffbów. Linda gwałtownie usiadła. Jej wyobrażenie męskiego piękna, Esztaltowane przez lata oglądania telewizji, i wizja przystojnego młodego człowieka przysła jak mydlana bańka. Heidi przestała skubnąć kołnierza swetra.

; Dziewczyna rzuciła procę chłopakowi. Upuścił jedną z maczug. zaczął w jej miejsce żonglować procą. Halleck pomyślał wówczas, że to prawie niemożliwe. Chłopak zrobił to dwa czy trzy razy, po czym odrzucił procę dziewczynie i przez cały czas utrzymując resztę

41

maczug w powietrzu, podniósł tę, którą przed chwilą upuścił. W odpowiedzi rozległy się brawa i radosne okrzyki. Niektórzy z mężczyzn uśmiechali się, Billy również - ale na twarzach większości ludzi malował się niepokój i niepewność.

Dziewczyna oddaliła się do ustawionej na sztalgach tarczy wyjęła z kieszonki na piersiach kilka stalowych kulek i wystrzeliła szybko trzy razy, plop, plop, plop, trafiając w sam środek. Niechawem otoczyła ją gromadka chłopców i dziewcząt, którzy chcieli spróbować. Nakazała im, by stanęli w szeregu, radząc sobie z tym równie zgrabnie jak przedszkolanka ustawiająca określone porze dzieci w kolejce do łazienki. Dwaj cygańscy nastolatki mniej więcej w wieku

Lindy wyskoczyli ze starej półciężarówk i zaczęli wybierać z trawy zużytą amunicję. Byli identyczni jak dwie krople wody. Jeden nosił złoty kolczyk w lewym, drugi zaś w prawym uchu. Czy w ten sposób rozróżnia was matka? – pomyślała Billy.

Nic nie sprzedawano. Nie ulegało wątpliwości, że nikt nikomu nie starał się niczego proponować. Nie było madame Azonki, wróżki przyszłości z kart tarota.

Niemniej jednak niebawem pojawił się wóz policyjny i wysiadk z niego dwóch gliniarzy. Jednym był szef policji, Hopley – średnic przystojny facet około czterdziestki. Aktywność zebranych jakby trochę przygasła i kolejne matki wykorzystwały tę sposobność, aby odzyskać władzę nad swymi zafascynowanymi widokiem dziećmi i zabrać je do domów. Niektóre ze starszych usiłowały protestować Halleck zauważył, że kilkoro młodszych płakało.

Hopley zaczął dyskutować z Cyganem, który zajmował się żon gierką (indiańskie maczugi pomalowane w czerwono-niebieskie pasy leżały teraz u jego stóp), i tym starszym, ogrodnikach. Ten drugi coś powiedział. Potem odezwał się żongler i zaczął zwawo gestykulować. Mówiąc, zbliżył się do funkcjonariusza, który towarzyszył Hopleyowi. Taki widok wywołał u Hallecka pewne skojarzenia. Miał wrażenie, że ogląda graczy w baseballa, sprzeczekających się z sędzią po przyznaniu spornego punktu. Facet w ogrodniczkach położył rękę na ramieniu żonglera, odciągając go o krok czy dwa

42

zupełnie jakby starał się powstrzymać zapaleńca przed wplątaniem się w kabałę. Młody powiedział coś jeszcze, Hopley zaś pokręcił głową. Cygan zaczął krzyczeć, ale wiatr wiał w inną stronę i Billy wychwytywał jedynie same dźwięki, bez słów.

– Co się dzieje, mamie? – spytała szczerze zafascynowana Linda.

– Nic, kochanie – odparła Heidi. Nagle zabrała się do pakowania rzeczy.

– Zjadłś już?

– Tak. Tato, powiedz proszę, co oni robią? Przez chwilę miał na końcu języka słowa. Masz przez siebie klasyczną scenę, Lindo. Można ją porównać jedynie do Porwania I-Sabinek. Nazywa się Eksmisja niepożądanych. Ale Heidi wpatrywała się w niego bez chwili przerwy, jej usta były ściągnięte i z całą pewnością nie chciała, aby wykazał tak dalece posuniętą lekkomyślność. m. – Nic takiego – stwierdził. – Drobną wymianą zdań. W gruncie rzeczy było to poniekąd prawdą. Nie było psów puszczonych ze smyczy, śmigających czarnych pałek ani podjeżdżających suk z okratowanymi oknami. W nieomal teatralnym, ożywającym gości żongler strącił z ramienia dłoni starszego, pozwał z ziemi maczugi i znów zaczął je podrzucać. Jednak gniew tynał negatywnie na jego refleks i pokaz wypadł raczej marnie. Nie maczugi prawie natychmiast spadły na ziemię. Jedna uderzyła w stopę, a jakiś dzieciak wybuchnął śmiechem. Partner Hopleya niecierpliwie zrobił krok naprzód. Hopley z abolutnym spokojem powstrzymał go, tak jak wcześniej starszy Cygan dszego. Oparł się o pień wiązu, wsadzając kciuki za szeroki rżany pas wpatrując się w odległą, nieokreśloną przestrzeń. siedział coś do drugiego gliniarza funkcjonariusz wyjął z kieszeni na biodrze notes. Poślinił opuszkę kciuka, otworzył notes Iszedł do najbliższego samochodu, cadiiaca z początku lat sześćsiątych. Zaczął go spisywać. Robił to wada ostentacyjnie. ty skoń czył, skierował się do mikrobusu. Starszy Cygan zbliżył się Hopleya, przemawiając dość gorącz-

43

kowo. Hopley wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. Funkcjonariusz podszedł do starego forda, a Cygan podążył za nim. Mówił z ożywieniem, jego ręce poruszały się w ciepłym, wiosennym powietrzu. Billy Halleck zaczął z wolna tracić zainteresowanie obserwowaną sytuacją.

Przestawał zauważać Cyganów, którzy niepotrzebnie zatrzymali się w Faindew, w drodze z Zadupia Górnego do Pipidowa.

Nagle żongler odwrócił się i podszedł do mikrobusu, zwyczajnie pozwalając, aby maczugi wylądowały w trawie (mikrobus stał za pikapem, na którego prowizorycznej budzie widniało malowidło przedstawiające kobietę i jednoróżca), a starszy mężczyzna natychmiast je pozbierał, przemawiając strwożonym głosem do Hopleya. Hopley ponownie wzruszył ramionami i choć Billy Halleck nie był telepatą, wiedział, że Hopleyowi było to równie nie w smak, jak Heidi Lindzie zjedanie odgrzewanych resztek na kolację.

Młoda kobieta, która strzelała z procy do tarczy, próbowała coś mówić do żonglera, ale on odepchnął ją gniewnie i wszedł do mikrobusu. Stała przez chwilę, patrząc na starego mężczyznę, trzymającego w ramionach indiańskie maczugi, po czym również weszła do wnętrza pojazdu. Halleck był w stanie wymazać z pamięci wszystkich, ale jej, przynajmniej przez pewien czas, nie mógł zapomnieć. Miała długie, nie związane niczym włosy, układające się w naturalne fale. Opadały czarną kaskadą na ramiona dziewczyny, sięgając poniżej jej łopatek. Perkalowa, kolorowa bluzka i plisowana spódnica mogły pochodzić od Searsa czy J.C. Penneya, ale jej ciało było egzotyczne jak drapieżnej kotki – pantery, geparda albo śnieżnej lamparta. Kiedy wchodziła do furgonu, poła jej spódnicy uniosła się nieznacznie ku górze i Billy ujrzał cudowną linię wnętrza ud Cyganki. W tym momencie jej pożądał, widział siebie, leżącego na niej w najczarniejszej godzinie nocy. To sprawiło, że poczuł się bardzo stary. Obejrzał się do tyłu, spoglądając na Heidi, której usta był) zaciśnięte tak mocno, iż wargi wydawały się nieomal białe. Jej oczy przypominały matowe monety. Nie zauważyła jego spojrzenia, ale widziała, jak Cygance podwinęła się spódnica i co odsłoniła, i pojęła wszystko doskonale.

44

Glina z notesem przyglądał się uważnie, dopóki dziewczyna nie znikła w wozie. Następnie zamknął notatnik, włożył do kieszeni i ponownie podszedł do Hopleya. Cyganki zaganiały swoje dzieci z powrotem do furgonów. Stary Cygan, trzymając naręcz maczug, raz jeszcze zbliżył się do Hopleya i powiedział coś. Ten stanowczo pokręcił głową. I to był koniec.

W tej samej chwili podjechał drugi wóz policyjny – światła jego "koguta" obracały się leniwie. Cygan spojrział nań, po czym zlustro-, wał wzrokiem teren komunalny – zieleniec z huśtawkami innymi | przyrządami do zabaw dla dzieci oraz muszlą koncertową. Z gałęzi i niektórych drzew wciąż jeszcze zwisały się krepinowe wstążki – Ipozostałość po poszukiwaniach czekoladowych jajek tydzień temu, w Niedzielę Wielkanocną.

Starszy Cygan wrócił do swego samochodu, który stał na początku w szeregu. Kiedy silnik wozu zaryczał przeciągle, ożyły pozostałe lotory. Większość hałaśliwie terkotała. Halleck usłyszał głośny arkot starych, zdezelowanych silników i zobaczył wzbijające się niebo błękitnawe kłęby spalin. Furgon Cygana w ogrodniczkach yrwał się do przodu, rycząc donośnie. Inne podążały za nim i nie wazając na samochody czy uliczne światła, ruszyły w kierunku lódmięcia.

– Wszystkie mają włączone światła! – krzyknęła Linda. – ty! Zupełnie jakby jechali na pogrzeb!

– Zostały jeszcze dwa ring-dingi – rzuciła Heidi. – Weź Inego.

– Nie chcę. Napchałam się. Tatusiu, czy ci ludzie?...

– Jak nie będziesz jadła, nigdy nie będziesz miała 38 cali biuście – poinformowała ją Heidi.

Doszłam do wniosku, że nie chcę mieć 38 cali w biuście –

a Linda tonem wytwornej damy. Ten ton zawsze zbijał Halleck róg.

Teraz jest moda na krągłe tyłki. t- Lindo Joan Halleck!

Ja mam ochotę na ring-dinga – powiedział Halleck.

Heidi zmierzyła go krótkim lodowatym spojrzeniem. – Och... Czyżby? – Po czym rzuciła mu baton. Zapaliła vantage'a. W końcu Billy zjadł oba batony. Zanim skończył się koncert zespołu, Heidi wypaliła pół paczki papierosów i kompletnie ignorowała wysiłki Billy'ego, który starał się porozbawić. Dopiero w drodze do domu trochę się rozkręciła, a Cyganie odeszli w zapomnienie. W każdym razie aż do tamtej nocy.

Kiedy wszedł do pokoju Lindy, aby ją pocałować na dobranoc, spytała go:

– Czy policjanci wyrzucali tych ludzi z miasta, tato?

Billy przypomniał sobie, jak przypatrywał się jej z uwagą, jednocześnie rozdrażniony połączony jej pytaniem. Kiedy chciała się dowiedzieć, ile kalorii zawiera jakieś ~~prawy~~ przysmak, przyszedła do Heidi, Od Billy'ego domagała się brutalniejszych prawd i czasami wydawało mu się, że to nie było uczciwe. Usiadł na jej łóżku, myśląc, że nadal była bardzo młoda i z pewnością wyznawała dobro. Mogła zostać zraniona, a kłamstwo uchroniłoby ją od bólu. Ale kłamstwa dotyczące takich rzeczy jak zdarzenie w Fairview zazwyczaj zwracały się przeciwko rodzicom; Billy dobrze pamiętał, jak ojciec powiedział mu, że onanizm powoduje jękanie. Ojciec był niemal pod każdym względem dobrym człowiekiem, ale Billy nigdy mu nie wybaczył tego kłamstwa. Niemniej jednak Linda ostro dawała mu się we znaki – przeszli już przez temat pedałów, seksu oralnego, chorób wenerycznych i możliwości, że Bóg nie istnieje. Trzeba mieć dziecko, żeby się przekonać, jak trudną rzeczą może być uczciwość.

Nagle pomyślał o Ginellim. Co Ginelli powiedziała by jego córce, gdyby się tu teraz znalazł?

Niepożądanych ludzi należy trzymać z dala od miasta, słodziutka. Bo o to właśnie w tym wszystkim chodzi. Aby niepożądani trzymali się z dala od miasta.

Ale nie mógł się zdobyć na to, by zdradzić jej tę wielką prawdę

– Przypuszczam, że tak. To byli Cyganie, złotko, włóczędzy. Wędrowcy.

– Mama powiedziała, że to naciągacze.

– Wielu z nich oszukuje, namawiając na gry hazardowe, i nabiera ludzi pod płaszczykiem przepowiadania przyszłości. Kiedy zjawiają się w mieście takim jak Fairview, policja nakazuje im je opuścić. Zwykle robią przy tym przedstawienie, udają, że są wściekli, ale tak naprawdę ~~mają~~ nic przeciwko temu.

Bach! Pierwsze kłamstwo.

– Rozdają ludziom ulotki i informują, gdzie można ich znaleźć. Zwykle ubijają interes farmerem czy kimś, kto posiada pole za miastem. Po paru dniach wyjeżdżają.

– Ale czemu w ogóle przyjeżdżają? Co robią?

– Cóż... zawsze znajdują się ludzie, którzy chcą poznać swoją | przyszłość. I zwolennicy ~~gier~~ hazardowych. Zazwyczaj są ogrywani. I Oszukiwani przez naciągaczy.

A także ci, którzy liczą na szybki erotyczny numer - pomyślał; Halleck. Ponownie zobaczył cygańską dziewczynę z uniesioną spódnicą. Jak ona się poruszała? Jego umysł odpowiedział.

Jak ocean [przed burzą.

– Czy ludzie kupują od nich narkotyki? W tych czasach nie musisz kupować narkotyków od Cyganów, chanie. Możesz je dostać na boisku szkolnym.

– Może haszysz – powiedział – albo opium. Przybył do tej części Connecticutu jako nastolatek i tuż pozostawiał, ueskajając w Fairview i pobliskim Northport. Nie widział żadnych cyganów od dwudziestu pięciu lat... od czasów dzieciństwa, kiedy D w Karolinie Północnej stracił na ~~fortuny~~ pięć dolarów, prze-owywanych skrzętnie od dobrych trzech miesięcy; za te pieniądze lał

kupić mamie prezent urodzinowy. W grze nie mogły brać Iziątku dzieci poniżej szesnastego roku życia, ale oczywiście, jeżeli oponowałeś gotówką, nikt ci tego nie zabronił. Niektóre rzeczy ~~ważnie~~ – skonstatował – główną maksymą Cyganów to: pieniądz nie śmierdzi – płacisz i wymagasz. Gdyby spytano > o to jeszcze wczoraj, wruszyłby ramionami i powiedział, że najydepodobniej nie ma już wędrujących cygańskich taborów. Jed-

47

nak, co oczywiste, rasa wędrowców nie wymarła. Przyjeżdżali znikąd i donikąd odjeżdżali; ludzkie krzewy burzanu, zawsze tacy sami, od niepamiętnych czasów starający się wyciągnąć od ludzi jak najwięcej szmalu, a potem opuszczający miasto z plikami banknotów w brudnych, zapuszczonych portfelach. Przetrwali. Hitler próbował ich wymordować, podobnie jak Żydów i homoseksualistów, ale jak przypuszczał Billy – ci ludzie byliby w stanie przeżyć nawet tysiące Hitlerów.

– Myślałam, że teren komunalny, jak zieleniec, stanowi własność publiczną – powiedziała Linda.

– Tak mi powiedziano w szkole.

– Cóż, w zasadzie tak – rzekł Halleck. – Własność publiczna oznacza, iż należy ona mieszkańcom miasta. Podatników.

Bach! Drugie kłamstwo! Podatki nie miały nic wspólnego z terenami komunalnymi na obszarze Nowej Anglii, ich posiadaniem czy wykorzystaniem. (Patrz Richards przeciwko Jerramowi, New Hamp-shire albo Baker przeciw Olinsowi – sprawa z 1835 roku... albo...)

– Podatnicy – powiedziała głosem pełnym zamyślenia.

– Potrzebujesz zezwolenia, aby móc wykorzystywać tereny komunalne będące własnością publiczną.

Ba! Bum! Trzecie kłamstwo! Ta idea została obalona w 1931 roku, kiedy to grupa butnych farmerów uprawiających ziemniaki założyła Hooverville w samym sercu Lewiston, w Maine.

Sprawa została wniesiona do Sądu Najwyższego Roosevelta, ale nawet nie zarządzono przesłuchań. Stało się tak dlatego, iż Hooverczycy wybrali na utworzenie swego miasteczka Pettingill Park, a jego obszar był własnością publiczną – terenem komunalnym.

– Jak wtedy, gdy przyjeżdża cyrk "Shrine" – dorzucił.

– Czemu Cyganie nie mieli zezwolenia, tato? – Wydawała się śpiąca. Dzięki Bogu.

– Cóż, może o tym zapomnieli.

Nie mieli najmniejszych szans na otrzymanie pozwolenia. Lin. Nie w Fairview. Nie, bo z Lontem Drive i klubu widać zieleniec, a widok jest częścią tego, za co płacisz, tocznie z prywatnymi szkołami, w których uczą programowania komputerów na najnowszych modelach apple i trs-80, względnie czystym powietrzem i ciszą w no-

48

Cyrk Shrine jest w porządku. Poszukiwanie jajek wielkanocnych to jeszcze lepsze. Potrafimy rozpoznać, co jest brudem. A teraz dibyśmy tego zakosztować? Na Boga, nie! Mamy pokojówki i go-idynie, aby w naszych domach było zawsze czysto. Kiedy chodzi grządek w mieście, rolę tę przejmuje szeryf Hopley.

Ale te prawdy nie byłyby odpowiednie dla dziewczynki w wieku i. Może dowie się o nich w liceum albo w college'u. Może usłyszy ym od koleżanki, z czasem na pewno pozna prawdę. Ci ludzie są u niż my, kochanie. Niech się trzymają z daleka.

– Dobranoc, tato.

– Dobranoc, Lin.

Pocałował ją jeszcze raz i wyszedł.

Deszcz niesiony nagłym, gwałtowniejszym podmuchem wiatru bębnił o szyby pracowni i Halleck nagle się ocknął wyrwany [rótkotrwałej drzemki.

Ci ludzie są inni niż my, kochanie – pomyślał i roześmiał się głośno. Zaniepokoiło go to, bo przecież tylko wariaci śmieją się sami i siebie. Robią to bez przerwy – ot co! Są inni niż wcześniej aże w to nie wierzył, ale teraz już tak.

Teraz, kiedy był chudszy.

Halleck patrzył, jak pielęgniarka Houstona pobiera jedną, dwie, y ampułki krwi z jego lewego ramienia i wkłada je do naczynia przypominającego pojemnik na jajka. Wcześniej Houston dał mu sy karty stolcowe na próbki kału. Halleck z posępną miną schował do kieszeni, po czym pochylił się do badania proktologiczne->, drżąc jak zawsze bardziej upokorzenia niż nieprzyjemnych Dsacji, jakie się z nim wiązały. Uczucie, że jest zdobywany. Wy-toiany.

1 – Rozluźnij się – rzekł Houston, naciągając cienką, gumową jkawiczkę. – Dopóki nie poczujesz obu moich rąk na swoich puonach, nic ci nie jest.

49

Wybuchnął głośnym śmiechem. Halleck zamknął oczy.

Houston zobaczył się z nim dwa dni później, stwierdził, iż dał jego badaniom krwi pierwszeństwo. Halleck usiadł w przypominającym jaskinię gabinecie (obrazy przedstawiające klipry na ścianach, głębokie, skórzane fotele, gruby, stary dywan na podłodze), gdzie Houston udzielał konsultacji. Serce waliło mu jak młotem i czuł na skroniach lodowate kropelki potu. Nie płacząc się na oczach faceta, który opowiada dowcipy o czarnuchach. Jeżeli będę musiał płakać, wyjadę za miasto i zrobię to, zatrzymawszy wóz gdzieś na poboczu.

– Wszystko wygląda prawidłowo – powiedział łagodnie Houston. Halleck zamrugał powiekami. Strach zagnieździł się w nim tak głęboko, że miał wrażenie, iż się przesłyszał.

– Co?

– Wszystko wygląda prawidłowo – powtórzył Houston. – Jeżeli tego chcesz, Billy, możemy zrobić dalsze testy, aleja nie widzę większego sensu. Prawdę mówiąc, twoja krew przedstawia się lepiej niż dwa badania temu. Poziom cholesterolu spadł, podobnie trójgłycerydy. Straciłeś parę funtów, pielęgniarka zważyła cię rano i okazało się, że ważysz teraz 217, ale cóż ja mogę powiedzieć? Nadal masz dobre trzydzieści funtów nadwagi i nie chcę, abyś o tym zapomniał, ale... – Uśmiechnął się. – Chciałbym poznać twój sekret.

– Nie mam żadnego – rzekł Halleck. Był z jednej strony zakłopotany, z drugiej zaś poczuł ogromną ulgę. To samo przydarzyło mu się parokrotnie w college’u, kiedy zdołał pomyślnie zaliczyć testy, nie przygotowując się do nich.

– Na razie, dopóki nie otrzymamy wyników serii Haymana–Reichlinga, powstrzymam się od ostatecznej diagnozy.

– Czego?

– Wynik badań twojego gówna – odparł Houston, a potem wybuchnął serdecznym śmiechem. – Mogą coś wykazać, ale szcze-

50

nowiąc, Billy, laboratorium przeprowadziło już dwadzieścia trzy ‘twojej krwi i wszystko wydaje się w porządku. To przekonuje-

– Tak się bałem – powiedział.

– Ci, co się nie boją, umierają młodo – odrzekł Houston.)tworzył szufladę i wyjął niewielką buteleczkę z małą łyżeczką sszającą się z nakrętki na łańcuszku. Rączka łyżeczki, jak zauwa-

ialleck, była w kształcie Statuy Wolności.

- Niucha?

ialleck pokręcił głową. Wystarczyło mu już siedzenie w gabinecie z dłońmi splecionymi na brzuchu (na swoim odchudzonym chu) i patrzenie, jak Houston - najbardziej popularny lekarz iowy Fairview - wciągnął odrobinę kokainy najpierw do ej, a potem do drugiej dziurki od nosa. Włożył małą buteleczkę owrót do szuflady, po czym wydobyl drugą wraz z paczuszką aplaczy. Założył jeden z nich na szyjkę buteleczki i wsadził do i.

- Destylowana woda - powiedział. - Pomaga chronić zatoki. [zrobił do Hallecka perskie oko. Prawdopodobnie leczy dzieci chore na zapalenie płuc, naprany iszy tym cholernym świństwem - pomyślał Halleck, ale bez lazego przekonania. Zaczął lubić Houstona, bo ten przekazał mu rewieści. Teraz pragnął jedynie siedzieć beczynninie i napawać yszechogamiającą ulgą, wypróbować ją -jak nowy rower albo ochód. Poczł się jak nowo narodzony. Reżyser filmujący tę lę mógłby wykorzystać odpowiedni fragment z Tako rzeczce atustra. Ta myśl wywołała uśmiech na twarzy Hallecka.

- Podzielam twoje rozbawienie - rzekł Houston. - W tym ttnym świecie potrzebujemy każdej odrobiny radości, Billy. - iągnął głośno nosem, po czym zwilżył nozdrza kolejną porcją lylowanej wody.

- Nic takiego - rzekł Halleck. - Tylko że... byłem przerażo-wiesz. Uważałem, że mam raka. Staralem się z tym pogodzić. r- Może kiedyś będziesz musiał - rzekł Houston - kto wie. ijeszcze nie w tym roku. Nie muszę oglądać wyników testów

51

Haymana-Reichlinga, żeby ci to powiedzieć. Rak daje wyraźne symptomy. Zwłaszcza widać to u człowieka, któremu wyżarł trzydzieści funtów.

- Ale ja jem więcej niż zwykle. Powiedziałem Heidi, że więcej ćwiczę, i częściowo jest prawda, ale ona stwierdziła, że nie mogłem stracić trzydziestu funtów tylko dzięki intensywnemu treningowi. Powiedziała, że byłbym tłusty, taki jak dawniej - może ciut chudszy - ale nie aż tyle. nieprawda. Ostatnie testy wykazały, że ćwiczenia są ważniejsze od diety. Ale w przypadku faceta, który ma - miał nadwagę, tak jak ty, muszę przyznać jej rację. Weź grubaska, który gwałtownie zwiększa poziom swego treningu, wiesz, co się z nim stanie? Zrobi mu się śliczny, wielki skrzep drugiej kategorii. Nie, nie, facet nie umrze na zawał, ale z pewnością już nigdy nie gra w golfa ani nie pojeździ na rowerze.

Billy pomyślał, że kokaina uczyniła Houstona wielce rozmownym.

- Ty też tego nie rozumiesz - powiedział. - Ja też nie. Ale w tym biznesie widziałem już wiele niewytłumaczalnych rzeczy. Mój przyjaciel, który jest neurochirurgiem w mieście, zadzwonił do mnie jakieś trzy lata temu, żeby rzucił okiem na pewne niezwykle prześwietlenie kości czaszki. Facet będący studentem na Uniwersytecie Waszyngtona przyszedł do niego, bo cierpiał na dotkliwe bóle głowy. Mojemu koledze wydawały się one zwykłymi migrenami - dzieciak wyglądał na typowy przypadek, ale z takimi rzeczami nie należy żartować, bo podobno bóle mogą być symptomami raka mózgu, nawet jeżeli pacjent nie uskarża się na omamy węchowe - wyczuwanie dziwnych fotorów, gnijących owoców, starego popcornu czy czegoś w tym rodzaju. Dlatego też mój koleś przeprowadził całą serię prześwietleń, zrobił chłopakowi EEG i wystali go szpitala na zrobienie tomografu mózgu. Wiesz, co się okazało?

Halleck pokręcił głową.

- Okazało się, że dzieciak, który miał trzecią lokatę w swoim liceum i w każdym semestrze znajdował się na liście prymusów Uniwersytetu Waszyngtona, prawie w ogóle nie miał mózgu.

Przez

xlek jego czaszki biegł pojedynczy zwój tkanki mózgowej – na ześwieteniu, które pokazał mi kolega, wyglądał jak fragment akramy – i to było wszystko. To włókno najprawdopodobniej »ntrolowało wszystkie odruchy warunkowe jego organizmu, od [dychania i rytmu serca po orgazmy. Tylko jeden zwój tkanki ózgowej. Poza tym wewnątrz czaszki chłopaka było wypełnione ynem mózgowo-rdzeniowym. W jakiś sposób, choć nie wiemy ki, ten płyn zawiadywał wszystkimi procesami myślowymi. Tak y inaczej, chłopak nadal ma świetne wyniki w nauce, nadal miewa)le głowy i nadal jest typowym przykładem przypadku migrenowe->. Jeżeli nie powali go atak serca w wieku dwudziestu, trzydziestu t, to około czterdziestki migreny powinny zacząć przechodzić.

Houston otworzył szufladę, wyjął kokainę i wciągnął trochę do)sa. zaproponował "mucha" Halleckowi. Halleck pokręcił głową.

– Poza tym – ciągnął Houston – pięć lat temu do mojego ibinetu przyszła pewna stara kobieta, skarżąca się na ból dziąseł. erazjuż nie żyje. Gdybym powiedział ci, jak się nazywała, okaza-by się, że ją znasz. Rzuciłem okiem i, Jezu Chryste, po prostu nie [Ogłem uwierzyć. Straciła stałe zęby dziesięć lat wcześniej. Wi-dsz, ta baba dobiegała dziewięćdziesiątki i okazało się, że ~~wąszie~~ jej nowe... w sumie pięć. Nic dziwnego, że bolały ją dziąsła, illyi Wyrastały jej trzecie zęby. Ząbkowała w wieku osiemdziesię-u ośmiu lat!

– I co zrobiłeś? – zapytał Halleck. Słuchał tego wszystkiego lednym uchem", słowa doktora dochodziły doń niczym delikatna luzyka, wypełniająca wewnątrz domu towarowego. Ogarnęło go rzede wszystkim uczucie ulgi, silniej działające niż narkotyk.

Halleck przez chwilę pomyślał o starym Cyganie z gnijącym osem, ale wizja straciła swą posepną, obezwładniającą moc.

– Co zrobiłem? – zapytał Houston. – A co mogłem zrobić ' tej sytuacji? Przepisałem jej lekarstwo, które było wzmocnioną rersją num-zita, preparatu, którym smaruje się dziąsła ząbkujących nęci. Zanim umarła, zyskała trzy dalsze – dwa trzonowe i kła.

i Widziałem też inne rzeczy. Sporo tego było. Każdy lekarz spodka się z przypadkami, których nie potrafi wytłumaczyć. Ale dość

tych historii rodem z "Wierzyć lub nie". Faktem jest, że wiemy bardzo mało na temat naszych przemian metabolicznych. Są tacy ludzie jak Duncan Hopley... Znasz Duncana?

Halleck pokiwał głową. Szef policji z Fairview, postrach Cyganów, który wyglądał jak Clint Eastwood dla ubogich.

– Je takie ilości, jakby każdy jego posiłek miał być ostatnim – rzekł Houston. Jezu Chryste, ~~dotąd~~ nie widziałem takiego żarłoka. Ale jego waga utrzymuje się stale na poziomie 170 funtów, a ponieważ gość ma 1,80 wzrostu, to akurat tyle, ile być powinno. Ma przyspieszony metabolizm; spala kalorie dwa razy szybciej niż, powiedzmy. Yard Stevens.

Halleck skinął głową. Yard Stevens był właścicielem jedynego zakładu fryzjerskiego w Fairview. Ważył 300 funtów. Patrzyłeś na niego i zastanawiałeś się, czy żona zawiązuje mu buty.

– Yard jest mniej więcej tego samego wzrostu co Duncan Hopley – rzekł Houston. – Ale kiedy widzę go przy posiłkach, okazuje się, że facet je bardzo niewiele. Może opycha się potajemnie. To możliwe. Ale w gruncie rzeczy nie sądzę. Ma wygłodniałą twarz, wiesz, o co mi chodzi?

Billy uśmiechnął się pod nosem i skinął głową. Wiedział. Yard Stevens sprawiał wrażenie, jakby jedzenie mu nie służyło.

– Powiem ci jeszcze coś, choć to, jak sądzę, nie ma żadnego związku. Obaj ci ludzie palą.

Yard

Stevens mówi, że pali paczkę mariboro lights dziennie, co oznacza, że wypala zapewne półtorej paczki, a może nawet dwie. Duncan mówi, że wypala dziennie dwie paczki cameli, czyli trzy więcej. Czy widziałeś kiedyś Duncana Hopleya bez papierosa w ustach albo w ręku? – Billy zamyślił się, po czym pokręcił głową. W tym czasie Houston zaaplikował sobie kolejnego "niuucha". – Dobra, dość już tego – powiedział i zamknął szufladę z głuchym trzaskiem.

– W każdym razie Yard wypala dziennie półtorej paczki papierosów niskosmołowych, a Duncan dwie paczki zżeraczy płuc – a może i więcej. Ale bardziej narażony na raka płuc jest Yard Stevens. Dlaczego? Bo ma spieprzony metabolizm, a to najwyraźniej musi mieć jakiś związek z rakiem. Niektórzy lekarze twierdzą, że

54

złamanie kodu genetycznego ułatwiłoby walkę z rakiem. Być może wtedy udałoby się wyleczyć pewne odmiany raka. Ale nigdy nie poradzimy sobie z rakiem do końca, jeżeli nie zrozumiemy istoty metabolizmu. Tu wracamy do Billy'ego Hallecka, niesamowitego, topniejącego człowieka. Albo raczej człowieka, który redukuje masę swojego ciała. Nie produkuje, a na odwrót – redukuje ją.

Houston wybuchnął dziwnym i raczej głupkowskim śmiechem, a Billy pomyślał. Jeżeli taki wpływ ma na ciebie koka, to może przetrzucę się na batony. – Nie wiesz, dlaczego tracę wagę. – Nie. – Houston wydawał się zadowolony. – Jednak sądzę, iż może to wynikać z faktu, że będziesz być chudszy. Wiesz, to jest możliwe. Często mieliśmy z tym do czynienia. Zjawia się ktoś, kto naprawdę chce stracić na wadze. Zwykle powodem jego wizyty jest strach przed chorobą – ma palpacje serca, traci przytomność, Igrając w tenisa, badmintona albo kosza – tego rodzaju. Ja zaś oponuję mu śliczną, łagodną dietę, dzięki czemu może stracić od dwóch do pięciu funtów na tydzień w ciągu paru miesięcy. W ten sposób możesz stracić kilkadziesiąt funtów właściwie bezboleśnie bez wysiłku. Świetnie. Tyle tylko, że większość ludzi chudnie bardziej. Postępują zgodnie z dietą, ale tracą na wadze więcej, niż mini. Zupełnie jakby jakiś wymaginowany strażnik, który spał przez całe lata, nagle się obudził i zaczyna wrzeszczeć na całe gardło:

- Pożar! Pali się* – Metabolizm przyspiesza tempo, bo strażnik kazał ewakuację kilku funtów tłuszczu, zanim cały dom zdąży tonąć.

– W porządku – rzekł Halleck. Chciał, aby go to przekonało. agnął paru dni wolnego, a przede wszystkim marzył, aby pójść do mu i powiedzieć Heidi, że jest zdrowy, a potem zabrać ją na górę (kochać się z nią w sypialni skąpanej we wpadających do środka mueniach popołudniowego słońca. – Kupuję to.

Houston wstał, aby go odprowadzić. Halleck z pewnym rozbraniem zauważył, że Houston miał pod nosem resztki białego

Jeżeli nadal będziesz chudł, przeprowadzimy całą serię te-55

stów metabolicznych – stwierdził Houston. – Osobiście twierdzą, że nie są najlepsze, ale czasami mogą coś wykazać. Tak czy inaczej, wątpię, aby do tego doszło. Sądzę, że proces tracenia wadze z wolna przyhamuje; w tym tygodniu pięć funtów, w następnym trzy, za dwa tygodnie – funt. Po jakimś czasie wejdiesz na wagę i okaże się, że utyłeś.

– Uspokoiłeś mnie. I to bardzo – rzekł Halleck, po czym mocno uścisnął Houstonowi rękę.

Houston uśmiechnął się z zadowoleniem, choć przecież nie powiedział Halleckowi niczego konkretnego. Przedstawił wyłącznie same ogólności – nie wiedział, co mu jest, ale nie, to nie błąd. Cóż. Po to przecież jesteście, Billy.

Billy wrócił do żony.

- Powiedział, że jesteś zdrowy?

Halleck skinął głową. Objęła go ramieniem i uścisnęła mocno. Czuł powab jej piersi.

- Chcesz iść na górę?

Popatrzyła na niego. Jej oczy błędziły niepewnie.

- Rany. Ty naprawdę jesteś zdrowy, prawda?

- Możesz się założyć.

Poszli na górę, kochali się i było im naprawdę wspaniale. Nie wiedzieli, że być może już po raz ostatni czują się tak szczęśliwi. Niedługo wszystko miało się zmienić.

Potem Halleck usnął i męczyły go sny.

Rozdział 7: Sen o ptaku

Cygan zamienił się w olbrzymiego ptaka - sępa z gnijącym dziobem. Krążył nad Fairview, sypiąc w dół gruboziarnisty, przypominający popiół, kurz - czarny jak sadza z komina. Ten kurz zdawał się wydobywać spod jego mrocznych skrzydeł. Ale skąd się właściwie wziął? • • • Spod pach?

56

- Chudszy - skrzeknął Cygan-sęp, przelatując nad zieleń cem, nad "Yillage Pub", "Waldenbooks" na rogu Main i Devon nad "Esta-Esta", względnie dobrą włoską restauracją, pocztą, stacją Amoco, nowoczesnym budynkiem biblioteki publicznej, o przeszklonych ścianach, by, przemknąwszy nad słonymi moczarami, znaleźć się w końcu nad zatoką.

Chudszy - tylko jedno słowo, ale brzmiące jak przekleństwo. Halleck zdał sobie z tego sprawę naddo wyraźnie, bo wszyscy mieszkańcy tego zamożnego miasta, bogaci bywalcy barów, wpadający po drodze do domu "na jednego" wszyscy w tym ślicznym małym miasteczku Nowej Anglii, mieszczącym się niemal w samym sercu kraju Johna Cheevera, wszyscy bez wyjątku umierali z głodu.

Szedł coraz szybciej wzdłuż Main Street, najwyraźniej niewidział; ny-logika snów jest, rzecz jasna, podporządkowana ich wymaganiom i potrzebom - i przerażony klątwą Cygana. Fairview stało się; miastem wypełnionym więźniami z obozów koncentracyjnych. Były \ tu dzieci z wielkimi głowami i drobniutkimi wychudłymi ciałami. I Dwie kobiety w pięknych sukniach chwiejnym krokiem wyszły z "Wi-sionki na szczycie", trochę staroświeckiej łodziami znajdującej się w Fairview. Z ich twarzy pozostały jedynie kości policzkowe i wystające czoła, wyraźnie zarysowane pod naciągniętą, pergaminową skórą. Szerokie kołnierze sukienek ześlizgiwały się, odsłaniając ster- \ czace obojczyki i głębokie wklęsłości ramieniowe obrzydliwa | parodia powabu.

| Pojawia się Michael Houston, idąc niepewnie na chudych jak | patyki nogach; garnitur Saville Rów zwisa na jego wychudłym ciele jak szmata na strachu na wróble. W jednej kościstej dłoni trzyma fiołkę z kokainą.

& - Niucha? - wrzasnął do Hallecka. Jego głos był głosem szczura schwytanego w pułapkę, który czuje, że jego chwile są już wliczone. - Niucha? To może przyspieszyć twój metabolizm, Billy. Niuch? Niu...?

Z narastającą zgrozą Halleck uświadomił sobie, że na dłoni lekarza nie było skóry ani mięsa. Same kości. Dłoń szkieletu. Mężczyzna był chodzącym i mówiącym kościotrupem. Rzucił się do

57

ucieczki. Ale, tak jak to często zdarza się w koszmarach, nie by w stanie uciec. Choć znajdował się na chodniku przy Main Street, miał wrażenie, że biegnie w gęstym, lepkim błocku. Lada momem kościotrup, który był Michaeliem Houstonem wyciągnie rękę i złapit jego ramię. A może ta koścista ręka zacznie dotykać jego szyi.

- Niucha, niucha, niucha! - wrzasnął piskliwym, szurczym głosem Houston. Głos przybliżał się; Halleck wiedział, że gdyby teraz odwrócił głowę, widmo byłoby blisko, nieomal tuż obok niego. Zo baczy błyszczące oczy wychodzące z orbit nagiej czaszki, nie osło nięte szczęki otwierające zamykające się na przemian.

Zobaczył Yarda Stevensa wychodzącego z "Heads Up"; beżowy fryzjerski kitel okrywał resztki jego torsu i brzucha. Yard skrzeczał przeraźliwym wronim głosem. A kiedy odwrócił się w stronę Hallecka, Billy zobaczył, że to wcale nie był Yard, lecz Ronald Reagan.

- Gdzie jest reszta mnie? - wołał. - Gdzie jest reszta mnie i Gdzie jest reszta

mnChudszy - wyszeptał mu wprost do ucha Michael Houston A później stało się to, czego Halleck najbardziej się obawiał; U koścista dłoń dotknęła go, a palce zaczęły skręcać i ciągnąć go. Halleck miał wrażenie, że lada moment popadnie w obłąd.

- Chudszy, dużo, dużo chudszy, może jednak niucha, małego, słodkiego niucha. A będziesz najchudszy z chudszych. To była jej żona, Billy. A ty, mój mały, wpakowałeś się w niezłą kabałę. Siedzisz po uszy w gównie, stary, o tak, siedzisz po uszy w gównie...

Rozdział 8: Spodnie Billy'ego

Billy zerwał się gwałtownie, oddychając głęboko i szybko. Jedną rękę przytknął mocno do ust. Heidi spała spokojnie obok niego zawinięta w kołdrę. Na zewnątrz szumiał wiatr.

Halleck rozejrzał się ukradkiem, trwożliwie, po sypialni, upewniając się, że Michaela Houstona albo raczej jego szkieletową wersję - nie ma w pobliżu. To była tylko jego sypialnia, znał w każdym kącie. Koszmar zaczął odpływać... ale wciąż pamiętał go na tyk

58

dobrze, że mimowolnie przysunął się do Heidi. Nie dotknął jej - zbyt łatwo się budziła - wszedł w strefę ciepła emanowanego przez jej ciało i zgarnął część jej kołdry.

To tylko sen. .

Chudszy - odpowiedział nieubłaganie głos w jego myślach.

Sen w końcu powrócił.

Gdy wstał się rano po koszmarnej nocy, skala na wadze zatrzymała się przy 215 i Halleck poczuł, że wraca mu nadzieja. Tylko dwa anty. Houston miał rację, nieważne, że był naćpany. Proces zwalniał anpo. Zszedł po schodach, pogwizdując, i zjadł jajecznicę z trzech ijek i półina parówek.

W drodze na stację koszmar powrócił, jako mgliste wspomnienie, i raczej uczucie niepokojącego déjà-vu. Mijając "Heads Up" - Kłk którego znajdował się sklep mięsny i sklep z zabawkami - wyrzwał przez okno i przez ułamek sekundy miał wrażenie, że zobaczył chodzące po ulicach wysuszone, wynędzniałe szkielety, zupełnie by dostatecznie bogate Faindew zmieniło się jakimś cudem w Biafrę. Inak przechodnie wyglądali normalnie i zdrowo, a nawet bardzo tęższe. Yard Stevens, tłusty jak zawsze, pomachał do niego. Halleck Edrowił go i pomyślał: Twój metabolizm ostrzega cię, abyś rzucił lenie. Yard. Ta myśl wywołała na jego twarzy delikatny uśmiech nim jego pociąg wjechał na peron przy Grand Central, Halleck dem zapomniał o koszmarnym śnie.

Nie zaprzatając sobie myśli problemem utraty wagi, Halleck nie ntrolował przez kilka dni, ile waży... aż nagle, w sądzie, o mały s nie przytrafiła nieprzyjemna wpadka, i to podczas wy prowadzonej przez sędziego Hilmera Boyntona, który pod plemem poczucia humoru dorównywał przeciętnemu okazowi wego zółwia. I Halleck wstał, aby wnieść sprzeciw, i w tym momencie zaczęły mu spodnie.

59

Podniósł się do połowy. Czując, jak zsuwają mu się nieubłaganie z bioder i tyłka, tworząc harmonijkę wokół jego kolan, natychmiast usiadł. W jednej z chwil realnego oceniania rzeczywistości, które pojawiają się całkiem znieca i równie szybko idą w niepamięć, Halleck uświadomił sobie, że jego poruszenie musiało wyglądać jak jakiś głupawy podskok. Idiotyczne – William Halleck, adwokat z urzędu, robi jakiegoś kretyń skiego "pingwinka". Poczł, że szęrwieni.

– Czy chciał pan wnieść sprzeciw, panie Halleck, czy po prostu męcą pana gazy?

Świadkowie i zebrani, na szczęście było ich niewielu, zachichotali.

– Nic takiego. Wysoki Sądzie – mruknął Halleck. – Ja... ja... zmieniłem zdanie.

Boynton chrząknął. Postępowanie przeciągało się, a Halleck siedział, pocąc się jak szczur, zastanawiał się, jak wstanie. Sędzia w dziesięć minut później zarządził przerwę. Halleck siedział przy stoliku obrony, udając, że przegląda dokumenty. Kiedy w sali przesłuchań zrobiło się pusto, wstał, wkładając obie ręce w kieszenie marynarki gestem, który, miał nadzieję, wyglądał całkiem normalnie. Przez materiał kieszeni marynarki podtrzymywał opadające spodnie.

W kabynie męskiej toalety zdjął marynarkę, powiesił ją na kołku, spojrzł na swoje spodnie, potem wyjął pasek. Spodnie, nadal zapięte na guzik i suwak, zsunęły mu się do kostek. Drobne, które miał w kieszeniach, wydały stłumiony brzęk, uderzając o ceramiczne płytki. Usiadł na sedesie, trzymając pasek w dłoni jak bat, i przyjrzał mu się uważnie. Ten pasek stanowił teraz część jego życia i obecnie przyprawiał go o lodowate ciarki. Pasek dostał od Lindy na Dzieńca, przed dwoma laty. Uniósł go do góry, lustrując wzrokiem skórzaną powierzchnię, i czuł, jak jego serce ogarnięte przerażeniem bije coraz szybciej. Najwyraźniejsze wgłębienie na pasie znajdowało się tuż za pierwszą dziurką. Gdy Linda go kupiła, był nieco za mały i Halleck przypomniał sobie, jak wówczas pomyślał – ze smutkiem – iż być może był to swoisty przejaw wyrozumiałego optymizmu

60

ej strony. Niemniej jednak przez dłuższy czas mu służył. Dopiero idy rzucił palenie, musiał wciągać brzuch, aby zapiąć pasek, i to wet na pierwszą dziurkę.

Po tym, jak rzucił palenie... ale przed potrąceniem starej Cynki.

Teraz na pasku znajdowały się inne wgłębienia. Za drugą dziurką a czwartą, jak również za piątą i ostatnią, szóstą.

Halleck z narastającym przerażeniem zauważył, że kolejne wgłębienia były coraz płytsze i mniej wyraźne. Jego pasek ukazywał ótszą, acz bardziej prawdziwą wersję tej historii, niż to zrobił ichael Houston. Utrata wagi postępowala, a proces bynajmniej nie stał spowolniony – wręcz przeciwnie – przyspieszał. Dotarł do tatniej dziurki paska, który jeszcze dwa miesiące temu miał rzucić, bo uważał, że jest dla niego za mały. Teraz potrzebował (lejnjej dziurki, której nie było.

Spojrzł na zegarek i stwierdził, że niedługo musi wracać na salę. Ie istniały ważniejsze rzeczy niż to, czy sędzia Boynton zdecyduje ? ogłosić wyrok z zawieszeniem czy też nie. Halleck

nasłuchiwał. r toalecie panowała cisza. Przytrzymując spodnie jedną ręką, wy-edł z kabiny. Ponownie pozwolił spodniom opaść i przyjrzał się ibie w jednym z luster zawieszonych nad umywalkami. Podniósł >szulę, aby móc lepiej się przyjrzeć swemu brzuchowi, który jesz-'s tak niedawno był jego utrapieniem. Z jego gardła dobył się cichy k. To było wszystko, ale aż nadto. Selektywna percepcja nie była stanie sobie z tym poradzić - zobaczył wszystko naraz, w jednej, ótkiej chwili. Stwierdził, że jego wielki brzuch, który przesłaniał u dolną połowę ciała, gdy pódęhylał, zniknął. Chociaż miał mszczone spodnie i podciągniętą koszulę z zapiętą kamizelką,)mimo śmiesznej pozycji, jaką przyjął, fakty mówiły same za ebie. Można było uzgodnić, jak określić jego stan, ale metafora, ora pojawiła się w jego myślach, była bardziej niż przekonująca, fh wręcz niezaprzeczalna. Wyglądał jak dzieciak ubrany w rzeczy vego ojca. Halleck stał przed rzędem umywalek, półnagi i zastana-iał się histerycznie: Kto ma shinolę? Muszę przylepić sobie lipny ysikf

61

Dławiący śmiech narastał mu w gardle na widok opuszczonych spodni leżących na butach i czarnych nylonowych skarpet. W tym momencie, zupełnie nagle, ot tak, po prostu, uwierzył... we wszystko. Cygan rzucił na niego klątwe, tak, na pewno, ale to nie był rak. Rak byłby zbyt łagodny, a jego działanie zbyt szybkie. To miało być coś wyjątkowego i proces ten dopiero się rozpoczynał - a najgorsze było przed nim.

W jego myślach rozległ się głos konduktora. Następny przystanek Anorexia Neryosa! Wszyscy wsiadają przy Anorexia Nervosa!

Dźwięki dusiły w gardle, śmiech, który brzmiał jak okrzyki lub być może okrzyki, które brzmiały niczym śmiech, ale w gruncie rzeczy cóż to była za różnica? Komu mogę o tym powiedzieć?

Heidi? Pomyśli, że oszalałem.

Tylko że Halleck nigdy dotąd nie czuł się równie normalny i trzeźwo myślący.

Zewnętrzne drzwi do toalety otworzyły się z trzaskiem. Halleck błyskawicznie wycofał się do kabiny i przerażony zamknął drzwi na zasuwkę.

- Billy? - To był John Parker, jego asystent.

- Jestem tutaj.

- Boynton zaraz wraca na salę. Dobrze się czujesz?

- Świetnie - odparł. Miał zamknięte oczy.

- Masz gazy? Brzuch cię boli? Tak. Kłopoty z brzuchem. Masz rację.

- Muszę jeszcze posiedzieć. Wrócę za minutkę.

- W porządku.

Parker wyszedł. Halleck powrócił myślami do swego paska. Nie mógł wrócić na salę,

podtrzymując spodnie dłoń mi, przez kieszenie marynarki. Co więc miał zrobić, do cholery?

Nagle przypomniał sobie o scyzoryku - dobrym, starym, szwajcarskim scyzoryku, który zawsze wyjmował z kieszeni, zanim wchodził na wagę, za starych, dobrych czasów, przed przybyciem Cyganów do Fairview. Nikt tu was nie zapraszał. Czemu zamiast do Fairview nie pojechaliście do Westport albo do Stratford? Wyjął scyzoryk i szybko zrobił w pasku kolejną dziurkę. Była postrzępiona i nieładna, ale spełniła

62

je zadanie. Halleck zapiął pasek, włożył marynarkę i wyszedł biny. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że spodnie owijały się elestem wokół jego nóg - wokół jego chudych nóg. Czy inni ,ie tawuważą? - pomyślał z drażniącym zakłopotaniem. Czy ią, ze mam na sobie nie dopasowany, za duży garnitur? Czy to frzegają i udają, ze tego nie widzą? Mówią...

Spryskał sobie twarz wodą i wyszedł z toalety. Kiedy wracał na sądową, Boynton, powłócząc czarną togą, właśnie zajmował ije miejsce. Rzucił Billy'emu złowieszcze spojrzenie, a ten wy-ał nieznaczny, przepraszający gest. Twarz Boyntona nie zlagod-a, najwyraźniej przeprosiny nie zostały przyjęte. Nudna rozpra-rozpoczęła się na nowo. Jakimś sposobem Billy zdołał przetrwać dzień .

Tej nocy, kiedy Heidi i Linda usnęły, stanął na wadze i spojrział ół. Nie wierzył własnym oczom. Patrzył na skalę długo, bardzo długo.

Rozdział 9

Następnego dnia wybrał się na zakupy i kupił sobie nowe ubranie. trił to nerwowo i gorączkowo, jakby nowe, dopasowane rzeczy gły rozwiązać wszystkie jego problemy. Nabył również mniejszy ek Niques. Zdał sobie sprawę, że ludzie przestali prawić mu nplementy związane z utratą przez niego wagi. Kiedy to się zęło? Nie wiedział. Włożył nowe ubranie. Poszedł do pracy rócił do domu. Wypił za dużo, zjadł drugą dokładkę, na którą nie d ochoty i która ciążyła mu żołądku. Minął tydzień i nowe czy przestały wyglądać na dopasowane, wisiały na nim jak worek. Podszedł do wagi, a serce dudniło mu w piersi do tego stopnia, 'w oczach czuł pulsowanie, a pod czaszką tępy ból. Później Herdził, że aż do krwi przygryzł sobie dolną wargę. Wizja wagi ybrała w jego urny śle rozmiary dziecięcego koszmaru – stała się lorcm jego życia. Stał przed nią dobre trzy minuty, zagryzając

1

63

dolną wargę, nieświadom bólu ani słonego smaku krwi w ustach. Był wieczór. Na dole Linda oglądała Trzech towarzyszy, a Heidi przeglądała na komputerze w pracowni Hallecka tygodniowe rozliczenia rachunkowe. Gwałtownie wszedł na wagę.
188.

Poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła i przez jedną, rozpaczliwą chwilę wydawało mu się niemożliwe, aby nie zwymiotować. Stoczył posępną walkę o utrzymanie kolacji w żołądku, potrzebował tego posiłku, tych ciepłych, zdrowych kalorii... Wreszcie mdłości minęły. Spojrzał w dół na skalę, mętnie przypominając sobie w myślach słowa Heidi. Ona nie zawyża, raczej zaniża. Przypomniał sobie, jak Michael Houston powiedział mu, że przy 217 funtach ma nadal nadwagę. Teraz już nie - pomyślał z trwogą. Teraz jestem... chud-szy. Zszedł z wagi z uczuciem ulgi, podobnie jak skazaniec w celi śmierci, który widzi zbliżających się strażnika i księdza. Bo już wie, że nadchodzi kres i nie ma co liczyć na telefon gubernatora. Czekają go jeszcze pewne formalności, to oczywiste, ale nic więcej. To wszystko naprawdę go spotkało. Gdyby zaczął rozmawiać o tym z ludźmi, pomyśleliby, że albo żartuje, albo mu odbiło – nikt już nie wierzył w cygańskie klątwy. Być może nigdy nie traktowano ich poważnie; nie ulega wątpliwości, iż były one anachronizmem w świecie, który patrzył, jak setki żołnierzy piechoty morskiej wraca z Libanu do ojczyzny w trumnach, a pięciu więźniów IRA głodzi się na śmierć; ale to nie wszystko, były jeszcze gorsze przypadki. Mimo to taka była prawda i nie mógł tego zmienić. Zabił żonę starego Cygana z gnijącym nosem, a jego koleś od golfa, dobry stary, "lepka rączka", sędzia Cary Rossington bez mrugnięcia okiem oczyścił go zarzutów, i w tej sytuacji stary Cygan postanowił na własną rękę wymierzyć sprawiedliwość tłustemu prawnikowi z Fairview, którego żona wybrała niewłaściwy dzień , aby po raz pierwszy ostatni popieścić się z nim w jadącym samochodzie. Był to rodzaj sprawiedliwości, który mógłby

przypaść do gustu Ginellemu.

Halleck zgasił światło w łazience i zszedł na dół, myśląc o skazańcach z celi śmierci, pokonujących pieszo ostatnią milę. Bez

64

'opaski, ojciec... Ma ktoś papierosa? Uśmiechnął się pod nosem. Heidi siedziała za jego biurkiem, po lewej stronie miała rachunki, na l wprost niej znajdował się migocący ekran, a klawiaturze, jak nuty, i była rozłożona książeczka czekowa Manne Midlands. Zawsze to robiła w pierwszym tygodniu nowego miesiąca. Teraz jednak ani nie wypisywała czeków, ani nie robiła rozliczeń. Po prostu tam siedziała z papierosem między palcami, a kiedy odwróciła się do niego, Billy zobaczył w jej oczach tak ogromny smutek, że poczuł silny, fizyczny ból. Ponownie pomyślał o percepcji selektywnej – zabawnym sposobie działania na umysł, który nie pozwala ci dostrzec tego, czego nie chcesz: na przykład kupujesz coraz krótsze i mniejsze paski, podtrzymać spodnie wokół zmniejszającej się talii, albo nie dostrzegasz się ców pod oczami twojej żony czy rozpaczliwego pytania, malującego się na jej twarzy.

– Tak, nadal tracę na wadze – stwierdził.

– Och, Billy – powiedziała i wydała z siebie długie, drżące westchnienie. Wyglądała jednak nieco lepiej i Halleck przypuszczał, że pocieszyła ją jego szczerość. Nie śmiała o tym wspomnieć, tak jak nikt w biurze nie odważył się stwierdzić: Twoje ubranie Wty wygląda, jakbyś kupił je w sklepie z używaną odzieżą albo na wyprzedazy. Billy... Powiedz no, masz raka czy jak? A może ktoś cię zymś zaraził, co, Billy? Czy gdzieś tam wewnątrz ciebie rozrasta się tóelkie, rakażsko, całe czarne i soczyste jak kał gnijącego ceta i wysysa twoje soki? O nie, nikt nigdy powiedziałby tego yarcie. Musisz sam do tego dojść. Któregoś dnia w sądzie wstajesz : Perry Mason chcesz powiedzieć donośnym głosem: – Wysoki zie, zgłaszam sprzeciw. – A tu nagle zaczynają opadać ci inie, ale nikt nawet nie wspomni o tym słowem. Ni cholery. awet jednej pieprzonej uwagi na ten temat.

– Taak – mruknął, a potem roześmiał się z cicha, jakby w ten sposób mógł zatuszować to, co przed chwilą powiedział.

– De?

– Według wagi na górze schudłem do 188.

– O Chryste!

Skinął głową w stronę jej papierosów.

65

– Mogę jednego?

– Tak, jeśli masz ochotę. Billy, tylko nie mów nic o tym Lindzie. Pamiętaj... Ani słowa!

– Nie muszę – powiedział, przypalając papierosa. Po pierwszym zaciągnięciu się dymem zakręciło mu się w głowie. To dobrze. To było całkiem miłe. Lepsze niż otępiła zgroza towarzysząca percepcji selektywnej. – Ona wie, że nadal chudnę. Widziałem to, patrząc na jej twarz. Nie wiedziałem tylko, co dostrzegam, aż do dzisiejszego wieczora.

– Musisz ponownie zobaczyć się z Houstonem – stwierdziła. Sprawiała wrażenie mocno przerażonej, ale powątpiewanie i smutek znikło z jej twarzy. – Testy metaboliczne.

– Heidi, posłuchaj mnie – powiedział... a potem przerwał.

– Co? – spytała. – Co, Billy?

Jeszcze chwila, a wszystko by jej powiedział. Mało brakowało. Coś go powstrzymało. Później, gdy się nad tym zastanawiał, nie wiedział, co było tego powodem... Gdy tak siedział na krawędzi biurka i patrzył na nią, trzymając w dłoni papierosa, podczas gdy ich córka oglądała telewizję

w

drugim pokoju, poczuł nagły, krótkotrwały, ale bardzo silny przyływ nienawiści. Nienawidził jej. Wspomnienie tego, co się stało... co się działo na mniej więcej minutę przed tym, jak Cyganka wtargnęła na jezdnię, pojawiło się w jego myślach jak błysk oślepiającej wizji. Heidi przytuliła się do niego, objęła go lewą ręką... i wtem rozpięła mu spodnie. To stało się tak szybko, że zanim się zorientował, już było po wszystkim. Poczuł jej palce, łagodne, ale tak pełne wprawy, wsuwające się przez szczelinę, a potem w głąb otworu jego szortów.

Będąc jeszcze nastolatkiem, Billy Halleck przeglądał od czasu do czasu – ze spoconymi dłońmi wytrzeszczonymi oczyma – coś, co jego starzy nazywali "pomosiłkami". Bywało, że w tych "pomosiłkach" "napalona dziwa" owijała swoje doświadczone palce wokół sztywniejącego członka jakiegoś faceta. Nie było to rzecz jasna nic więcej jak tylko drukowane "mokre marzenia", ale tutaj to była Heidi, jego żona, obejmująca dłońmi jego sztywniejący członek.

66

I niech to szlag, zaczęła go obrabiać. Spojrzał na nią zdumiony i dostrzegł na jej ustach niewyraźny uśmiezek.

– Heidi, cotyrol...

– Ciii... Nic nie mów.

Co ją opętało? Nigdy dotąd nie robiła czegoś takiego i Halleck mógłby przysiąc, że coś takiego nawet nie przyszyłoby jej na myśl. Ale zrobiła to, a potem ta stara Cyganka wtargnęła... Och, powiedz prawdę! Skoro wreszcie przejrzałaś, to miej dość odwagi, aby przyznać się do wszystkiego, okłamywanie samego siebie nie ma sensu, jest już za późno. Liczą się tylko/akty. Dobrze, fakty. Prawdą jest, iż nieoczekiwane zachowanie Heidi diabelnie go podnieciło – być może dlatego, że się tego nie spodziewał. Wyciągnął w jej stronę prawą rękę, a ona podciągnęła wysoko spódnicę, odsłaniając zwykłe, żółte, nylonowe majteczki. Nic go nigdy dotąd tak nie podnieciło – aż do teraz... a może podziałała tak na niego zadarta spódnica – tego też nigdy nie robiła. Ta sytuacja prawie całkowicie pochłonęła jego uwagę, tak że zapomniał o prowadzeniu samochodu. Prawdopodobnie stwo wypadku było niewielkie, wszystko powinno skończyć się dobrze – w tygodniu na ulicach Fairview było nie tylko spokojnie – panowała tu wręcz senna atmosfera. Gdyby nie ta stara Cyganka. Wtargnęła gwałtownie na jezdnię, wybiegając pomiędzy subaru i firebirda; po prostu wyszła pomiędzy nich, trzymając w poskręcanej, pokrytej plamami wątrobowymi dłoni siatkę z zakupami; tego typu torby noszą zwykle Angielki, kiedy wybierają się na zakupy wzdłuż głównej ulicy handlowej miasteczka. Kobieta zaś miała jedynie paczkę proszku do prania. Halleck dobrze to pamiętał. Nie rozglądała się wokoło – to fakt.

Najważniejsze było to, iż Halleck jechał nie więcej niż trzydzieści pięć mil na godzinę i musiał znajdować się prawie pięćdziesiąt metrów od Cyganki, kiedy znalazła się na ulicy, na wprost jego oidsa. To sporo czasu, aby się zatrzymać, gdyby w pełni panował nad sytuacją. Jednak Billy właśnie w tej chwili osiągnął niesamowity orgazm i cała jego uwaga koncentrowała się poniżej pasa, w okolicach członka, który Heidi pieściła łagodnymi, wprawnymi

67

ruchami, wykonując je powoli i delikatnie, przerywając na chwilę, zaciskając palce, po czym ponownie rozluźniając uścisk. Jego reakcja była beznadziejnie wolna, beznadziejnie spóźniona, głód Heidi zacisnęła się na jego członku, tak że wytryskowi, który nastąpił w chwili zderzenia, towarzyszyły jednocześnie ból i rozkosz. Nie kończąca się serenada bólu i rozkoszy, która potworna, była jednak nieunikniona.

Tak przedstawiały się fakty. Ale nie, chwileczkę! Momencik, drodzy przyjaciele i sąsiedzi! Były jednak jeszcze dwa inne fakty, nieprawdaż? Pierwszy, że gdyby Heidi nie wybrała tego dnia na

dokonanie swego eksperymentu z seksem w samochodzie, Halleck byłby w pełni sprawny i skoncentrowany na prowadzeniu wozu, a co za tym idzie, olds zatrzymałby się dobre pięć stóp przed starą Cyganką; stanąłby z piskiem opon, tak że wszystkie kobiety spacerujące po okolicy dzieciakami obejrzałyby się natychmiast w tę stronę. Mógłby krzyknąć: – Patrz, jak idziesz! podczas gdy stara kobieta lustrowałaby go wzrokiem przepełnionym mieszaniną otępienia, strachu i niezrozumienia. On i Heidi patrzyliby, jak kobieta ucieka na drugą stronę ulicy, w ścianach waliłyby jak oszalałe. Być może Heidi płakałaby nad przewróconymi torbami z zakupami i bałaganem pod tylnym siedzeniem wozu. Ale wtedy wszystko byłoby w porządku. Uniknęliby przesłuchania. Cygan z gnijącym nosem nie czekałby na Hallecka przed gmachem sądu, aby pieszczotliwie dotknąć jego policzka i wyszeptać przekleństwo zawierające się w pojedynczym słowie. To był pierwszy dodatkowy fakt. A następny wynikał z pierwszego; to, iż wszystko wiązało się bezpośrednio z Heidi.

To była jej wina. Tylko jej. Nie prosił, aby go zabawiła; nie powiedział: – Słuchaj Heidi, mógłabyś mnie trochę popieścić w drodze do domu? To trzy ulice, masz sporo czasu. Nie. Ona to po prostu zrobiła i... jej wycucie czasu było naprawdę niewiarygodne. Można by rzec, upiorne. Tak, to była jej wina, ale stary Cygan o tym nie wiedział i rzucił klątwę na Hallecka. Od czasu Halleck stracił aż sześćdziesiąt jeden funtów, a Heidi siedziała na wprost niego, miała ziemistą cerę i sińce pod oczami, lecz dobrze wiedział, że to

68

jej nie zabije? Oczywiście, że nie. Pieprzyć ziemistą cerę. To przyszcz. Jej przecież stary Cygan dotknął...

Niestety, ta chwila, kiedy mógł zwierzyć się jej ze swoich lęków i wyznać bez ogródek: Wierzę, że tracę na wadze, bo zostałem przeklęty – minęła bezpowrotnie. Jednocześnie przestało go dręczyć uczucie ślepej i niepohamowanej nienawiści – emocjonalna eksplozja z jego podświadomości.

– Posłuchaj mnie – powiedział, a ona, dobra żona, odparta:

– Co, Billy?

– Pójdę i zobaczę się ponownie z Houstonem – stwierdził, choć bynajmniej nie to chciał powiedzieć. – Powiem mu, żeby przeprowadził te testy metaboliczne. Jak mawiał Albert Einstein: "A co mi tam, do cholery".

– Och, Billy – powiedziała i wyciągnęła szeroko ramiona. Pozwolił, aby go objęła, bo wtedy czuł się bezpieczny, i nagle ogarnęło go poczucie wstydu za nienawiść, jaką żywił wobec niej zaledwie kilka minut temu... ale w miarę upływu czasu, kiedy w Faimew wiosna stopniowo zaczęła ustępować miejsca zbliżającemu się latu, nienawiść powracała coraz częściej i coraz intensywniej, pomimo iż robił, co mógł, by ją powstrzymać lub choćby złagodzić.

10:179

Umówił się na serię testów metabolicznych u Houstona, który wydawał się mniej optymistycznie nastawiony, kiedy usłyszał, że Halleck regularnie traci na wadze, a mówiąc ściślej, od ostatnich badań, przed miesiącem, zrzucił dwadzieścia dziewięć funtów.

– Nadal może istnieć całkiem normalne wyjaśnienie tego wszystkiego – rzekł Houston, oddzwaniając trzy godziny później z informacją o konkretnym terminie. Halleck wszystko zrozumiał. Całkiem normalne wyjaśnienie, niegdyś prawie pewniak, stało się obecnie czarnym koniem Houstona.

– Uhm – mruknął Halleck, spoglądając w dół, gdzie niegdyś

69

znajdował się jego brzuch. Nigdy by nie uwierzył, że komuś może brakować ogromnego, sterczącego kałduna, bandziocha, który jest tak duży, że zasłania człowiekowi nawet czubki butów. Musiał się pochylać i wysuwać głowę, aby sprawdzić, czy należało je przeczyścić czy też nie, na pewno nie uwierzyłby, że coś takiego było możliwe, kiedy wchodził po schodach, wypiwszy poprzedniego wieczoru zbyt wiele drinków. W dłoni ścisnął aktówkę, czuł zbierające się na jego czole kropelki potu i zastanawiał się, czy właśnie tego dnia dosięgnie go atak paraliżujący ból po lewej stronie klatki piersiowej, rozszerzający się w błyskawicznym tempie na całą lewą rękę. Ale to była prawda: brakowało mu tego cholernego bebecha. Jakimś dziwnym sposobem, którego nawet teraz nie był w stanie zrozumieć, ten brzuch był jego przyjacielem.

- Jeżeli nadal istnieje normalne wyjaśnienie - powiedział do Houstona - to co to jest?

- To, co wszyscy ci faceci spróbują ci powiedzieć - stwierdził Houston. - Miejmy nadzieję.

Spotkanie miało się odbyć w klinice Henry Glassmana, niewielkiej prywatnej klinice w New Jersey. Chcieli, aby pozostał tam przez trzy dni. Po zapoznaniu się z przybliżonymi kosztami pobytu i testów, Halleck ucieszył się, że jego ubezpieczenie pokryje wszystkie wydatki leczenia.

- Przyślij mi kartkę z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia - powiedział Halleck i odłożył słuchawkę.

Termin testów wyznaczono na 12 maja, za tydzień. W tym czasie w dalszym ciągu obserwował erozję swego ciała i robił, co mógł, aby zapanować nad paniką, która z wolna zżerała resztki jego optymizmu.

- Tatusiu, tracisz zbyt wiele na wadze - powiedziała z niepokojem Linda przy kolacji, pewnego wieczoru. Halleck uśmiechnął się pod nosem. Ładował broń, pochłaniając trzy porcje siekanej wieprzowiny z sosem jabłkowym. Zjadł również dwie porcje tłuczo-

70

nych ziemniaków. Z sosem. - Jeżeli to dieta, to myślę, że już najwyższy czas, abyś ją przerwał.

- Czy wyglądam, jakbym był na diecie? - spytał Halleck, pokazując swój talerz widelcem ociekającym od sosu. Mówił raczej łagodnym tonem, ale oblicze Lindy zaczęło się zmieniać i w chwilę potem uciekła od stołu, płacząc i kryjąc twarz w chusteczkę.

Halleck spojrzał posępnym wzrokiem na swoją żonę, która odpowiedziała mu w ten sam sposób.

Tak oto kończy się ten świat - pomyślał głupekowato Halleck - nie hukiem, ale chudnięciem.

- Porozmawiam z nią - stwierdza i ruszył schodami na górę.

- Jeśli pójdziesz tam w takim stanie, to przerazisz ją na śmierć - stwierdziła Heidi i znów pchnęła przejmującej, zimnej nienawiści.

186, 183, 181, 180. Zupełnie jakby ktoś... na przykład stary Cygan z gnijącym nosem, używał wobec niego jakiejś szalonej, nadnaturalnej gumki kreślarskiej i ścierał go, funt po funcie.

Kiedyś ważył 180 funtów? W college' u? Nie... prawdopodobnie jeszcze w liceum. Którejś bezsennej nocy pomiędzy 5 a 12 maja zaczął nagle rozmyślać o wyjaśnieniach działania czarów voodoo, o których niegdyś czytał. Te zaklęcia działają, gdyż ofiara jest o tym w pełni przekonana. Bez żadnych nadnaturalnych czynników - zwyczajna siła sugestii.

Być może - pomyślał - Houston miał rację. Chudnę, bo wmówiłem sobie, że stary Cygan chciał, aby tak się stało. Tylko że teraz nie potrafię tego powstrzymać. Mogłbym zarobić miliony dolarów, pisząc ripostę na książkę Normana Vincenta Peale'a... Nazwałbym to Siła Negatywnego Myślenia. Ale jego umysł dawał mu do zrozumienia, że pomysł o starej sile sugestii był gównem wartym. To nie było to. Ten stary Cygan powiedział tylko jedno słowo: "Chudsz". Nie powiedział: "Mocą, którą posiadam, przeklinam cię i nakazuję, abyś tracił tygodniowo od sześciu do dziewięciu funtów, aż umrzesz". Nie powiedział: "Emeduerikefake, wkrótce

będzieszpotrzebował nowego paska albo przyjdzie ci zgłaszać sprzeciw w sądzie w dżokejskich spodniach". Do diaska, Billy, przecież nawet nie pamiętałeś, co on

71

powiedział, aż do czasu kiedy zacząłeś tracić na wadze. Może właśnie wtedy uświadomiłem sobie, co on powiedział – odparł w duchu Halleck. A/<?...

Zażarta dyskusja trwała dalej.

Ale jeśli faktycznie to był efekt psychologiczny, jeśli to była siła sugestii, nadal pozostawała nierozwiązana kwestia, jak powinien się z tym rozprawić. Jak miał z tym walczyć? Czy był jakiś sposób, aby znów zacząć myśleć o sobie jako o grubasie? A może powinien pójść do hipnotyzera – niech to szlag!, do psychiatry! – i wyjaśnić ten problem. Może za pomocą hipnozy uda się złapać głębką sugestię, tak że klątwa starego Cygana przestanie działać.

To mogło poskutkować.

Albo i nie.

Dwa dni przed zgłoszeniem się do kliniki Glassmana Billy stanął na wadze i z przerażeniem spojrzął na tarczę – dziś 179.1 kiedy tak stał ze spuszczoną głową, patrząc na wskaźnik wagi, całkiem naturalnie, jak często się zdarza, kiedy nasza świadomość jest zdominowana przez podświadomość, która usiłowała do niej dotrzeć przez wiele dni, a nawet tygodni – przyszło mu do głowy, że człowiekiem, z którym powinien porozmawiać na temat swoich szaleń czych lęków, był sędzia Cary Rossington.

Kiedy się upił, Rossington lubił łapać kobiety za cycki, ale ogólnie, przynajmniej do pewnego stopnia, był dość sympatycznym i wyrozumiałym facetem. Jak był trzeźwy, ma się rozumieć. Poza tym raczej potrafił trzymać język za zębami. Halleck przypuszczał, iż było całkiem możliwe, że podczas którejs z popijaw (a jak amen w pacierzu mogłeś być pewny, że gdzieś tam w mieście wieczorem ludzie sączyli manhattany, wyławiali z martini zielone oliwki i, kto wie, być może również chwyтали za cycki cudze żony) sędzia okaże się niedyskretny wobec paranoiczno-schizofrenicznych rojeń Hallecka, dotyczących Cyganów i przekleń stw, podejrzewał, iż pomyśli dwa razy, zanim puści parę z ust na temat całego zdarzenia. Prze-

72

słuchanie było przeprowadzone zgodnie z literą prawa – nie było w tym nic nielegalnego i idealny przykład postępowania sądowego; nie przekupiono ani jednego świadka, żaden z dowodów nie zniknął w tajemniczych okolicznościach. Mimo to sprawa śmierdziała, a od takich Cary Rossington starał się zwykle trzymać z daleka. Zawsze istniała możliwość – słaba, bo słaba, ale zawsze, że zostanie podjęta kwestia, dlaczego sędzia Rossington nie zrezygnował z prowadzenia tej sprawy. Albo to, że funkcjonariusz śledczy nie zadał sobie trudu, aby zbadać poziom alkoholu we krwi Hallecka, po tym jak sprawdził tożsamość kierowcy i ofiary. Albo to, że Rossington nie zwrócił uwagi na tak poważne zaniedbania w postępowaniu. Było jeszcze wiele innych rzeczy, które powinien zrobić, a jednak je zbagatelizował.

Nie, Halleck wierzył, że jest bezpieczny, przez jakiś czas, dopóki sprawa Cyganki nie ucichnie. Ze strony Cary'ego Rossmgtona nic mu nie groziło, przez pięć, może nawet siedem lat. Halleck martwił się o terażniejszość. O bieżący rok. W takim tempie jeszcze przed końcem lata będzie wyglądał jak uciekinier z obozu koncentracyjnego.

Ubrał się szybko, zszedł na dół i wyjął z szafy wiatrówkę.

– Dokąd idziesz? – spytała Heidi, wychodząc z kuchni.

– Wychodzę – odparł Halleck. – Niedługo wrócę.

Leda Rossington otworzyła drzwi i spojrzała na Hallecka jakoś dziwnie, jakby go nie znała.

Górne światło w holu padało na jej wychudłe, acz arystokratyczne kości policzkowe i czarne włosy szesane mocno do tyłu, w których widać już było pierwsze ślady siwizny (Nie – pomyślał Halleck – nie siwizny, srebrna Leda nigdy nie będzie miała typowej, plebejskiej siwizny), ~~ziazd~~ ziazdą jak trawa prostą sukienkę od Diora, na pewno kosztowną, wartą około 1500 dolarów. Jej spojrzenie zaniepokoiło go. Czy aż tak bardzo straciłem na wadze, że mnie nie poznała? ~~Pomyślał~~, ale pomimo paranoicznego

73

podejścia do swego obecnego wyglądu, trudno było mu w to uwierzyć. Jego twarz bardzo wychudła, wokół ust pojawiły się nowe zmarszczki, a pod oczami siń ce – efekt braku snu, ale poza tym jego oblicze nadal przypominało starego, dobrego Billy’ego Hallecka. Ozdobna lampa na drugim końcu cu dziedziń ca Rossingtonów (kopia lampy ulicznej z 1880 r., kute żelazo, kolekcja Horchow, 687 dolarów plus opłata pocztowa) nie sięgała swym blaskiem aż tak daleko; panował półmrok, a on przecież miał na sobie wiatrówkę. Na pewno nie dostrzegła, jak bardzo schudł... a może?

– Leda? To ja. Bili. Bili Halleck.

– Oczywiście, że tak. Cześć, Billy. – Mimo to jej dłoń w dalszym ciągu wisiła w powietrzu nieco poniżej szczęki i na wpół zaciśnięta w pięść dotykała skóry szyi w geście zamyślenia i zaniepokojenia. Jej twarz, pięćdziesięciodziewięcioletniej kobiety, wyglądała nadzwyczaj gładko, ale skóra szyi zwiórczała i pomarszczyła się, lifting nie był już w stanie wiele dla niej zrobić. Jest młoda, może. Albo... pomyślał o Houstonie, zażywającym biały proszek. Narkotyki? Leda Rossington? Trudno uwierzyć, aby mógł to robić ktoś, kto lekką rączką i z powodzeniem licytuje przy stole dwa bez atu. I nagle przyszło mu do głowy: Ona jest przerażona. I to bardzo. Wręcz rozpaczliwie. O co chodzi? Czy to ma jakiś związek ze mną?

To było, rzecz jasna, szalone... Ale nagle poczuł przemożną chęć dowiedzenia się, dlaczego usta Ledy Rossington były tak mocno zaciśnięte, czemu, nawet teraz w słabym świetle i dysponując najlepszymi kosmetykami, jakie można było kupić, miała worki i siń ce pod oczami – tak samo jak on – i dlaczego dłoń, którą teraz miętoszyła rąbek sukienki od Diora, wyraźnie drżała. Billy i Leda Rossington patrzyli na siebie bez słowa przez kilkanaście sekund... po

odrywali się jednocześnie.

– Leda, czy Cary...

– Cary’ego nie ma, Billy. On... – Przerwała. Skinął ręką, aby mówiła dalej. – Musiał wyjechać do Minnesoty. Jego siostra jest bardzo chora.

74

– To ciekawe – stwierdził Halleck – bo Cary nie ma siostry. Uśmiechnęła się. Tego typu uśmiech ludzie mili i z natury serdeczni rezerwują dla tych, którzy niechcący zachowali się nieuprzejmie. Jednak w pełni nie udało; było to bardziej skrzywienie ust, grymas niż uśmiech.

– Czy ja powiedziałam, siostra? Bo to wszystko było dla mnie, znaczy dla nas takie trudne. Miałam na myśli jego brata. Jego...

– Leda, Cary jest jedynakiem – odparł łagodnym tonem Halleck. – Pewnego popołudnia na popijawie w "Hastur Lounge" opowiedzieliśmy sobie nawzajem nasze historie rodzinne. To musiało być... jakieś cztery lata temu. Niedługo potem "Hastur" spłonął. Teraz stoi tam pawilon handlowy, "King in Yellow". Moja córka kupuje tam dzinsy.

Nie wiedział, dlaczego mówił dalej. Być może sądził, iż to ją w jakiś sposób uspokoi. Ale teraz w słabym świetle płynącym z holu i blasku lampy stojącej przed domem dostrzegł jasny ślad pojedynczej łzy, która wypłynęła z jej prawego oka i prawie dosięgła kącika ust. Dostrzegł

również błysk i migotanie w dolnej części jej lewego oka i nagle język zaczął mu się plątać, chwilę potem musiał przerwać swój monolog. Mrugnęła dwa razy i łza wypłynęła jej z oka, na jej lewym policzku pojawił się drugi, jasny ślad.

- Odejdź! - krzyknęła. - Po prostu idź już, Billy, dobrze? Nie zadawaj pytań. Nie chcę odpowiadać.

Halleck spojrział na nią i w jej oczach, pomimo łez, dostrzegł wyraz nieugiętości. Nie miała zamiaru powiedzieć mu, gdzie był Cary. I właśnie wtedy, wiedziony impulsem, którego nie potrafił zrozumieć zarówno wtedy, jak i później, bez zastanowienia rozpiął wiatrówkę i rozchylił ją tak, jakby się przed nią obnażał. Usłyszał zduszony okrzyk zdumienia.

- Spójrz na mnie, Leda - powiedział. - Straciłem siedemdziesiąt funtów. Słyszysz?

Siedemdziesiąt funtów!

- To nie ma nic wspólnego ze mną! - wykrzyknęła stłumionym, z lekka ochrypłym głosem. Jej twarz nabrała chorobliwie żółtawego odcienia. Na policzki wystąpiły jej pąsy, jak rumieńce na

malowane szminką na obliczu klowna. Oczy wydawały się surowe. Usta rozchyliły się w drapieżnym grymasie, ukazując idealnie utrzymane zęby.

- Nie, ale muszę porozmawiać z Carym - naciskał Halleck. Wszedł na pierwszy stopień werandy, w dalszym ciągu mając rozchyloną kurtkę. / naprawdę muszę - pomyślał - wcześniej nie byłem tego pewny, ale teraz wiem to na pewno.

- Proszę, Leda, powiedz mi, gdzie on jest. Jest tutaj?

- Czy to byli Cyganie, Billy?

Odpowiedziała pytaniem i przez chwilę zaparło mu dech w piersiach. Odrętwiała dłońią schwycił się za poręcz werandy. Wreszcie zdołał nabrać tchu. Rozległo się ciche - uff.

- Gdzie on jest, Leda?

- Najpierw odpowiedz na moje pytanie. Czy to byli Cyganie? I nagle teraz, kiedy miał szansę powiedzieć to na głos, stwierdził,

że ma z tym spore trudności. Przełknął głośno ślinę - i pokiwał głową.

- Tak. Myślę, że tak. Klątwa. Coś w rodzaju klątwy. - Przerwał. - Nie, nie coś w rodzaju. Dość tych bzdur i oszukiwania samego siebie. Wydaje mi się, że pewien Cygan rzucił na mnie klątwę. Spodziewał się, że kobieta wybuchnie ironicznym śmiechem. Często słyszał taką reakcję w swoich snach i wyobrażeniach. Ona jednak tylko pochyliła głowę, a jej ramiona nagle skurczyły się. Przedstawiła sobą obraz nędzy i rozpaczy tak głębokiej, że pomimo panicznego strachu Halleck poczuł drażniącą, nieomal bolesną potrzebę dzielenia z nią zakłopotania i grozy. Wszedł na drugi i trzeci stopień werandy, dotknął delikatnie jej ramienia i doznał szoku, dostrzegając na jej twarzy wyraz nie skrywanej nienawiści, kiedy w końcu uniosła głowę. Cofnął się gwałtownie, zamrugał... a potem chwycił się poręczy, aby nie spaść ze schodów i nie wylądować na ziemi. Jej reakcja była niemal identyczna z tą, którą on przez moment odczuwał względem Heidi tamtego wieczoru. Fakt, iż podobna nienawiść mogła zostać skierowana przeciwko niemu, wydał mu się zarazem niewytłumaczalny i przerażający.

76

- To twoja wina! - syknęła - to wszystko twoja wina! Czemu musiałeś potrafić tę głupią cyganidkę? To wszystko twoja wina!

Patrzył na nią, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Pizda? Sprawiał wrażenie zakłopotanego. Czyja usłyszałem, że Leda Ros-sington powiedziała "pizda"? Kto by uwierzył, że

ona w ogóle zna to słowo? I zaraz potem przyszło mu na myśl: Mylisz się, Leda. To była Heidi, nie ja... A ona czuje się świetnie. Jest cała w skowronkach. Zdrowa jak byk. Robi...

Nagle oblicze Ledy zmieniło się. Spojrzała na Hallecka ze spokojną, łagodną obojętnością.
- Wejdz - powiedziała.

Przyniosła mu martini, o które poprosił, w ogromnym kieliszku. Na wykałaczce w kształcie pozłacanego mieczyka były nabite dwie oliwki i małe kie cebulki. A może ten mieczyk był ze szczerego złota. Martini było bardzo mocne, ale Halleck nie miał nic przeciwko temu, choć doświadczenia po popijawach z ostatnich trzech tygodni wiedział, że jeśli nie zwolni tempa, niedługo się zwali. Jego wytrzymałość na alkohol malała równomiernie z utratą wagi. Mimo to pociągnął spory łyk i z wdzięcznością zamknął oczy, czując, jak alkohol rozlewa przyjemne ciepło wewnątrz jego żołądka. Dżin, cudowny, wysokokaloryczny dżin - pomyślał.

- On jest w Minnesocie - powiedziała matowym głosem, siadając ze swoim martini w rękę. Jej drink był większy niż ten, który nalała Billy'emu. - Ale nie pojechał z wizytą do rodziny.
Kleinie Mayo.

- Mayo...

- Jest przekonany, że to rak - ciągnęła. - Mike Houston nie potrafił wykryć żadnych nieprawidłowości, podobnie jak dermatolodzy z miasta, u których zasięgał porad, ale mimo to on nadal jest przekonany, że to rak. Czy wiesz, że z początku myślał, iż złapał od kogoś syfa?

Billy spuścił wzrok zakłopotany, ale to okazało się niepotrzebne.

77

Leda patrzyła nie widzącymi oczami, jakby mówiła do ściany. Od czasu do czasu sączyła łyk dżina. Poziom alkoholu zmniejszał się powoli, acz regularnie.

- Kiedy to w końcu powiedział, wybuchnęłam śmiechem. Roześmiałam się i powiedziałam:

"Cary, jak myślisz, że to jest syf, to wiesz mniej o chorobach wenerycznych niż ja o termodynamice". Nie powinnam go wyśmiewać, ale to był jedyny sposób, żeby... no wiesz, zmniejszyć napięcie. Napięcie i lęk. Lęk? Zgrozę.

Mike Houston przepisał mu maści, które nic nie pomogły, potem dermatolodzy stosowali inne, też bez rezultatu, a wreszcie zaczęli szprycować go zastrzykami, ale one również nie skutkowały. I właśnie wtedy przypomniałam sobie starego Cygana z na wpół wyżartym nosem i to, jak wyszedł z tłumu ludzi na pchlim targu w Raintree, w tydzień po twoim przesłuchaniu, Billy. Wyłonił się z tłumu i dotknął go... Dotknął Cary'ego. Przyłożył rękę do twarzy Cary'ego i powiedział coś. Spytałam go wtedy, co to było, i zapytałam go później, kiedy to zaczęło się rozprzestrzeniać, ale nic nie powiedział. Po prostu pokręcił głową.

Halleck wypił drugi łyk drinka, podczas gdy Leda postawiła swój pusty kieliszek na stoliku obok.

- Rak skóry - powiedziała. On jest przekonany, że to rak skóry, bo jest w 90% uleczalny. Znam dobrze jego sposób myślenia i byłoby dziwne, gdyby okazało się, że nie mam racji. Przeżyłam z nim dwadzieścia pięć lat, patrzyłam, jak zasiada w sędziowskiej ławie i załatwia interesy związane z nieruchomościami, pije i załatwia interesy związane z nieruchomościami, uganiania się za żonami innych facetów i załatwia interesy związane z nieruchomościami... Kurwa mać, siedzę tu i zastanawiam się, co bym powiedziała na jego pogrzebie, gdyby ktoś na godzinę przed ceremonią poczęstował mnie dawką pentotalu. Chyba brzmiałoby to mniej więcej tak: "Wykupił sporo terenów w Connedcut, gdzie obecnie stoją centra handlowe, zdarł majtki wielu babkom, wypił morze whisky, zostawił mi spory spadek, dzięki czemu będę bogatą wdową, przeżyłam z nim najlepsze lata swojego życia i miałam więcej futer z nerek niż orgazmów, dla-

78

tego spierdalajmy stąd czym prędzej, i chodźmy gdzieś do jakiejś knajpy". I może znajdzie tam ktoś na tyle pijany, że będzie mu obojętne to, iż trzy razy miałam robiony pieprzony lifting dwa razy w jebanym Meksyku i raz w jebanych Niemczech, a potem zedrze mi majtki. A niech to szlag. Po cholere mówię ci to wszystko? Faceci tacy jak ty umieją się tylko stroić, dobijać was i robić zakłady na meczach piłki nożnej.

Znów zaczęła płakać. Billy Halleck zorientował się od razu, że ten wielki kieliszek nie byłajmniej jej pierwszym drinkiem od rana; poruszył się nieznacznie na krześle i pociągnął solidny łyk martini. Ciepło, które powoli rozchodziło się w jego żołądku, było zwodnicze i zdawało się nie wróżyć nic dobrego.

- On jest przekonany, że to rak skóry, bo nie potrafi uwierzyć w coś tak nieprawdopodobnego jakżeś skie klątwy. Ale ja wiem, Billy, dostrzegłam to głęboko w jego oczach. Widziałam coraz wyraźniej podczas ostatniego miesiąca. Z każdym dniem narastało, zwłaszcza wieczorem. Wiesz, sądzę, że między innymi dlatego zdecydował się wyjechać. Domyślił się, że to odkryłam. Jeszcze jednego?

Billy jak odrętwiały pokręcił głową, gdy podeszła do baru, aby zrobić sobie jeszcze jedno martini. Przygotowała je w bardzo prosty sposób; napełniała kieliszek dżinem i wrzucała do środka parę oliwek. Kiedy opadały na dno, ciągnęły się za nimi dwie cienkie wstążki bąbelków. Nawet z miejsca, gdzie siedział, po drugiej stronie pokoju, czuł charakterystyczny zapach dżinu. Co z Carym Rossingtonem? Co się z nim stało? Część Billy Hallecka zdecydowanie nie chciała się tego dowiedzieć. Houston najwidoczniej nie znalazł związku pomiędzy tym, co się działo w Billyrn, i tym, co przytrafiło się Rossingtonowi - a niby czemu miałby to robić? Houston wiedział o Cyganach. Dlatego postępował rutynowo, w zgodzie z sumieniem lekarza.

Leda wróciła i ponownie usiadła obok niego.

- Jeżeli zadzwoni i powie, że wraca - stwierdziła ze spokojem - wyjadę do naszego domu w Captiva. O tej porze roku jest tam na

79

pewno bardzo gorąco, ale jeśli będę miała dość dżinu, to z pewnością nie zwrócę większej uwagi na temperaturę. Nie sądzę, abym zdołała z nim dłużej wytrzymać. Nadal go kocham, o tak, kocham go na swój sposób, ale chyba bym tego nie zniosła. Świadomość, że leży obok mnie, na drugim łóżku... i że mógłby... że mógłby mnie dotknąć. - Wzdrygnęła się. Odrobina drinka rozlała się. Wypiła resztę jednym łykiem, po czym prychnęła jak spragniony koń, który nie może co pić.

- Leda, co mu jest? Co się stało?

- Co się stało? Co mu się stało? Ależ, mój drogi Billy, myślałam, że ci powiedziałam albo że się tego jakoś domyśliłeś. - Billy pokręcił głową. Zaczynał przypuszczać, iż nie wie absolutnie niczego. - On pokrywa się łuskami! Cały obrasta łuskami.

Billy spojrział na nią z rozdziawionymi ustami. Leda roześmiała się oschłym, pełnym goryczy, przeraźliwym śmiechem, po czym pokręciła głową.

- Nie, to niezupełnie tak. Jego skóra zmienia się w łuski. Stał się żywym przykładem wstecznej ewolucji, jarmarcznym dziwolągami. Zmienia się w rybę czy węża.

Nagle wybuchnęła śmiechem, a jej ostry, przejmujący skowyt zmroził Halleckowi krew w żyłach. Ona jest na skraju obłądka - pomyślał i ta myśl jeszcze bardziej go zaniepokoiła. Myślę, tak czy inaczej wyjedzie do Captiva, niezależnie od tego, co się stanie. Będzie musiała wyjechać z Fairview, jeżeli chce zostać przy zdrowych zmysłach. Tak.

Leda gwałtownie przyłożyła obie ręce do ust i przeprosiła, jakby nie wybuchła śmiechem, ale uczyniła coś znacznie gorszego. Billy, który nie był w stanie wydobyć z siebie słowa, tylko

pokiwał głową i mimo wszystko wstał, aby zrobić sobie drugiego drinka. Najwidoczniej łatwiej jej było mówić, kiedy stał przy barze, odwrócony do niej plecami i na nią patrzył, a on, zdając sobie z tego sprawę, celowo się nie spieszył, aby wrócić i usiąść obok.

Rozdział 11: Szale sprawiedliwości

Cary był wściekły – absolutnie oszalały z wściekłości, że został dotknięty przez starego Cygana. Następnego dnia udał się na spotkanie z szefem policji Raintree, Allenem Chaikerem. Chaiker był kumplem od pokera i miał zbliżone poglądy.

Powiedział Cary'emu, że Cyganie przybyli do Raintree bezpośrednio z Fairview. Spodziewał się, iż niedługo wyjadą sami. Byli w Raintree już od pięciu dni, a przeważnie wystarczały im trzy; dość czasu, aby wszyscy zainteresowani nastolatkiem poznali swoją przyszłość, a kilku zrozpaczonych, cierpiących na impotencję mężczyzn, i grupka kobiet w okresie przekwitania, zdołało pod osłoną nocy wślizgnąć się do obozowiska, żeby kupić tajemnicze wywary, znamienite leki, dziwne olejki i kremy. Po trzech dniach zainteresowanie miasta obcymi zwykle wygasało. Chaiker uznał, iż najwyraźniej czekali na pchli targ, który miał się odbyć w niedzielę. Było to doroczne wydarzenie w Raintree, ściągające tłumy z czterech okolicznych miasteczek. Choć raczej zgoła niegroźni – stwierdził Chaiker – Cyganie potrafią być niebezpieczni jak kuszone psy, jeśli dokuczy się im zbyt mocno. Postanowił więc pozwolić im na zabawianie i nabieranie mocno przerzedzonych tłumów na pchlim targu. Uznał jednak, że w poniedziałek rano, jeśli się sami wcześniej nie wyniosą, przepędzi ich.

Było się to jednak niepotrzebne. Kiedy nadszedł poniedziałkowy ranek, pole, gdzie obozowali Cyganie, było puste, z wyjątkiem brzd od kół, pustych puszek po piwie i sodówce (Cyganie najwyraźniej nie interesowało nowe prawo obowiązujące w Connecticut o zastawie za butelki i puszki), poczerniałych resztek kilku małych ognisk oraz para koców, tak zawszonych, że Chaiker, który miał je sprawdzić, ograniczył się jedynie do dźgnięcia ich kijem – bardzo długim kijem. W którymś momencie między zachodem a wschodem słońca

* Scales (ang.) – oznacza to zarówno szale, jak i łuski. (Wszystkie przypisy pochodzą tłumacza.)

81

Cyganie opuścili pole, wyjechali z Raintree poza powiat Patchin... a w gruncie rzeczy mogliby nawet, jak powiedział Chaiker swojemu staremu kumplowi od pokera, Cary'emu Rossingtonowi, opuścić tę planetę. Kogo to obchodziło? Odeszli, to dobrze. I krzyżyk na drogę.

W niedzielę po południu stary Cygan dotknął twarzy Cary'ego. Potem, w nocy. Cyganie wyjechali; w poniedziałek rano Cary poszedł do domu Chaikera, aby złożyć skargę (choć Leda Rossington nie potrafiła zrozumieć, na jakiej podstawie prawnej mógłby oprzeć swoją skargę); we wtorek rano zaczęły się kłopoty. Wziąwszy prysznic, Cary zszedł na dół na śniadanie, owinięty tylko w szlafrok i powiedział: – Spójrz na to.

To – okazało się plackiem stwardniałej, szorstkiej skóry, nieco powyżej splotu słonecznego. Skóra miała tam odcień nieco jaśniejszy niż ciało wokoło, zawsze o barwie kawy z mlekiem (golf, tenis, pływanie, a zimą opalanie się pod kwarcówką, zapewniały Cary'emu jednakową opaleniznę). Wydawało się jej, że owa nierówna plama miała nieco żółtawy kolor, tak jak

zgrubienia na piętach jej stóp, kiedy było szczególnie gorąco i sucho. Dotknęła tego (tu, chwilę, głos jej się załamał), po czym szybko cofnęła palec. Tkanka była szorstka, zrogowaciała zaskakująco twarda. Pancierz – przyszło jej natychmiast do głowy.

– Nie sądzisz chyba, że ten Cygan mnie czymś zaraził, co? – spytał z zakłopotaniem w głosie Cary. – Grzybicą strzygącą, łuszczycą albo jakimś innym cholerstwem.

– On dotknął twojej twarzy, a nie piersi, kochanie – odparła Leda. – A teraz ubierz się tak szybko, jak tylko możesz. Mamy brioche*. Włóż ciemnoszary garnitur z czerwonym krawatem i bądź elegancki, dobrze? Jesteś kochany.

Dwa dni później zawołał ją do łazienki, a jego natarczywy głos, brzmiący jak krzyk, sprawił, że przybiegła natychmiast. Wszystko, co najgorsze, objawia się nam w łazience – pomyślał Billy.

Cary

* Brioche – zawijane ciasto pieczone na drożdżach, zawierające dużo jajek

stał rozebrany do połowy, trzymając w ręku włączoną – i niemal zapomnianą – maszynkę, wpatrując się przestraszonymi oczami w lustro.

Placek stwardniałej, pożółkłej skóry powiększył się – zamienił się w plamę, przypominającą trochę kształt drzewa, które rozrastało się na klatce piersiowej ku górze i w dół, w kierunku pępka. To zmienione ciało wystawało na kilka milimetrów i było pokryte rozległymi pęknięciami; kilka z nich wydawało się na tyle głębokich, że można w nie było włożyć krawędź dziesięciocentówki. Po raz pierwszy pomyślała, że to coś wyglądało jak łuski. I poczuła, że zbiera jej się na wymioty.

– Co to jest? – prawie wrzasnął. – Leda, co to jest?

– Nie wiem – stwierdziła, usiłując nadać głosowi spokojne brzmienie – ale musisz się zobaczyć z Michaeliem Houstonem. To pewne. Jutro, Cary.

– Nie, nie jutro – powiedział, nadal patrząc na siebie w lustrze i przyglądając się

wzrostającą jak strzała plamie stwardniałego, pożółkłego ciała na swoim torsie.

– Jutro może mi się polepszy. Jeśli nie, pójdę do niego pojutrze. Ale nie jutro.

– Cary...

– Podaj mi krem Nivea, Ledo.

Zrobiła to i stała tam jeszcze przez chwilę, ale nie mogła znieść widoku, jak rozsmarowywał białą maść po tym zeszywniałym pożółkłym ciele – i uciekła do swojego pokoju. Powiedziała Halleckowi, że właśnie wtedy po raz pierwszy naprawdę czuła radość, że mieli osobne łóżka. Cieszyła się, że Cary, obracając się podczas snu, nie będzie mógł jej dotknąć. Dodała, że przez wiele godzin nie mogła usnąć, słuchając miękkiego skrob, skrob jego palców przesuwających się w tę i z powrotem po tym obcym ciele.

Następnego wieczoru powiedział, że jest lepiej; kolejnego dnia stwierdził, że zauważył dalszą poprawę. Miała wrażenie, że powinna dostrzec wyraz skrywania prawdy w jego oczach... i zrozumieć, że okłamywał siebie bardziej niż ją. Nawet w sytuacji ekstremalnej Cary pozostał takim samym egoistycznym skurwielem, jakim był

83

zawsze. Ale nie tylko on ponosi za to winę, stwierdziła ostro, w dalszym ciągu nie odwracając się od baru, przy którym obecnie stała, bawiąc się bez celu kieliszkami. Przez lata wytworzyła swój własny, oryginalny egoizm. Pragnęła i potrzebowała złudzeń tak samo jak on.

Trzeciego wieczoru wszedł do ich sypialni w samych tylko spodniach od piżamy. W jego oczach krył się ból, łagodność i otępienie. Czytała ponownie jeden z kryminałów Dorothy Sayers – jej ulubionej pisarki – i kiedy go zobaczyła, upuściła książkę. Chciała krzyknąć, ale nagle zabrakło

jej tchu. Billy pomyślał, że ludzkie reakcje nie są tak bardzo odosobnione, choć ktoś mógłby się tym upierać. Cary Rossington najwyraźniej podobnie jak on przeszedł okres oszukiwania siebie, po którym nastąpiła dramatyczna chwila załamania, kiedy przysły wszelkie nadzieje złudzenia.

Leda zobaczyła tę twardą, żółtą skórę (łuski – teraz nie mogła nazwać tego inaczej), pokrywającą większość klatki piersiowej Cary’ego i cały jego brzuch. Była obrzydliwa, zgrubiała i wystająca jak spalona tkanka. Szczeliny biegły zygzakami, przecinając się we wszystkich kierunkach, głębokie i czarne, a im dalej w głąb, tam gdzie nie miałyś ochoty zajrzeć, zmieniały barwę na żółto-czerwoną. I choć w pierwszej chwili mogłeś sądzić, że te pęknięcia są równie rzadkie jak szczeliny w leju po bombie, po kilku chwilach przyglądania się stwierdziłeś, że było inaczej. Na każdej krawędzi stwardniałe żółte ciało unosiło się nieco wyżej. Łuski. Nie rybie, ale gadzie jak niski jaszczurki, aligatora albo iguany. Większa część skóry znikła, pogrzebana pod żółto-czarnym pancerzem, a wykrzywione pasmo tego dziwnego, nowego ciała sięgało Cary’emu od piersi, pod pachę i kończyło się na plecach, jak zaciśnięty szpon jakiegoś ohydneho, niewyobrażalnego potwora. Jego pępek również znikł. I...

– Opuścił spodnie od piżamy – stwierdziła. Zajmowała się teraz trzecim drinkiem, popijając go jak ptaszek, krótkimi, drobnymi łyżkami. W jej oczach pojawiły się znowu łzy, ale to było wszystko. – Właśnie wtedy znowu odzyskałam głos. Zaczęłam krzyczeć, aby przestał, i zrobił coś... ale zdążyłam zobaczyć, że to sięgało długimi

84

żółtymi palcami w stronę jego krocza. Nie dotykało jeszcze jego członka... w każdym razie wtedy jeszcze nie... ale w miarę jak postępowało, jego owłosienie łonowe znikło; zajęły je żółte, twarde łuski.

– Wydawało mi się, że mówię o poprawie – stwierdziłam.

– Naprawdę tak sądziłem – odparł. I następnego dnia umówił się na wizytę u Houstona. A ten prawdopodobnie – pomyślał Halleck – opowiedział mu historyjkę o chłopaku z college’u, który nie miał mózgu, i staruszcze z trzecimi zębami. A potem spytał, czy nie miałby ochoty na mucha.

W tydzień później Rossington spotkał się z najlepszymi dermatologami z Nowego Jorku. Z miejsca stwierdzili, że wiedzą, co mu jest, i zarządzili "ostre" badania i

łuski zaczęły się powiększać i rozrastała. Rossington powiedział, że to nie jest bolesne. Jedyne, co czuł, to delikatne swędzenie na krawędziach ciała pomiędzy starą skórą a przerażającym, nowym najeżdżcą. Zrogowaciałe dało było absolutnie nieczułe. Z gorzkim i przerażającym uśmiechem, który zdawał się ani na chwilę nie zniknąć z jego twarzy, powiedział jej, że któregoś dnia zapalił papierosa i zgasił go sobie na brzuchu, robiąc to bardzo powoli.

Nie czuł bólu – w ogóle.

Przyłożyła obie ręce do uszu i krzyknęła, aby przestał. Dermatolodzy oznajmili Cary’emu, że są oszkiem zbici z tropu.

– Co to znaczy? – spytał Cary. – Przecież podobno wiedzieliście i byliście pewni.

– No cóż – odpowiedzieli – takie rzeczy się zdarzają. Rzadko, ha! ha!, bardzo rzadko, ale akurat tak się stało. Testy zawiodły.

Zarządzono nową kurację – serie zastrzyków i baterię hiperwitamin (dla tych, którzy nie znają terminów medycznych – hiperwitamin to witaminy o zwiększonej mocy). Podczas gdy wdrożono nową metodę leczenia, pierwsze pląty łuskowatej skóry zaczęły pojawiać się na szyi pod brodą, a w końcu na twarzy Cary’ego. W końcu dermatolodzy stwierdzili, że są bezradni.

Rzecz jasna, tylko chwilowo. Takie rzeczy nie są nieuleczalne. Nowoczesna medycyna... specjalna dieta... badania... gadka szmatka... bla... bla...

bla...

Cary nie chciał jej słuchać, kiedy próbowała porozmawiać o starym Cyganie... powiedziała Halleckowi, że raz nawet uniósł rękę, jakby chciał ją uderzyć... i zobaczyła pierwsze zgrubienia wybruszenia skóry w zagłębieniu pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym jego prawej ręki.

– Rak skóry! – krzyknął. – Rak skóry, rak skóry, rak skóry! A teraz, na miłość boską, zamknij dziób i przestań mi pieprzyć o tym starym pierdzielu!

Oczywiście on miał rację, a ona mówiła bzdury... niemniej jednak wiedziała, że to na pewno było sprawką starego Cygana, który wyszedł z tłumu na pchlim targu w Raintree i dotknął twarzy Cary'ego. Patrząc w oczy męża, nawet tamtego dnia, gdy uniósł dłoń, aby się na nią zamierzyć, dostrzegła, że on również to wie.

Wziął urlop, a dla jego zastępcy Glenna Petriego było prawdziwym szokiem, gdy dowiedział się, że jego stary przyjaciel, kumpel z sądu i podobnie jak on wielbiciel golfa, Cary Rossington nabawił się raka skóry.

Leda wyznała, że nie chce wspominać ani mówić o tym, co działo się przez następne dwa tygodnie. Cary spał jak zabity – sypiał na zmianę w ich pokoju na piętrze, w miękkim, ogromnym fotelu w swoim gabinecie lub po prostu opierając ukrytą w ramionach głowę na kuchennym stole. Każdego popołudnia, około czwartej, zaczynał ostre picie. Zasiadał w pokoju z butelką whisky J.W. Dant w pokrytej łuskowatą skórą dłoni i oglądał sedale komediowe takie jak Hogan's Heroes i Beverly Hills, potem wiadomości, zarówno lokalne, jak i krajowe, gry w rodzaju „Joker's wild” i „Family Feud”, i znowu jakiś film, kolejne wiadomości, serial i tak do drugiej trzeciej nad ranem. Przez cały czas pił whisky prosto z butelki jak coca-cole.

Bywało, że płakał. Wchodziła do pokoju i widziała, jak zalewa się łzami, podczas gdy na ekranie ogromnego telewizora sony Warner Andersen wołał: „A teraz zobaczymy to na taśmie?” – z entuzjazmem faceta zwołującego grupkę swoich byłych dziewczyn na rejs do Aruba. Bywało też – na szczęście rzadko – że zachowywał się jak kapitan Ahab podczas ostatnich dni „Pequoda” szalał po

86

całym domu, trzymając butelkę whisky w dłoni, która w zasadzie nie była już dłonią, krzycząc, że ma raka skóry, i pytając, czy ona go dobrze słyszy, bo nabawił się tej pieprzonej choroby od lamp ultravioletowych, ale ci dranie, którzy do tego dopuścili, zapłacą za to, o tak, drogo zapłacą, rozpiardoli ich wszystkich w drobny mak, zmiesza z błotem, rozetrze na miazgę, wyciągnie od nich w sądzie wszystkie pieniądze do ostatniego centa, tak że nie zostanie im nawet jedna para zasranych gaci. Czasami, kiedy był w takim nastroju, tłukł i rozbijał wszystko dookoła.

– W końcu uświadomiłam sobie, że miewał te... te napady... w dzień po tym, jak pani Marley przychodziła do nas, aby posprzątać – powiedziała matowym głosem. – Widzisz, kiedy ona pracowała w naszym domu, on zamykał się na poddaszu. Gdyby go zobaczyła, całe miasto natychmiast by się o tym dowiedziało. Po jej wizytach i pobycie na mrocznym poddaszu musiał z pewnością czuć się jak wyrzutek. Jak dziwoląg. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– A zatem pojechał do kliniki Mayo – rzekł Billy.

– Tak – stwierdziła i nareszcie na niego spojrzała. Jej oblicze było przepełnione przerażeniem.

Była pijana. – Co się z nim stanie, Billy? Co może się z nim stać?

Billy pokręcił głową. Nie miał zielonego pojęcia. Co więcej, nie chciał się nad tym zastanawiać, podobnie jak nie miał ochoty oglądać słynnych nowych zdjęć, na których południowowietnamski generał strzela w głowę domniemanemu kolaborantowi z Wietkongu. W głównej mierze dlatego,

że po prostu nie-potrafił tego pojąć.

- Wynajął prywatny samolot do Minnesoty, mówiłam ci już? Bo nie mógł znieść, że ludzie musieliby na niego patrzeć. Mówiłam ci to już, Billy?

Billy ponownie pokręcił głową.

- Co się z nim stanie?

- Nie wiem - odparł Halleck, a w myślach dodał: A tak na marginesie, Leda, co się stanie z nią?

- Kiedy wreszcie się poddał i wyjechał, jego dłonie przypominały łapy zakończone szponami. Oczy były dwiema... dwiema małymi, jasnymi, niebieskimi iskierkami wewnątrz przepastnych, oko-

87

lonych łuskowatą tkanką jam, a nos... - Wstała i chwiejnym krokiem podeszła do niego, potrącając nogą stolik kawowy, i to na tyle mocno, że przesunął się odrobinę w bok. Teraz, nie czuje - pomyślał Halleck - ale jutro będzie miała na nodze niezłego siniaka i przy odrobinie szczęścia dojdzie do tego, jak i kiedy go zyskała. Schwyciła go za rękę. Jej oczy wyrażały głębokie niezrozumienie i zgrozę. Mówiła tak przerażonym tonem, jakby mu się zwierzała, i Billy poczuł na plecach gęsią skórę. Jej oddech cuchnął wonią nie strawionego dzinu.

- On wygląda teraz jak aligator - powiedziała niemal czułym szeptem. - Tak właśnie wygląda, Billy. Jak coś, co przed chwilą wyczołgało się z bagien i włożyło ludzkie ubranie. Zupełnie nowe wcielenie; cieszyłam się, że wyjechał. Sądzę, że gdyby on tego nie zrobił, to ja bym opuściła dom. Tak po prostu spakowałabym walizkę i...

Przysuwała się coraz bliżej i bliżej, gdy wtem Billy podniósł się gwałtownie. Nie mógł już tego znieść. Leda Rossington zakołysała się do tyłu i Halleck właściwie w ostatniej chwili zdążył schwycić ją za ramiona... najwyraźniej on również wypił za dużo. Gdyby jej nie złapał, mogłaby rąbnąć głową w obity mosiądzem stolik kawowy z przeszklonym blatem (drobnostka, pięćset osiemdziesiąt siedem dolarów plus opłata pocztowa), ten sam, w który wyrznęła nogą i kto wie, czy nie skrzyłaaby sobie karku. Patrząc w jej oczy, przepętnione obłędem, Billy pomyślał, że może naprawdę chciałaby umrzeć.

- Leda, muszę już iść.

- Oczywiście - stwierdziła. - Wypiełeś, co swoje, pogadałeś, no i czas w drogę, czyż nie, drogi Billy?

- Przykro mi - powiedział. - Jest mi bardzo przykro i chciałbym cofnąć czas. Uwierz mi, proszę. I nagle, z głupia frant, dorzucił: - Kiedy zobaczysz się z Carym, przekaz mu ode mnie życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

- On teraz już prawie nie mówi - stwierdziła obojętnym tonem. - Widzisz, to atakuje również wnętrze jego ust. Pokrywa język i powoduje stwardnienie dziąseł. Ja mogę do niego mówić, ale on... on tylko chrząka i pomrukuje w odpowiedzi.

88

Wycofywał się do holu, uciekał przed nią, nie chciał już słyszeć jej miękkiego, bezlitośnie obojętnego głosu i widzieć przerażających, błyszczących oczu.

- To prawda - dorzuciła. - To znaczy on naprawdę zmienia się w aligatora. Spodziewam się, że niedługo będą musieli zamknąć go w zbiorniku... będą musieli stale nawilżać jego skórę. - Łzy spłynęły z jej zaczerwienionych oczu, a strużka dzinu z przechylonej szklanki, którą trzymała w dłoni, ściekała na buty.

- Dobranoc, Leda - wyszeptał.

- Dlaczego, Billy? Dlaczego musiałeś przejechać tę staruszkę? Cemu sprowadziłeś takie nieszczęście na Cary'ego i na mnie? Dlaczego?

- Leda...

- Wróć za kilka tygodni - stwierdziła, w dalszym ciągu zbliżając się do niego, podczas gdy Ballek szalały szukał za sobą klamki, a z jego twarzy nie zniknął ani na chwilę uprzejmy uśmiech; było to dla niego męczarnią. - Wróć i pokaż mi się znowu, kiedy stracisz kolejne czterdzieści pięćdziesiąt funtów. Będę się śmiała... i śmiała... bez końca.

Odnalazł klamkę. Przekręcił ją. Chłodne powietrze podziało na jego przegrzaną, opaloną skórę jak zimny prysznic.

- Dobranoc, Leda. I przepraszam...

- Oszczędź sobie przeprosin! - wrzasnęła i cisnęła w niego kieliszkiem z martini. Trafiła w ramę drzwi, po prawej stronie Billy'ego. Szkło rozprysło się w drobny mak.

- Dlaczego musiałeś ją przejechać, ty draniu? Cemu zrobiłeś to nam wszystkim? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Halleck dotarł do rogu Park Lane i Lantem Drive, po czym usiadł ciężko na ławce pod wiatą na przystanku autobusowym; cały się trząsał jak w gorączce, w żołądku miał istną rewolucję, a pod czaszką szumiało mu od wypitego dżinu. Potrąciłem JĄ i zabiłem, a teraz tracę na wadze i nie mogę tego powstrzymać. Cary Rossington prowadził sprawę w sądzie, bez jednego złego słowa uwolnił mnie

89

Z zarzutów, a teraz jest w klinice Mayo. Trafił do szpitala i jeśli wierzyć jego żonie, wygląda jak przyniesiony aligator. Kto jeszcze był w to zamieszany? Kto jeszcze był zaangażowany w sprawę Cyganów na tyle, że mógłby paść ofiarą zemsty?

Pomyślał o dwóch gliniarzach przepędzających Cyganów, kiedy przybyli do miasta... i mieli zacząć wyczyniać swoje sztuczki dla mieszkańców Fairview. Jeden z nich był zwyczajną płotką. Ot, po prostu glina wykonujący... Właśnie.

Wykonujący rozkazy.

Czyje? To oczywiste - szefa policji, Duncana Hopleya.

Cyganie zostali przepędzeni, bo nie mieli pozwolenia na publiczne występy. Ale naturalnie zrozumieli, że chodziło tu o coś więcej. Jeżeli chciałeś wypędzić Cyganów, mogłeś to zrobić, wybierając jeden z wielu zarzutów. Włóczęgostwo. Zakłócanie spokoju. Naruszanie porządku publicznego. Plucie na chodnik. Do wyboru, do koloru.

Cyganie ubili interes z farmerem mieszkającym po zachodniej stronie miasta, zgorzkniałym starcem nazwiskiem Amcaster. Zawsze potrafili znaleźć odpowiednie miejsce i osobę. Oni mają nosa do wyszukiwania takich ludzi jak Amcaster - pomyślał Billy, siedząc na ławce i wsłuchując się w deszcz bijący o dach wiaty. Prosta ewolucja. Potrzeba do tego tylko dwóch tysięcy przeganiania z miejsca na miejsce. Rozmawiasz z paroma ludźmi, może temu czy owemu madame Azonka przepowie przyszłość za darmo. Szukasz faceta, który ma ziemię, ale brakuje mu forsy, i który nie przepada za tym miastem lub prawami, jakie w nim ustanowiono; podczas sezonu łowieckiego rozstawia z czystej przekory paśniki w swoim sadzie, gdyż woli raczej, aby jelenie zjadły jego jabłka, niż którekolwiek zwierzę miałyby paść łupem myśliwych. Szukasz takiego faceta i za każdym razem go znajdujesz, w najbogatszych miasteczkach bowiem zawsze jest przynajmniej jeden taki Amcaster, a niekiedy nawet dwóch lub trzech, spośród których możesz wybierać.

Ustawili swoje przyczepy i samochody wkoło, tak jak dwieście, czterysta, a nawet osiemset lat temu stawiali wozy i wózki ich przodkowie. Uzyskali pozwolenie na palenie ognisk, a wieczorem

na polu rozlegał się gwar rozmów, śmiech i, co nieuniknione, z rąk do rąk przechodziły butelki. Na to wszystko Hopley mógł przymknąć oczy. Zwykle tak bywało. Ci, którzy chcieli kupić coś od Cyganów, mogli dotrzeć wzdłuż West Fairview Road do farmy Amcastera – przynajmniej nikt ich nie widział, bo wszystkie miejsca, gdzie przyjmowano tego typu niechcianych "gości", były solą w oku całego miasta.

Tylko że po wypadku i po tym, jak stary Cygan stał się mściwy, odwracając się na schodach sądu i dotykając twarzy Hallecka, wszystko się zmieniło i zmierzało ku najgorszemu.

Hopley dał Cyganom dwa dni – Halleck dobrze to pamiętał, a kiedy stwierdził, że nie zamierzają wyjechać, sam się tym zajął. Najpierw Jim Roberts cofnął im pozwolenie na palenie ognisk.

Pomimo iż przez cały ubiegły tydzień padały ulewne deszcze, Roberts powiedział im, że bardzo wzrosło w tych dniach zagrożenie pożarowe. Przykro nam. Niestety. Aha, i ten zakaz odnosi się również, prócz ognisk, do kuchenek gazowych, kuchni węglowych i ko-ksowników. Potem, rzecz jasna, Hopley odwiedził większość lokalnych sklepów, gdzie Lars Amcaster miał otwarty kredyt (zazwyczaj sporo przekroczony). Zjawił się między innymi w sklepie z artykułami żelaznymi, sklepie z żywnością na Raintree Road, gdzie można było również kupić ziarno, oraz w Normie's Sunoco. Hopley mógł także złożyć wizytę u Zacharego Marchanta w Connecticut Union Bank... gdzie znajdowała się hipoteka Amcastera.

Wszystko to było układanką z wielu elementów. Spotkanie przy kawie z tym, lunch z tantym, wizyty pod byle pozorem, drobne zakupy w jednym i drugim sklepie... parę piw z jeszcze jednym. A o zachodzie słońca, następnego dnia, wszyscy, którzy prowadzili jakiegokolwiek interesy z Amcasterem, zaczęli do niego wydzwaniać, mówiąc, że byłoby naprawdę dobrze, gdyby ci cholerni Cyganie wynieśli się z miasta... i wszyscy byliby z tego powodu naprawdę zadowoleni i wdzięczni.

Rezultat był dokładnie taki, jakiego spodziewał się Duncan Hopley. Amcaster poszedł do Cyganów, oddał im resztę z sumy, jaką uzgodnili za wynajem, po czym niewątpliwie stał się głuchy na

91

jakiegokolwiek protesty z ich strony (Halleck miał tu szczególnie na myśli żonglera, który najwyraźniej nie zdawał sobie jeszcze sprawy z trudnej sytuacji życiowej). Tego typu umów Cyganie nie mogli przedstawić w sądzie w charakterze dowodu.

Na trzeźwo Amcaster mógł im powiedzieć, bo mają szczęście, że trafili na uczciwego faceta, który chce im zwrócić różnicę za wynajem placu. Po pijanemu – a Amcaster lubił wypić sporo piwka – był nieco bardziej wylewny. Może powiedział, że w mieście są ludzie, którzy pragnęli ich stąd wyrzucić. Te siły zaczęły wywierać nacisk, któremu biedny mały farmer w rodzaju Amcastera nie był w stanie się przeciwstawić. Zwłaszcza kiedy był uzależniony od ludzi, których podburzano przeciwko niemu.

Cyganom z pewnością nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. To był dla nich (z wyjątkiem może żonglera) chleb powszedni.

Billy wstał i ruszył wolno w kierunku domu. Padał zimny, siekący deszcz. W sypialni paliło się światło. Heidi czekała na niego.

Nie... glina z wozu patrolowego odpada. To płotka. Tu chęć zemsty z pewnością nie wchodziła w grę. Amcaster też nie – on po prostu chciał zarobić pięć paczek gotówką, a wyrzucił ich ze swojej farmy po prostu dlatego, że nie miał innego wyjścia.

Duncan Hopley?

Hopley, możliwe. Nawet bardzo możliwe. Pod pewnym względem Hopley przypominał szczególną rasę tresowanego psa, którego podstawowym, głównym zadaniem było strzeżenie ustalonego, głęboko zakorzonego status quo miasteczka Faindew. Billy wątpił jednak, czy stary Cygan mógł podzielać ten sam pogląd, i to wcale nie tylko dlatego, że Hopley tak skutecznie przepędził ich z miasta po zakończeniu przesłuchań w sądzie. Do tego byli przyzwyczajeni. Ale zaniedbanie przez Hopleya dopełnienia czynności śledczych związanych z wypadkiem, w którym poniosła śmierć ta staruszka...

To było zupełnie coś innego, nieprawdaż?

Zaniedbanie dopełnienia czynności śledczych? Kurwa mać, Billy, nie rozśmieszaj mnie.

Zaniedbanie dopełnienia czynności śledczych jest grzechem przeoczenia. Hopley zaś jak tylko mógł, starał się zatuszować ewentualne dowody winy. Zaczniemy od tego, że nie

92

sprawił poziom alkoholu – we krwi. To było zwyczajne krycie, stary. Dobrze o tym wiesz i Cary Rossington też o tym wiedział.

Wiatr przybrał na sile, podobnie jak deszcz. Widział, jak na ulicy tworzą się kałuże.

Wiodowym blasku lamp okalających Lantem Drive woda odbijała się i wydawała dziwnie błyszcząca. Wysoko w górze rozległ się jęk i trzask gałęzi poruszanych wiatrem i Billy Halleck, zaniepokojony, gwałtownie uniósł głowę.

Muszę się zobaczyć z Duncanem Hopleyem.

Coś mu przyszło do głowy – coś, co mogło być iskierką dobrego pomysłu. I wtedy przypomniał sobie przerażone oblicze pijanej Ledy Rossington... przypomniał sobie jej słowa... To atakuje również wnętrze jego ust... Ja mogę do niego mówić, ale on tylko chrząka i pomrukuje odpowiedzi.

Nie dziś wieczór. Na dzisiaj miał już dosyć.

– Gdzie byłeś, Billy?

Była już w łóżku, leżąc w promieniach światła rzucanego przez nocną lampkę. Odłożyła książkę na bok, kładąc ją na kocu, a gdy na niego spojrzała, Billy zauważył, że miała ciemnobrązowe sińce pod oczami. Pomimo to nie było mu jej żal, przynajmniej dziś wieczór.

Przez chwilę miał chęć powiedzieć: Poszedłem, żeby się zobaczyć z Carym Rossingtonem. Ale ponieważ wyjechał, skończyło się na tym, że wypiliśmy parę głębszych z jego żoną. I nigdy byś nie uwierzyła, czego się od niej dowiedziałem, moja droga Heidi. Cary Rossington, który jeszcze w sylwestra łapał cię za cycki, zmienia się w aligatora. Kiedy umrze, z jego skóry będą mogli zrobić buty. Wyobrażasz sobie? Buty z sędzięgo.

– Nigdzie – odparł. – Po prostu wyszedłem na spacer. Rozmyślałem.

– Cuchniesz, jakbyś po drodze do domu wpadł w krzewy jałowca.

– Można tak powiedzieć. Prawdę mówiąc, wpadłem do pubu Andy'ego.

– De wypiliśmy?

93

– Dwa.

– A cuchniesz, jakbyś wypił pięć.

– Heidi, sprawdzasz mnie?

– Nie, kochanie. Ale nie chciałabym, żebyś tak się tym przejmował. Lekarze po przeprowadzeniu tych testów metabolicznych na pewno postawią diagnozę.

Halleck chrząknęła. Odwróciła się do niego. Jej oblicze przepełnione było przerażeniem.

– Prawdę mówiąc, dziękuj Bogu, że to nie rak. Pomyślał – i o mało nie powiedział tego na głos

–

że z pewnością musi być bardzo interesujące oglądać coś takiego z zewnątrz, móc obserwować narastającą zgrozę i koszmar. Nie powiedział tego, ale zdradziła to częściowo jego twarz, smętna i coraz bardziej nieszczęśliwa.

– Tak mi przykro – stwierdziła. – Po prostu... tak trudno powiedzieć cokolwiek, by cię nie urazić. Zdajesz sobie 7. tego sprawę, dziecino – pomyślał i ponownie w jego wnętrzu zapłonął gorący, gorzki płomień nienawiści. Po dwóch dzinach to uczucie przyprawiło go o depresję i mdłości. Kiedy wreszcie minęło, jego miejsce zajął wstyd. Skóra Cary'ego zmieniała się w Bóg wie co i obecnie sędzia nadawał się tylko do tego, aby wsadzić go do klatki i pokazywać jako dziwoląga na jarmarkach. Duncan Hopley mógł być całkiem zdrowy lub, kto wie, być może przytrafiło mu się coś jeszcze gorszego. Do diaska, Billy, przecież utrata wagi to w sumie nic strasznego, nie?

Zgasiwszy nocną lampkę, rozebrał się, po czym mocno objął Heidi ramionami. W pierwszej chwili była spięta i sztywna. Wreszcie, kiedy pomyślał, że chyba nic z tego, rozluźniła się. Usłyszał, jak płacze i stara się stłumić szloch, i pomyślał ze smutkiem, że jeżeli pisarze mają i faktycznie cierpienie uszlachetnia, a borykanie się z trudnościami pomaga stworzyć silny charakter, w jego przypadku wyniki są raczej mizerne.

– Heidi, tak mi przykro – powiedział.

– Gdybym mogła tylko coś zrobić – wyszeptła przez łzy. – Wiesz... gdybym tylko mogła coś zrobić, Billy.

94

– Możesz – odparł i dotknął jej piersi.

Kochali się. Z początku myślał: Robię to dla niej – ale potem uznał, że mimo wszystko też tego chciał. Tej nocy usnął spokojnie. Nie dręczyły go koszmarnie wizje przerażonej twarzy Ledy Rossing-ton i jej porażonych szokiem oczu, błyszczących w ciemności.

Następnego ranka wskazówka wagi zatrzymała się na 176 funtach.

Rozdział 12: Duncan Hopley

Załatwił sobie urlop w kancelarii pod pretekstem przeprowadzenia serii testów metabolicznych. Kirk Penschley prawie z radością przychylił się do jego prośby, a tym samym Halleck uświadomił sobie smutną prawdę, z którą dotąd nie mógł się pogodzić. Teraz, kiedy dwa z jego dawnych trzech podbródków znikły i po raz pierwszy od lat widać mu było kości policzkowe, podobnie jak inne wystające kości twarzy, stał się upiorem, widmem, z którym nie sposób było pracować.

– Do diaska, tak! – odrzekł Penschley, jeszcze zanim Billy zdążył wyniszczyć do końca, o co chodzi. Penschley był zanadto serdeczny, podobnie jak wszyscy inni, którzy wiedzieli, że coś jest tak, ale nie chcą się do tego przyznać. Spuścił wzrok, spoglądając w miejsce, gdzie powinien się znajdować brzuch. – Weź tyle urlopu, ile tylko chcesz. Bili. Tyle, ile potrzebujesz – odparł. Teraz zadzwonił do Penschleya z automatu w kafejce Barkera i powiadomił go, iż musi przedłużyć urlop. Może trzeba będzie zrobić coś więcej niż tylko testy metaboliczne, a to wymaga czasu. Znowu przyszedł mu do głowy ten pomysł. Nie był to jeszcze promyk nadziei, ale z pewnością jakaś szansa.

– Ile potrzebujesz? – spytał Penschley.

– Nie wiem na pewno – odrzekł Halleck. – Może dwa tygodnie. Może miesiąc.

Po drugiej stronie zapanowała głucha cisza. Halleck uświadomił

95

sobie, że Penschley wreszcie zrozumiał podtekst zawarty w jego słowach. Widzisz, Kirk, chodzi o to, że ja już nigdy nie wrócę. Diagnoza stwierdziła istnienie raka. Teraz zaczniesz się kapać, naświetlania, szprycowanie lekami przeciwbólowymi, wszczepy włosów, jeśli mi powypadają, lub przyjdzie mi do śmierci nosić peruki. Tak, Kirk, następnym razem, kiedy się zobaczymy, będę leżał w dębowej jesionce z jedwabną poduszką pod głową. I w tej samej chwili Billy, który bał się tak samo teraz jak przez ostatnie sześć tygodni, poczuł, że ogarnia go niewyobrażalne to jednak zbyt silne odczucie. To nie jest to, co chcę powiedzieć, do diaska. W każdym razie jeszcze nie teraz.

- Nie ma sprawy. Bili. Przekażemy sprawę Hooda Ronowi Bakerowi, ale myślę, że co do reszty, wystarczy po prostu, jak zwolnimy tempo.

Popieprz baka, niech pobrzdaka. Jeszcze dziś po południu zaczniesz przekazywać wszystko poszczególnym członkom zespołu, a co się tyczy sprawy Hooda, to przekazałeś ją Bakerowi w zeszłym tygodniu. Dzwonił do mnie w czwartek po południu i pytał, gdzie Sally włożyła te pieprzone oświadczenia Con-Gas. Jeżeli chodzi o zwolnienie tempa, to miałeś chyba na myśli częstotliwość niedzielnych przy jęcz kielbaskami z rusztu, w swoim domu w Yermont, a nie moją sprawę. Bajerować to my, ale nie nas.

- Sprawdzę, czy dostał akta sprawy - rzekł Bili i nie mógł się oprzeć, by nie dodać: - Wydaje mi się, że ma już oświadczenia Con-Gas.

Penschley zamilkł. Najwyraźniej musiał przełknąć to, co przed chwilą usłyszał. Wreszcie się odezwał:

- Cóż... gdybym mógł zrobić coś jeszcze...

- Owszem - rzekł Billy. - Choć to może zabrzmieć dość idiotycznie.

- O co chodzi? - W jego głosie brzmiało teraz zaciekawienie.

- Pamiętasz kłopoty, jakie miałem tej wiosny? Ten wypadek?

- Taak...

- Kobieta, którą potrąciłem, była Cyganką. Wiedziałaś o tym?

- Pisali o tym w gazetach - odrzekł z wahaniem Penschley.

96

- Należała do grupy... tak. Należała do pewnej grupy Cyganów. Oni tworzyli coś w rodzaju zespołu - szczepu czy jak to tam znać. Obozowali tutaj, w Fairview. Ubili interes z tutejszym farmerem, który potrzebował gotówki.

- Poczekaj chwilę, poczekaj - rzekł Kirk Penschley głosem pełnym podniecenia i ożywienia; ton smutku i żalości rozplątał się w jednej chwili. Billy uśmiechnął się pod nosem. Znał ten ton Penschleya i wolał go o wiele bardziej niż ten poprzedni. Wyobrażał sobie Kirka, czterdziestopięcioletniego, łysego, mającego zaledwie pięć stóp wzrostu, jak kładzie na białym blacie zółty bloczek z wrywanymi kartkami i bierze do ręki jeden z ulubionych długopisów. Kiedy działał na pełnych obrotach, Kirk był jednym z najbys-trzejszych, najbardziej nieustępliwych ludzi, jakich znał Halleck. - Dobra, mów dalej. Kim był miejscowy farmer?

- Amcaster. Lars Amcaster. Kiedy potrąciłem tę kobietę...

- Jej nazwisko?

Halleck zamknął oczy, próbując sobie je przypomnieć. To zabawne. .. ale od dnia przesłuchania ani razu nie myślał o tym, jak się nazywała...

- Lemke - rzekł w końcu. Nazywała się Susanna Lemke.

- L-e-m-p-k-e?
- Bez "p".
- W porządku.
- Po wypadku Cyganie zorientowali się, że nie są już mile widzianymi gośćmi w Fairview. Mam powód przypuszczać, że udali się do Raintree. Czy mógłbyś ich odnaleźć? Chcę wiedzieć, gdzie są teraz. Zapłacę ci za to z własnej kieszeni.
- Ma się rozumieć - rzekł jowialnie Penschley. - Cóż, jeżeli pojechali na pomoc w głąb Nowej Anglii, to prawdopodobnie uda się nam ich odnaleźć. Ale jeżeli wybrali się na południe, miasta, albo dalej do Jersey, to śmiem wątpić. Billy, martwisz się o wytoczenie sprawy cywilnej?
- Nie - odparł. - Ale muszę porozmawiać z mężem tej kobiety. Zakładając, że on był jej mężem.
- Och - rzekł Penschley, a Halleck ponownie był w stanie bez

97

trudu odczytać jego myśli, zupełnie jakby tamten wypowiedział je głośno. Billy Halleck chce uporządkować swoje sprawy, załagodzić wszelkie konflikty, boi się procesu. Może chce dać Cyganowi czek na okrągłą sumkę lub po prostu spojrzeć mu w twarz i powiedzieć "przepraszam", lub też pozwoli, aby tamten przyłożył mu w mordę.

- Dziękuję, Kirk - powiedział Halleck.
 - Nie ma o czym mówić - stwierdził Penschley - kuruj się.
 - W porządku - rzekł Billy i odłożył słuchawkę. Jego kawa ostygła.
- Wcale się nie zdziwił, kiedy stwierdził, że w komisariacie w Fair-view obowiązki Hopleya pełnił jego zastępca, Rand Foxworth. Powitał Hallecka dość serdecznie, aczkolwiek sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego, a na jego biurku, w teczce na sprawy przyjęte, znajdowała się cała masa papierów; nigdzie nie dostrzegł jednak dokumentów dotyczących spraw w toku i tych definitywnie rozwiązanych. Mundur Foxwortha był nieskazitelny, ale facet miał mocno przekrwione oczy.
- Dunc ma grypę - rzekł w odpowiedzi na pytanie Hallecka. Wymówka była dobra jak każda inna i z pozoru prawdziwa. - Nie ma go już od paru dni.
 - Och - rzekł Billy - grypa.
 - Tak - stwierdził Foxworth, a coś w jego wzroku sprawiło, że Billy bez trudu domyślił się prawdy.

Rejestratorka powiedziała Billy'emu, że doktor Houston ma pacjenta.

- To pilne. Proszę mu powiedzieć, że chcę z nim zamienić tylko parę słów.
- Łatwiej by było, gdyby zjawił się u niego osobiście, ale Halleck nie miał ochoty tłuc się na drugi koniec miasta. W rezultacie siedział w budce telefonicznej (czego jeszcze niedawno nie byłby w stanie zrobić) po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko komisariatu. Wreszcie

98

w słuchawce rozległ się głos Houstona. Był chłodny, pełen dystansu i wyraźnie poirytowany. Halleck, który ostatnimi czasy coraz lepiej odczytywał podteksty - lub, być może, popadał w coraz większą paranoję - bez trudu zrozumiał informację zawartą w tonie jego głosu. Nie jesteś jut moim pacjentem, Billy. Czuję w tobie jakąś nieodwracalną degenerację, coś, co przyprawia mnie o paniczny lęk. Przyjdź z czymś, co będę w stanie rozpoznać, postawić diagnozę i przepisać lekarstwa. To wszystko, o co proszę. A jeżeli nie możesz mi tego zapewnić, to wybaczone, ale widzę podstaw, abyśmy mieli się widywać. Owszem, grywaliśmy razem w golfa, i to sporo, aczkolwiek nie sądzę, żebyśmy byli przyjaciółmi. Nigdy nimi nie byliśmy. Mam biper firmy Sony, aparaturę diagnostyczną wartą dwieście tysięcy dolarów i wybór środków

farmakologicznych, tak obszerny, że... że gdyby zrobić ich wydruk komputerowy, sięgałby od drzwi klubu "Country" aż do skrzyżowania Park Lane i Lontem Drive. Dysponując tym wszystkim, czuję się ważny, cwany i użyteczny. I nagle pojawiaasz się ty, sprawiając, ~~wyglądam~~ wyglądam jak XVII-wieczny medyk ze stoikiem pijawek na podwyższone ciśnienie i dżutem trepa -nacyjnym, aby leczyć nim bóle głowy. I wiesz co, wielki Billu? Nie podoba mi się, że ~~sakę~~ czujesz; absolutnie. To naprawdę nic przyjemnego. Więc spadaj. Ja umywam ręce. Przyjdę, żeby zobaczyć cię leżącego w trumnie... Chyba że zadzwoni mój biper i będę musiał jechać do pacjenta.

- Nowoczesna medycyna - mruknął Billy.

- Co, Bili? Będziesz musiał się streszczać. Mój pomocnik jest chory i mam dziś urwanie głowy.

- Jedno pytanie. Mikę - rzekł Billy. - Co się dzieje z Dun-canem Hopleyem?

Nagła cisza w słuchawce na drugim końcu linii trwała dobre dziesięć sekund. Potem zapytał:

- Czemu uważasz, że coś jest z nim nie tak?

- Nie ma go w komisariacie. Rand Foxworth mówi, że szef ma grype, ale łże jak pies.

Nastąpiła kolejna dłuższa przerwa.

- Jako że jesteś prawnikiem, Billy, nie muszę ci mówić, że

99

pytasz mnie o zastrzeżone informacje. Dobraliby mi się za to do dupy.

- Jak ktoś natknie się na tę małą buteleczkę, którą trzymasz w szufladzie, to też dobiorą ci ~~dupe~~ doł to tak, że już nigdy nie usiądziesz za biurkiem.

Kolejna chwila ciszy. Kiedy Houston odezwał się ponownie, jego głos zdradzał szewską pasję... ale można w nim było wyczuć drobną nutkę strachu.

- Czy to groźba?

- Nie - odrzekł znużonym tonem Billy. - Tylko nie próbuj mnie spławić. Mikę. Powiedz mi, co jest z Hopleyem, i skoń czmy tę rozmowę.

- Czemu chcesz wiedzieć?

- Na miłość boską... Widzisz, Mikę, nie wiem, czy naprawdę jesteś tak tępy, czy tylko udajesz.

- Nie mam pojęcia, o co ci...

- W ostatnim miesiącu w Fairview miały miejsce trzy przypadki dziwnych zachorowań. Nie znalazłeś pomiędzy nimi żadnego związku. W pewnym stopniu to całkiem zrozumiałe. Każdy z tych przypadków był na swój sposób inny. Jedyne, co je łączyło, to to, że były dziwne, wręcz niewytłumaczalne. Zastanawiam się, czy inny lekarz - na przykład taki, który nie ma zwyczaju pakować w siebie dziennie porcji kokainy za pięćdziesiąt dolców - również nie znalazłby związku między nimi pomimo zróżnicowanych symptomów choroby.

- Poczekaj chwilę!

- Nie. Nie będę czekał. Spytałeś, dlaczego chciałem wiedzieć, i, na Boga, powiem ci.

Równomiernie tracę na wadze, chudnę, pomimo że dziennie wpycham w siebie po osiem tysięcy kalorii. Cary Rossington cierpi na jakiś dziwny przypadek choroby skórnej. Jego żona mówi, że ~~z~~ znieńca się w dziwoląga. Wybrał się do kliniki Mayo. A teraz chcę wiedzieć, co się stało Duncanem Hopleyem, a po drugie, musisz mi powiedzieć, czy miałeś jakieś inne przypadki niewytłumaczalnych zachorowań.

100

- Billy, to zupełnie nie tak. Sprawiasz wrażenie, jakby cię coś opętało. Nie wiem, co to jest. Nie wiem, co to jest. Nie wiem, co to jest. Wiem, co robię. Potrzebuję konkretnej odpowiedzi. Jeśli nie uzyskam od ciebie, to i tak jakoś ją zdobędę.

- Poczekaj chwilę. Skoro mamy o tym rozmawiać, chciałbym przejść do swego gabinetu. Tam mam trochę więcej prywatności.

- Dobrze.

Rozległ się cichy szczepek, kiedy Houston odłożył słuchawkę, wciskając guzik oczekiwania na przełączenie do innego aparatu. Halleck siedział w budce telefonicznej spocony jak mysz zastanawiał się, czy aby Houston nie miał w ten sposób zamiaru go spławić. Rozległ się jednak kolejny szczepek.

- Jesteś tam jeszcze, Billy?

- Tak.

- Dobrze - powiedział Houston, a nuta rozczarowania w jego głosie była tyleż niedwuznaczna, co komiczna. Houston westchnął. - Duncan Hopley ma trądzik ropny.

Billy podniósł się i otworzył drzwi budki telefonicznej. Nagle zrobiło mu się w niej za gorąco.

- Trądzik!

- Krosty. Wągry. Pryszczki. To wszystko. Jesteś zadowolony?

- Ktoś jeszcze?

- Nie. I osobiście nie widzę w pryszczach niczego niezwykłego. Przez chwilę sprawiałeś wrażenie, jakbyś naczytał się za dużo Stephena Kinga, ale widzisz, to nie jest tak. Duncan Hopley cierpi na okresowy brak równowagi czynności gruczołów skórnych, to wszystko. W jego przypadku to nic nowego. Już od szóstej klasy miał problemy skórne.

- Bardzo racjonalne. Ale jeśli dodasz Cary'ego Rossingtona z jego skórą aligatora i Williama J.

Hallecka, cierpiącego na przypadek samoistnej anoreksji, to będziesz miał sytuację żywcem wyjętą z książki Stephena Kinga, nie uważasz?

Houston odrzekł spokojnie:

101

- Masz problemy z przemianą materii. Bili. Czy... sam nie wiem. Widziałem...

- Różne dziwne rzeczy. Wiem - odparł Billy. Czy ten zaćpany kokainą pierdziel był domowym lekarzem jego i całej rodziny od dziesięciu lat? Boże drogi, czy to była prawda?

- Widziałeś ostatnio Larsa Amcastera?

- Nie - odrzekł ze zniecierpliwieniem Houston. - Nie jest moim pacjentem.

Oczywiście, że on nie należy do twoich pacjentów - pomyślał z sarkazmem Billy. On nie reguluje na czas rachunków, prawda? A facet taki jak ty, który ma raczej dość kosztowne nałogi, nie może sobie pozwolić na pacjentów-dłużników, prawda?

- To już naprawdę ostatnie pytanie - rzekł Billy. - Kiedy ostatni raz widziałeś Duncana Hopleya?

- Dwa tygodnie temu.

- Dziękuję.

- Następnym razem, Billy, proszę, abyś się wcześniej umówił na rozmowę - powiedział nieprzyjaznym tonem Houston i odłożył słuchawkę.

Oczywiście Hopley nie mieszkał przy Lantem Drive, ale jako szef policji zarabiał całkiem nieźle i miał śliczny mały domek typu saltbox przy Ribbonmaker Lane.

Billy o zmierzchu zaparkował wóz na podjeździe, podszedł do drzwi i przycisnął dzwonek. Bez rezultatu. Zadzwonił ponownie. Żadnej odpowiedzi. Nacisnął raz jeszcze i przytrzymał. Nadal nic. Poszedł do garażu i postarał się, zajrzeć do środka. Wewnątrz stał wóz Hopleya, konserwatywne volvo, kurdybanowego koloru. Na tablicy rejestracyjnej widział napis - FVW 1. Nie było drugiego wozu. Hopley był kawalerem. Billy podszedł do drzwi i zaczął walić w nie pięściami. Tłukł się tak dobre trzy minuty, aż omdlała mu się ręka, kiedy rozległ się ochrypły głos:

- Spadaj! Wynoś się stąd! Spieprzaj!

102

- Wpuść mnie! - odkrzyknął Billy. - Muszę z tobą pogadać! Bez odpowiedzi. Po minucie Billy znów zaczął się dobijać. Tym razem nie otrzymał żadnej odpowiedzi, ale kiedy nagle przestał tłuc pięściami w drzwi, usłyszał dochodzący z drugiej strony cichy szelest. Coś się musiało. Nagle wyobraził sobie Hopleya stojącego tam, za drzwiami - przyczajonego i czekającego, aż nieproszony i uparty gość odejdzie i zostawi go w spokoju. W spokoju - czy Duncan Hopley mógł się na to zdobyć w tych dniach. Billy otworzył zaciśniętą pięść, która zaczęła go już boleć.

- Hopley, myślę, że tam jesteś - powiedział cichym głosem. Nie musisz nic mówić, po prostu mnie posłuchaj. To ja, Billy Halleck. Dwa miesiące temu byłem zamieszany w wypadek. Pewna Cyganka, która wyszła na jezdnię...

Poruszenie za drzwiami. Tym razem wyraźne. Szelest i odgłos szurania.

- Potrafiłem ją i zabiłem. A teraz tracę na wadze. Nie jestem na diecie ani nic takiego, po prostu. Jak dotąd, straciłem jakieś siedemdziesiąt pięć funtów. Jeżeli wkrótce tego nie powstrzymam, będę wyglądał jak ludzki szkielet i stanę się ponurą atrakcją na jarmarkach. Cary Rossington, sędzia Rossington, który przewodniczył sądowi podczas przesłuchania wstępnego i uwolnił mnie od winy, też jest chory - ma jakąś dziwną chorobę skóry...

Billy miał wrażenie, że słyszy cichy, stłumiony jęk, wyrażający zdumienie.

- ...i wyjechał do kliniki Mayo. Lekarze zapewnili go, że to nie rak, ale nie potrafią diagnozować. Rossington pewnie wolałby wierzyć, że to rak, niż poznać prawdę o tym, co go spotkało.

Billy przełknął ślinę. Z jego gardła dobiegł zduszony dźwięk. Poczł ból.

- To cygań ska klątwa, Hopley. Wiem, że to brzmi jak majaczenia obłąkańca, ale to prawda.

Teary Cygan dotknął mnie, gdy wychodziłem z gmachu sądu po przesłuchaniu. Dotknął

Rossingto-na, kiedy on i jego żona byli na pchlim targu w Raintree. Dotknął cię, Hopley?

Nastała długa, bardzo długa chwila ciszy... po czym do

103

ucha Billy'ego przez otwór na listy doszło pojedyncze słowo, posępne jak list pełen złych wieści.

- Tak...

- Kiedy? Gdzie? Bez odpowiedzi.

- Hopley, dokąd pojechali Cyganie po opuszczeniu Raintree? Wiesz? Cisza.

- Muszę z tobą pomówić - rzucił z rozpaczą w głosie Billy. - Mam pewien pomysł, Hopley.

Myślę...

- Nic nie możesz zrobić - wyszeptał Hopley. - To zaszło już za daleko. Rozumiesz, Halleck?

Za... daleko. Znowu ten sam szept, posępny, przytłumiony.

- Ale to przecież jakaś szansa! - ryknął wściekle Halleck. - Czy życie nic już dla ciebie znaczy? Zżarło cię to już do tego stopnia?

Bez odpowiedzi. Billy czekał, starając się znaleźć jakieś inne słowa, mocniejsze argumenty.

Nednak nie przychodziło mu do głowy. Hopley po prostu nie zamierzał go wpuścić. Już zaczął się odwracać, kiedy usłyszał szcęk otwieranych drzwi.

Billy spojrział w czarną szczelinę pomiędzy drzwiami a framugą. Znów posłyszał ten szelest szurania. Dźwięki oddalały się w głąb korytarza, spowitego w półmroku. Poczł na plecach, rękach i całym ciele gęsią skórę i przez chwilę miał mimo wszystko ochotę odejść. Do diabła Hopleyem, pieprzyć go. Jeśli ktokolwiek może znaleźć tych Cyganów, to jest nim Kirk

Penschley. A więc do diabła z Hopleyem. Olej go, nie jest ci potrzebny. Nie musisz zobaczyć, co się zmienia.

Thumiąc w sobie ten głos, Billy zacisnął dłoń na klamce drzwi wejściowych do willi szefa policji, otworzył je i wszedł do środka.

Zobaczył niewyraźną postać na drugim końcu korytarza. Drzwi po lewej otworzyły się; postać weszła do środka, zabłyśło słabe światło i przez moment na podłodze korytarza pojawił się długi,
104

chudy cień, który zgięty sięgał do połowy wysokości ściany, gdzie wisiało oprawione w ramki zdjęcie przedstawiające Hopleya, otrzymującego nagrodę od klubu rotariów z Fairview.

Zniekształcony cień głowy padł na fotografię jak omen.

Billy przeszedł przez korytarz. Był przerażony i teraz już nie starał się tego ukrywać. Spodziewał się, że lada chwila drzwi za jego plecami zatrzasną się, szczególnie przekręcana zasuwą... A w ciemności wyskoczy Cygan i schwyci mnie od tyłu, jak to zwykle bywa w tanich i kiepskich horrorach. Jasne. No, jazda stary, weź się w garść. Ale jego przyspieszony rytm serca ani myślał zwolnić. Nagle uświadomił sobie, że w małym domku Hopleya czuć było nieprzyjemną woń – ohydny fetor przypominający smród gnijącego mięsa. Stał przez chwilę w otwartych drzwiach. To przypominało pracownię albo gabinet, ale oświetlenie było tak słabe, że utrudniało orientację.
– Hopley.

– Wejdz – wyszeptał słaby, świszczący głos.

Billy zrobił to.

Tak, to był gabinet Hopleya, nie miał wątpliwości. Było tu więcej książek, niż Billy przypuszczał, a podłogę pokrywał gruby, ciepły turecki dywan. Pomieszczenie choć małe, zapewne w normalnych okolicznościach robiło przytulne i miłe wrażenie. Pośrodku stał stół z jasnego drewna. Znajdowała się na nim niewielka lampa. Teraz Hopley postawił ją nisko, tak że abażur znajdował się mniej niż cal od blatu. Jedynie tam padał niewielki jaskrawy krąg światła, podczas gdy reszta pokoju tonęła w szarości. Sam Hopley był jedynie mroczną postacią siedzącą w czymś, co przypominało rozkładany fotel.

Billy przestąpił próg. W rogu stało krzesło. Billy usiadł na nim, mając świadomość, że wybrał krzesło najdalej od Hopleya. Mimo to wyteżał wzrok, starając się dostrzec policjanta.

Bezskutecznie. To było niemożliwe. Mężczyznę ogarnęła prawie ciemność. BiUy'emu się zdawało, że Hopley za chwilę podniesie lampę i oślepi go. Potem pochylił się naprzód jak glina "czarnego kryminału" z lat 40., krzyżąc: "Wiemy, że to zrobiłeś. Mac Gonigal! Nie zaprzeczaj! Przyznaj się! Przyznaj się, to pozwolimy ci na papierosa! Mów
105

prawdę, a dostaniesz szklankę zimnej wody i pozwolimy ci pójść do łazienki!"

Ale Hopley tylko siedział wciśnięty w fotel. Rozległ się cichy szelest, kiedy skrzyżował nogi.

– No więc?

– Chciałeś wejść. Wszedłeś. Powiedz, co masz do powiedzenia, Halleck, i wynoś się. Nie zaliczasz się do osób, z którymi chciałbym się spotkać.

– Nie należę również do ulubieńców Ledy Rossington – rzekł Billy – i szczerze mówiąc, głównie mnie obchodzi, co sobie o mnie myślicie. Ona uważa, że to moja wina. Przypuszczam, że ty również.

– Ile wychłabiłeś, kiedy potrafiłeś tę staruszkę, Halleck? Przypuszczam, że gdyby Tom Rangely zbadał ci poziom alkoholu we krwi, to ten mały balonik po jednym twoim dmuchnięciu pofrunąłby w niebiosy.

- Nic nie piłem, nic nie ćpałem - odparł Billy. Serce nadal waliło mu jak młotem, ale teraz bardziej pod wpływem gniewu niż strachu. Każde uderzenie odbijało się tępym bólem pod czaszką. - Chcesz wiedzieć, co się stało? Co? Wyobraź sobie, że akurat tego dnia moja żona postanowiła pobawić się ze mną w samochodzie. Akurat tego dnia, choć miała na to całe szesnaście lat. Nigdy dotąd nie robiła czegoś takiego. Nie mam pojęcia, czemu akurat wybrała ten dzień. Dlatego, choć ty i Leda Rossington, a najprawdopodobniej również Cary Rossington zrzucacie winę na mnie, bo to ja siedziałem wtedy za kółkiem, ja oskarżam o spowodowanie tego wypadku moją żonę, gdyż to jej dłoń tkwiła wówczas w moich gaciach. Ale może powinniśmy zrzucić odpowiedzialność za to wszystko na los, przeznaczenie albo jeszcze coś zupełnie innego przestać się nawzajem obwiniać.

Hopley chrząknął.

- A może chcesz, abym ci powiedział, jak klęcząc na kolanach, błagałem Toma Rangely'ego, żeby mi nie kazał dmuchać w balonik ani mi nie robił badania krwi? Jak płakałem ci w żakiet, żebyś zatuszował sprawę i wypieprzył tych Cyganów z miasta?

106

Tym razem Hopley nawet nie chrząknął. Ot, po prostu milczący kształt spoczywający w fotelu.

- Czy nie jest już trochę za późno na te wszystkie gierki? - spytał Billy. Jego głos stał się bardziej ochryply i nagle Halleck ze zdumieniem uświadomił sobie, że jest bliski płaczu. - Moja żona robiła mi to, fakt. Potrąciłem i zabiłem tę kobietę, to również prawda. Faktem jest, że była co najmniej pięćdziesiąt metrów od najbliższego przejścia dla pieszych. Ty zająłeś siędztwem, tak żeby nie było żadnych dowodów przeciwko mnie, a Cary Rossington oczyścił mnie z zarzutów. Takie są fakty, ale jeśli chcesz wiedzieć, to wszystko jest gównem. Skoro masz zamiar siedzieć tu po ciemku i winić każdego po kolei, to pamiętaj, przyjacielu, również sobie.

- Wspaniała mowa, Halleck. Naprawdę świetna. Widziałeś kiedyś ten film ze Spencerem Trącem? Musiałeś widzieć.

- Pierdol się - rzucił Halleck i wstał.

Hopley westchnął. - Siadaj.

Billy Halleck stał niepewnie, uświadamiając sobie, że jakaś jego część pragnie wykorzystać tkwiący w nim gniew do mało szlachetnych celów. Chciała też, aby jak najszybciej opuścił to miejsce, gdyż postać zasiadająca naprzeciw niego, w fotelu, napawała go śmiertelnym przerażeniem.

- Nie bądź takim świętoszkowatym kutasem - rzucił Hopley. - Usiądź, na miłość boską.

Billy usiadł, ze świadomością, że ma sucho w ustach, a drobniutkie mięśnie jego ud bezwiednie drgają i pulsują.

- Niech ci będzie, Halleck. Zgadza się. Mamy więcej wspólnego, niż nam się obu wydaje. Masz rację, najpierw działałem, a dopiero potem myślę. Ci Cyganie nie byli pierwszą bandą włóczęgów, jaką przepędziłem z tego miasta i już niejednokrotnie musiałem tuszować różne ciemne sprawy nobliwych mieszkańców naszego miasteczka. Oczywiście nie mógłbym im pomóc, gdyby narobili bigosu poza granicami Fairview... ale zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, ilu obywateli tego miasta nigdy się nie nauczyło, że świat nie jest ich własnością.

107

- A może wcale by cię to nie zdziwiło. - Z ust Hopleya dobył się nagle świszczący, zduszony śmiech, od którego na ramionach Billy'ego pojawiła się gęsia skórka. - To należy do moich obowiązków. Gdyby nic się nie wydarzyło, nikt z nas, ani ja, ani ty, ani Rossington, już dziś nie

pamiętałby o tych Cyganach – zupełnie jakby w ogóle nie istnieli.

Billy otworzył usta, aby żarliwie zaprotestować; chciał powiedzieć Hopleyowi, że przez resztę życia nie zapominałby tego ohydneho dręczącego stukotu... i nagle przypomniał sobie te cztery dni spędzone wraz z Heidi w Mohonk, kiedy oboje śmiali się radośnie, jedli ogromne porcje smakowitych potraw, wędrowali, kochali się każdego wieczoru, a bywało, że również i po południu. Ile czasu minęło od tego zdarzenia? Dwa tygodnie?

Ponownie zaniknął usta.

– Co się stało, to się nie odstanie. Wiedz, że tylko dlatego cię wpuściłem, bo dodajesz mi otuchy. Dobrze jest wiedzieć, iż istnieje taki ktoś, kto uznaje koszmar, jaki ci się przytrafił, za prawdziwy. Chciałem zobaczyć twoją obecność, bo czuję się samotny. I boję się, Halleck. Bardzo się boję. Jestem przerażony. A ty?

– Ja też – odrzekł krótko Billy.

– Wiesz, co mnie przeraża najbardziej? Że w tym stanie mogę jeszcze trochę pożyć. Tego się boję najbardziej. Pani Callaghee robi mi zakupy i dwa razy w tygodniu przychodzi, aby posprzątać i zrobić pranie. Mam tu telewizor i lubię poczytać. Moje akcje przez lata poszły w górę, jestem względnie oszczędny, myślę, że to, co mam, w zupełności by mi wystarczyło. A na jakie pokusy mógłby być narażony człowiek znajdujący się w mojej sytuacji? Mam kupić jacht, Halleck? A może wynająć odrzutowiec i polecieć z ukochaną do Monte Carlo, żeby obejrzeć wyścig Grand Prix w przyszłym miesiącu? Jak sądzisz, na ilu przyjęciach byłbym mile widziany, teraz, kiedy cała twarz rozpada mi się na kawałki?

Billy jak otępiały pokręcił tylko głową.

– A więc... mógłbym sobie tak żyć... i po prostu wegetować. Brnąć w to, tak jak teraz, aż do końca. Wyobraź sobie identyczne dni

108

i noce. I to mnie przeraża, bo takie życie jest absolutnie nie do zniesienia. Każdego dnia, każdego dnia, kiedy siedzę po ciemku, oglądając filmy i programy rozrywkowe w telewizji, wyobrażam sobie, że ten stary piernik, ten Cygan, śmieje się ze mnie.

– Kiedy... kiedy on...

– Dotknął mnie? Jeśli chcesz wiedzieć, pięć tygodni temu. Pojechałem do Milford, aby spotkać się z rodzicami. Zabrałem ich na lunch. Jako że wcześniej wypłem kilka piw, a parę następnych przy obiedzie, przed wyjściem z restauracji musiałem pójść do toalety. Drzwi były zamknięte. Czekałem, aż wreszcie otworzyły się i pojawił się w nich on. Stary pierdziel z gnijącym nosem. Dotknął mojego policzka i powiedział coś.

– Co?

– Nie dosłyszałem – rzekł Hopley. – Właśnie w tej chwili ktoś w kuchni upuścił na ziemię cały stos talerzy. Ale w gruncie rzeczy wcale nie musiałem usłyszeć tego, co on powiedział.

Wystarczy, abym spojrział w lustro.

– Prawdopodobnie nie wiesz, czy obozowali w Milford.

– Sprawdziłem to następnego dnia w komisariacie w Milford – odparł Hopley. – Możesz to nazwać zawodową ciekawością, rozpoznałem tego starego Cygana; takiej gęby nie sposób zapomnieć. Wiesz, co mam na myśli?

– Tak – rzekł Billy.

– Obozowali na farmie w East Milford przez cztery dni. Najwidoczniej ubili interes, tak jak gówniakiem na hemoroidy Amcasterem. Głina, z którym rozmawiałem, powiedział, że bardzo zaostrzyli im rygor i Cyganie rano tego dnia musieli wyruszyć w dalszą drogę.

– Po tym jak ten stary cię dotknął.

- Zgadza się.
- Czy uważasz, że wiedział, iż tam będziesz? Akurat w tej restauracji?
- Nigdy wcześniej nie zabierałem tam moich starych - rzekł Hopley. - To stara restauracja, którą właśnie wyremontowano. Za-

109

zwyczaj chodziliśmy do lokalu w innej dzielnicy miasta. To był pomysł mojej matki. Chciała zobaczyć, co zrobili z dywanami, boazerią czy czymś takim. Wiesz, jakie są kobiety.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czy uważasz, że on wiedział, gdzie cię dopaść? Nastąpiła długa cisza, nieruchoma postać siedząca w fotelu pograżyła się w zamyśleniu.
- Tak - powiedział w końcu Hopley. - Tak, myślę, że wiedział; kolejny obłąd, Halleck, co? Przecież nie mógł być przypadek, zgadzasz się?
- Nie - odrzekł Halleck. - Chyba nie. - Zachichotał cicho, a brzmiało to jak stłumiony krzyk.
- No więc, na czym polega ten twój pomysł, Halleck? Ostatnimi czasy nie sypiam dobrze i dość wcześnie zaczynam się już wiercić i kręcić na łóżku.

Billy poczuł się absurdalnie dziwnie, kiedy został poproszony o wyłożenie tego, o czym dotychczas jedynie rozmyślał. Jego pomysł wydał mu się nagle mamy i głupi, ba, nawet trudno go było tak określić - to zaledwie marzenie.

- Kancelaria adwokacka, w której pracuję, korzysta czasami z usług agencji detektywistycznej Bartona.

- Słyszałem o niej.
- Mówi się, że jest jedną z najlepszych. Ja... chcę powiedzieć, że... - Czuł Hopley, powinien siedzący w fotelu mężczyzna ani razu nawet się nie poruszył. Zebrał się sobie, powtarzając w duchu, że podobnie jak Hopley, wiedział równie dużo, a może nawet więcej, o tym, co się działo, a zatem miał z całą pewnością prawo mówić; przecież on też został "dotknięty".
- Chcę go znaleźć - stwierdził Billy. - Chcę z nim stanąć twarzą w twarz. Chcę mu powiedzieć, co się stało. Ja... ja chyba pragnę się oczyścić. Do końca. Choć przypuszczam, że skoro zdołał rzucić na nas klątwę, to równie dobrze może wiedzieć o wszystkim.

- Tak - rzekł Hopley.

Nieznacznie zachęcony, Billy ciągnął dalej.

110

- Mimo wszystko chcę mu opowiedzieć swoją wersję. Z mojego punktu widzenia. Ja ponoszę winę, to prawda, powinienem był zatrzymać wóz na czas i zrobiłbym to w normalnych okolicznościach. Zawiniła moja żona, która właśnie wtedy postanowiła się ze mną zabawić. Obciążam również Cary'ego Rossingtona, bo bez jednego słowa oczyścił mnie z zarzutów, i ciebie, bo zatuszowałeś sprawę, a potem przepędziłeś tych Cyganów z miasta.

Billy przełknął ślinę.

- A potem powiem mu, że to była również jej wina. Tak. Ona przechodziła przez ulicę w niedozwolonym miejscu. Tak, Hopley, wiem, że to nie jest przestępstwo, za które posyłają ludzi do komory gazowej, ale mimo wszystko jest to wykroczenie. A wiesz dlaczego? Dlatego że można zostać zabitym, i to właśnie tak, jak zginęła ta staruszka.
- Chcesz mu to powiedzieć?
- Nie tylko chcę, ale zrobię to. Ta kobieta wyszła spomiędzy dwóch zaparkowanych samochodów i ani razu nawet się nie obejrzała. Uczą tego dzieciaków w trzeciej klasie podstawówki.
- Szczerze mówiąc, nie sądzę, aby ta kobieta doszła kiedykolwiek do trzeciej klasy szkoły

podstawowej – stwierdził Hopley. – W gruncie rzeczy wątpię, czy w ogóle chodziła do podstawówki.

– Mimo wszystko – rzekł z uporem Billy – zdrowy rozsądek nakazuje...
– Halleck, ty sam chcesz położyć głowę pod topór – powiedział cię , który był Hopleyem. – Teraz jedynie tracisz na wadze, chcesz załapać coś o wiele gorszego? Może następnym razem ten Cygan zatka ci kiszki, podniesie temperaturę krwi do 110° F albo...
– Nie mam zamiaru siedzieć bezczynnie w Faindew i patrzeć, jak to nas zżera – rzucił wściekle Billy. – Może on potrafi to odwrócić, Hopley. Czy kiedykolwiek o tym myślałeś?
– Sporo o tym czytałem – rzekł Hopley. Sądę, że wiedziałem, co się dzieje, od momentu gdy zobaczyłem pierwszy pryszcz nad prawą brwią. Właśnie w tym miejscu pojawiały się pierwsze oznaki trądziku, kiedy byłem jeszcze w liceum, a wtedy miałem okrop-
111

ne pryszcze, możesz mi wierzyć. No i zacząłem się tym bliżej interesować. Jak powiedziałem, lubię czytać. I muszę ci powiedzieć, Halleck, że istnieją całe serie książek na temat **czarów** klątw, ale tylko kilka dotyczy ich odwracania.

– Cóż, być może on nie jest w stanie tego uczynić. Być może. Prawdopodobnie nie. Ale, do licha, mimo to muszę się z nim zobaczyć. Chcę spojrzeć mu w twarz i powiedzieć: "Nie podzieliłeś tego placka jak należy, starcze. Powinieneś być wykroić po kawałku dla mojej żony, swojej żony i może jeszcze jeden dla ciebie. Co ty na to? Gdzie byłeś, kiedy staruszka, nie rozglądając **więzła** na ulicę? Jeżeli nie była przyzwyczajona do chodzenia po mieście, to z pewnością musiałeś o tym wiedzieć. Gdzie się podziewałeś? Czemu nie wzięłeś jej za rękę i nie przeprowadziłeś do pasów na rogu ulicy? Dlaczego?

– Wystarczy – rzekł Hopley. – Gdybyś odstawił taką mowę w sądzie, na pewno byś mnie przekonał, ale zapomniałeś o najważniejszej rzeczy.
– To znaczy? – spytał oficjalnym tonem Billy.
– Natura ludzka. Możemy być ofiarą czegoś, co jest nadnaturalne, ale tak naprawdę walczymy **ludzką naturą**. Jako oficer policji, przepraszam, były oficer policji, nie mogę się zgodzić **zwierdzeniem**, że istnieje absolutne dobro i absolutne zło. To nieprawda, uważam, że nie **ma**egoś takiego, są jedynie różne odcienie szarości, jaśniejsze i ciemniejsze. Ale jak sądzisz, **ma** tej kobiety to kupi?
– Nie mam pojęcia.

– Ale ja wiem – rzekł Hopley. – Jestem w stanie wyczuć tego faceta tak idealnie, że czasami **ma**żenie, jakbym odbierał wysyłane przez jego umysł sygnały. Przez całe życie się tułał, przyjechał do miasta, skąd wypędzono go natychmiast, kiedy tylko "praworządni obywatele" zakupili już tyle marychy i haszyszu, ile tylko chcieli i przegrali wszystkie drobne na **fortuny**. Przez całe życie wyzywano go od "brudnych, zawszonych Cyganów", a może nawet gorzej. "Praworządni, dobrzy" obywatele zapuszczają korze-

112

nie, oni nie mają żadnych. Ten facet musiał widzieć, jak w latach trzydziestych i czterdziestych dla kawału puszczano z dymem ich namioty, a kto wie, czy w środku nie było wówczas niemowląt i niedołączonych starców. Takie przypadki podpaleń miały miejsce dość często. Mogło przy tym spłonąć wielu ludzi. Widział, jak jego córki, lub córki jego przyjaciół, **ba**stawiane, a może nawet gwałcone, ale co tam, przecież wszyscy wiedzą, że ci Cyganie pieprzą się jak króliki, więc ten jeden raz im nie zaszkodzi. A zresztą, kogo to obchodzi. Przecież

te dziewczuchy to tylko zwykłe dziwki. Być może był świadkiem pobicia synów lub innych Cyganów; często nieomal ocierali się o śmierć, tylko dlatego, że paru mieszcuchów uznało się za oszukanych przy grze w koło fortuny. I za co? Za tych kilka przegranych dolców. Zawsze było tak samo; przyjeżdżałeś do miasta, "dobrzy mieszkańcy" dostawali, co chcieli, a potem przepędzali. Czasami pozwolili pobyc ci tydzień na jednej z farm, gdzie uprawia się groch, niekiedy trwało to aż miesiąc. Mimo to na koniec zawsze rozlegał się trzask bicia. Wyobraź sobie tylko, Hal-leck. Tłusty, napalony adwokat z trzema podbródkami i policzkami obwisłymi jak u buldoga potrąca na ulicy swoją żonę. Kobieta ma około siedemdziesięciu lat, jest na wpół ślepa i być może rzeczywiście wychodzi na ulicę trochę za szybko, ale, kto wie, może chce najszybciej wrócić do siebie, bo się boi, że się zmoczy, a stare kości łamią się łatwo, są jakby szkła, i myślisz sobie, może ten raz, tylko ten jeden raz, proszę o odrobinę sprawiedliwości, małą zemstę za całe to przesrane życie i...

- Wystarczy - rzucił ochryple Halleck. - Może już wystarczy, co? - Jakby nieświadomie dotknął dłonią policzka; wydawało mu się, że nadmiernie się poci, ale krople ściekające po policzku nie był pot. To były łzy.

- Nie, zasłużyłeś, aby wysłuchać tego do końca - rzekł z gorzką jowialnością Duncan Hopley. - Dokończ cze to, co zacząłem. Nie mam zamiaru odwożać cię od twoich postanowień, Halleck. Są rzeczy, o których nie śniło się filozofom, innymi słowy, wszystko jest możliwe, ale wydaje mi się, że za bardzo się łudzisz. Żyjesz w świe-

113

cię iluzji, Halleck. Otrząśnij się. Ten człowiek jest szalony. Jest wściekły. Kto wie, byłoby ci łatwiej dogadać się z jednym ze świrów ze szpitala psychiatrycznego Bridgewater. On pragnie zemsty, a dążąc do zaspokojenia tej żądzy, nie zwraca na nikogo najmniejszej uwagi. To nie obchodzi. Kiedy twoja żona ginie w katastrofie samolotu, nie masz ochoty słuchać, że ktoś układ A spieprzył się przy przełączniku B, pracownik kontroli lotów C się zagapił i tego nie uważał, a nawigator E wybrał niewłaściwy moment na pójście do sracza F. W takiej sytuacji pragniesz tylko zaskarżyć daną linię lotniczą i wyssać z niej szmal do ostatniego centa... Nie bpnąć kogoś z dubeltówki. Chcesz kozła ofiarnego, Halleck. Chcesz, aby ktoś cierpiał. I nie jesteśmy ofiarami, mi gorzej dla nas, tym lepiej dla niego. A on się cieszy. Być może rozumiem to trochę lepiej niż ty.

Powoli, bardzo powoli jego dłoń wślizgnęła się w wąski krąg światła rzucanego przez lampę, odwrócił ją ku górze, tak by oświetliła twarz byłego szefa policji. Halleck usłyszał stłumiony, głuchy dźwięk i ze zdumieniem stwierdził, iż wydobył się on z jego ust.

Przypomniał sobie słowa Hopleya: Jak sądzisz, na ilu przyjęciach byłbym mile widziany, teraz, kiedy cała twarz rozpada mi się na kawałki?

Oblicze Hopleya wyglądało jak krajobraz księżycowy. Na jego brodzie, szyi, ramionach i wierzchach dłoni widniały złowieszcze, czerwone krosty wielkości spodków. Mniejsze wypryski pokrywały jego policzki i czoło, nos obsypany był ohydnyimi wągrami. Strużki żółtawej ropy spływały pośród sterczących wypukłości krost na twarzy Hopleya. Tu i ówdzie widać było wąski strumyczek krwi. Na policzkach i brodzie pozostały rzadkie kępki twardych jak szczecina włosów, a Halleck z przerażeniem uświadomił sobie, że cierpiący na tak potworną dolegliwość szef policji z całą pewnością już od dawna nie był w stanie się golić. Pośrodku tego księżycowego krajobrazu, pomiędzy czerwonymi wzgórkami krost i pryszczycy znajdowały się przepelnione bezradnością, zapatrzone oczy Hopleya.

Wpatrywały się w Hallecka, zdawałoby się, że bezmyślnie, ale nieomal natychmiast odkryły uczucia obrzydzenia i bezgranicznej

zgrozy, jakie go przepełniły. Wreszcie Hopley pokiwał głową, jakby z zadowoleniem, i zgasił lampę.

– O Chryste, Hopley, tak mi przykro.

– Daruj sobie – rzekł Hopley, a owa dziwna jowialność powróciła do jego głosu. – Twój proces postępuje wolniej, ale koniec i tak będzie jednakowy. Mój służbowy pistolet znajduje się wrzeczniej szufladzie tego biurka i jeśli naprawę będzie ze mną kiepsko, zrobię z niego użytek, niezależnie od tego, jaki będzie stan moich zasobów w banku. Bóg nienawidzi tchórzy, ojciec stale mi to powtarzał. Chciałem, żebyś mnie zobaczył i zrozumiał. Wiem, co czuje ten stary Cygan. Bo ja nie wdawałbym się w żadne prawnicze gadki. Nie zadawałbym sobie tyle trudu. O nie, Halleck. Zabiłbym go za to, co mi zrobił.

Upiorny kształt poruszył się i nieznacznie zmienił pozycję. Halleck usłyszał, jak Hopley przesuwa palcami po policzku i zaraz potem rozległ się niemożliwy do opisania, ohydny dźwięk pękających krost i wypływającej z niej gęstej ropy.

Rossington porasta łuskami, Hopley gnije, a ja chudnę – pomyślał. Boże kochany, spraw, aby był sen, nawet niech się okaże, te wariowałem... ale nie pozwól, żeby to się działo naprawdę.

– Zabijałbym go bardzo wolno – rzekł Hopley. – Oszczędzę ci szczegółów. Billy usiłował coś powiedzieć, jednak zdobył się jedynie na ochryply skrzek. – Rozumiem, o co ci chodzi, ale nie kładłbym wielkich nadziei w powodzenie twojej misji – mruknął posępny tonem Hopley. – Czemu zamiast tego nie planujesz zabójstwa, Halleck? Dlaczego nie chcesz?...

Ale Halleck miał już dość. Doszedł do kresu wytrzymałości psychicznej. Wybiegł z tonącego w mroku gabinetu Hopley a, uderzając przy tym biodrem w kant biurka. Był przerażony; bał się, że Hopley wyciągnie jedną z tych przerażających rąk i dotknie go. Hopley nie uczynił tego.

Halleck wybiegł w noc i stał tam, przez dłuższą chwilę, z pochyloną głową i dygoczącymi mięśniami ud, oddychając głęboko, aby napełnić płuca świeżym powietrzem.

Rozdział 13

Do końca tygodnia przez cały czas nie dawała mu spokoju myśl, że powinien zadzwonić do Ginellego do "Trzech Braci". Ginelli mógłby może pomóc, ale Halleck nie potrafił określić, jakiej pomocy oczekuje. W końcu zrobił coś całkiem innego, a mianowicie zgłosił się do kliniki Glassmana i rozpoczął serię badań na przemianę materii. Gdyby był sam, tak jak Hopley (notabene Hopley kilkakrotnie pojawił się ubiegłej nocy w snach Billy'ego), odwołałby to wszystko. Ale musiał myśleć o Heidi... i o Lindzie, która była jeszcze naiwnym dziewczątkiem nie rozumiała tego, co się działo. Właśnie dlatego zgłosił się do kliniki, ukrywając swoje wewnętrzne przekonanie co do przyczyn gwałtownego chudnięcia, jak narkoman, który nie chce zdradzić zamiłowania do prochów. W sumie i tak nie mógł teraz nic zrobić, a podczas pobytu w klinice jego sprawami zajmują się Kirk Penschley i agencja detektywistyczna Bartona. W każdym razie miał taką nadzieję.

Był kłuty i dżgany. Wypił obrzydliwy, przypominający w smaku kredę, roztwór boru. Zrobiono mu prześwietlenie, tomografię czaszki, EEG i EKG, jak również całą serię testów metabolicznych. Przychodzący lekarze zachowywali się tak, jakby był rzadkim okazem zwierzęcia w zoo. Wielką pandą albo ostatnim ptakiem dodo – pomyślał Billy, siedząc w

solarium i trzymając nie czytany egzemplarz "National Geographic". Na dłoniach miał przyklejone plastry z opatrunkiem. Zrobili mu całą masę zastrzyków.

Rankiem drugiego dnia swego pobytu w klinice Glassmana, kiedy poddał się jeszcze jednej serii kłucia, dźgania, stukania i poklepywania, zauważył, że po raz pierwszy od... tak, chyba od czasów licealnych, mógł zobaczyć wyraźnie wystające żebra. Nie, nie od czasów licealnych – od zawsze. Jego kości stały się widoczne i sterczące, na skórze pojawiły się rzucane przez nie cienie. Znikły nie tylko grube wałeczki tłuszczu nad jego biodrami, ale teraz mógł wyraźnie dostrzec wyczuć zaokrąglone krawędzie kości miednicy. Dotykając jednej z nich, miał wrażenie, jakby kładł rękę na gałce zmiany biegów w swoim pierwszym samochodzie – pontiaku,

116

rocznik 1957. Roześmiał się pod nosem i zaraz potem poczuł w kącikach oczu drażniące łzy. Teraz wszystkie dni były podobne. Huśtawka nastrojów. W jednej chwili było dobrze, ale zaraz potem jego samopoczucie ulegało nieoczekiwanemu pogorszeniu. Tak jak z pogodą: zmienna, z możliwością przelotnych burz i opadów.

Zabijałbym go bardzo wolno – usłyszał słowa Hopleya – oszczędzę ci szczegółów. Dlaczego? – pomyślał Billy, leżąc w szpitalnym łóżku. Nie mógł usnąć. Nie oszczędziłeś mi szczegółów, jeżeli chodziło o całą resztę. Podczas swego trzydniowego pobytu w klinice Halleck stracił siedem funtów. Niewiele – pomyślał, z typowym dla siebie wisielczym humorem – niewiele. Mniej niż średniej wielkości torba cukru. W tym tempie nie zniknę zupełnie... aż do... o Prawie aż do października!

172 – rozległ się głos w jego myślach – teraz ważysz 172 funty i gdybyś był bokserem, przenieśliby cię z wagi ciężkiej do średniej... A może chcesz spróbować swoich sił w wadze piórkowej, Billy? Lekkiej? Koguciej? A może w muszej?

Przysłano kwiaty – od Heidi, od firmy. Linda na niewielkim dołączonym bileciku napisała: "Tatusiu, proszę, wyzdrowiej szybko. Kocham Cię. Lin". Czytając te słowa, Halleck płakał. Trzeciego dnia, ponownie ubrany w swoje rzeczy, spotkał się z trzema lekarzami przeprowadzającymi badania. W dzinsach i podkoszulku z napisem: "Spotkajmy się w Fairview" czuł się mniej bezbronny i bezradny; dopiero teraz zrozumiał, ile dla niego znaczyło pozbycie się tej ohydnej, szpitalnej koszuli. Słuchał ich, myśląc o Ledzie Rossington, i wysilił się na śmiećki

Wiedzieli dokładnie, co mu dolegało. Nie byli ani trochę zdziwieni czy zakłopotani. Au contraire, zdawali się tak podnieceni, że o mało nie narobili w spodnie. No cóż, może faktycznie powinni jeszcze zachować ostrożność. Może nie byli pewni, co mu konkretnie dolegało, ale z całą pewnością w grę wchodziła jedna z dwóch lub trzech ewentualności. Jedną była rzadka wyniszczająca choroba, której przypadków nie zanotowano poza obszarem Mikronezji. Drugą – dolegliwość metaboliczna, której nigdy dokładnie nie opisano. Trzecia, aczkolwiek było to tylko przypuszczenie, stanowiła psycho-

117

logiczną odmianę anoreksji – choroba tak rzadka, że jej istnienie, choć przez wielu domniemane, nigdy nie zostało oficjalnie potwierdzone. Po iskierkach w ich oczach Billy domyślał się, że planowali się właśnie ku temu wyjaśnieniu; ich nazwiska znajdują się w książkach medycznych. Tak czy inaczej, Billy Halleck był niewątpliwie rara avis, a jego lekarze przypominali dziecięce na prezenty w gwiazdkowy poranek.

Chcieli, aby pozostał w klinice jeszcze przez tydzień lub dwa (a najprawdopodobniej trzy). Wyleczą go, co do tego nie mieli wątpliwości. Uporają się z dręczącą chorobą. Rozprawią się

z

nią na dobre. Zamierzali zacząć od piorunującej dawki megawitamin (oczywiście!), poprzez setki tryków protein (jasne!), po kolejne jeszcze bardziej skomplikowane testy (ma się rozumieć!). Kiedy Billy podziękował im za ich trud i stwierdził, że ma zamiar opuścić klinikę, w odpowiedzi usłyszał zawodowy ekwiwalent skowytów, przy czym należy stwierdzić, że trzech lekarze nieomal dosłownie jęczeli i wyli ze zgrozy. Usiłowali protestować, przekonywać go, jak również wygłaszać uczone mowy. Billy, który ostatnio coraz częściej miał wrażenie, że traci zmysły, stwierdził, iż lekarskie trio wygląda jak trzy o ferm y. W głębi duszy spodziewał się, że ubrani wozchełstane białe kitle mężczyźni lada chwila zaczną się potrącać, przepychać i kręcić w kółko po wspaniale urządzonej gabinecie, tłukąc różne rzeczy i pokrzykując przy tym z charakterystycznym, brook-lyńskim akcentem.

- Niewątpliwie czuje się pan dużo lepiej, panie Halleck - powiedział jeden z nich. - Zgodnie z zapisami w kartotece cierpiał pan kiedyś na poważną nadwagę. Niemniej muszę pana ostrzec, że to, co teraz pan odczuwa, może być zwodnicze. Przy dalszej utracie wagi można się spodziewać, że zaczną się panu robić otwarte rany na ustach, będzie miał pan problemy skórne, jak również będzie pan narażony na ataki...

Jeżeli chcesz zobaczyć faceta, który ma problemy skórne, powinieneś się spotkać z szefem policji Fairview - pomyślał Halleck. - O, przepraszam, z byłym szefem policji.

Ni stąd, ni zowąd postanowił nagle, że znów zacznie palić...

118

- ...chorób zblizonych do szkorbutu czy beri-beri - ciągnął posępny tonem lekarz. - Stanie się pan wyjątkowo podatny na wszelkiego rodzaju infekcje, od zwykłych przeziębień, przez bronchit, po gruźlicę. Gruźlicę, panie Halleck - rzekł z naciskiem w głosie. - A jeżeli pan tu zostanie - stwierdził Billy. - Proszę zrozumieć, że to nie wchodzi w rachubę.

Jeden z pozostałych lekarzy łagodnym ruchem przyłożył palec do skroni, jakby nagle dostał potwornego ataku migreny. Być może faktycznie rozboleła go głowa, był to bowiem lekarz, który optował za psychologiczną odmianą anoreksji.

- Co mamy powiedzieć, aby pana przekonać, panie Halleck?

- Nic - odparł Halleck. W jego umyśle znów pojawiła się wizja starego Cygana; raz jeszcze poczuł łagodne, wręcz pieszczotliwe, dotknięcie dłoni mężczyzny na swoim policzku, szorstką, zrogowaciałą skórę palców przesuwających się po jego ciele. Tak - pomyślał - znów zaczynam palić. Coś naprawdę mocnego. Takie mordercze supertrujące świństwo jak camele, pali malle czy chester-foggies, czemu nie? Kiedy ci cholerni lekarze zaczynają wyglądać jak Larry, Curly i Moe, to już najwyższy czas, aby coś przedsięwziąć.

Poprosili go, aby chwilę zaczekał, po czym wyszli z gabinetu. Billy'emu było to na rękę, miał wrażenie, jakby dotarł do przerwy w tej szalonej sztuce, znalazł się w oku cyklonu, ale to mu podobano. .. był zadowolony... i pomyślał o wszystkich papierosach, jakie niebawem wypali; kto wie, może będzie nawet palił po dwa naraz.

Wrócili. Ich oblicza były posępne, ale na swój sposób wyniosłe i dumne. Tak, nie ulegało wątpliwości, że ci mężczyźni zdecydowali się na złożenie ostatecznej ofiary. Powiedzieli, że nieiążą go kosztami, będzie musiał zapłacić jedynie za badania laboratoryjne.

- Nie - odparł cierpliwie Billy. - Nie rozumiecie. Przecież i tak mam pełne pokrycie wszelkich kosztów leczenia. Sprawdziłem to. Po prostu chcę opuścić klinikę. Odchodzę. To wszystko.

Spływam stąd.

Przyglądali mu się z uwagą, najwyraźniej nie rozumiejąc, o co mu chodziło. Powoli ogarniała go ściekłość. Billy zastanawiał się,

119

czy powinien im powiedzieć, że kojarzą mu się z trzema ofermami, ale stwierdził, że to byłby najlepszy pomysł. W ten sposób wszystko by się skomplikowało. Tacy ludzie, jak ci tutaj, nie przywykli, aby rzucono im wyzwanie i odbierano kurę znoszącą złote jajka. Mogliby zadzwonić do Heidi i zasugerować, że w jego sprawie powinna zostać przeprowadzona komisja lekarska. A Heidi mogłaby wyrazić na to zgodę.

– Zapłacimy również za testy – rzekł w końcu jeden z nich, dając mu do zrozumienia, że ostatnia propozycja.

– Wyjeżdżam – rzekł Billy. Mówił bardzo cicho i spokojnie, ale zauważył, że tym razem wreszcie mu uwierzyli. Być może to spokój w jego głosie przekonał ich, że powodem nie były pieniądze, lecz totalny obłąd Billy’ego Hallecka.

– Ale dlaczego? Dlaczego, panie Halleck?

– Bo widzicie, panowie – powiedział Halleck –... wydaje się wam, że możecie mi pomóc... ale niestety... nie możecie. – I patrząc na ich twarze przepełnione niezrozumieniem i niedowierzaniem, Billy pomyślał, że jeszcze nigdy w życiu nie czuł się równie samotny.

W drodze do domu zatrzymał się przy sklepie z artykułami tytoniowymi i kupił paczkę chesterfieldów. Zaciągnął się zaledwie trzy razy, gdy zaczęło mu się kręcić w głowie, a żołądek podszedł do gardła. Bez chwili wahania wyrzucił papierosa.

– To by było na tyle, jeżeli chodzi o ten eksperyment – powiedział na głos, siedząc w samochodzie. Jednocześnie śmiał się i płakał. – Wracamy do punktu wyjścia.

Rozdział 14

Linda wyjechała.

Heidi, której drobne zmarszczki w kącikach oczu i ust znacznie się pogłębiły wskutek życia w napięciu (Billy zauważył, że obecnie

120

palila jednego vantage’a po drugim, kopcila jak lokomotywa), powiedziała Halleckowi, że wysłała Linde do ciotki Rhody w Westchester County.

– Zrobiłam to z paru powodów – stwierdziła Heidi. – Po pierwsze... ona musi od ciebie odpocząć, Billy. Od tego, co się z tobą dzieje. Prawie odchodzi od zmysłów. Jest pewna, że masz raka.

– Powinna pogadać z Carym Rossingtonem – mruknął Billy, kiedy wszedł do kuchni, aby zaparzyć kawę. Miał potworną ochotę na filiżankę kawy, mocnej i czarnej, bez cukru. – Wygląda na to, że mają wiele wspólnego.

– Co? Nie słyszę cię.

– Nieważne. Chcę wypić kawę, pozwól mi, proszę.

– Ona prawie w ogóle nie sypia – stwierdziła Heidi, kiedy wrócił. Bez przerwy zacierała dłonie. Rozumiesz?

– Tak – rzekł Billy i mówił prawdę... ale nadal miał wrażenie, jakby gdzieś w jego wnętrzu utkwił wielki cierń. Zastanawiał się, czy Heidi rozumiała, że on potrzebował Lindy, czy zdawała sobie sprawę, że jego córka, choć taka młoda, była dla niego oparciem? Miała być blisko niego i podtrzymywać na duchu, choć zdawał sobie sprawę, że nie ma prawa burzyć spokoju i zaufania Lindy ani powodować zachwiania jej równowagi psychicznej. Pod tym względem Heidi miała rację.

Ponownie poczuł w sercu nienawiść. Mamusia wywiozła kochaną córeczkę do ciotki, kiedy tylko zadzwonił Billy i powiedział, że wraca do domu. Jak to? Dlaczego? To proste! Przecież tatuś, czarny lud, upiór, widmo, wraca do domu! Nie uciekaj, kochanie, nie krzycz, to tylko chudnący człowiek...

Czemu tego dnia? Czemu musiała wybrać akurat ten dzień ?

- Billy? Nic ci nie jest? - W głosie Heidi wyczuł dziwne wahanie.

Jezu! Ty głupia dziwko! Wyszłaś za mąż za chudnącego w piorunującym tempie człowieka i jedyne, o co możesz spytać, to to, czy nic mi nie jest?

- Nie, chyba nie. Czemu pytasz?

- Bo... przez chwilę wyglądałaś tak... dziwnie.

121

Naprawdę? Naprawdę? Czemu wybrałaś ten dzień, Heidi? Czemu akurat tego dnia musiałaś sięgnąć ręką do mojego rozporoka, skoro przez tyle lat zawsze robiliśmy to po ciemku?

- Cóż, wydaje mi się, że ostatnio stale czuję się troszkę dziwnie - rzekł Billy, a w myślach ~~Musi~~ z tym walczyć, przyjacielu. To bez sensu. Co się stało, to się nie odstanie.

Ale przestać było trudno. Bardzo trudno. Zwłaszcza kiedy widziałeś ją, jak, pomimo nałogu palenia papierosów, wygląda dobrze, nawet całkiem dobrze i...

Ale powstrzymasz to, Billy. Zrobisz to. Za wszelką cenę.

Heidi odwróciła się i zdusiła niedopałek papierosa w kryształowej popielniczce.

- Po drugie... ukrywasz coś przede mną, Billy. Coś, co jest z tym związane. Czasami mówisz przez sen. Wychodzisz gdzieś wieczorami. A ja chcę wiedzieć. Zasluguję na to, aby wiedzieć. Zaczęła płakać.

- Chcesz wiedzieć? - zapytał Halleck. - Naprawdę chcesz wiedzieć? - Poczuł, że na jego obliczu pojawia się dziwny, na pół ironiczny uśmiešek.

- Tak, tak!

I Billy powiedział jej wszystko.

Następnego dnia zadzwonił do niego Houston i po długim, bezsensownym prologu, przeszedł do sedna sprawy. Była z nim Heidi. Odbyli długą rozmowę (A zaproponowałaś jej mucha? - chciał już spytać Halleck, ale w ostatniej chwili zmienił zamiar) i uznali, że Billy jest

~~kompatybilnie~~

- Mike - rzekł Billy - stary Cygan istnieje. Dotknął nas trzech: mnie, Cary'ego Rossingtona i Duncana Hopleya. Facet taki jak ty nie wierzy w zjawiska paranormalne, przyjmuję to. Niemniej jednak na pewno wierzysz w rozumowanie dedukcyjne i indukcyjne. A zatem weź to pod rozwagę. Każdy z nas trzech został przez niego dotknięty i wszyscy zapadliśmy na dziwne nieznanne choroby.

122

A teraz, na Boga, zanim zdecydujesz, że mi odbiło, postaraj się połączyć to wszystko w logiczną całość.

- Billy... tego nie można połączyć. Nie ma związku...

- Ja tylko...

- Rozmawiałem z Ledą Rossington. Mówi, że Cary jest w klinice Mayo, gdzie leczy się z powodu raka skóry. Leda mówi, że choroba jest w bardzo zaawansowanym stadium, ale wierzy, że on się z tego wyliże. Twierdzi przy tym, że nie widziała cię od przyjęcia gwiazdkowego u Gordona.

- Kłamie!

Cisza po stronie Houstona... ale czy mu się tylko wydawało, czy słyszał w tle płacz Heidi? Dłó

ń

Billy'ego zacisnęła się na słuchawce tak mocno, że aż pobielaty mu kłykcie.

- Rozmawiałeś z nią osobiście czy przez telefon?

- Przez telefon. Ale co to za różnica?

- Gdybyś ją zobaczył, zrozumiałbyś. Wygląda, jakby kompletnie straciła chęć do życia. Jeszcze nigdy nie widziałem kogoś tak załamane.

- Wydaje mi się, że gdybyś dowiedział się, że twój mąż ma raka skóry i choroba jest poważnym stadium...

- Rozmawiałeś z Carym?

- Jest na intensywnej terapii. Na tym oddziale pozwalają pacjentom na rozmowy telefoniczne tylko w ostateczności.

- Ważę teraz 170 funtów - stwierdził Billy. - Czyli straciłem dobre osiemdziesiąt trzy funty, uważam, że to chyba można uznać za sytuację ekstremalną. - Po drugiej strone linii zapanowała cisza, z wyjątkiem rozlegającego się w tle płaczu Heidi. - Porozmawiasz z nim? Spróbujesz?

- Jeżeli jego lekarze pozwolą i jeżeli będzie chciał ze mną rozmawiać, to tak. Ale, Billy, te halucynacje...

- To nie są żadne pieprzone halucynacje! Nie krzycz. Boże, nie rób tego.

Billy zamknął oczy.

- W porządku, w porządku - mruknął uspokajającym tonem

123

Houston. - Ten pomysł. Czy to lepsze określenie? Chciałem tylko powiedzieć, że to nie pomoże ci w powrocie do zdrowia. Prawdę mówiąc, może stanowić korzenie tej psychoanoreksji, jeżeli faktycznie, jak twierdzi doktor Yount, właśnie na to cierpisz. Ty...

- Hopley - rzekł Billy. Na jego twarzy pojawił się pot. Otarł czoło chusteczką. Przez moment, myślał, widział oblicze Hopleya, twarz, która przypominała jedynie wypukłą rzeźbę, przedstawiającą otchłań piekła. Upiorne zaczerwienione krosty, ciekące strużki ropy, a dźwięk, ten niemożliwy do opisanie dźwięk, kiedy przejechał sobie paznokciami po policzku. Po stronie Houstona nastąpiła długa cisza.

- Pomów z Duncanem Hopleyem. On potwierdzi...

- Nie mogę, Billy. Duncan Hopley dwa dni temu popełnił samobójstwo. Zrobił to, kiedy byłeś w klinice Glassmana. Zastrzelił się ze służbowego pistoletu.

Halleck mocno zacisnął powieki i zakotłował się na piętach. Czuł się tak jak wtedy, gdy zapalił papierosa. Uszczypnął się mocno w policzek, bo bał się, że zemdleje.

- A więc wiesz - powiedział, w dalszym ciągu nie otwierając oczu. - Ty albo ktoś inny, kto widział.

- Grand Lawlor go widział - rzekł Houston. - Dzwoniłem do niego parę minut temu.

Grand Lawlor. Przez moment przerażony, ogarnięty zakłopotaniem umysł Billy'ego nie był w stanie tego pojąć. - Wydawało mu się, że usłyszał zwrot "ława przysięgłych". I nagle go olśniło.

Grand Lawlor był powiatowym koronerem. Rzeczywiście, w swojej karierze miał jeden czy dwa przypadki, kiedy koroner składał zeznania przed ławą przysięgłych. Ta myśl sprawiła, że ni stąd, ni zowąd zaczął chichotać. Billy zasłonił dłonią mikrofon słuchawki, a w głębi duszy miał nadzieję, że Houston nie usłyszy jego śmiechu. Gdyby tak się stało, doktor z całą pewnością uznałby go za świra. A tobie byłoby w to graj, co. Mike? Chciałbyś uwierzyć, że mi odbito? Bo gdybym ześwirował i nagle zaczął coś bełkotać o tej małej butelczce i łyżeczce z kości słoniowej, nikt by mi nie uwierzył, zgadza się? Oczywiście, że tak.

124

Zadziałało, przestał chichotać.

– Spytałeś go...

– O szczegóły związane ze śmiercią? Po horrorze, który usłyszałem od twojej żony, to oczywiste, że go spytałem. – W jego głosie zabrzmiała nuta dumy. – Powinieneś się cieszyć, że kiedy mnie spytał, czemu chcę to wiedzieć, nie puściłem pary z gęby.

– Co powiedział?

– Że naprawdę z cerą Hopleya było kiepsko, ale na pewno nie tak koszmarnie, jak to przedstawiała Heidi. Opis koronera pozwala mi przypuszczać, że mieliśmy do czynienia z silnym atakiem trądziku młodzieńczego, z którym Duncan miał kłopoty, odkąd pierwszy raz przyszedł do mnie po poradę w 1974 roku. Te ataki wywoływały stany głębokiej depresji i w gruncie rzeczy wcale mnie to nie dziwi. Prawdę mówiąc, uważam, że trądzik młodzieńczy w najostrejszej formie jest jedną z chorób, które, choć nie są śmiertelne, powodują bardzo dokuczliwe urazy psychologiczne.

– Sądzisz, że nie mógł już na siebie patrzeć i w przyпадку depresji popełnić samobójstwo.

– Właśnie.

– Pozwól, że ci to wyjaśnię – rzekł Billy. – Wierzysz, że Duncan został dotknięty kolejnym, mniej lub bardziej zwyczajnym atakiem trądziku młodzieńczego, który od lat dawał mu się we znaki... ale jednocześnie twierdzisz, że zabił się dlatego, iż nie mógł już patrzeć na siebie w lustrze.

Wdziwna diagnoza. Mike.

– Nigdy nie mówiłem, że chodziło tylko o chorobę skórą – stwierdził Houston. Sprawił wrażenie rozdrażnionego. – Jak wiadomo, kłopoty zwykle chodzą parami, a niekiedy nawet całymi stadami, nigdy pojedynczo. Wśród psychiatrów, Billy, wskaźnik samobójstw jest wyjątkowo wysoki, ale policjanci nie są zbyt daleko w tyle za nimi. Prawdopodobnie nałożyło się kilka czynników, a atak trądziku młodzieńczego był jedynie kroplą, która przepełniła czarę.

– Powinieneś go zobaczyć – stwierdził posępnie Billy. – To nie była kropla, to był cały pieprzony wodospad Niagara!

– Nie zostawił listu, a więc sądzę, że nigdy nie dowiemy się prawdy?

125

– Chryste – rzekł Billy i przesunął dłonią po włosach. – Chryste Panie.

– Poza tym nie chodzi tu chyba o przyczyny samobójstwa Hopleya, prawda? To raczej sprawa drugorzędna.

– Nie dla mnie – rzekł Billy. – Absolutnie nie.

– Wydaje mi się, że naprawdę chodzi o to, iż twój umysł prowadzi z tobą nieczystą grę, Billy. Dręczy cię poczucie winy. Zameczasz się... tymi wymysłami o cygańskich klątwach... a kiedy tego wieczoru poszedłeś do Duncana Hopleya, po prostu zobaczyłeś to, co chciałeś. – W tonie głosu Houstona wyczuwało się nutę:

„Możesz mi to powiedzieć, stary”. – Czy przed pójściem do Duncana nie zajrzałeś czasem do pubu Andy’ego na parę głębszych? No, wiesz, dla kurażu przed tym spotkaniem?

– Nie.

– Jesteś pewny? Heidi mówi, że spędziłeś u Andy’ego trochę czasu.

– Gdybym tam był – stwierdził Billy – twoja żona musiałaby mnie widzieć, nie uważasz?

Nastąpiła długa chwila ciszy. Potem Houston odezwał się bezbarwnym tonem:

– To był, cholera, cios poniżej pasa, Billy. Ale mogłem się tego spodziewać po człowieku, który cierpi na ciężki stres psychiczny.

– Ciężki stres psychiczny. Psychologiczna anoreksja. Wy, chłopaki, potraficie na wszystko znaleźć odpowiedź. Na wszystko! Ale powinieneś go zobaczyć. Powinieneś... – Billy przerwał,

myśląc o zaczerwienionych krostach na policzkach Duncana Hopleya, ociekających ropą pryszczach i nosie, który pośród tej ohydnej upstrzonej ogromnymi wypryskami nawiedzanej twarzy był nieomal niewidoczny.

- Billy, czy nie zdajesz sobie sprawy, że twój umysł szuka logicznego wyjaśnienia tego, co się dzieje? Dręczy cię poczucie winy w związku z tą Cyganką i...

- Klątwa przestała działać, kiedy się zastrzelił. - Billy nagle usłyszał wypowiedziane przez siebie - Może właśnie dlatego -

126

go nie wyglądał aż tak źle. To tak jak w filmach o wilkołakach, które oglądaliśmy dzieciń stwie. Mike. Kiedy wilkołak zostaje w końcu zabity, ponownie przemienia się w człowieka!

Podniecenie zastąpiło zakłopotanie, jakie zaczęło go dręczyć, od kiedy dowiedział się o samobójstwie Hopleya i jego, bardziej lub mniej, normalnej chorobie. Jego umysł ożywiony nową myślą natychmiast zaczął ją badać, rozważając możliwości i prawdopodobieństwo.

Dokąd odchodzi klątwa, kiedy człowiek pozostający w jej szponach wreszcie kopnie w kalendarz? Cholera, równie dobrze mógłbym spytać, dokąd odchodzi ostatnie tchnienie umierającego. Albo jego dusza. W dal. Odpływa w dal. Daleko, daleko, hen. A może jest na to jakiś sposób?

Rossington - to pierwsze, co przyszło mu na myśl. Rossington przebywający w klinice Mayo i kurczowo trzymający się przeświadczenia, że ma raka skóry, gdyż inna możliwość przedstawiała się dużo gorzej. Czy kiedy Rossington umrze, on również powróci do?...

Uświadomił sobie nagle, że Houston umilkł. A w tle rozlegał się dźwięk, nieprzyjemny, ale znajomy... Płacz? Czy to Heidi, czyżby płakała?

- Czemu ona płacze? - rzucił ostro Billy.

- Billy...

- Daj jej słuchawkę!

- Billy, gdybyś mógł siebie usłyszeć...

- Do cholery, chcę z nią rozmawiać!

- Nie. Nie będziesz z nią rozmawiał. Nie w takim stanie.

- Dlaczego, ty pieprzony, mały ćpunie...

- Przestań, Billy! - Ryk Houstona był dostatecznie głośny, aby Billy na moment odsunął słuchawkę od ucha. Kiedy ponownie ją przyłożył, płacz w tle ucichł. - A teraz posłuchaj - rzekł Houston. - Wilkołaki nie istnieją. Podobnie jak nie ma cygańskich klątw. Czuję się głupio, ogólnie muszę ci mówić coś takiego.

- Czy nie zdajesz sobie sprawy, że właśnie na tym częściowo

127

polega problem? - spytał łagodnym tonem Billy. - Nie rozumiesz, że dlatego tym ludziom udawało się unikać podobnych sztuczek przez ostatnie dwadzieścia wieków czy...

- Billy, jeżeli rzeczywiście ciąży na tobie klątwa, to została ona nałożona przez twoją podświadomość. Przez twój umysł. Starzy Cyganie nie mogą przeklinać ludzi.

- Ja, Hopley i Rossington - rzekł grobowym głosem Halleck - wszyscy trzej jednocześnie. To jesteś ślepy. Mike. Połącz sobie to wszystko.

- Po zsumowaniu otrzymuję jedynie zwykły zbieg okoliczności, nic więcej. De jeszcze raz będziemy się kręcić na tej karuzeli, Billy? Wróć do Glassmana. Pozwól im, aby ci pomogli. Przestań doprowadzać swoją żonę do obłądu.

Przez chwilę kusiło go, aby się poddać i uwierzyć Houstonowi. Rozsądek i racjonalność w jego głosie, niezależnie od stopnia jego irytacji, przynosiły ulgę i otuchę. A potem pomyślał Hopleyu podnoszącym lampę tak, aby oświetliła mu twarz. Przypomniał sobie jego słowa. Zabijałbym go bardzo wolno, oszczędzę ci szczegółów.

- Nie - powiedział - lekarze w klinice nie są w stanie mi pomóc. Mike.

Houston westchnął ciężko.

- A zatem kto może? Ten stary Cygan?

- Jeżeli uda mi się go odnaleźć, to może on - powiedział Halleck. - Mało prawdopodobne, ale spróbuję. I znam jeszcze jednego faceta, który chyba potrafi mi pomóc. To pragmatyk, tak jak ty. - Ginelli. Jego nazwisko przyszło mu na myśl, kiedy wypowiadał te słowa. - Ale tak naprawdę, myślę, że sam muszę sobie pomóc.

- Właśnie to próbuję ci powiedzieć!

- Taak? A wydawało mi się, że radziłeś mi ponownie zgłosić się do kliniki Glassmana. Houston westchnął.

- Sądzę, że twój mózg również musi tracić na wadze. Czy zastanawiałeś się nad tym, jak krzywdzisz swoją żonę i córkę? Czy w ogóle kiedykolwiek o tym pomyślałeś?

128

Billy miał ochotę wykrzyknąć: A czy Heidi powiedziała ci, co mi robiła, kiedy wydarzył się ten wypadek? Czy już się przyznała. Mike? Nie? No to powinieneś ją o to spytać... Rany, tak.

- Billy?

- Heidi i ja porozmawiamy o tym - rzekł półgłosem Billy.

- Ale czy nie...

- Myślę, że przynajmniej pod jednym względem miałeś rację, Mike.

- Taaak? To punkt dla mnie. A co takiego?

- Mam już dość tego kręcenia się w kołko na karuzeli. Wsiadam - mruknął Billy i odłożył słuchawkę.

Mimo to nie doszło do rozmowy między nimi.

Billy starał się ją zagajać kilka razy, ale Heidi tylko kręciła przecząco głową; jej oblicze było blade i zacięte, a w oczach dły się oskarżycielskie iskierki. Odpowiedziała tylko: Stało się to trzy dni po telefonicznej rozmowie z Houstonem, tej samej, w czasie której usłyszał szloch zapłakanej Heidi. Właśnie skończyli obiad. Halleck spałaszował porcję jak dla drwala trzy hamburgery (z nadziewanymi bułeczkami posypanymi rodzynkami), cztery kolby kukurydzy (z masłem), talerz frytek i dwie dokładki deseru brzoskwińskiego z ostrym sosem. W dalszym ciągu nie miał dużego apetytu, ale odkrył pewien złowieszczy fakt - kiedy nie jadł, tracił więcej na wadze.

Heidi wróciła do domu po tej rozmowie - a raczej kłótni Billy'ego z Houstonem - blada i milcząca. Jej twarz była spuchnięta od płaczu. Billy, również zdenerwowany i zasmucony, nie zjadł tego dnia lunchu ani obiadu... i gdy zważył się następnego dnia, stwierdził, że stracił pięć funtów - obecnie ważył 167 funtów. Patrzył na wskaźnik, czując w żołądku lodowate zimno. Pięć funtów - pomyślał. Pięć funtów w jeden tydzień! Chryste!

Od tej pory nie zrezygnował z ani jednego posiłku.

Wskazał na swój pusty talerz - ogryzione do czysta kolby kukurydzy, okruchy z hamburgerów, resztki sałatki, frytek i deseru.

129

- Czy to wygląda na anoreksję, Heidi? - zapytał. - No, powiedz sama.

- Nie - odparła niechętnie. - Nie, ale...
- Odzywałem się w ten sposób przez cały zeszły miesiąc - stwierdził Halleck - i w ubiegłym miesiącu straciłem około sześćdziesięciu funtów. Jak wytłumaczysz tego typu działanie mojej podświadomości? Jak to możliwe, że tracę dziennie około dwóch funtów, skoro pochłaniam przeciętnie sześć tysięcy kalorii na dobę?
- Ja... ja... nie wiem, ale Mike... Mike mówi...
- Ani ty nie wiesz, ani ja nie wiem - stwierdził Billy, ciskając z wściekłością zmiętą chusteczkę na talerz. W żołądku czuł ciężar spożytego posiłku. - I Michael Houston też tego nie wie.
- No cóż, ale jeżeli to kłątwa, to czemu nic nie przytrafiło się mnie? - krzyknęła ochryple w ich oczach płonął ogień wściekłości, widział wyraźnie, że zbierało się jej na płacz.
Urażony, przerażony i chwilowo niezdolny, aby nad sobą zapanować, Halleck odkrzyknął:
- Bo on nie wiedział, ot co! To jedyny powód. Dlatego, że nie wiedział!
Ze szlochem odsunęła krzesło do tyłu, nieomal je przewracając, po czym uciekła. Przyciskała dłoń do twarzy, jakby nagle doznała potwornego bólu głowy.
- Heidi! - zawołał, podnosząc się gwałtownie od stołu. - Heidi, wróć!
Usłyszał tupot jej kroków na schodach. Potem doszedł go trzask zamykanych drzwi, ale nie były to drzwi ich sypialni. Odgłos dochodził z dalszej części korytarza. To musiał być pokój Lindy albo pokój gościnny. Halleck stawiał na pokój dla gości. Miał rację. Od tej pory, przez cały ten tydzień poprzedzający jego wyjazd, nie spała z nim w jednym łóżku.
Ten tydzień, ostatni tydzień, był dla Billy'ego istnym koszmarem, a przynajmniej tak zawsze nim myślał, kiedy wracał do niego

130

pamięcią. Zrobiło się gorąco, zupełnie jakby upalne lato przyszło tego roku dużo wcześniej. Nawet zazwyczaj chłodna i cienista Lan-tem Drive zdawała się odczuwać skutki upału. Billy Halleck jadł i pocił się, pocił się i jadł... i stale, regularnie tracił na wadze. Do końca tygodnia, wynajął wóz od Avisa i wyruszył wzdłuż I-95 w kierunku New Hampshire i Maine, stracił jedenaście funtów i ważył już tylko 156.

Przez cały ten tydzień lekarze z kliniki Glassmana wydzwaniali bez przerwy. Podobnie jak Michael Houston, Heidi patrzyła na Billy'ego zasmuconymi oczyma ze śladami zmęczenia, mnóstwo paliła i nie odzywała się ani słowem. Kiedy postanowił zatelefonować do Lindy, stwierdziła jedynie beznamiętnym głosem.

- Wolałabym, żebyś tego nie robił. W piątek, na dzień przed jego wyjazdem, ponownie zadzwonił Houston.

- Mike - rzekł Billy, zamykając oczy. - Przestałem już odbierać telefony od lekarzy z kliniki Glassmana. Przeszanę też reagować na twoje, jeśli nie dasz mi spokoju i dalej będziesz pieprzył bzdury.

- Nie robiłbym tego, przynajmniej na razie - rzucił Houston. - Chciałbym, Billy, abyś uważnie wysłuchał, co mam ci do powiedzenia. To ważne.

Billy wcale się nie zdziwił, kiedy stwierdził, że Houston obrał nową taktykę. Poczł jedynie zadrę największego żalu i zdrady. Czł się oszukany. Ale czy w głębi duszy się tego nie spodziewał?

Heidi znów była u niego. Przeprowadziła z Houstonem długą rozmowę, przy końcu której znów wpadła w histerię. Następnie Houston odbył kolejną konsultację z trzema ofermami z kliniki Glassmana (Nie masz się czym martwić, Billy, to zawodowy przywilej), po czym ponownie spotkał się z Heidi. Wszyscy byli zdania, że Billy powinien się poddać serii badań psychiatrycznych.

- Nalegam, abyś zgodził się na to z własnej woli - dokoń czył Houston.

- Założę się, że tak. I dobrze wiem, gdzie mam odbyć te

131

badania. W klinice Glassmana, zgadza się? Wygrałem szmacianą laleczkę?

- Cóż... myśleliśmy, że to byłoby logiczne...

- Uhm... Rozumiem. I jak sądzę, podczas gdy oni będą badali mój mózg, w dalszym ciągu będę musiał pić te ohydne roztwory boru i inne świństwa?

Houston dyplomatycznie milczał.

- A jeżeli powiem "nie"?

- Heidi z mocy prawa może się tym zająć - rzekł powoli Houston. - Rozumiesz?

- Rozumiem - stwierdził Billy. - Dajesz mi do zrozumienia, że ty, Heidi i tych trzech głupków kliniki Glassmana zbierzecie się razem i wyślecie mnie do wariatkowa, Sunnyvale Acres: "Naszą specjalnością jest wyplatanie koszyków".

- To dość melodramatyczne, Billy. Ona martwi się zarówno o Linde, jak i o ciebie.

- Oboje martwimy się o Linde - stwierdził Billy. - I ja też martwię się o Heidi. To znaczy bywają takie chwile, kiedy naprawdę nienawidzę jej z całego serca, a kiedy na nią patrzę, czuję, jak wszystko przewraca mi się w żołądku, ale ogólnie rzecz biorąc, nadal ją kocham. I martwię się o nią. Widzisz, ona nie powiedziała ci wszystkiego. Mike.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Zdaję sobie sprawę, że nie wiesz. Ale ci nie powiem. Ona pewno też tego nie zrobi, po prostu chce zapomnieć o wszystkim, co się stało, a teraz stara się wyolbrzymić szczegóły, które na początku mogła przeoczyć. I to właśnie z tego powodu. Powiedzmy, że Heidi ma swój własny krzyż, który musi dźwigać. Widzisz, ostatnio pali od jednej do dwóch i pół paczki papierosów dziennie.

Długa przerwa... po czym Mike Houston powrócił do poprzedniego tonu i tematu.

- Niezależnie od wszystkiego, Billy, uważam, że powinienesz poddać się badaniom dla dobra wszyst...

- Żegnaj, Mike - powiedział Halleck i powoli odłożył słuchawkę.

Rozdział 15: Dwie rozmowy telefoniczne

Billy spędził resztę popołudnia, kręcąc się tam i z powrotem po klimatyzowanych pomieszczeniach domu i dostrzegając odbicie swego nowego "ja" w lustrach i wypolerowanych powierzchniach.

Postrzeganie nas samych zależy dużo bardziej od naszej fizycznej budowy, niż nam się wydaje. To stwierdzenie bynajmniej nie poprawiło mu humoru. Czy to, ile jestem wart, zależy od tego, zajmuję miejsca na świecie? Chryste, to idiotyczne. Ten facet, Mr. T. mógłby wziąć Einsteina pod pachę i nosić go tak jak teczkę czy tornister przez cały dzień. Ale czy to oznacza, że jest jakiś sposób lepszy czy ważniejszy?

W jego mózgu rozbrzmiało upiorne echo T.S. Eliotajak odległy dźwięk dzwonu w niedzielny poranek. Nie to miałem na myśli, nie o to mi chodziło, absolutnie. I istotnie tak było.

Idęmiarów ludzkiego ciała jako wykładnika gracji, inteligencji czy dowód Bożej miłości przepadła, z chwilą kiedy korpulentny, chodzący jak kaczka, William Howard Taft przekazał

prezydenturę szczupłemu, wręcz chudemu, Woodrowi Wilsonowi.

Postrzeganie rzeczywistości zależy dużo bardziej od naszej fizycznej budowy, niż nam się wydaje.

Tak, rzeczywistość. To było bliższe prawdy. Kiedy widzisz, jak jesteś ścierany, funt po funcie, niczym skomplikowane równanie matematyczne zapisane na tablicy, to coś się dzieje z twoim poczuciem rzeczywistości. Nie tylko z własną rzeczywistością, ale i rzeczywistością w ogóle. Był gruby – nie korpulentny, nie z paroma funtami nadwagi – po prostu tłusty jak wieprz. Potem trochę zeszcupiał, doszedł do normy (jeżeli rzeczywistość było coś takiego – trzy oferty z kliniki Glassmana zdawały się uważać, że tak), po czym schudł, tylko że teraz już nie był chudy, lecz wychudzony, suchy jak szczapa. Co będzie dalej? Ten proces się pogłębia. Z wychudzonego stanie się ludzkim szkieletem. A potem? Tego nie był w stanie sobie wyobrazić. To przekraczało jego możliwości.

Nie przejmował się zbytnio tym, że mogą go zabrać do domu

133

wariatów, tego typu procedury były czasochłonne. Niemniej jednak ostatnia rozmowa z Houstonem uświadomiła mu wyraźnie, jak daleko zaszły sprawy i że było całkowicie niemożliwe, aby ktokolwiek kiedykolwiek mu uwierzył. Chciał zadzwonić do Kuka Penschleya – temu pragnieniu wręcz nie sposób było się oprzeć, aczkolwiek wiedział, że zaraz otrzymałby wiadomość, gdyby on albo jedna z trzech agencji detektywistycznych, które współpracowały z kancelarią, wpadły na jakiś trop.

Miał tego zadzwonił do Nowego Jorku. Od początku tej historii raz po raz przychodziło mu na myśl nazwisko Richarda Ginellego;

nadszedł czas, aby się z nim porozumieć. Tak na wszelki wypadek.

– "Trzej Bracia" – odezwał się głos po drugiej stronie. – Polecamy dziś szczególnie cielęcinę marsala i naszą własną wersję fettuccine Alfreda.

– Nazywam się William Halleck i chciałbym mówić z panem Ginellim, jeżeli jest osiągalny. Po chwili ciszy głos zapytał:

– Halleck?

– Tak.

Rozległ się cichy szcęk. Billy usłyszał w tle stłumiony szcęk i brzęk naczyń kuchennych. Ktoś kłął po włosku, ktoś inny się śmiał. Jak wszystko inne, tak i te odgłosy wydawały mu się ostatnio bardzo odległe. Wreszcie słuchawka została podniesiona.

– William! – Billy ponownie miał wrażenie, że Ginelli był jedynym człowiekiem, który zwracał się do niego po imieniu. – Jak się masz, paisant

– Straciłem trochę na wadze.

– No... to dobrze – rzekł Ginelli. – Byłeś zbyt duży, Willia-mie, zdecydowanie za duży.

– Trucieś?

– Dwadzieścia funtów.

– Hej! Gratuluje! I twoje serce też ci dziękuje. Trudno jest zrzucić wagę, co? Nie mów mi, wiem.

Te pieprzone kalorie, za nic się z nami nie chcą rozstać. Irlandczycy, jak ty, mają kałduny, które walają się nad paskiem. Makaroniarze, jak ja, stwierdzają pew-

134

nego dnia, że nie mogą się schylić, aby zawiązać sobie sznurówki, bo zaraz pękną im spodnie.

– W sumie to nie było aż takie tmdne.

– Zajrzyj do "Braci", Winiarnie. Przyrządę ci moją własną specjalność, kurczaka po

neapolitań sku. Jeden posiłek starczy ci, abyś odzyskał to, co straciłeś.

- Być może skorzystam z zaproszenia - stwierdził Billy, uśmiechając się pod nosem. Widział się w lustrze wiszącym na ścianie pracowni i miał wrażenie, że kiedy się uśmiechał, widział zbyt wiele zębów. Sposepniał.

- A życie jest krótkie, paisan. Zbyt krótkie. Mam rację?

- Tak. Chyba tak.

Ginelli zniżył nieznacznie głos.

- Słyszałem, że miałaś pewne kłopoty w Connecticut - powiedział tak jakoś tajemniczo, jakby Connecticut leżało gdzieś hen, na Grenlandii. - Przykro mi to słyszeć.

- Skąd się o tym dowiedziałeś? - spytał Billy, szczerze zdumiony. Artykuł o wypadku (bez podawania nazwisk, bardzo oględny) pojawił się tylko w "Fairview Reporter". W nowojorskich gazetach nie było o tym nawet wzmianki.

- Trzymam ucho przy ziemi - odrzekł Ginelli. I właśnie o to chodzi. Trzeba trzymać ucho przy ziemi - pomyślał Billy i zadrżał. - Mam z tym pewne problemy - powiedział Billy, starannie dobierając słowa. - Są one natury... ponadprawnej. Ta kobieta, wiesz o tej kobiecie?

- Tak. Słyszałem, że była Cyganką.

- Tak, tak. Cyganką. Miała męża. On... powiedzmy, że przysparza mi wielu kłopotów.

- Jak się nazywa?

- Wydaje mi się, że Lemke. Zamierzam zająć się tym osobiście, ale pomyślałem, że... gdybym nie mógł...

- Jasne, jasne, jasne. Zadzwoń. Może uda mi się coś zdziałać, a może nie będę chciał się zająć. Widzisz, przyjaźń przyjaźnią, ale interesy na pierwszym miejscu. Wiesz, o co mi chodzi?

135

- Tak, wiem.

- Czasami przyjaźń i interesy idą ze sobą w parze, ale bywa też na odwrót. Mam rację?

- Tak.

- Czy ten facet dybie na ciebie?

Billy zawahał się. - Nie chciałbym teraz zbyt wiele mówić, Richardzie. To dość niezwykła sprawa. Ale można tak to ująć - dybie. I to bardzo ostro.

- No to, kurde, Williamie musimy pogadać, i to teraz! W głosie Ginellego pojawiło się natychmiast szczere i nie skrywane zatroskanie. Billy poczuł, jak łzy napływają mu do oczu i mocno przycisnął dłoń do policzka.

- Doceniam to, naprawdę. Ale chciałbym najpierw zająć się tym sam. Prawdę mówiąc, nie sądzę, abym chciał cię w to wszystko wplątywać.

- Gdybyś chciał zadzwonić, Williamie, wiesz, gdzie mnie znaleźć, jasne?

- Jasne. I dzięki. - Zawahał się. - Powiedz mi jeszcze jedno, Richardzie. Czy jesteś przesądny?

- Ja? Pytasz takiego starego makaroniarza jak ja, czy jest przesądny? Wychowałem się w rodzinie, w której moja matka, babka i ciotki bez przerwy odmawiały zdrowaśki i litanie wszystkich znanych świętych i takich, o których nigdy nie słyszałeś, gdzie zakrywano lustro, kiedy ktoś umierał, i czyniono znak "złego oka", kiedy zobaczyło się wronę albo czarny kot przeszedł ci drogę. A ty mnie pytasz, czy jestem przesądny. Mnie zadajesz takie pytania?

- Tak - powiedział Billy i mimo woli się uśmiechnął. - Zadaję ci takie pytania.

W słuchawce znów rozległ się głos Ginellego - szorstki, beznamiętny i pozbawiony odrobiny humoru.

- Wierzę tylko w dwie rzeczy, Williamie. Spluwy i pieniądze. Taka moja wiara. Możesz mnie zacytować. Przesądny? Nie, nie jestem przesądny, paisan.

- To dobrze - rzekł Billy i poczuł radość. Był to pierwszy szczery uśmiech, jaki mniej więcej miesiąca pojawił się na jego

136

twarzy, i uczucie, które mu towarzyszyło, było cudowne, naprawdę cudowne. Czuł się cholernie dobrze.

Tego wieczoru, tuż po przyjsciu Heidi do domu, zadzwonił Penschley.

- Tvoi Cyganie urządzili nam niezłą przejażdżkę - powiedział. - Do tej pory twój rachunek wynosi około dziesięciu tysięcy dolarów. Bili. Czy chcesz to przerwać?

- Najpierw mi powiedz, czego się dowiedziałeś - rzekł Billy. Pociły mu się ręce.

- Grupa Cyganów pojechała najpierw do Greeno, w Connecti-cut, około trzydziestu mil na północ od Milford. W tydzień potem, jak ich stamtąd przepędzono, pokazali się w Pawtucket, opodal Providence na Rhode Island. Po Pawtucket przyszła kolej na Attie-boro w Massachusetts. W Attieboro jeden z nich trafił do więzienia za zakłócanie spokoju i musieli składać się na kaucję dla niego.

- Wygląda na to, że wypadki potoczyły się następująco - stwierdził Penschley. - Jeden facet miasta, tęgı byczek i zabijaka przegrał na kole fortuny dziesięć dolców, obstawiając ćwiartki. Powiedział obsługującemu, że tamten oszukuje i że jeszcze się z nim policzy. Dwa dni później przyuważył Cygana, wychodzącego ze sklepu "Nite Owi". Od słowa do słowa ich rozmowa przeistoczyła się w bójkę. Paru świadków spoza miasta twierdziło, że bijatykę sprowokował tutejszy zacierzewiony byczek. Inni miejscowi oświadczyli, że zaczął Cygan. Tak czy inaczej, krótki powędrował Cygan. Kiedy wpłacono za niego kaucję, tamtejsi gliniarze nie posiadali się z szczęścia. Dzięki temu oszczędzili sobie kosztów procesu i mogli śmiało wyrzucić Cyganów z miasta.

- Zwykle tak bywa, czyż nie? - spytał Billy. Nagle jego twarz spłonęła rumień cem i zaczęła golić. W głębi duszy wiedział, choć nie miał pojęcia skąd, że aresztowanym był ten sam młody mężczyzna, który podczas pobytu w Faindeu popisywał się zonglowaniem kręglami.

- Tak, w zasadzie tak - przyznał Penschley. - Cyganie

137

wiedzą, co w trawie piszczy. Zdają sobie sprawę, że kiedy facet zniknie z oczu glinom, ci będą z tego powodu bardzo zadowoleni. Obejdzie się bez listów goń czych czy pościgów. To tak jak pyłkiem, który wpadł ci do oka. Kiedy to nastąpi, nie możesz myśleć o niczym innym. A potem zacznasz łzawić i pyłek wypływa. Kiedy jest już po wszystkim i ból mija, nikogo nie obchodzi, co się stało z tym pyłkiem, prawda?

- Pyłek - rzekł Billy. - Czy można powiedzieć, że on był tylko drobnym pyłkiem?

- Dla gliniarzy z Attieboro na pewno tak. Czy chcesz usłyszeć, co mam ci jeszcze do powiedzenia, Billy, czy też będziemy prowadzić teraz rozważania moralne na temat ciężkiej sytuacji przeróżnych grup mniejszościowych?

- Powiedz mi, czego się jeszcze dowiedziałeś, proszę.

- Cyganie zatrzymali się w Lincoln w Massachusetts. Zanim ich przegnano, spędzili tam trzy dni.

- Cały czas ta sama grupa? Jesteś pewien?

- Tak. Zawsze te same pojazdy. Mam tu listę, spis numerów rejestracyjnych, głównie z Teksasu Delaware. Chcesz to?

- Może później. Nie teraz. Mów dalej.

Nie było tego zbyt dużo. Cyganie pokazali się następnie w Reve-re, na pomoc od Bostonu, gdzie pozostali przez dziesięć dni i z własnej woli ruszyli w dalszą drogę. Cztery dni w Portsmouth,

New Hampshire... a potem po prostu rozpułynęli się w powietrzu.

- Jeżeli chcesz, możemy ponownie ich odnaleźć - stwierdził Penschley. - Jesteśmy o mniej więcej tydzień za nimi. Nad tą sprawą pracuje trzech wybitnych detektywów od Bartona i ci faceci sądzą, że Cyganie muszą być teraz gdzieś w Maine. Przez cały czas podróżowali równolegle do I-95, wzdłuż wybrzeża, począwszy od Connecticut, ba, sądzą, że być może nawet od Karoliny, gdzie zapewne moglibyśmy natrafić na ślad ich bytności. Zupełnie jakby byli na cyrkowym touree. Prawdopodobnie zahaczą w okolicach Maine o takie miejscowości turystyczne, jak Ogunquit i Kennebunk-port, a potem ruszą w górę do Boothbay Harbor i skończę w Bar

Harbor. Kiedy zaś minie sezon turystyczny, na zimę wrócą ponownie na Florydę albo na wybrzeże Teksasu.

- Czy jest z nimi stary mężczyzna - spytał Billy. Zacisnął mocniej dłoń na słuchawce. - Około osiemdziesiątki? Z gnijącym nosem, wygląda jak wyżarty, pokryty wrzodami, jakby miał raka albo coś w tym rodzaju?

Szelest przewracanych kartek zdawał się nie mieć końca. Potem rozległo się:

- Taduz Lemke - powiedział spokojnym tonem Penschley. - Ojciec kobiety, którą potrafiłeś. Tak, jest z nimi.

- Ojciec? - warknął Halleck. - To niemożliwe, Kirk. Kobieta była stara, miała około siedemdziesiątki.

- Taduz Lemke liczy sobie sto sześć lat.

Przez chwilę Billy nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Jego usta poruszały się, ale dobywał się z nich żaden dźwięk. Wyglądał, jakby całował ducha. Wreszcie zdołał powtórzyć.

- To niemożliwe.

- Takiego wieku z pewnością można tylko pozazdrościć - stwierdził Kirk Penschley - ale nie ma w tym nic niemożliwego. Wiesz, że ci ludzie mają swoje akta, nie jeżdżą już po Europie Wschodniej taborami, tak jak było niegdyś. Przypuszczam jednak, że niektórzy ze starszych, na przykład ten twój Lemke, mogą za tym tęsknić. Mam niezłą gratkę dla ciebie: numery ubezpieczeń, ... odciski palców, jeśli będziesz chciał. Lemke różnie podaje swój wiek.

Stwierdzi, że ma sto sześć lat, innym razem, że sto osiem, jeszcze kiedy indziej, że siedemdziesiątka. Sądzę, że ma raczej sto sześć, to by się zgadzało z informacją ubezpieczalni, którą zdołali wyłuskać dla mnie ludzie od Bartona. Susanna Lemke była jego córką, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. To fakt. A, jeszcze jedno, choć nie wiem, co jest warta ta informacja. Lemke jest zapisany jako "przewodniczący kompanii Taduz". Ten tytuł widnieje na różnych pozwoleniach, jakie musieli uzyskiwać... a to oznacza, że jest przywódcą szczepu, gromady czy jak oni się tam nazywają.

Jego córka? Córka Lemkego? To zmieniało postać rzeczy. Nagle

139

poczuł w głowie zamęt. A gdyby, przypuśćmy, ktoś potrafił Linde? Gdyby ktoś przejechał Linde jak bezdomnego psa?

- ...to przerwać?

- Że co? - Starął się ponownie powrócić do rozmowy z Kir-kiem.

- Spytałem, czy jesteś pewny, że mamy to ciągnąć? To cię będzie kosztowało majątek, Billy.

- Proszę, przekaz im, aby jeszcze trochę powęszyli - rzekł Billy. - Zadzwoń do ciebie za cztery dni... nie, za trzy i dowiem się, czy udało ci się ich odnaleźć.

- Nie musisz tego robić - stwierdził Penschley. - Jeżeli... Kiedy ludzie Bartona coś znajdą,

ty

pierwszy się o tym dowiesz.

- Nie będzie mnie tu - powiedział wolno Billy.

- Och? - mruknął dyplomatycznie Penschley i zaraz dodał:

- A dokąd się wybierasz?

- W podróż - rzekł Halleck i niemal natychmiast odłożył słuchawkę. Siedział nieruchomo i sztywno, jakby połknął kij, w głowie mu wirowało i tylko jego palce, jego bardzo chude palce bębniły nerwowo o blat biurka.

Rozdział 16: List Billy'ego

Następnego dnia rano, parę minut po dziesiątej Heidi poszła do sklepu, po sprawunki. Nie zajrzała do Billy'ego, aby mu powiedzieć, gdzie idzie ani kiedy wróci; ten stary i miły zwyczaj należał już do przeszłości. Billy siedział w swojej pracowni i patrzył, jak olds wyjeżdża podjazdu na ulicę. Na moment Heidi odwróciła głowę i ich spojrzenia się spotkały. Jego wzrok był przepełniony strachem i zakłopotaniem, jej zdawał się go oskarżać:

Zmusiłeś mnie, abym wywozła z domu naszą córkę, nie chcesz skorzystać z pomocy specjalistów, której przecież potrzebujesz. Nasi przyjaciele już zaczynają plotkować.

Sprawiasz jakbyś szukał towarzysza podróży w krainę obłędu i wybrałeś sobie właśnie

140

mnie... Pierdol się, Billy Halleck, daj mi spokój. Spal się, jeśli tego chcesz, ale nie każ ~~mi skakać~~ ogień.

Naturalnie było to tylko złudzenie. Nie mogła go widzieć. Ukrywał się w głębokim cieniu. Tak, to było tylko złudzenie, ale jakże bolesne.

Kiedy olds odjechał, Billy wkręcił do maszyny kartkę papieru i napisał u góry strony: "Kochana Heidi". Był to jedyny fragment listu, który nie sprawił mu kłopotu. Pisał wolno, zdanie po zdaniu, i w głębi duszy pragnął, aby wróciła, zanim skoń czy. Ale tak się nie stało. Wkrótce dobrnął do końca i przeczytał cały list jeszcze raz.

Kochana Heidi,

Kiedy będziesz czytać ten list, ja już będę daleko. Nie wiem dokładnie, dokąd jadę ani na jak długo, ale mam nadzieję, że kiedy wrócę, będzie już po wszystkim. Koszmar, z którym przyszło nam żyć, dobiegnie koniec.

Heidi, Michael Houston jest w błędzie, myli się w każdym calu. Leda Rossington naprawdę powiedziała mi, że stary Cygan - a propos, on nazywa się Taduz Lemke - dotknął Cary'ego, i twierdziła, że skóra Cary'ego zmienia się w łuski. Duncan Hopley rzeczywiście miał twarz pokrytą krostami... To było bardziej przerażające, niż możesz sobie wyobrazić.

Houston nie chce przyrzeć się uważnie łańcuchowi logicznemu faktów, które przedstawiłem w celu obrony moich przekonań i z całą pewnością odmawia włączenia jako kolejne ogniwo tego, co dzieje się ze mną. (Dziś rano się ważyłem -155 funtów, czyli straciłem już prawie setkę).

Nie mogę sobie na to pozwolić, gdyby to zrobił, całkowicie pograżyliby siebie, a świat nauki zmiotłby go z powierzchni ziemi. Wolałby raczej, żeby resztę życia spędził w wariatkowie, niż miałby potraktować poważnie ewentualność, że wszystko, co mi się przytrafiło, jest wynikiem cygańskie kłątwy. Istnienie czegoś równie niedorzecznego jak cygańskie kłątwy -

gdzieś w Szwecji, jak i tu, w Fair-

141

view, jest klęską wszystkiego, w co kiedykolwiek wierzył Michael Houston. Jego bogowie nie mieszkają w niebie, ale w szklanych słojach i buteleczkach. Mam jednak nadzieję, iż w głębi duszy ty wierzysz, że to jest możliwe. Sądę, że właśnie dlatego jakaś część ciebie odrzuciła mnie, by nie podjąć walki. Dlatego proszę, abyś uwierzyła w to, że jest prawdą, bo tak każe serce. Jeśli chcesz, możesz mnie posądzić o zabawianie się psychoanalizą amatora, ale mam ku temu powody. Wierzę w klątwę, chociaż tylko jedno z nas zostało ukarane za wypadek, który spowodowaliśmy oboje. Mówię o uchylaniu się od winy z twojej strony... i Bóg mi świadkiem, że ta część mojej duszy, która jest tchórzliwa i podła, daje mi spokój... przez cały czas mam wrażenie, że skoro przyszło mi już staczać się po piekielnej równi pochyłej, to ty powinnaś mi towarzyszyć... nieszczęścia chodzą parami, a od tej cholernej istoty natury, która tkwi w nas jak złota żyła, nie sposób się uwolnić. Wiem jednak, że jest jeszcze moje drugie ja, a ono kocha, Heidi - i nigdy nie chciałoby, aby spotkało cię coś złego. Ta lepsza połowa mojej osobowości jest zarazem stroną intelektualną, logiczną i właśnie dlatego postanowiłem wyjechać. Heidi, muszę odnaleźć tego Cygana. Muszę poszukać Taduza Lemke i podzielić się z nim przemyśleniami ostatnich tygodni. Łatwo jest zrzucić na kogoś winę, łatwo jest pragnąć zemsty. Kiedy jednak przyglądasz się wszystkiemu z większą uwagą, stwierdzasz, że poszczególne wydarzenia są ze sobą połączone, jedno pociąga za sobą drugie; czasami niektóre wypadki zdarzają się ot tak, po prostu. Nikt z nas nie lubi myśleć w ten sposób, bo wówczas nawet trudno dać komuś w mordę, aby choć trochę złagodzić ból. Musimy znaleźć inny sposób, a żaden z nich nie jest ani prosty, ani dostatecznie zadowalający. Chcę mu powiedzieć, że nie zrobiłem tego umyślnie, i poprosić, aby cofnął klątwę... zakładam oczywiście, że jest w stanie tego dokonać. Jednak, przede wszystkim, chcę odnaleźć i spróbować prze-

prosić. Za siebie... za ciebie... i za wszystkich mieszkańców Fairview. Widzisz, wiem teraz więcej na temat Cyganów. Mam wrażenie, że przejrzałem. I wydaje mi się, że to jedyny uczciwy sposób, aby powiedzieć ci jeszcze jedno: Heidi, jeżeli on nam pomoże, jeżeli mimo wszystko będę miał przed sobą jakąś przyszłość, to nie zamierzam spędzić jej tu, w Fairview. Mam już po dziurki w nosie pubu Andy'ego, Laniem Drive, klubu "Country" i całego tego oślizłego miasteczka, pełnego hipokrytów. Jeżeli wygram dla siebie przyszłość, mam nadzieję, że ty i Linda wyruszycie ze mną do jakiegoś innego, czystszej miasta i zamieszkamy tam razem. Nawet jeśli nie pojedziecie ze mną, i tak stąd odjadę. Jeżeli Lemke nie zechce albo nie będzie mógł mi pomóc, będę miał przynajmniej tę satysfakcję, że zrobiłem wszystko, co mogłem. A potem wrócę do domu i z radością zgłoszę się do kliniki Glassmana, jeżeli nadal będziesz tego chciała.

Namawiam cię, abyś, jeśli zechcesz, pokazała ten list Michaelowi Houstonowi lub lekarzom kliniki Glassmana. Sądę, że przyznają, iż to, co robię, może być całkiem niezłą terapią. Zapewne stwierdzą, iż skoro mam zamiar siebie ukarać (w dalszym ciągu plotą o psychologicznej odmianie anoreksji i najwyraźniej wierzą, że jeśli czujesz się wosną, to jesteś w stanie spalać dziennie tysiące kalorii), to spotkanie z Lemkiem może stać dla mnie formą ekspiacji, której tak bardzo pragnę. Być może stwierdzą również, że są jeszcze dwie inne możliwości:

jedna, że Lemke roześmieje mi się w twarz, mówiąc, iż nigdy w życiu nie rzucił na nikogo klątwy, a tym samym zburzy psychologiczne fundamenty mojej obsesji, druga zaś, że Lemke skrzętnie wykorzysta sytuację. Skłamię, przyzna się, że mnie przeklął, a potem sprzeda mi jakieś lipne "cudowne lekarstwo", aczkolwiek w przypadku fałszywej choroby owo lekarstwo może być

właśnie tym, czego mi potrzeba – i okaże się skuteczne!

Przez Kirka Penschleya zaangażowałem detektywów i ustaliłem, że Cyganie podążają regularnie na północ, wzdłuż I-95. Mam nadzieję dogonić ich w Maine. Jeżeli coś się wyjaśni i roz-

143

strzygnie, natychmiast cię o tym powiadomię. Przez najbliższe dni nie będę się starał z sobą kontaktować. Kocham cię z całego serca.

Zawsze twój Billy

Włożył list do koperty zaadresowanej do Heidi i oparł ją o obrotową tacę na kuchennym stole. Potem zamówił taksówkę, aby dotrzeć do biura wynajmu samolotów Hertza w Westport. Czekał na schodach przed domem na samochód, a w głębi duszy wciąż miał nadzieję, że Heidi pojawi się przed jego wyjazdem i osobiście przekaze jej słowa listu.

Nie wróciła, a kiedy podjechała taryfa i Billy usadowił się na tylnym siedzeniu, przyszło mu do głowy, że być może rozmowa z Heidi, na tym etapie, nie byłaby wskazana. Możliwość rozmowy należała już do przeszłości, do dawnych czasów, kiedy żył jeszcze w krainie grubasów...

rozmawiali na wiele sposobów, choć dotąd nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. To była przeszłość. Jeżeli zaś istniała dla niego jakaś przyszłość, to znajdowała się ona na pomocy, gdzieś tam, w Maine i musiał ją odnaleźć, zanim zniknie z powierzchni Ziemi.

Rozdział 17

Tego wieczoru zatrzymał się w Providence. Zatelefonował do kancelarii i zostawił na automatycznej sekretarce wiadomość dla Kirka Penschleya: "Czy mógłby wysłać wszystkie dostępne zdjęcia Cyganów i materiały dotyczące ich pojazdów, włącznie z VIN i numerami rejestracyjnymi do hotelu «Sheraton» w South Portland, w Maine?"

Wiadomość została przyjęta i potwierdzona, co Billy w głębi duszy uważał za mały cud, toteż nieco uspokojony mógł wreszcie położyć się spać. Z Fairview do Providence było mniej niż 150 mil,

144

ale czuł się skonany. Po raz pierwszy od wielu tygodni nic mu się nie przyśniło. Następnego ranka stwierdził, że w hotelowej łazience nie było wagi. Dzięki Bogu, za jego drobne laski pomyślał Billy Halleck. Szybko się ubrał, pochylając się tylko raz, aby zawiązać sznurowadła, zdumiał się, kiedy uświadomił sobie, że pogwizduje pod nosem. O wpół do dziewiątej ruszył w dalszą drogę, wzdłuż autostrady między stanowej, i o wpół do siódmej zameldował się w "Sheratonie". Po przeciwnej stronie ulicy znajdował się ogromny pawilon handlowy. W recepcji czekała już na niego wiadomość od Penschleya.

"Informacje w drodze, ale są pewne trudności. To może potrwać jeszcze dzień lub dwa".

Świetnie – pomyślał Billy. Dwa funty dziennie, Kirk, do cholery, trzy dni to już sześć funtów mąki. Pięć dni i schudnę równowartość średniej wielkości worka mąki. Nie śpiesz się, stary, jak cholere miałbyś się spieszyć?

Hotel "Sheraton" był okrągły, a pokój Billy'ego miał kształt odciętego kawałka tortu. Halleck był zmęczony, że myślał tylko o tym, aby się położyć. Bolała go głowa i czuł się kompletnie wyczerpany podróżą. Nie miał siły ani ochoty, aby wybrać się do restauracji na kolację. Zamówił posiłek do pokoju. Waśnie wyszedł spod prysznicza, kiedy do drzwi apartamentu zapukał kelner.

Włożył szlafrok, który znajdował się w łazience (najwyraźniej kierownik hotelu był zapobiegliwy, w kieszeni szlafroka była niewielka karteczka z napisem: "Nie kradnij"), przeszedł przez pokój i zawołał: - Chwileczkę!

Halleck otworzył drzwi... i po raz pierwszy poczuł się jak cyrkowy dziwoląg. Kelnerem był zaledwie dziewiętnastoletni chłopak o krótko przystrzyżonych "na punka" włosach i ziemistej cerze. Przypominał zbuntowanych Brytyjczyków, nastolatków, miłośników rocka i punka. Nie cenił się zbyt wysoko. Spojrzał na Billy'ego z łagodną obojętnością, jak ktoś, kto na jednej zmianie widzi setki facetów w hotelowych szlafrokach. Obojętność ustąpiła nieznacznie, kiedy spuścił wzrok, aby spojrzeć, ile dostał napiwku, ale to było wszystko. Naraz oczy kelnera rozszerzyły się w wyrazie zdumienia,

145

które graniczyło niemal ze zgrozą. To trwało tylko chwilę. Potem chłopak znów przybrał pozę obojętności. Niemniej jednak Billy zdołał to dostrzec.

Zgroza. To była prawie zgroza.

I wciąż jeszcze widział zakłopotanie tamtego... wprawdzie ukryte, ale nadal dostrzegalne.

Billy'emu wydawało się, że wyczuwa dodatkowo wyraźną fascynację. Obaj znieruchomieli na chwilę, połączeni nieprzyjemną i niechcianą więzią obserwatora i obserwowanego. Billy ni stąd, ni zowąd pomyślał o Duncanie Hopleyu siedzącym po ciemku w swoim małym domku przy Ribbonmaker Lane.

- No to wiesz to do środka - rzucił ochryplym tonem, przezwyciężając, nieco zbyt gwałtownie, powstały impas. - Zamierzasz tak stać całą noc?

- Ależ nie, proszę pana - powiedział kelner. - Przepraszam. - Na jego policzkach pojawiły się rumieńce, a Billy'emu zrobiło się go żal. Nie był punkiem ani zbuntowanym, krnąbrnym małym chłopcem, który przyszedł do cyrku, żeby zobaczyć żywe krokodyle. Był zwyczajnym studentem, który dorabiał na chesne, i zdumiał się, widząc chudego, być może nawet ciężko chorego faceta.

Ten staruch przeklął mnie na więcej niż jeden sposób - pomyślał Billy.

To nie była wina tego dzieciaka, że Billy Halleck, mieszkaniec Fairview, Connecticut stracił na wadze, że mógł się obecnie zaliczać w poczet cyrkowych dziwolągów. Dał chłopakowi dolara napiwku i pozbył się go tak szybko, jak to było możliwe. Następnie wszedł do łazienki i spojrzął na siebie, rozchylając powoli szlafrok, jak ekshibicjonista ćwiczący w domowym zaciszu swoje sztuczki. Na początek lekko poluzował pasek i odsłonił górną część klatki piersiowej i brzuch. Nietrudno było zrozumieć, że ich widok przyprawił chłopaka o silny wstrząs. Stało się to jeszcze łatwiejsze, kiedy rozwiązał pasek i szlafrok luźno rozchylił się na boki. Zobaczył swoje odbicie w lustrze.

Wszystkie jego żebra były wystające i wyraźnie widoczne. Kości obojczyka stały się obciążniętymi cienką powłoką skóry pagórkami.

146

Policzki zapadły się, a rysy twarzy wyostrzyły. Mostek przypominał mocno zaciśnięty węzeł, brzuch zmienił się we wgłębienie, a spojenie łonowe w upiorny, lekko zakrzywiony występ. Nogi były takie, jakimi je pamiętał - długie i nadal silnie umięśnione - kości wciąż jeszcze sterczały, choć tak naprawdę nigdy nie miał zbyt grubych nóg. Powyżej pasa zaś rzeczywiście zmienił się w dziwoląga. Jedyny w swoim rodzaju niepowtarzalny ludzki szkielet.

Sto funtów - pomyślał. To wszystko, czego potrzeba, aby wydobyć z szafy, ukryte go tam, kościotrupa. Teraz już znasz cienką granicę pomiędzy tym, co przyjmowałeś za normalne i

sądziłeś, że zawsze tak będzie, a koszmarnym obłądem, w którym teraz żyjesz. Nadal wyglądasz dobrze, to znaczy prawie dobrze, kiedy jesteś ubrany, ale za jakiś czas ubranie nic nie pomoże, ludzie zaczną ci się przyglądać tak jak ten kelner dzisiaj? Za tydzień, dwa tygodnie? przybrał na sile i choć wcześniej był bardzo głodny, prawie nie ruszył kolacji. Spał i wstał wcześniej. Ubierając się, nie pogwizdywał.

Stwierdził, że Kirk Penschley i pracownicy agencji detektywistycznej Bartona mieli rację. Cyganie będą podróżować wzdłuż wybrzeża. Latem w Maine było sporo turystów. Przyjeżdżali tu, aby popływać (pomimo iż często woda była zimna), opalać się (choć często było pochmurno i dżdżysto, zdawali się nie pamiętać tych dni), jeść ostrygi i homary, kupować popielniczki z malowanymi na nich mewami, chodzić do sezonowych kin w Ogunquit i Brunswick, fotografować latarnie morskie w Portland i Pemaquid lub po prostu poszpendać się trochę po tak przyjemnych miejscach, jak Rock-port, Camden i, oczywiście, Bar Harbor. Turyści przyjeżdżali na wybrzeże i nie ulegało wątpliwości, iż przywozili ze sobą grube, wypchane dolarami portfele. To oczywiste, że Cyganie będą na wybrzeżu. Tylko dokąd konkretnie pojechali?

Billy spisał listę ponad pięćdziesięciu miast na wybrzeżu, po czym opuścił swój pokój. Zszedł do kiel. Barman był z New Jersey i nie znał niczego prócz Asbury Park, ale Billy natrafił na kelnerkę,

147

która mieszkała i dorastała w Maine, znała wybrzeże i uwielbiała o nim rozmawiać.

- Szukam pewnych ludzi i jestem raczej przekonany, że znajdę ich w jednym z miast na wybrzeżu, ale nie w żadnym z tych bogatych... Bardziej w... w... w...

- Zadupiu... tak? - spytała. Billy pokiwał głową. Pochyliła się nad listą. - Old Orchard Beach powiedziała. - To największe zadupie spośród wszystkich zacofanych miejsc. Aż do Święta Pracy życie toczy się tam takim rytmem, że nikt nawet nie zauważyłby twoich przyjaciół, no chyba że każdy z nich ma po trzy głowy.

- A inne?

- Cóż... Większość miast na wybrzeżu latem staje się swojska - powiedziała. - Weźmy na przykład Bar Harbor. Wszyscy, którzy o nim słyszeli, wyobrażają sobie go jako raj dla bogaczy... pełen dostojenstwa i godności... oraz bogaczy rozjeżdżających się rolniczo.

- Nie. Może Frenchman Bay, ale nie Bar Harbor. Zimą to taka pipidówka, że atrakcją dnia staje się przyplnięcie promu o 10.25. Latem Bar Harbor zmienia się w istny dom wariatów. Jak w Fort Lauderdale podczas wiosennego przełomu; cała masa zbuntowanych nastolatków, punków, skinów i podstarzałych hipisów. Możesz stanąć na rogatkach Northeast Harbor, odetchnąć głęboko i jak wiatr zawieje od Bar Harbor, będziesz tak naćpany, że ledwo utrzymasz się na nogach. Do maja największą atrakcją jest tu wesołe miasteczko. Większość z tych miast pasuje do pańskiego opisu, ale ja stawiałabym na Bar Harbor.

- Rozumiem - powiedział Billy, uśmiechając się.

- Jeździłam tam czasami, w lipcu czy sierpniu; spędzałam w Bar Harbor parę dni, ale teraz już nie. Jestem już na to za stara.

Na ustach Billy'ego pojawił ironiczny uśmiešek. Kelnerka wyglądała na jakieś dwadzieścia trzy lata.

Billy dał jej pięć dolarów. Dziewczyna życzyła mu słonecznego lata i szczęścia w poszukiwaniach przyjaciół. Billy skinął głową, ale

148

po raz pierwszy miał wrażenie, że jego entuzjazm osłabł. Nie był już pewny, czy uda mu się odnaleźć Cyganów.

- Czy mogę panu dać pewną radę?

- Oczywiście, nie mam nic przeciwko temu - odrzekł Billy, sądząc, że chce mu powiedzieć, od którego miasta powinien rozpocząć poszukiwania. Jeżeli o to chodziło, podjął już stosowną decyzję.

- Powinien pan trochę przytyć - powiedziała. - Niech pan je spaghetti. Przytyje pan parę funtów. Szara koperta pełna zdjęć i informacji na temat pojazdów dotarła do Hallecka trzeciego dnia jego pobytu w South Portland. Powoli przejrzał fotografie, przypatrując się uważnie każdej z nich. Był młody mężczyzna, który zonglował kręglami. On również nosił nazwisko Lemke, Samuel Lemke. Spoglądał w obiektyw z bezkompromisową otwartością, która, zdawało się, mogła w każdej chwili dać ujście zarówno radości i przyjaźni, jak i wściekłości czy zaciętości. Była młoda dziewczyna, która, kiedy pojawili się gliniarze, ustawiała cele do strzelania z procy rzeczywiście, przypuszczenia Hallecka potwierdziły się. Była naprawdę urocza. Nazywała się Angelina Lemke. Położył jej zdjęcie obok zdjęcia Samuela Lemke-go. Brat i siostra. Wnuki Susanny Lemke? - zastanawiał się. Prawnuki Taduza Lemkego?

Był tu stary mężczyzna, który rozdawał ulotki, Richard Crosskill. Pojawili się inni Crosskillowie, Starbirdowie, kolejni Lemke. I potem... I potem... jako jedno z ostatnich. On. Oczy otoczone bliźniaczą siateczką zmarszczek, ciemne, żywe i przepelnione głęboką inteligencją. Miał na głowie chustkę, zawiązaną przy lewym policzku. Spomiędzy popękanych warg sterczał papieros. Nos był wilgotny i koszmarny, pokryty wrzodami, gnijący, ropiejący - straszny.

Billy wpatrywał się w to zdjęcie jak zahipnotyzowany. W tym starcu było coś, co wydawało się mu dziwnie znajome, ale, niestety,

149

nie potrafił tego zdefiniować. I nagle przyszło oświecenie. Taduz Lemke przypominał mu tych starszków z reklam jogurtu Danona albo rosyjskich Gruzinów, którzy palili papierosy bez filtra, pili samogon i dożywali sędziwego wieku stu trzydziestu, stu pięćdziesięciu, a nawet siedemdziesięciu lat. Nagle przyszedł mu na myśl fragment piosenki Jeny'ego Jeffa Walkera, panu Bojangles. Spojrzał na mnie, a w jego oczach malowała się modrość wieku...

Tak. To było to, co dostrzegł w obliczu Taduza Lemkego. W jego oczach malowała się mądrość wieku. Przy tej ogromnej wiedzy cały dwudziesty wiek stawał się jedynie cieniem i uświadomiwszy to sobie, Billy mimowolnie zadygotał.

Tego wieczoru, kiedy stanął na wadze w łazience, przylegającej do jego klinowatej sypialni, wskaźnik zatrzymał się przy cyfrze 137.

Rozdział 18: Poszukiwania

Old Orchard Beach. To największe zadupie pośród wszystkich tych zacofanych miasteczek. Recepcjonistka zgodziła się z tym. Podobnie jak dziewczyna z biura informacji turystycznej, cztery mile dalej, przy autostradzie, choć używała mniej pejoratywnych określeń. Billy ruszył swoim wynajętym samochodem w kierunku Old Orchard Beach, znajdującego się osiemnaście mil na południe. Już na milę od plaży, na szosie zrobił się korek. Samochody sunęły powoli,

zderzak w zderzak. Większość z tych pojazdów miała kanadyjskie tablice rejestracyjne. Były to głównie ogromne wozy turystyczne, które sprawiały wrażenie dostatecznie dużych, by pomieścić całą drużynę futbolową. Ludzie, których dostrzegł Billy, zarówno ci w jadących powoli samochodach, jak i piesi idący wzdłuż drogi byli ubrani bardzo skąpo, na tyle aby nie wzbudzić zainteresowania glin. Można tu było zobaczyć kuse, wiązane na sznureczki bikini, jednocześnie kostiumy kąpielowe, tu i ówdzie błyskało w promieniach słońca ciało natarte olejkiem do opalania.

150

Billy miał na sobie niebieskie dżinsy, białą koszulkę i sportową kurtkę. Siedział za kółkiem swego wozu i pocił się jak szczur, pomimo włączonej na maksimum klimatyzacji. Nie zapomniał jednak, jak na niego patrzył ten młody chłopak z obsługi hotelowej. Właśnie dlatego nie zamierzał się rozbierać, choćby miało to oznaczać, że do wieczora będzie miał w trampkach kałuże potu.

Sznur jadących wolno samochodów przeciął słone moczary, minął tuzin chat, gdzie sprzedawano homary i mięczaki, i pokonał kręty odcinek szosy biegnącej pomiędzy stojącymi tuż obok siebie letnimi domkami. Równie skąpo odziani ludzie siedzieli na trawnikach przed domami, czytając książki w kieszonkowym wydaniu lub po prostu patrząc na przejeżdżające samochody.

Chryste – pomyślał Billy. Jak oni wytrzymują ten smród spalin? Nagle przyszło mu do głowy, że być może oni to lubili i właśnie dlatego siedzieli tu, zamiast na plaży. Te spaliny przypominały im rodzinne strony.

Domy ustąpiły miejsca motelom z tablicami, na których widniały napisy: "Tu się mówi po francusku", "Kanadyjską walutę przyjmujemy równorzędnie z amerykańską – powyżej 250 USD", "Mamy telewizję kablową nadającą «Różową serię»", "Stąd tylko trzy minuty do oceanu", "Bonjoura nos amis de la belle province"

Miejsce moteli zajęły teraz sklepiki sprzedające tanie aparaty fotograficzne, pamiątki i książki. Dzieciaki w dżinsach z obciętymi nogawkami i w workowatych bluzach krążyły leniwie po chodnikach. Niektóre parki trzymały się za ręce, inne bez większego zainteresowania zaglądały przez brudne okna wystawowe do wnętrza sklepów. Jeszcze inne dzieciaki jeździły na deskorolkach i ze znużeniem, bez większego zapału, przemykały pomiędzy przechodniami. W przepełnionych fascynacją i przerażeniem oczach Billy'ego Hallecka wszyscy zdawali się mieć nadwagę i wszyscy – nawet gnojki na deskorolkach – czymś się obżerali. Ten pochłaniał kawałek pizzy, tamten hamburgera, ów frytki, jeszcze inny prażoną kukurydzę czy cukrową watę.

Zauważył grubasa w wypuszczonej na wierzch białej koszuli, luźnych zielonych bermudach i w skórzanych

151

sandałach, który wcinał długiego na stopę hot doga. Na jego pod-brzuszu zwisał paseczek czegoś, co było kawałkiem cebuli albo sałaty. Dwa kolejne hot dogi trzymał w grubych paluchach lewej ręki. Billy'emu ten facet kojarzył się z prestidigitatorem, pokazującym czerwone, gumowe piłeczki, które zaraz mają zniknąć.

Potem minęli wesołe miasteczko. Na tle nieba rysował się ogromny kształt kolejki górskiej. Pokażna replika łodzi wikingów kołysała się w przód i w tył, zataczając coraz większy półokrąg, podczas gdy znajdujący się wewnątrz przypięci pasami pasażerowie krzyczeli na całe gardło. Po lewej stronie Billy'ego znajdowało się sklepione pomieszczenie. Billy zauważył błyski światła płynący stamtąd dźwięk dzwonek – nastolatki w pasiastych koszulkach siedzące w samochodzikach z impetem najeżdżały na siebie nawzajem. Tuż obok stał młody chłopak z

dziewczyną, całowali się. On obejmował go za szyję. On położył jedną rękę na jej pośladkach. W drugiej trzymał budweisera.

Tak – pomyślał Billy. Tak. To jest to miejsce. Na pewno.

Zatrzymał samochód na spalonym słońcem makadamowym parkingu, zapłacił dozorczy siedemnaście dolarów za pół dnia postoju, przełożył portfel z kieszeni na biodrze do wewnętrznej kieszeni kurtki i rozpoczął polowanie. Na początku pomyślał, że być może proces utraty przez niego wagi przybrał na sile. Wszyscy mu się przyglądali. Racjonalna część jego umysłu szybko upewniała go, że ludzie patrzyli na niego tylko z powodu jego stroju, a nie tego, jak pod wyglądał. Ludzie patrzyliby na ciebie tak samo, gdybyś w październiku wyszedł na ulicę w krótkich spodenkach i podkoszulku. Billy, uspokój się. Jesteś po prostu obiektem do oglądania, a jest ich tu sporo.

Niewątpliwie było to prawdą. Billy zauważył grubą kobietę w czarnym bikini, jej opalona skóra błyszczała od olejku. Miała spory brzuch, długie silne mięśnie ud wydawały się nieomal mistyczne i w dziwny sposób podniecające. Szła w stronę rozległego bia-

152

łego pasa plaży niczym liniowiec oceaniczny, a jej pośladki kołysały się płynnie i miarowo. Dostrzegł groteskowo grubego pudła, którego na lato ostrzyżono i który, z wywieszonym z pyska bardziej szarym niż różowym ozorem, siedział w cieniu pizzerii. Spojrzał na dwóch mężczyzn, którzy walczyli na pięści. Zauważył wielką mewę o cętkowanych, szarych skrzydłach i martwych, czarnych oczach, jak spikowała w dół i wyrwała tłustego pączka z rączki małego dziecka.

Za tym wszystkim rozciągał się kościstobiały półksiężyc plaży Old Orchardjej biały piasek był niemal w całości przesłonięty przez ludzi, którzy opalali się na słońcu w to upalne późnowiosenne popołudnie. Niemniej jednak zarówno plaża, jak i widoczny w oddali Atlantyk wydawały się mniejsze i mamiejsze. Sprawiała to handlowa część miasteczka, pełna zgoła niezamierzonej erotyki i hałaśliwego gwaru, opryskliwe odżywki ludzi z dłońmi, wargami i policzkami poplamionymi resztkami jedzenia, pokrzykiwania ulicznych handlarzy (Billy usłyszał rozlegający się po jego lewej stronie okrzyk:

”Zgadnę, ile ważysz! Jeżeli się pomyłę o choćby pięć funtów, wygrasz nagrodę!”), zgrzyt urządzeń mechanicznych w wesołym miasteczku i dźwięki muzyki z barów.

Nagle Billy odniósł niemal niezwykle wrażenie, jak gdyby znalazł się poza ciałem, tak jak opisywano to w artykułach w magazynie ”Fate”. Imiona i nazwiska – Heidi, Penschley, Linda, Houston zaczęły nagle trącić fałszywą nutą, jakby zostały wymyślone naprędce dla sklecenia jakiejś marnej historyjki. Miał wrażenie, że był w stanie dostrzec znajdujące się w tle, poza wszystkim, kamery, reflektory, operatorów i całkiem niewyobrażalny ”prawdziwy świat”. Zapach morza wydawał się niknąć pośród woni gnijącego jedzenia i soli. Dźwięki stały się odległe, jakby dochodziły doń przez niezmiernie długi korytarz.

Projekcja astralna, głównie prawda – oświadczył cicho jego umysł. To porażenie słoneczne i tyle, stary. To idiotyczne. Nigdy w życiu nie nabawiłem się porażenia słonecznego. No cóż, wydaje mi się, że kiedy tracisz 120 funtów, to automatycznie twój termostat też może się spieprzyć.

A teraz bądź łaskaw zejść z tego słońca, chyba że

153

chcesz, wylądować w tutejszym szpitalu na oddziale nagłych wypadków. ..

– Dobra, przekonałeś mnie – mruknął Billy, a dzieciak, który go mijał, zajądając reese pieces odwrócił się i przyjrzał mu się podejrzliwie.

Na wprost niego znajdował się bar pod nazwą "Siedem Mór". Na drzwiach wisiały dwie tabliczki. Napis na jednej głosił: "Miły Chłodek", na drugiej zaś: "Ostatnia Szczęśliwa Godzina". Billy wszedł do środka.

W "Siedmiu Morzach" panował nie tylko miły chłodek, ale również błoga cisza. Na szafie grającej wisiała tabliczka z napisem:

"Zeszłego wieczoru jakiś dupek mi przykopał i teraz czekam na naprawę". Poniżej znajdował się ten sam tekst, tyle że po francusku. Sądząc po wyglądzie tabliczki i kurzu na szafie grającej, wspomnianego wydarzenia musiało minąć sporo czasu. Może nawet kilka lat. W barze było kilku klientów, głównie starszków, ubranych podobnie jak Billy, bardziej do wyjścia na ulicę niż na żonę. Niektórzy grali w szachy lub w warcaby. Prawie wszyscy mieli na głowach kapelusze.

- Czym mogę służyć? - spytał barman, podchodząc do niego.

- Poproszę butelkę schoonera.

- Już się robi.

Barman przyniósł mu piwo. Billy sączył je powoli, patrząc, jak za oknem przyplływały i odpływały nowe fale przechodniów, i przysłuchiwał się niezbyt głośnym rozmowom starców.

Poczuł, że zaczyna odzyskiwać siły, a wraz z nimi poczucie rzeczywistości.

Barman powrócił. - Jeszcze jedno?

- Proszę. I jeśli ma pan minutkę, chciałbym z panem zamienić słowo.

- Na temat?

- Kilku ludzi, którzy mogli tędy przejeżdżać.

- Tędy? To znaczy? Mogli być w "Siedmiu Morzach"?

- W Old Orchard.

Barman wybuchnął śmiechem. - O ile mi wiadomo, przez to miasteczko przewija się latem całe Maine i pół Kanady.

154

- To byli Cyganie.

Barman chrząknął i przyniósł Billy'emu drugą butelkę schoonera.

- A więc przejeżdżali przez to miasteczko, aby pohandlować i zarobić parę groszy. Wszyscy, którzy przybywają tu latem, tak robią. To miejsce jest nieco inne. Przychodzą tu stali mieszkańcy Old Orchard. Ludzie, tam... - Skinął ręką w stronę okna i wykonał pogardliwy ruch dłonią.

- To handlarze. Są tu tylko przejazdem. Jak pan. Billy ostrożnie nalał sobie piwa do szklanki, lejąc je po ścianie,

żeby nie było pianki, i położył na kontuarze dziesięciodolarowy banknot.

- Nie jestem pewien, czy się dobrze rozumiemy. Mówię o prawdziwych Cyganach, nie o turystach czy letnikach.

- Prawdziwych... A, musi panu chodzić o tych, co obozowali nieopodal Salt Shack.

Billy poczuł, że jego serce zaczyna bić szybszym rytmem.

- Czy zechciałby pan rzucić okiem na kilka zdjęć?

- Nic mi to nie da. Nie widziałem ich. - Przez moment patrzył na dziesięciodolarowy banknot, potem zawołał: - Łon! Lonnie! Podejź tu na chwilę!

Jeden ze starszków, który siedział przy oknie, wstał i powłócząc nogami, podszedł do kontuaru.

Nosił szare, bawełniane spodnie, białą koszulę, która była dla niego za duża, i słomkowy kapelusz z podgiętym rondem. Jego oblicze przepelniało znużenie. Tylko jedno z jego oczu było żywe. Przypominał kogoś Billy'emu, ale zanim go sobie skojarzył, minęło parę chwil. Ten starzec wyglądał jak Lee Strasberg, wykładowca i aktor.

- To Łon Enders - powiedział barman. - Ma mały domek po zachodniej stronie miasta. Po tej samej, co Salt Shack. Łon widzi wszystko, co dzieje się w Old Orchard.

- Nazywam się Billy Halleck.

- Miło mi pana poznać - rzekł świszczącym głosem Łon Enders i usiadł na stołku obok Billy'ego. Właściwie nie tyle usiadł, a raczej klapnął na siedzenie, bo w momencie gdy jego pośladki znalazły się nad poduszką stołka, pod starcem ugięły się kolana.

155

- Napije się pan piwa? - spytał Billy.

- Nie mogę - odpart świszczący głos, a Billy nieznacznie odwrócił głowę. Enders miał wyjątkowo nieprzyjemny, przesłodzony oddech.

- Już dziś jedno wypięm. Wolno mi wypić tylko jedno piwo dziennie. Doktor mówi, że nie powinienem przekraczać limitu. Mam kłopoty z flakami. Gdybym był samochodem, nadawałbym się tylko na złom.

- Och - powiedział półgłosem Billy.

Barman odwrócił się do nich plecami i zaczął wstawiać kufle po piwie do zlewozmywaka. Enders spojrział na dziesięciodolarówkę. Potem przeniósł wzrok na Billy'ego. Halleck ponownie zagłębił się w wyjaśnieniach, a zmęczone, pełne zmarszczek oblicze Endersa tonęło w półmroku; słychać było dochodzące z zewnątrz przytłumione dźwięki dzwonek, niewyraźne i ulotne jak odgłosy ze snów.

- Byli tutaj - powiedział starzec, kiedy Billy skoń czył. - Byli tu. To prawda. Nie widziałem Cyganów od dobrych siedmiu lat, a może nawet dłużej. Tak, chyba od dwudziestu lat.

Prawa dłoń Billy'ego zacisnęła się kurczowo na szklaneczce, którą trzymał, i właściwie w ostatniej chwili zdążył zmusić się, aby rozluźnić uścisk; jeszcze chwila i szklanka by pękła. Odstawił ją ostrożnie na kontuar baru.

- Kiedy? Jest pan pewny? Czy wie pan, dokąd mogli się udać? Czy może pan?...

Enders uniósł do góry jedną rękę. Była biała jak ręka topielca wyciągniętego ze studni, Billy'emu wydawało się, że jest dziwnie przezroczysta.

- Spokojnie, mój przyjacielu - powiedział nieomal szeptem. - Powiem ci, co wiem. - Billy nadludzkim wysiłkiem zmusił się do milczenia. Nie powiedział więcej ani słowa. Po prostu czekał. - Wezmę tę dziesiątkę, bo sprawiasz wrażenie, jakbyś mógł sobie na to pozwolić, mój przyjacielu - wyszeptał Enders. Włożył ją do kieszeni koszuli, po czym wsunął kciuk i palec wskazujący lewej ręki do ust, aby poprawić sztuczną górną szczękę.

156

- Ale będę mówił za darmo. Do diaska, kiedy się zestarzejesz, stwierdzisz, że musisz płacić ludziom, żeby cię chcieli słuchać... czy mógłbyś poprosić Timmy'ego, aby nalał mi szklaneczkę wody z lodem? Muszę przyznać, że teraz nawet jedno piwo to dla mnie za dużo. Te resztki, które pozostały z mojego żołądka, palą jak żywy ogień, ale człowiekowi trudno jest zrezygnować z wszystkich przyjemności życia, choć nawet nie sprawiają już radości.

Billy przywołał barmana, a ten podał Endersowi szklaneczkę wody z lodem.

- Wszystko w porządku. Łon? - spytał, gdy stawiał szklaneczkę na barze.

- Bywało lepiej i bywało gorzej - wyszeptał Łon, podnosząc szklanę. Przez moment Billy miał wrażenie, że staremu się to nie uda. Mimo to Łon przyłożył szklaneczkę do ust, choć zanim nastąpiło, uronił z niej odrobinę.

- Chcesz rozmawiać z tym gościem? - spytał Timmy. Zimna woda najwyraźniej dodała Endersowi sił. Odstawił szklaneczkę na kontuar, spojrział na Billy'ego i przeniósł wzrok na

barmana.

- Myślę, że ktoś powinien to zrobić - stwierdził. - Nie wygląda jeszcze najgorzej... ale to ~~pożrwa~~ długo.

Enders mieszkał w małej kolonii emerytów przy Cove Road. Stwierdził, że Cove Road było częścią "prawdziwego Old Orchard", tego, o które nie troszczą się szmalcowni.

- Szmalcowni?-spytał Billy.

- Tłumy przyjezdnych, przyjacielu. Przyjechałem do Old Orchard z żoną, tuż po wojnie w 1946. Zamieszkaliśmy tu. Nauczyłem się, jak wyciągać szmal, od mistrza - samotnego Tommy'ego McGhee - nie żyje już od dawna, biedaczysko. Wrzeszczałem jak opętany i zostało mi tylko tyle głosu, co słyszysz.

Znowu zachichotał; ten dźwięk przypominał szum wiatru przed świtem. Enders znał wszystkich związanych z festynem, który trwał

157

w Old Orchard przez całe lato - ulicznych sprzedawców, handlarzy, sezonowych robotników, wciskaczy kitu (sprzedawców pamiątek), wędrownych mechaników, bezrobotnych pracowników wesołych miasteczek, pompierzy i sutenerów. Większość z nich pojawiała się tu raz do roku, przez całe dekady, jak ptaki, które odlatują na zimę. Tworzyli stabilną, sympatyzującą ze sobą ~~życ~~życiowością społeczność, której letnicy nigdy nie byli w stanie zauważyć. Znał też sporo ludzi związanych z tzw. handlem obwoźnym - tak ich fach określał barman "Siedmiu Mórz". Ci przebywali zwykle bardzo krótko; przyjeżdżali na tydzień czy dwa, robili interesy, nabijali ~~ka~~kańczali w dalszą drogę.

- I pamięta pan ich wszystkich? - spytał z powątpiewaniem Billy.

- Gdyby każdego roku przyjeżdżali inni, nie zapamiętałbym ich wszystkich - wyszeptał Enders ale tak to już bywa z handlem obwoźnym. Nie przyjeżdżają regularnie, co roku, ale mimo to widuje się ich dość często. Na przykład facet, który w 1957 roku stoi na chodniku i sprzedaje hula-hoop. Ponownie go zauważasz w 1960, kiedy opyla drogie zegarki po trzy dolce od sztuki. Bywa, że zamiast jasnych włosów ma ciemne i sądzi, że w ten sposób nie zostanie rozpoznany. W gruncie rzeczy myślę, że faktycznie letnicy go nie poznają, nawet jeżeli byli tu w 1957 roku, bo w dalszym ciągu dają się nabrać i wszystko kupują. Ale my go poznamy, bo pamiętamy ludzi zajmujących się handlem obwoźnym. Zmieniają się tylko towary, które ci ludzie oferują, i z całą pewnością są to "lewe" towary.

Inaczej jest z handlarzami narkotyków. To bardzo liczna grupa i albo akurat siedzą, ~~do~~dogorywiają gdzieś w ciemnym zaułku. Kurwy za szybko się starzeją, żeby można je było zapamiętać. Ale chciałeś rozmawiać o Cyganach. To chyba najstarsza spośród znanych grup handlarzy obwoźnych, jakie istnieją na świecie. Zajmują się tym od zawsze.

Billy wyjął z kieszeni kurtki plik zdjęć i rozłożył je równo jak pokera przy karcianej rozgrywce.

Gina Lemke, Samuel Lemke, Richard Crosskill. Maura Starbird, Taduz Lemke.

- Och! - Starzec siedzący na stołku wziął głęboki oddech,

158

kiedy Billy położył na stole ostatnie zdjęcie, a gdy przemówił, zwracając się bezpośrednio ~~do~~do fotografii, Billy poczuł, że cierpie mu skóra. - Teddy, ty stary skurwysynu! - Uniósł wzrok, spojrzął na Billy'ego i uśmiechnął się, ale Halleck nie dał się zwieść, starzec się bał. - Wydawało mi się, że to był on - powiedział. Zobaczyłem tylko sylwetkę w ciemności. To było trzy tygodnie temu. Nie widziałem twarzy, dostrzegłem jedynie cień w mroku, ale pomyślałem... nie... wiedziałem... - Ponownie wypił łyk zimnej wody i znowu rozlał odrobinę płynu, zachlapując

sobie przód koszuli. Woda była tak lodowata, że aż jęknął.

Barman podszedł do nich i rzucił Billy'emu wrogie spojrzenie. Enders powoli uniósł do góry rękę, aby dać mu do zrozumienia, że wszystko w porządku i czuje się nieźle. Timmy ponownie zabrał się do zmywania kufli i szklanek. Enders odwrócił fotografię Taduza Lemkego. Na odwrocie było napisane: "Zdjęcie zrobiono w Attieboro, Mass., w połowie maja 1983".

- Ani trochę się nie zestarzał od lata 1963, kiedy zobaczyłem jego i cały klan przyjaciół po pierwszy - dokoń czył Enders.

Rozbili obóz za Lobster Bam, Herka, niedaleko Salt Shack przy drodze nr 27. Spędzili tam cztery dni i noc. Rankiem piątego dnia po prostu zniknęli. W pobliżu znajdowała się Cove Road. Enders powiedział, że wieczorem drugiego dnia po przybyciu Cyganów wybrał się pieszo do ich obozowiska. (Billy z trudem mógł sobie wyobrazić, jak ten człowiek obchodzi dom dookoła, ale nie wspominał o tym słowem). Stwierdził, że chciał ich zobaczyć, bo przypominali mu stare czasy, kiedy facet mógł prowadzić własny interes, naturalnie, jeśli takowy miał, a gliny wchodziłyby mu w drogę i pozwoliły swobodnie prosperować.

- Stałem dłuższą chwilę na poboczu drogi - oświadczył. - To był typowy cygański tabor, tak dawkniej. Pomimo upływu czasu zmieniło się niewiele. Kiedyś obozowali w namiotach, teraz w wozach kempingowych i przyczepach, ale raczej wszystko było po staremu. Cyganka przepowiadała przyszłość. Dwie, trzy inne

159

sprzedawały różne proszki kobietom... Cyganie handlowali z mężczyznami. Sądzę, że zostaliby dłużej, ale podobno zorganizowali walkę psów dla bogatych Kanuków i gliny to zwęszyły.

- Walkę psów!

- Ludzie uwielbiają zakłady, przyjacielu, a tego typu handlarze zawsze starają się spełnić życzenia swoich szmalcowych klientów. Między innymi właśnie dlatego dobrze prosperują. Psy albo koguty ze stalowymi ostrogami, albo nawet dwaj mężczyźni z nożami ostrymi jak brzytwy, które przypominają trójkątne szpikulce - ci faceci zagryzają w zębach końce szarfy, a ten, pierwszy wypuści, przegrywa. Cyganie uważają, że to uczciwa walka.

Enders patrzył na swoje odbicie w lustrze, za barem i jeszcze dalej, przed siebie.

- Tak, to było zupełnie jak za starych czasów - powiedział z rozmarzeniem. - Czuję zapach ich mięsa, mogłem rozpoznać sposób, w jaki je pitrasili. Zapach zielonego pieprzu i oliwy z oliwek, która cuchnie jak zjełczała, kiedy wyjmuje się ją z puszki, a potem okazuje się słodka, gdy przyżądza. Słyszałem, jak rozmawiali w tym swoim zabawnym języku i głośno: Łup! Łup! Łup!, kiedy ktoś ciskał nożem w drewnianą tarczę, piekli chleb starym sposobem, na gorących kamieniach.

To było jak za starych czasów, ale ja czuję się inaczej. Byłem przerażony. To fakt, zawsze trochę bałem się Cyganów, różnica polegała na tym, że dawniej od razu poszedłbym do ich obozu niezależnie od tego, jak się akurat czułem. Do cholery, byłem przecież biały, no nie? Przed laty zbliżyłbym się do ogromnego ogniska pośrodku obozu, gdzie przesiadywali Cyganie, i kupiłbym coś mocniejszego albo trawkę; nie tylko dlatego, że miałem ochotę coś wypić czy zapalić, ale żeby się zwyczajnie rozejrzeć. Jednak minęło wiele lat, jestem już stary, a kiedy człowieka ogarnia przerażenie, to nie idzie przed siebie śmiało i odważnie, nie oglądając się wokoło, jak to robił, kiedy był jeszcze gotowąsem.

No i stałem tak sobie w ciemnościach, mając po jednej stronie Salt Shack, a po drugiej wszystkie te wozy i przyczepy kempingowe. Obserwowałem ich, jak krążą wokół ogniska, słuchałem ich rozmów,

160

śmiejów i czułem zapach ich potraw. I wtedy tylne drzwiczki jednego z wozów kempingowych otworzyły się, na ścianie samochodu widniał wizerunek kobiety i białego konia z rogiem sterczącym z łba, jak one się nazywają..

- Jednorozce - powiedział Billy, a jego głos zdawał się obcy, jakby dobywał się z gardła kogoś innego. Znał ten wóz kempingowy bardzo dobrze, po raz pierwszy zobaczył go w dniu, kiedy Cyganie pojawili się na zieleńcu w Fairview.

- I wtedy ktoś wyszedł - ciągnął Enders. - Widziałem tylko cień i czerwony koniuszek żarzącego się papierosa, ale wiedziałem, kto to był. - Stuknął bladym palcem w fotografię przedstawiającą mężczyznę w chuście na głowie. - To był on. Twój koleś.

- Jest pan pewny?

- Zaciągnął się głęboko papierosem i zobaczyłem.. to. Wskazał na to, co zostało z nosa Taduza Lemkego, ale nie dotknął błyszczącej powierzchni zdjęcia, jakby się bał, że mógłby się w ten sposób zarazić.

- Rozmawiał pan z nim?

- Nie - powiedział Enders - ale on przemówił do mnie. Stałem tam w ciemnościach i przysięgam na Boga, że on nawet nie patrzył w moim kierunku. Powiedział: „Zrakuje ci twojej żony, co, Flash? Będzie dobrze, już niedługo się z nią spotkasz”. Po czym pstryknięciem palców wyrzucił papierosa i odszedł w stronę ogniska. Zauważyłem słaby błysk, kiedy migocący blask płomieni odbił się od kolczyka w jego uchu, ale to było wszystko.

Wytarł wierzchem dłoni kilka kropelek wody, które skapnęły mu na brodę, i spojrzał na Billy'ego.

- Nazywali mnie Flash, kiedy pracowałem w dokach, jeszcze w latach pięćdziesiątych, ale nikt, mój przyjacielu, nie zwracał się tak do mnie od lat. Stałem pośród ciemności, on jednak mnie zobaczył i zwrócił się do mnie, używając mojego starego imienia. Wydaje mi się, że Cyganie nazywają to „sekretnym imieniem”. Potrafią się cholernie człowiekowi „przysłużyć”, kiedy uda im się poznać jego „sekretnie imię”.

- Naprawdę? - zapytał Billy, zupełnie jakby mówił do siebie.

161

Barman Timmy podszedł do nich ponownie. Tym razem odezwał się do Billy'ego bardzo spokojnym i łagodnym tonem.. zupełnie jakby nie było tam Łona Endersa.

- On już zarobił na swoją dziesiątkę, kolego. Daj no spokój. Nie czuje się dobrze, a tego ~~topmowa~~ bynajmniej nie poprawi jego stanu.

- Czuję się dobrze, Timmy - powiedział Enders. Timmy nie spojrzał na niego. Zamiast tego wpatrywał się w Billy'ego Hallecka.

- Chcę, abyś już sobie poszedł - powiedział do Billy'ego tym samym stanowczym i łagodnym głosem. - Nie podoba mi się twój wygląd. Kojarzysz mi się z pechem, który tylko czeka, aby się komuś przytrafić. Piwo było na koszt firmy. Po prostu idź już sobie.

Billy spojrzał na barmana, z jednej strony przerażony, z drugiej zaś upokorzony.

- W porządku - rzucił. - Jeszcze tylko jedno pytanie i sobie pójdę. - Zwrócił się do Endersa: Dokąd pojechali?

- Nie wiem - odrzekł natychmiast Enders. - Cyganie, wyjeżdżając, nie zostawiają adresów, gdzie można ich znaleźć, przyjacielu.

Billy'emu opadły ręce.

- Ale tego ranka, kiedy wyjeżdżali, już nie spałem. Mam ostatnio coraz większe kłopoty zaśnięciem, a większość ich samochodów i półciężarówek nie posiada tłumików. Widziałem, jak

wyjeżdżali na autostradę nr 27 i skręcili na północ, na drogę nr 1. Stawiałbym na... Rockland. Starzec wydał tak smętne i przeciągle westchnienie, że Billy, zatroskany, natychmiast pochylił się w jego stronę. – Rockland albo może Boothbay Harbor. Tak. I to wszystko, co wiem, przyjacielu, z wyjątkiem tego, że kiedy ten Cygan zwrócił się do mnie per Hash, kiedy nazwał mnie moim sekretnym imieniem, po prostu się zeszczałem. Zlałem się w gacie, stary. Pocięło mi aż do buta. To rzekłszy. Lon Enders nagle się rozplakał.

– Czy zechciałby pan już sobie pójść? – zapytał Timmy.

– Idę – rzekł Billy i faktycznie wyszedł. Na odchodnym jeden

162

jedyny raz uściskał szczupłe, prawie eteryczne ramię staruszka. Kiedy wyszedł na zewnątrz, zrobiło mu się słabo z gorąca. Miał wrażenie, jakby dostał obuchem w głowę. Było już po południu, słońce przesuwano się wolno ku zachodowi i kiedy Billy spojrział w lewo, zobaczył swój cień – czarny niczym atrament na białej pościeli piasku, chudy, jak rysunek wykonany rączką dziecka.

Wykręcił kierunkowy 203.

Potrąfią cholernie się człowiekowi "przysłużyć", kiedy uda im się poznać jego "sekretne imię".

Wykręcił 555.

Chcę, abyś już sobie poszedł. Nie podoba mi się twój wygląd.

Wykręcił 923 i nasłuchiwał, jak w jego domu, w mieście tłuszcio-chów, zaczyna dzwonić telefon.

Kojarzysz mi się z pechem, który tylko czeka...

– Halo! – Głos oczekujący i jakby odrobinę zdyszany nie należał do Heidi, lecz do Lindy. Leżąc na łóżku w swoim pokoju w kształcie klina, Billy zamknął oczy, poczuł, że pod powieki napływają mu łzy. Zobaczył ją, tak jak tego wieczoru, kiedy szli razem wzdłuż Lantem Drive, on opowiadał jej o wypadku. Widział jej stare szorty i długie smukłe nogi.

Co jej powiesz, Billy? Że spędziłeś dzień na plaży, pocąc się jak szczur, że na obiad tyknąłeś dwa i że pomimo obfitej kolacji z dwoma stekami z polędwicy, zamiast jak zwykle jednego, straciłeś dzisiaj trzy funty?

– Halo?

Że kojarzysz się z pechem, który tylko czeka, aby się komuś przytrafić? Że jest ci przykro, ~~złamałeś~~, ale wszyscy rodzice to robią?

– Halo, jest tam kto? Czy to ty, Bobby? Nadal nie otwierając oczu, powiedział. – To ja Lindo.

Twój tatuś.

– Tatuś?

< 163

– Kochanie. Nie mogę rozmawiać – dorzucił. Bo chce mi się płakać i nie mogę wykrztusić z siebie słowa. – W dalszym ciągu tracę na wadze, ale sądzę, że odnalazłem trop Lemkego, zapamiętasz?

– Tatusiu. Proszę, wróć do domu! – Zaczęła płakać. Dłoń Billy'ego zaciśnięta na słuchawce, zbielała. – Brakuje mi ciebie i nie dam się już odesłać. Nie pozwolę jej na

Nagle w tle usłyszał przytłumiony głos Heidi.

– Lin? Czy to tato?

– Kocham cię, dziecinko – powiedział. – I kocham twoją mamę.

– Tatusiu...

Zduszone, niewyraźne dźwięki. Po chwili usłyszał w słuchawce głos Heidi.

– Billy? Billy, proszę daj temu spokój i wróć do domu, wróć do nas.

Billy łagodnie odłożył słuchawkę na widełki, a potem zwinął się na łóżku w kłębek i ukrył twarz w ramionach.

Następnego dnia rano wyprowadził się z "Sheratona" i wyruszył na południe wzdłuż US1, najdłuższej autostrady na wybrzeżu, która ma swój początek w Fort Kent, w Maine, a kończy się na Florydzie, w Key West. Rockland, a może Boothbay Harbor, powiedział staruszek w "Siedmiu Morzach", ale Billy wolał nie ryzykować. Zatrzymywał się przy co drugiej lub co trzeciej stacji benzynowej, jaką napotykał po drodze; stawał przy domach towarowych, przed którymi na ogrodowych fotelach siedzieli staruszkowie żujący w ustach drewniane zapałki lub wykałaczki. Pokazywał zdjęcia wszystkim, którzy zechcieli na nie spojrzeć. Wymienił dwa studolarowe czeki podróżne na banknoty dwudolarowe i rozdawał je jak ktoś, kto promuje program radiowy o kiepskich notowaniach u słuchaczy. Najczęściej pokazywał cztery zdjęcia: Giny, dziewczyny o oliwkowej cerze i ciemnych, obiecujących oczach, cadillac kombi, mikro-

busu z wizerunkiem dziewicy, i jednorozca oraz fotografię Taduza Lemkego.

Podobnie jak Lon Enders, ludzie nie chcieli brać tego ostatniego do ręki ani nawet go dotykać. Mimo to starali się być pomocni i Billy Halleck nie miał problemu ze śledzeniem Cyganów wzdłuż wybrzeża. Nie chodziło o tablice rejestracyjne spoza stanu. Latem w Maine była cała masa takich tablic. Tu ważny był raczej sposób, w jaki podróżowały te samochody i półciężarówki; jechały jeden za drugim, bardzo blisko, nieomal zderzak w zderzak, kolorowe wizerunki na ścianach pojazdów i sami Cyganie. Większość ludzi, z którymi rozmawiał Billy, twierdziła, że kobiety i dzieci kradły, choć nikt nie był w stanie powiedzieć niczego konkretnego i jak stwierdził Halleck, żaden z nich nie powiadomił policji z powodu domniemych kradzieży. Przeważnie przypominali sobie starego Cygana z gnijącym nosem. Ci, którzy go widzieli, poznawali go natychmiast.

Kiedy znalazł się w "Siedmiu Morzach" i rozmawiał z Lonem Endersem, Cyganie mieli nad nim trzy tygodnie przewagi. Właściciel stacji obsługi, niejaki Bob, nie mógł sobie przypomnieć, kiedy tankował u niego długi rząd samochodów i wozów kempingowych, którymi podróżowali Cyganie. Stwierdził natomiast, że "cuchnęli jak indiańcy". Billy pomyślał, że Bob również pachniał fiołkami, ale uznał, iż powiedzenie tego na głos mogłoby być cokolwiek nieroztropne. Dzieciak z college'u dorabiający sobie w Faunouth Beverage Bam, naprzeciwko stacji benzynowej Boba, pamiętał, kiedy to było - dokładnie 2 czerwca, w dniu jego urodzin, ponieważ nie był zadowolony, że musiał wówczas pracować. Billy rozmawiał z nim 20 czerwca, czyli w osiemnaście dni po odjeździe Cyganów. Cyganie starali się znaleźć miejsce na obozowisko, nieco dalej na północ, w rejonie Brunswicku, i zostali stamtąd przepędzeni. 4 czerwca obozowali w Boothbay Harbor. Rzecz jasna, nie na samym wybrzeżu, lecz udało im się znaleźć farmera, chętnego do odstąpienia im skrawka łąki na terenie Kenniston Hill, po dwadzieścia dolarów nac. Spędzili tu tylko trzy dni, sezon dopiero się rozpoczynał i najwyraźniej nie zdołali zbyć obwole. Farmer nazywał się Wash-

bum. Kiedy Billy podawał mu zdjęcie Taduza Lemkego, mężczyzna skinął głową, a potem przeżegnał się szybko i, jak sądził Billy, zgoła nieświadomie.

- Nigdy dotąd nie widziałem staruszka, który poruszałby się równie szybko jak on, a widziałem, jak nosił sterty drewna opałowego, których nie byli w stanie dźwignąć moi synowie. - Washbum zawahał się, po czym dodał: - Nie podobał mi się. Nie chodziło tylko o jego nos. Do diaska, mój dziadek miał raka skóry i zanim wykorkował, wyżarło mu w policzku gnijącą dziurę wielkości

popielniczki. Jakbyś zajrzał do środka, mógłbyś zobaczyć, jak przeżuwa żarcie. To było okropne, ale kochaliśmy naszego dziadka, jeżeli kapujesz pan, o co mi chodzi. – Billy skinął głową. – ~~At~~ facet... Nie podobał mi się. Wyglądał jak Dziad.

Billy już miał go poprosić o wytłumaczenie tego nowoangielskie-go określenia, ale nagle uświadomił sobie, że to nie było potrzebne. Dziad. Czarny Lud. Upiór. Odpowiedź widniała w oczach farmera Washbuma.

– On jest Dziadem – powiedział ze szczerością w głosie Billy.

– Postanowiłem ich przepędzić – powiedział farmer. – Dwadzieścia dolarów za noc, tylko za pozbieranie śmieci, to niezła gratka, ale żona bała się Cyganów i muszę przyznać, że też miałem cykora. Wczesnym rankiem, póki jeszcze nie straciłem rezonu, poszedłem na łakę powiedzieć Lemkemu, że chciałbym, żeby już sobie pojechali, ale okazało się, że się spóźniłem. Szczerze mówiąc, zrobiło mi się wtedy lżej na duszy.

– Pojechali dalej na północ.

– Taa... Pewno. Stałem na szczycie pagórka, o tam – wskazał ręką – i widziałem, jak skręcają ~~na~~ l. Obserwowałem ich, dopóki nie zniknęli mi z oczu. Cieszyłem się, że odjeżdżają.

– Tak. Nie wątpię.

Washbum spojrział na Billy'ego nieco zatroskanym wzrokiem.

– Czy mogę pana zaprosić do domu na szklaneczkę zimnej maślanki? Wygląda pan na wycień czonego.

– Dziękuję, ale chciałbym, jeśli to możliwe, objechać jeszcze przed zachodem słońca obszar Owi's Head.

166

– Szuka go pan?

– Tak.

– Cóż, mam nadzieję, że go pan znajdzie i nie da się pożreć, bo ten gość wyglądał mi na diabelnie wygłodzonego.

Billy rozmawiał z Washbumem 21 czerwca, pierwszego dnia lata, ale na drogach roiło się już od turystów i dopiero w Sheepscoot natrafił na motel, w którym były wolne miejsca; Cyganie opuścili Boothbay Harbor rankiem, 8 czerwca. Mieli teraz nad nim trzynaście dni przewagi.

Trzynaście dni przewagi.

Przez dwa okropne dni wydawało mu się już, że Cyganie zapadli się pod ziemię. Nie widziano ich w Owi's Head ani w Rockland, choć miasteczka były znanymi miejscowościami turystycznymi. Pracownicy stacji benzynowych i kelnerki patrzyli na jego zdjęcia i kręcili przecząco głowami. Powstrzymując się ze wszystkich sił, aby nie zwymiotować za burtę cennych kalorii (nigdy nie miał w sobie marynarskiej żyłki) Billy przepłynął promem z Owi's Head do Vinalhaven, ale Cyganie również i tam nie zawitali. Wieczorem 23 czerwca zadzwonił do Kirka Penschleya, licząc na uzyskanie świeżych informacji, ale kiedy się z nim połączył i Kirk zapytał:

– Jak się masz Billy? I gdzie jesteś? – w słuchawce rozległ się zabawny, podwójny trzask.

Billy natychmiast odłożył słuchawkę. Ociekał potem. Wynajął ostatni domek należący do "Rockland's Harbondew Motel"; zdawał sobie sprawę, że najprawdopodobniej między miejscem, gdzie się obecnie znajdował, a Bangor nie znajdzie żadnych wolnych pokoi, ale nagle podjął decyzję, że musi wyruszyć w drogę, nawet gdyby mu przyszło sypiać w samochodzie, musi jechać dalej. Ten podwójny trzask. Nie podobało mu się to. Taki dźwięk słychać czasami, kiedy do telefonu jest podłączony podsłuch albo kiedy zostaje włączone urządzenie namierzające.

Heidi podpisała dokumenty, żeby zawieźć cię do czubków, Billy.

To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem.

Podpisała je, podobnie jak Houston.

Daj mi, kurwa, spokój!

Wynoś się stąd, Billy.

Wyruszył w drogę. Pomijając Heidi, Houstona i możliwość wykorzystania urzędzeń namierzających, okazało się, że zrobił najlepszą rzecz, jaką mógł uczynić. Kiedy o drugiej rade zameldował się w Bangor w Ramada Inn i pokazał recepcjoniście zdjęcie (co w jego przypadku stało się już nawykiem), mężczyzna natychmiast pokiwał głową.

– Taak. Zabrałem tam swoją dziewczynę. Jedna Cyganka przepowiedziała jej przyszłość. – Wziął do ręki fotografię Giny Lemke i wyrócił oczami. – Ona naprawdę strzela świetnie z procy. Wydaje mi się, że ma duże możliwości, jeżeli rozumie pan, o co mi chodzi. – Potrząsnął dłonią, jakby strzepywał z koniuszków dłoni kropelki wody. – Moja dziewczyna zauważyła, jak na nią patrzyłem, i zaraz mnie stamtąd zabrała. – Wybuchnął śmiechem.

Jeszcze przed chwilą Billy był tak zmęczony, że właśnie nie mógł myśleć. Ożywił się jednak błyskawicznie, a w żołądku poczuł silny ucisk, kiedy adrenalina zaczęła krążyć w jego żyłach.

– Gdzie? Gdzie oni byli? A może wciąż jeszcze?...

– Nie, już ich tu nie ma. Byli w Parsons', ale stamtąd też już wyjechali. Przejeżdżałem tamtędy któregoś dnia.

– Obozowali u jakiegoś farmera?

– Nie, w miejscu gdzie stał budynek Bargain Bam, ale spalił się, w zeszłym roku. – Spojrzał niepewnym wzrokiem na grubą bluzę, jaką miał na sobie Billy, na jego wystające kości policzkowe i ostre kontury twarzy, gdzie pod powłoką skóry rysowały się wyraźnie kości czaszki. Jego oczy zdawały się płonąć jak ogniki świec.

– Ee... chce pan wynająć domek?

Następnego dnia rano Billy znalazł Bargain Bam Parsons' – wypaloną żuźłową skorupę pośrodku czegoś, co wydawało się dziewięcioma akrami opustoszałego parkingu. Przeszedł powoli przez

popękany makadam, stukając obcasami. Leżały tu puszki po piwie i wodzie sodowej. Zauważył skórę od sera, po której pełzały chrząszcze. Dostrzegł też leżącą na ziemi lśniąca metalową kulkę od łożyska. Cześć, Gina! – pomyślał. Były tu także resztki popękanych balonów i dwie używane, przypominające balony prezerwatywy. Tak, by li tutaj.

– Czuję twój zapach, starcze – wyszeptał Billy do pustej skorupy Bargain Bam i ziejących otworów, w których znajdowały się okna i które niemymi oczami patrzyły z otwartą wrogością na stojącego na placu, wychudłego jak strach na wróble, mężczyznę. Budynek sprawiał wrażenie nawiedzonego, ale Billy nie czuł lęku, jedynie wszechogarniający gniew. Był wściekły na Heidi, na Taduza Lemkego i na jego wåtpliwych przyjaciół, takich jak Kirk Penschley, którzy powinni być po jego stronie, ale zwrócili się przeciwko niemu – którzy już to zrobili lub uczynią

niebawem. Nieważne. Nawet w pojedynkę, ważąc zaledwie 130 funtów, było go dostatecznie dużo, aby dopiąć swego, dopaść starego Cygana.

A co się wówczas stanie? No cóż, pozycjemy, zobaczymy, nieprawdaż?

– Czuję twój zapach, starcze – powtórzył Billy i podszedł bliżej do bocznej ściany budynku.

Znajdowała się tam tabliczka biura handlu nieruchomościami. Billy wyjął notes z tylnej kieszeni i zapisał to, co mogło mu się przydać.

Facet z biura handlu nieruchomościami nazywał się Frank Qui-gley, ale nalegał, aby Billy

nazywał go Biff. Na ścianach wisiały oprawione w ramki zdjęcia Biffa Quigleya z jego okresu licealnego. Na większości z nich Biff nosił futbolowy kask. Na biurku leżała kupka brązowych psich odchodów. Napis na małej kiej tabliczce doczepionej do nich głosił: "Prawo jazdy Francuza".

- Tak - powiedział Biff. Wynajął Cyganom Bargain Bam za zgodą pana Parsonsa. Stwierdził, że i tak już gorzej nie mogła wyglądać, i chyba pod tym względem miał rację. Oparł się wygodnie

na obrotowym fotelu, bez przerwy wodząc wzrokiem po twarzy Billy'ego, lustrując szczelinę pomiędzy kołnierzykiem jego koszuli a szyją i fałdy bluzy zwisającej jak flaga w bezwietrzny dzień. Splótł dłonie za głowę, odtoczył fotel nieznacznie do tyłu i oparł nogi na blacie biurka, obok brązowych psich odchodów. - Nie żeby nie można było tego sprzedać, kapujesz. To teren przemysłowy pierwsza klasa i prędzej czy później ktoś zbiję na tym majątek. O tak, zbiję na

tych...
- Kiedy wyjechali Cyganie, Biff?

Biff Quigley wyjął dłonie zza głowy i pochylił się do przodu. Jego fotel wydał głośny dźwięk jak mechaniczna świnia: "kwik!"

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, czemu cię to interesuje? Wargi Hallecka, które były teraz nieco chudsze i praktycznie już się nie stykały, rozchyliły się w przeraźliwie szerokim uśmiechu, odsłaniając nieomal cały garnitur jego zębów.

- Nie, Biff. Nie mógłbym.

Biff przez moment sprawiał wrażenie zakłopotanego, ale w końcu pokiwał głową i ponownie rozsiadł się wygodnie na krześle. Jego mokasyny firmy Quoddy znów znalazły się na blacie biurka. Biff skrzyżował nogi i w zamyśleniu stukał piętą w odchody z brązu.

- Dobra, Bili. Każdy z nas ma masę swoich spraw. Jeśli ktoś z jakiegoś powodu nie chce zdradzić, dlaczego coś robi, to należy to uszanować.

- Dobrze - powiedział Billy. Poczuł, że jego gniew powraca, i musiał go w sobie stłumić. Gdyby wyładował swoją wściekłość na tym aroganckim gogusiu w eleganckich mokasynach i z modną fryzurą, z pewnością nie poprawiłby swej sytuacji. - A więc skoro ustaliliśmy...

- Niemniej jednak nadal będzie cię to kosztowało dwieście dolców.

- Co? - Billy'emu opadła szczeka. Przez chwilę jego gniew był tak obezwładniający, że najnormalniej w świecie nie był w stanie poruszyć palcem, czy choćby wydobyć z siebie słowo. Tym lepiej dla Quigleya, bo gdyby Billy mógł się poruszyć, bez wahania rzucił-

170

by się na niego. Przez ostatnie dwa miesiące wraz z wagą całego ciała tracił również samokontrolę.

- Nie za informacje, których ci udzielię - stwierdził Biff Quigley. - Zrobię to za friko. Dwie za informacje, których nie udzielię im.

- Nie... udzielisz im. Komu? - spytał Billy.

- Twojej żonie - stwierdził Biff - a także twojemu lekarzowi i facetowi, który powiedział, że pracuje dla biura usług detektywistycznych Bartona.

Billy zrozumiał wszystko w mgnieniu oka. To było jak nagły przebłysk świadomości. Sytuacja nie przedstawia się aż tak źle, jak sobie wyobrażał jego ogarnięty paranoją umysł. Było jeszcze gorzej. Heidi i Mikę Houston wybrali się do Kuka Penschleya i przekonali go, że Billy Halleck postradał zmysły. Penschley w dalszym ciągu korzystał z usług agencji Bartona, aby śledzić

Cyganów, ale teraz wszyscy oni zachowywali się jak astronomowie, którzy wypatrują Saturna tylko po to, aby móc prowadzić obserwacje Tytana lub sprowadzić Tytana z powrotem do kliniki Glassmana. Zobaczył również jednego z agentów Bartona, który siedział na tym samym krześle, kilka dni temu, rozmawiając z Biffem Quigleyem. Detektyw powiedział mu, że niebawem w jego biurze pojawi się wyjątkowo chudy facet, nazwiskiem Bili Halleck, i podał mu numer, pod który miał zadzwonić, gdyby to nastąpiło. Potem w jego umyśle pojawiła się kolejna, jeszcze bardziej przejrzysta wizja. Zobaczył samego siebie, jak przeskakuje ponad biurkiem Biffa Quigleya, chwytając przy tym ciężki, wykonany z brązu odlew psich odchodów i wali nim tamtego w czaszkę. Ujrzał to z nienawistną, wręcz upiorną wyrazistością – pękającą skórę, strugi krwi bryzgające wokół (kilka szkarłatnych kropel tryska na oprawione w ramki zdjęcia), biały błysk kości, która pęka, aby odsłonić znajdujący się wewnątrz czaszki, szarawy mózg, a potem siebie samego, jak wbija odlew psich fekaliów, tam gdzie powinny były się znaleźć, bo – rzecz by można – właśnie tam było ich miejsce.

Quigley musiał to zauważyć, jedno spojrzenie na to posępne wy-

171

chudłe oblicze wystarczyło, by zorientował się, o czym myślał Halleck, i w tej samej chwili na jego twarzy pojawił się grymas przerażenia. Pospiesznie zdjął nogi z blatu biurka i opuścił dłonie zza głowy. Jego fotel znów wydał przejmujący, świński pisk.

- No... właściwie moglibyśmy to przedyskutować – powiedział, a Billy zobaczył, jak gładka, wymanikiurowana dłoń tamtego zaczyna przesuwać się powoli w kierunku interkomu.

Naraz gniew Billy'ego wygasł, pozostawiając go drżącego i zziębniętego. Wizja, w której rozwalał czaszkę tamtego mężczyzny, nie była mętna, ale wyrazista i ostra, jakby przedstawiano ją w umysłowym odpowiedniku Dolby stereo-technikolor. Co gorsza, dobry, stary Biff w pełni zdawał sobie z tego sprawę.

Co się stało ze starym Billym Halleckiem, który nie szczędził grosza na fundusz narodowy wyprawiał gwiazdkowe przyjęcia? Jego umysł odpowiedział: - Tak, ale tamten Billy Halleck mieszkał w mieście tłuszciochów. Już go tam jednak nie ma. Wyprowadził się. I nie zostawił adresu.

- To niepotrzebne – stwierdził Billy i skinął głową w stronę interkomu. Dłoń drgnęła gwałtownie, po czym przesunęła się w stronę szuflady, jak gdyby to ona od początku stanowiła jej punkt docelowy. Biff wyjął paczkę papierosów.

- Nawet o tym nie myślałem, cha, cha! Zapali pan, panie Halleck?

Billy wziął od niego papierosa, przyjrzał mu się z uwagą, po czym pochylił się do przodu, Biff mógł mu przypalić. Zaciągnął się jeden raz i zakręciło mu się w głowie.

- Dzięki.

- Może się myliłem co do tych dwóch stówek.

- Nie, nie. Miałaś rację – powiedział Billy. Idąc tutaj, wymienił na gotówkę trzy studolarowe czeki podróżne, sądząc, że być może przyjdzie mu tu i ówdzie posmarować, ale ani przez chwilę nie przypuszczał, że będzie musiał sięgnąć do portfela z takiego powodu. Wyjął z portfela cztery pięćdziesiątki i przesunął je przez blat biurka, obok kupki odchodów, w stronę Biffa.

172

- Będiesz trzymał gębę na kłódkę, kiedy Penschley do ciebie zadzwoni?

- Ależ tak, tak! - Biff zagarnął banknoty i włożył je, razem z paczką papierosów, do szuflady.

Może pan być tego pewny!

- Mam nadzieję – powiedział Billy. - A teraz powiedz mi o Cyganach.

Opowieść była krótka i bynajmniej nie zawiła, najtrudniejszy był sam wstęp. Cyganie przybyli do Bangor 10 czerwca. Samuel Lemke i mężczyzna odpowiadający rysopisowi Richarda Crosskilla zjawili się w biurze Biffa. Po telefonie od pana Parsonsa i szefa policji z Bangor, Crosskill podpisał standardową, krótkoterminową umowę najmu, opiewającą w tym przypadku na jedną dobę. Crosskill złożył podpis jako sekretarz kompanii Taduz, a w tym czasie młody Lemke stał przy drzwiach biura Biffa z muskularnymi rękoma splecionymi na piersiach.

– A ile srebrników skapnęło ci przy tym do kieszeni? – zapytał Billy.

Biff uniósł brwi. – Że co proszę?

– Ode mnie wyciągnąłeś dwie stowy, detektyw z firmy Bartona przekazał ci zapewne jakieś pieniądze od mojej zatroskanej żony i jej przyjaciół, nie wiem ile, ale przypuszczam, że setkę. Zastanawiam się, ile zdołałeś wydusić od tych Cyganów. Niezależnie od tego, jak postąpisz, i walczysz na swoje, co, Biff?

Biff milczał przez chwilę. Wreszcie, nie odpowiadając na pytanie Billy'ego, dokoń czył swoją opowieść.

Crosskill zjawił się w jego biurze nazajutrz i jeszcze następnego dnia, aby ponownie podpisać umowę najmu. 13 czerwca przyszedł ponownie, ale wcześniej Biff otrzymał telefony od szefa policji i pana Parsonsa. Zaczęły się skargi od okolicznych mieszkańców. Szef policji uznał, że najwyższy czas, aby Cyganie wyruszyli w dalszą drogę. Parsons był tego samego zdania, ale był skłonny pozwolić im pozostać tu jeszcze dzień czy dwa, pod warunkiem że zgodzą się na podwyższenie opłat z trzydziestu do, powiedzmy, pięćdziesięciu dolarów za noc.

173

Crosskill wysłuchał słów Biffa i pokręcił głową. Wszedł bez słowa. Wiedziony dziwnym kaprysem Biff udał się w południe tego dnia do obozowiska Cyganów przy wypalanej Bargain Bam. Zjawił się tam, w chwili kiedy z placu odjeżdżały ostatnie samochody.

– Jechali w kierunku mostu Chamberlaina – powiedział. – I to wszystko, co wiem. A teraz, proszę, Billy, idź już sobie. Szczerze mówiąc, wyglądasz tak, że mógłbyś reklamować urlopy w Biafrze. Od samego patrzenia na ciebie robi mi się zimno. – Billy wciąż trzymał w palcach papierosa, choć tylko raz zaciągnął się dymem. Teraz pochylił się do przodu i zdusił papierosa na brązowym odlewie psich odchodów. Papieros, dymiąc, spadł na blat biurka Biffa.

– Szczerze mówiąc – powiedział Halleck, zwracając się do Biffa – kiedy patrzę na ciebie, czuję dokładnie to samo.

Jego gniew powrócił. Opuścił szybkim krokiem biuro Biffa Qui-gleya, gdyż obawiał się, że mógłby podążyć w niewłaściwym kierunku lub pozwolić dłoniom, aby zaczęły przemawiać w jakimś potwornym języku, którym zdawały się władać.

Był 24 czerwca. Cyganie opuścili Bangor przez most Chamberlaina trzynastego. Teraz wyprzedzali go już tylko o dziewięć dni. Blisko... coraz bliżej, ale w dalszym ciągu zbyt daleko. Odkrył, że droga nr 15, która zaczynała się przy moście po stronie Brewer, była znana jako Bar Harbor Road. W sumie nic nie stało na przeszkodzie, aby się tam wybrał. Postanowił jednak, że po drodze nie będzie już zatrzymywał się w drogich motelach ani nie będzie rozmawiał z pracownikami firm handlujących nieruchomościami. Jeżeli detektywi od Bartona w dalszym ciągu mieli nad nim przewagę, Kirk mógł równie dobrze pozostawić paru agentów, aby go przechwycili, gdyby się pokazał.

13 czerwca Cyganie przejechali czterdzieści cztery mile, do Ellsworth, gdzie otrzymali zezwolenie na trzydniowy pobyt. Obozowali na terenie zarezerwowanym dla wesołych miasteczek. Następnie przejechali przez Penobscot River do Bucksport i tam spędzili

174

kolejne trzy dni, po czym ponownie wyruszyli drogą w stronę wybrzeża.

Billy dowiedział się tego wszystkiego 25 czerwca. Cyganie wyjechali z Bucksport późnym popołudniem, dziewiętnastego.

Teraz mieli już nad nim tylko tydzień przewagi.

W Bar Harbor panowało istne szaleństwo, dokładnie tak, jak powiedziała mu kelnerka, a Billy pomyślał, że w jej słowach było naprawdę sporo racji. "Aż do Święta Pracy główną atrakcją jest tu... wesołe miasteczko. Większość z tych miast pasuje do pańskiego opisu, ale wie pan, śmiałałabym raczej na Bar Harbor... Jeździłam tam czasami w lipcu czy w sierpniu i spędzałam w Bar Harbor parę dni, teraz już nie. Jestem już na to za stara".

Ja też - pomyślał Billy, siadając na parkowej ławeczce, ubrany w bawełniane spodnie, podkoszulek z napisem: „Bangor to miasto z duszą” i wiatrówkę, która wisiała na jego kościstych, sterczących ramionach jak na wieszaku. Jadł lodowego z rożka i przyciągał zdecydowanie zbyt wiele spojrzeń.

Był zmęczony, z nie ukrywanym przerażeniem uświadomił sobie, że teraz był stale zmęczony, jeżeli nie liczyć chwil, gdy ogarniała go niepohamowana wściekłość. Kiedy tego ranka zaparkował samochód i wysiadł, aby zrobić parę zdjęć, doświadczył uczucia koszmarnego déjà-vu, kiedy spodnie zaczęły ześlizgiwać mu się z bioder. Excusez-moi - pomyślał - od kiedy tak dzieje się. Te sztruksowe spodnie kupił w Rockland, w sklepie z artykułami dla wojska i marynarki. Miały w pasie dwadzieścia osiem cali. Sprzedawca powiedział mu (z nieznacznym podenerwowaniem), że już niedługo zacznie mieć trudności z nabyciem dla siebie spodni, bo w pasie miał tyle, co nastoletni chłopcy. Przyjdzie mu szyć rzeczy na miarę, bo jego noga w dalszym ciągu miała rozmiar 32, a raczej niewielu trzynasto-latków ma 6 stóp i 2 cale wzrostu. Obecnie siedział, jedząc loda o smaku pistacjowym i czekając, aż odzyska nieco siły, zastanawiał się co było niepokojącego i dener-

175

wującego w tym pięknym, małym miasteczku, gdzie nie sposób było zaparkować samochód i gdzie chodniki były zatłoczone.

Old Orchard było wulgarnie, ale jego wulgarność była szczerą i w pewnym sensie rozbijającą. Wiedziałeś, że nagrody wygrane na strzelnicy były chłamek, który rozlatywał się w tym samym momencie, kiedy znalazłeś się dostatecznie daleko od strzelnicy, żeby nie chciało ci się wznosić i zrobić awanturę, domagając się zwrotu pieniędzy. W Old Orchard było wiele starych kobiet i prawie wszystkie z nich były grube. Niektóre nosiły obscenicznie małe bikini, większość prezentowała jednoczęściowe kostiumy, przypominające relikty z lat pięćdziesiątych. Przechodząc obok tych tłustych babsztyli, czułeś, że ich kostiumy były poddawane potwornym naciskom - prawie jak kadłub łodzi podwodnej, która zeszła na zbyt dużą głębokość. Gdyby ten cudowny, opalizujący materiał pękł w którymkolwiek miejscu, spod niego wyłoniłaby się góra tłuszczu.

W powietrzu unosił się zapach pizzy, lodów, smażonej cebuli i od czasu do czasu wymiocin, kiedy jakiś chłopak spędził nieco zbyt dużo czasu na "młocie". Większość samochodów, które sunęły wolno - prawie zderzak w zderzak, w jedną lub w drugą stronę wzdłuż ulic Old Orchard - była stara, a na ich drzwiczkach widniały wyraźne ślady rdzy. Z wielu wyciekał olej. Old Orchard było wulgarnie, ale emanowało również niezbyt silną, acz uchwytną aurą niewinności, której wyraźnie brakowało w Bar Harbor.

Ta miejscina pod wieloma względami stanowiła dokładne przeciwieństwo Old Orchard, a Billy przez moment miał wrażenie, jak gdyby znalazł się po drugiej stronie lustro. Wpatrzył tylko

kilka starych kobiet, ale żadna z nich nie była gruba; raczej nie zauważył, żeby któraś miała na sobie kostium kąpielowy. W Bar Harbor obowiązywały stroje tenisowe, białe trampki albo sprane dzinsy, koszulki do rugby i boatniki. Billy dostrzegł kilka starych samochodów i jeszcze mniej wozów amerykańskich. Większość stanowiły saaby, volvo, datsuny, bmw i hondy. Wszystkie miały nalepki z różnymi napisami: „rozszczepiajcie drwa, a nie atomy”, „Amerykanie, precz z Salwadoru!” i „Zalegalizować trawkę!”. Byli tu także rowerzyści; przemykali na swoich drogich maszynach pomiędzy poruszającymi

176

się powoli tłumami ludzi. Nosili okulary przeciwsłoneczne, zarówno zwykłe, jak i lustrzanki, uśmiechali się, ukazując rzędy śnieżnobiałych, idealnie utrzymanych zębów i słuchali muzyki japońskich walkmanów. W zatoce, poza miastem, widniał istny las masztów. Nie były to jednak zakotwiczone kutry rybackie, lecz smukłe białe żaglówki, które po Święcie Pracy znajdują się w suchych dokach.

Ludzie w Bar Harbor byli młodzi, rozbawieni, nowocześnie liberalni i bogaci. Na dodatek najwyraźniej balowali całymi nocami. Billy zatelefonował, aby zamówić dla siebie rezerwację motelu w Frenchman's Bay, ale nie zmrużył oka prawie do rana, słuchając nakładających się dźwięków muzyki rockowej, płynących z kilku dyskotek. Liczba wypadków samochodowych i drobnych incydentów drogowych podawana w lokalnej gazecie była imponująca i odrobinę niepokojąca.

Billy patrzył na talerz frisbee przelatujący nad grupą ludzi w studenckich ubraniach i pomyślał: Chcesz wiedzieć, czemu to miejsce i ci ludzie cię denerwują? Powiem ci. Oni studiują, aby mieszkać w takich miejscowościach jak Fairview – oto dlaczego. Kończą naukę, żenią się z kobietami, które mniej więcej w tym samym czasie zakończą swoje pierwsze romanse i pierwsze cykle analiz, a potem zamieszkają gdzieś, przy jakiejś spokojnej ulicy, w spokojnym, zacisznym domu. Przy grze w golfa będą nosić czerwone spodnie, a każda Wigilia będzie dla nich okazją do odzyskania ponętnej babki za cycki.

– Tak, to naprawdę przygnębiające, nie ulega wątpliwości – wymamrotał, a przechodząca akurat obok para, spojrzęła na niego ze zdziwieniem:

Oni nadal tu są.

Tak. Nadal tu byli. Ta myśl była tak naturalna i tak pozytywna, że praktycznie wcale się nie zdziwił ani nie był szczególnie podekscytowany. Mieli nad nim tydzień przewagi, do tej pory mogli już być w Maritimes albo gdzieś dalej, na trasie wzdłuż wybrzeża;

zgodnie z dotychczasowym schematem do tej pory powinni opuścić już miasto, zwłaszcza że Bar Harbor, gdzie nawet sklepy z pamiątkami wyglądały jak salony aukcyjne na East Side, było zbyt egzal-

177

owane, aby mogło przez dłuższy czas tolerować gromadę obszarpanych, brudnych Cyganów. To wszystko było prawdą. Niemniej jednak Cyganie nadal tu byli i on o tym wiedział.

– Czuję twój zapach, starcze – wyszeptał.

Oczywiście, że czujesz i powinieś.

Ta myśl wzbudziła w nim krótkotrwałe uczucie niepokoju. Wreszcie Billy wstał, wrzucił resztę lodu do kosza na śmieci i ponownie podszedł do lodziarza.

Sprzedawca nie wydawał się specjalnie zadowolony z powrotu Billy'ego.

– Zastanawiam się, czy mógłby mi pan pomóc – stwierdził Billy.

– Nie, człowieku. Nie sądzę – odparł sprzedawca, a Billy dostrzegł w jego oczach obrzydzenie.

- Zdziwiłby się pan? - Billy poczuł, że nagle ogarnia go niezwykle spokój i siła. Lodziarz chciał się odwrócić, ale Billy powstrzymał go wzrokiem. Uświadomił sobie, że teraz był do tego zdolny, jak gdyby zmienił się w istotę dysponującą jakimiś nadnaturalnymi mocami. Wyjął z kieszeni plik zdjęć; były teraz pogięte i widniały na nich plamy od potu. Rozłożył je jak karty tarota, w jednej linii na blacie stolika lodziarza. Sprzedawca obejrzał je i Billy od razu ~~w~~ ~~o~~ ~~s~~ ~~t~~ ~~z~~ ~~a~~ ~~e~~ ~~g~~ ~~ł~~ tamtego znajome błyski - wiedział, że lodziarz rozpoznał Cyganów. W jego oczach jednak, zamiast zadowolenia, malował się strach, niby ból, na który czeka chory, kiedy minie działanie środka znieczulającego. W powietrzu czuć było wyraźny zapach soli, a nad zatoką, skrzecząc, kołowały mewy.

- Ten facet - powiedział lodziarz, wpatrując się z fascynacją w fotografię Taduza Lemkego - ~~f~~ ~~a~~ ~~n~~ ~~e~~ ~~t~~ wygląda jak upiór!

- Czy oni nadal tu są?

- Tak - powiedział lodziarz. - Myślę, że tak. Gliny wykopały ich z miasta już drugiego dnia, ~~a~~ ~~d~~ ~~a~~ ~~ł~~ ~~o~~ im się wynająć kawałek pola od farmera z Tecknor. To sąsiednie miasteczko, położone nieco dalej

178

od wybrzeża. Widziałem ich w tamtej okolicy. Gliniarze mieli ich już tak serdecznie dość, ~~z~~ ~~a~~ ~~c~~ ~~h~~ ~~e~~ ~~ł~~ ~~i~~ wypisywać im mandaty, za co tylko się dało - rozbite tylne światła, cokolwiek... Najwyraźniej zrozumieli, o co chodziło.

- Dziękuję. - Billy zaczął zbierać swoje zdjęcia.

- Chce pan jeszcze jednego loda?

- Nie, dziękuję. - Strach był teraz silniejszy, ale w jego wnętrzu pojawił się również gniew ~~d~~ ~~r~~ ~~ę~~ ~~c~~ ~~z~~ ~~a~~ ~~n~~ ~~o~~ ~~u~~ ~~j~~ ~~a~~ ~~c~~ ~~a~~, pulsująca nuta skryta w ~~g~~ ~~ł~~ ~~ę~~ ~~b~~ ~~i~~ ~~n~~ ~~i~~ ~~e~~ innych uczuć.

- A więc nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli poproszę, żeby pan już sobie stąd poszedł? Nie stanowi pan zbyt dobrej reklamy dla mojego interesu.

- Nie - mruknął Billy. - Chyba nie. Ruszył z powrotem w stronę swego samochodu. Nie odczuwał ~~J~~ ~~U~~ ~~Ż~~ zmęczenia.

Tego wieczoru, kwadrans po dziewiątej, Billy zaparkował wynajęty samochód na poboczu łagodnej odnogi drogi 37- A, prowadzącej z Bar Harbor na północny zachód. Znajdował się na szczycie pagórka. a ożywcza morska bryza rozwiewała mu włosy i sprawiała, że luźne ubranie owijało się, trzepocząc głośno, wokół jego ciała. Wiatr przynosił także ze sobą dźwięki muzyki. W Bar Harbor rozpoczynało się właśnie kolejne rockandrollowe party.

W dole, nieco po prawej stronie, mógł dostrzec ogromne ognisko otoczone kręgiem samochodów osobowych, ciężarówek i półciężarów. Wewnątrz kręgu pojazdów znajdowali się ludzie. Raz po raz któryś z nich przechodził przed ogniskiem, niby czarna sylwetka wycięta z kartonu. Billy słyszał ich rozmowy, od czasu do czasu rozlegał się również śmiech.

Musiał zaryzykować.

Starzec jest tam na dole, Billy, i czeka na ciebie. On wie, że tu jesteś.

Tak. Tak, oczywiście. Ten starzec, gdyby tylko chciał, mógł unie-

179

możliwie Billy'emu odnalezienie obozu Cyganów. Ale nie o to chodziło. To nie sprawiłoby mu takiej przyjemności. Zamiast tego, urządził Billy'emu wycieczkę krajoznawczą po miejscowościach letniskowych, od Old Orchard aż po Bar Harbor. Tego właśnie pragnął.

Znowu ogarnął go strach, który jak dym przenikał jego puste miejsca. Wydawało się, że obecnie

Billy miał w sobie wiele takich miejsc. Ale w jego wnętrzu nadal tlił się płomień wściekłości. Już tego chciałem. I być może uda mi się go zaskoczyć. Jestem pewny, że spodziewa się strachu. Gniew... Tak, gniew może być dla niego zaskoczeniem. Billy odwrócił się, przez chwilę patrzył na samochód, aż wreszcie pokręcił przecząco głową. Zaczął schodzić po porośniętym zboczku pagórka, zmierzając w kierunku ogniska.

Rozdział 19: W obozie Cyganów

Zatrzymał się za wozem kempingowym z jednorozcem i dziewczicą na bocznej ścianie. Wąski cień pośród innych cieni, ale bardziej stały niż te rzucane przez tań czące płomienie. Stał przysłuchując się ich cichym rozmowom, śmiechowi, który wybuchał od czasu do czasu, trzaskom polan w ognisku.

Nie mogę tam wejść – powiedział głos w jego myślach. Dominowały pewność i strach, ale nie tylko; wyczuwał zmieszane z nimi uczucia wstydu i stosowności. Nie chciał przełamywać koncentrycznych kręgów otaczających ognisko czy przerywać Cyganom rozmowy, tak samo jak nie życzył sobie, aby na sali sądowej opadły mu spodnie. Był wszak intruzem. Nie mógł...

I nagle zobaczył w myślach twarz Lindy, usłyszał jej prośby, aby wracał do domu, i płacz. Był nieproszonym gościem, to fakt, ale nie on jeden.

Ponownie poczuł gniew. Uchwycił się tego uczucia, starał się nad nim zapanować, ujarzmić je i zmienić w coś bardziej użytecznego – wystarczyłaby zwykła srogość. A potem przeszedł pomiędzy wozem kempingowym a innym, stojącym obok i zbliżył się do

180

Cyganów siedzących przy ognisku. Podeszwy jego butów od Gu-cciego szeleściły w miękkiej trawie.

To były rzeczywiście koncentryczne kręgi: pierwszy niezbyt równy krąg pojazdów, wewnątrz niego drugi, mężczyzn i kobiet siedzących wokół ogniska, buchającego z płytkiego wgłębienia otoczonego kręgiem kamieni. Opodal w ziemię była wbita długa na sześć stóp gałąź. Na jej koniec zwisał żółtawy świstek papieru. Pozwolenie na rozpalenie ogniska – pomyślał Billy. Młodzi mężczyźni i kobiety siedzieli na ugniecionej trawie albo na dmuchanych materacach. Większość starszych Cyganów miała składane krzeselka z aluminiowych rurek i plecionych pasków plastyku. Billy zauważył, że jedna ze starszych kobiet, owinięta kocem, siedziała wyprostowana na fotelu obłożonym poduszkami. Paliła skręta i wkładała do klasera zielone znaczki S&H.

Trzy psy z boku, przy ognisku, zaczęły szczeleć głośno. Jeden z młodszych mężczyzn uniósł gwałtownie wzrok i odchylił kamizelkę, ukazując kaburę i ukryty w niej niklowany rewolwer.

– Enkelt! – rzucił ostro jeden ze starszych, kładąc dłoń na ręku młodzie

ń Badde har?

– Just det, han och Tadz!

Młodzieniec patrzył na Billy'ego Hallecka, który właśnie znalazł się pośród nich i ubrany w swoją obwisłą wiatrówkę i mokasyny wydawał się tu zgoła nie na miejscu. W jego spojrzeniu nie było strachu, jedynie zdumienie i – Billy mógłby przysiąc – współczucie. Zaraz potem chłopak ulotnił się, przedtem jednak kopnął szczekającego zajadłe psa i krzyknął głośno: – Enkelt f – Baskomla!, a potem wszystkie przestały ujadać.

Poszedł po starego – pomyślał Billy.

Rozejrzał się wokół. Rozmowy ucichły. Patrzyli na niego swymi ciemnymi oczami, ale nikt nie odezwał się choćby słowem.

Tak byś się czuł, gdyby wtedy w sądzie opadły ci spodnie – pomyślał, ale to nie była do ko
prawda. Teraz, kiedy stanął przed

181

nimi, miał wrażenie, że wszystkie jego emocje zostały przytłumione. Czuł strach i gniew, ale
oba odczucia ukryły się gdzieś głęboko w jego wnętrzu i znacznie złagodniały.

I jeszcze coś. Oni wcale nie są zdziwieni twoim przybyciem...

...ani wyglądem.

Tak. To była prawda. Nie ulegało wątpliwości. Żadna psychologiczna anoreksja, żadna
egzotyczna forma raka. Billy pomyślał, że nawet Michael Houston dałby się przekonać, gdyby
zobaczył te ciemne oczy. Oni wiedzieli, co się z nim stało. Wiedzieli również dlaczego. I znali
zakończenie.

Patrzyli na siebie nawzajem. Cyganie i chudy mężczyzna z Fair-view w Connecticut. I nagle,
zupełnie bez powodu, Billy zaczął się uśmiechać. Stara kobieta ze znaczkami jęknęła i ułożyła
palce dłoni w znak "złego oka" chroniący przed urokami.

Rozległ się odgłos kroków i głos dziewczyny, mówiącej bardzo szybko i z wyraźną złością:

– Vad są hanf Och plotsiigt brast han dybbuk, Papa! Alskling, grat intef Snalla dybbuk! Ta
Mamma!

Taduz Lemke, w koszuli nocnej sięgającej mu po kościste kolana, bosy, stanął w blasku
płonącego ogniska. Obok niego w bawełnianej koszulce, która cudownie podkreślała krągłości jej
bioder, kiedy szła, stanęła Gina Lemke.

– Ta mig Mamma! Ta mig...

Zauważyła Billy'ego stojącego pośrodku kręgu, jego obwisłą kurtkę i luźne, workowate spodnie.
Uniosła rękę w jego stronę, a potem odwróciła się w stronę starca, jakby chciała go zaatakować.
Pozostali przyglądali się temu z milczącą obojętnością. Jeszcze jedno polano pękło pośród
płomieni. Nad ogniskiem uniosło się spiralnie maleńkie tornado iskier.

– Ta mig Mamma! Va dybbuk! Ta mig inte till mormor! Ordo! Vu' derlak!

– Są hon lagt, Gina – odrzekł starzec. Na jego twarzy, podo-

182

bniejak w tonie głosu, malowała się powaga. Ciężką dłonią pogładził miękką kaskadę jej
czarnych, sięgających aż do talii włosów. Jak dotąd Taduz Lemke nie spojrzał ani razu
Billy'ego. – Vi ska stanna!

Przez chwilę rozluźniła się i pomimo ponętnych krągłości, wydawała się Billy'emu bardzo
młodziutka. Potem odwróciła się w jego stronę, a jej oblicze pałało wściekłością. Zupełnie jakby
ktoś dolał benzyny do przygasającego ognia.

– Nie rozumie pan naszego języka, co?! – krzyknęła. – Powiedziałam mojemu pratacie, że zabiłeś
moją pramamę! Uznałam, że jesteś demonem i powinniśmy cię zabić!

Starzec położył dłoń na jej ramieniu. Strąciła ją i rzuciła się na Billy'ego. Jej bosa stopy
odmęły łapczywe jezory płomieni. Włosy ciągnęły się za nią jak ogon komety.

– Gina, verkligen glad! – krzyknął ktoś zaniepokojony, ale nikt inny się nie odezwał. Pełen
powagi wyraz twarzy starca nie uległ zmianie; Cygan patrzył na Ginę zbliżającą się do Billy'ego,
niczym cierpliwy rodzic obserwujący krnąbrne dziecko.

Splunęła na niego ogromną ilością ciepłej, białej plwociny, jakby miała nią wypełnione całe usta.
Billy poczuł smak śliny na wargach. Była słona jak łzy. Patrzyła na niego wielkimi, czarnymi

oczyma i pomimo piekła wydarzeń, utraty wagi zdał sobie sprawę, że nadal jej pragnął. Zrozumiał, że ona również o tym wie, choć ciemność w jej oczach zdradzała w dużej mierze jedynie pogardę.

- Gdyby to przywróciło ją do życia, mogłabyś nawet utopić mnie we własnej ślinie - powiedział. To dziwne, ale jego głos był czysty i silny. - Nie jestem dybukiem. Ani dybukiem, ani demonem, ani potworem. To, co widzisz... - Uniósł ręce w górę i przez chwilę blask płomieni przebijał przez materiał jego wiatrówki, nadając mu wygląd bardzo nędznego, białego nietoperza. Powoli opuścił ręce do boków. - .. .oto, czym jestem.

Przez chwilę sprawiała wrażenie zakłopotanej, a nawet odrobinę przestraszonej. Choć ślina wciąż jeszcze ściekała mu po twarzy, pogarda znikła z jej oblicza, a Billy przyjął to z wdzięcznością.

183

- Gina! - To był Samuel Lemke, żongler. Stał obok starego, zapinając pasek u spodni. Nosił podkoszulek z wizerunkiem Bruce'a Springsteena. - Enkelt men tilirackligt!

- Jesteś mordercą i łajdakiem - powiedziała do Billy'ego i odeszła tam, skąd przyszła. Brat próbował objąć ją ramieniem, ale odepchnęła go i znikła w ciemnościach. Starzec odwrócił się podążając za nią wzrokiem, aż wreszcie spojrzał na Hallecka.

Przez moment Billy patrzył na gnijącą ranę pośrodku twarzy Lemkego, po czym ich spojrzenia spotkały się. Oczy przepelnione były starczą mądrością. Było w nich jeszcze coś... i jakby czegoś brakowało. Dostrzegł w nich pustkę, to ona stanowiła ich jądro, a nie zewnętrzna otoczka świadomości, migocąca niczym blask księżyca na tafli jeziora. Pustka, tak głęboka i bezgraniczna jak przestrzenie oddzielające poszczególne galaktyki.

Lemke powoli jak lunatyk wyciągnął w stronę Billy'ego dłoń z zakrzywionym palcem. Billy obszedł ognisko i podszedł do starca, ubranego w szarą nocną koszulę.

- Znasz język Romów? - zapytał Lemke, kiedy Billy zatrzymał się dokładnie na wprost niego. Mówił prawie szeptem, ale w pograżonym w ciszy obozowisku, gdzie jedynymi dźwiękami były trzaski pękających, suchych drew, głos starca rozchodził się wokół i słyszano go bardzo wyraźnie.

Billy pokręcił głową.

- W języku Romów nazywamy cię skummade ingenom, co znaczy: "biały człowiek z miasta". - Uśmiechnął się, odstawiając przegniłe, żółte od nikotyny zęby. Ciemny otwór, gdzie znajdował się jego nos, rozciągnął się i jakby przekrzywił.

- Ale znaczy to również: "parszywy ignorant". Starzec wreszcie opuścił wzrok i najwyraźniej przestał interesować się Billy'ym.

- A teraz odejź, biały człowieku z miasta. Nie masz nic do nas ani my do ciebie. Nasze porachunki zostały załatwione. Wróć do swoich.

Zaczął się odwracać.

184

Przez chwilę Billy stał jak skamieniały, z rozdziawionymi ustami, a w głębi duszy, aczkolwiek mgliście, czuł, że starzec go zahipnotyzował; zrobił to równie łatwo, jak farmer usypiający kurczaki przez wkładanie im główek pod skrzydła.

/ to już wszystko? - pomyślał z przerażeniem. Tyle zachodu, tyle trudu, tylko po to, żeby cię zahipnotyzować? Przeżyłeś tak długą drogę, tylu ludzi wypytywałeś. Dniami i nocami dręczyły cię koszmary i to miałyby oznaczać koniec? Będziesz tak stał i nawet nie powiesz jednego słowa? Pozwolisz, by cię obrażał, nazywał cię "parszywym ignorantem", a potem wrócisz spokojnie do łóżka?

- Nie, to nie wszystko - rzucił oschłym tonem Billy. Opodał ktoś gwałtownie odetchnął. Samuel Lemke, który prowadził starca w stronę jego wozu, obejrzał się przez ramię, zaskoczony. Po chwili odwrócił się również Taduz Lemke. Na jego twarzy malowało się znużenie, graniczące z rozbawieniem, choć Billy'emu wydawało się, że w blasku ognia dostrzegł także ulotny grymas zdziwienia.

Młodzieniec, który jako pierwszy zauważył Billy'ego, ponownie sięgnął pod kamizelkę po rewolwer.

- Ona jest bardzo piękna - rzekł Billy. - Giną.

- Zamknij się, biały człowieku z miasta - rzucił Samuel Lemke. - Nie chcę, żebyś wymawiał imię mojej siostry. Billy zignorował go. Przeniósł wzrok na Lemkego.

- Czy ona jest twoją prawnuczką? Praprawnuczką? - Starzec przyglądał mu się, jakby zastanawiał się, czy coś usłyszał - coś innego niż szum wiatru czy trzask pękających polan. A potem znów zaczął się odwracać. - Może zaczekałbyś chwilę, a ja zapiszę ci adres mojej córki - powiedział Billy, podnosząc głos. Nie mówił zbyt głośno, nie musiał tego robić, aby wyrazić coś tonem nie znoszącym sprzeciwu, którym posługiwał się podczas niezliczonych posiedzeń w sądzie. - Nie jest tak piękna jak twoja Giną, ale uważamy, że jest całkiem ładna. Może mogłyby wymienić listy na temat niesprawiedliwości. Co o tym myślisz, Lemke? Czy kiedy już umrę, tak jak twoja córka, będą mogły o tym podyskutować? Kto jest w stanie rozsądzić ten problem? Dzieci?

Wnuki? Zaczekaj chwi-

185

lę, zapiszę ci adres. To zajmie tylko sekundkę. Zapiszę ci to na odwrocie twojego zdjęcia. Może kiedyś, któregoś dnia, kiedy nie uda im się rozstrzygnąć tej zagmatwanej kwestii, pozabijają się wzajem, a potem ich dzieci przejmą po nich tę mroczną spuściznę. Być może im się uda. Co o tym sądzisz, starcze... czy to nie najrozsądniejsze wyjście z tej całej popieprzonej sytuacji? - Samuel jęknął, przyłożył dłoń na ramieniu Lemkego. Ten odtrącił go i podszedł wolnym krokiem do Billy'ego. Oczy starca wypełniały teraz łzy wściekłości. Jego schorowane dłonie zaciskały się powoli. Wszyscy inni patrzyli, milczący i przerażeni.

- Przejechałeś moją córkę, biały człowieku - powiedział. - Przejechałeś moją córkę, a teraz masz... masz w sobie tyle borjade mila, że zjawiasz się tu i zmuszasz, bym cię wysłuchał.

Widzisz, wiedziałem, kto to zrobił. Zająłem się tym, choć zwykle wyjeżdżamy po prostu z miasta. Zazwyczaj tak się dzieje, ale bywa, że sami wymierzamy sprawiedliwość. - Starzec uniósł sękatą dłoń przed twarzą Billy'ego. Nagle dłoń zacisnęła się w pięść. W chwilę potem spomiędzy palców wypłynęła krew. Cyganie wydali pomruk aprobaty. - To sprawiedliwość Romów, skummade igenom. Dwoma pozostałymi już się zająłem. Sędzia przedwczoraj wieczorem rzucił się z okna. On... - Taduz Lemke pstryknął palcami, a potem dmuchnął na opuszkę kciuka, jakby przykleił się do niej niewidoczny fragmentek mniszka lekarskiego.

- Czy to zwróci panu córkę, panie Lemke? Czy pana córka ożyła z chwilą, gdy Cary Rossington roztrzaskał się o ziemię? Usta Lemkego skrzywiły się.

- Nie chodzi mi o to, by ją wskrzesić. Sprawiedliwość nie przywraca zmarłych do życia, biały człowieku. Sprawiedliwość jest aktem. Zechciej wynieść się stąd, zanim przytrafi ci się coś gorszego. Wiem, co robiłeś ty i twoja żona. Myślisz, że nie mam oczu? Mam! Zapytaj któregoś z nich. Oglądam nimi świat już od stu lat.

Z ust Cyganów siedzących wokół ogniska dobyło się stłumione mruknięcie.

- Nie interesuje mnie, czy masz oczy ani od ilu lat - stwierdził

186

Billy. Powoli wyciągnął ręce i schwycił starca za ramiona. Gdzieś nieopodal rozległ się pomruk wściekłości. Samuel Lemke postąpił krok naprzód. Tadz Lemke odwrócił głowę i wyrzekł jedno słowo w języku Romów. Młodzieniec zatrzymał się, niepewny i zakłopotany. Podobny wyraz miały twarze Cyganów siedzących wokół ogniska, ale Billy tego nie widział. Dostrzegał jedynie starca. Pochylał się ku niemu, coraz bliżej i bliżej, aż prawie dotknął nosem pomarszczonej, gąbczastej masy, która była wszystkim, co pozostało z nosa Lemkego. – Pieprzę twoją sprawiedliwość – powiedział. – Wiesz tyle o sprawiedliwości, co ja o silnikach odrzutowych. Zdejmij to ze mnie.

Lemke wpatrywał się Billy'emu prosto w oczy, Halleck widział tę pustkę, ukrytą pod cienką powłoką mądrości.

– Puść mnie albo sprawię, że twój stan się pogorszy – powiedział ze spokojem. – I to do ścienia, że uznasz, iż za pierwszym razem cię pobłogosławiłem.

Nagle na twarzy Billy'ego pojawił się uśmiech, kościsty uśmiech jak blady, odwrócony półksiężyc.

– No, dalej – rzucił. – Spróbuj. Ale wiesz co, nie sędzę, abyś mógł to teraz zrobić. – Starzec patrzył w milczeniu. – Bo sam ci w tym pomogłem – oświadczył Billy. – Przynajmniej pod tym względem się zgadzamy, układ partnerski, prawda? Przeklinany i przeklinający muszą ze sobą współdziałać. Wszyscy współpracowaliśmy z tobą – znacznie pomogliśmy ci. Hopley, Rossington i ja. Ale teraz ja wypadam z gry, starcze. Żona zabawiła się ze mną w moim starym, dobrym samochodzie, to fakt, a twoja córka wtargnęła na jezdnię, wypadając nieprzepisowo spoza dwóch stojących przy chodniku wozów, i to też jest niezaprzeczalny fakt. Gdyby nie przechodziła przez środek ulicy, tylko na pasach, przy rogu, żyłaby dzisiaj. Obie strony zawiniły, ale twoja córka zginęła, a moje życie nie będzie już nigdy takie jak kiedyś. Mamy stan równowagi. Nie jest to najlepsze rozwiązanie, jakie można by sobie wymarzyć, ale musimy je przyjąć. W Las Vegas nazywają coś takiego targowaniem się. I skoń czmy już z tym staruszku: tutaj.

187

W oczach Lemkego pojawił się dziwny i niemal obcy strach, kiedy Billy zaczął się uśmiechać, ale teraz jego miejsce zajął wyraz tępego, niewzruszonego gniewu.

– Nigdy cię od tego nie uwolnię, biały człowieku z miasta – powiedział Tadz Lemke. – Umrę tymi słowami na ustach.

Billy powoli opuszczał głowę w stronę twarzy Lemkego, aż ich czoła prawie się zetknęły, i nagle poczuł, że stary Cygan śmierdział. W nozdrza uderzyła go woń pajęczyn, tytoniu i starego moczu.

– A więc spraw, aby mój stan się pogorszył. No, jazda! Zrób tak, żeby... jak to powiedziałeś, nie się wydawało, że za pierwszym razem mnie pobłogosławiłeś.

Lemke przyglądał mu się jeszcze przez dłuższą chwilę i nieoczekiwanie Billy uświadomił sobie, że udało mu się zapędzić Cygana w koziego róg. Nagle Lemke gwałtownie odwrócił się w stronę Samuela.

– Enkelt av lakan och kanske alskade! Just det! Samuel i chłopak z pistoletem pod kamizelką odciągnęli Billy'ego

go od Taduza Lemkego. Starzec szybko i ciężko oddychał, a jego rzadkie włosy zmierzwiły się.

Nie przywykł do tego, by go dotykano ani by przemawiano doń w gniewie.

– To targowanie się – powtórzył Billy, kiedy go odciągano. – Słyszysz, co mówię?

Twarz Lemkego wykrzywiła się. Nagle, w przerażający sposób zmienił się w trzystoletniego starca, potwornego, żywego trupa.

- To nie żadne targowanie się! - krzyknął i pogroził gniewnie Billy'emu pięścią. - I nigdy nim byłeś! Umrzesz, chudy człowieku z miasta! Umrzesz! - Uderzał jedną pięścią o drugą, a Billy poczuł przejmujący, ostry ból w obu bokach, jakby jego ciało znajdowało się pomiędzy zaciśniętymi kułakami starego Cygana. Przez chwilę nie mógł zaczerpnąć powietrza i miał wrażenie, jakby coś miażdżyło mu wnętrzności. - Umrzesz, chudy! Będziesz chudł, aż zdechniesz!

- To tylko targowanie się - powiedział ponownie Billy, starając się nie jęczeć.

- Żadne targowanie się! - wykrzyknął starzec. Wściekłość

188

i zjadłość sprawiły, że na jego obliczu pojawiła się przypominająca pajęczynę siateczka czerwonych żyłek. - Zabierzcie go stąd!

Zaczęli odciągać go od ogniska. Tadz Lemke przyglądał się temu, opierając dłonie na biodrach; jego oblicze przypominało kamienną maskę. - Zanim mnie stąd wyprowadzą, starcze, powinieneś wiedzieć, że moja klątwa spadnie na twoją rodzinę - zawołał Billy. Pomimo tępego bólu w bokach, głos był silny, spokojny, prawie radosny. - Klątwa białego człowieka z miasta.

Wydawało mu się, że oczy Lemkego otworzyły się nieco szerzej. Billy kątem oka zauważył, że stara kobieta z klaserem na kolanach ponownie uczyniła ręką znak chroniący przed urokami.

Dwaj młodzieńcy na chwilę przestali się z nim szarpać. Samuel Lemke wybuchnął krótkim, gardłowym śmiechem, być może rozbawił go fakt, że biały prawnik z Faimew w Connecticut, przedstawiciel dość zamożnej klasy średniej usiłuje rzucić klątwę na mężczyznę, który był prawdopodobnie najstarszym Cyganem w całej Ameryce. Jeszcze dwa miesiące temu Billy zareagowałby podobnie.

Jednak Tadz Lemke nawet się nie uśmiechnął.

- Sądzisz, że ludzie tacy jak ja nie mają mocy, by rzucać klątwy? - spytał Billy. Uniósł dłonie, zniszczone, chude, kościste dłonie, po obu stronach głowy i powoli rozszerzył palce. Wyglądał jak gospodarz znanego programu rozrywkowego, proszący widzów o ciszę. - Mamy moc.

Potrąfimy przeklinać ludzi, kiedy tylko pokaże się nam, jak należy to robić, starcze.

Niewokuj mnie do tego.

Za plecami starego coś się poruszyło; mignięcie białej koszuli nocnej i czarnych, połyskliwych włosów.

- Ginę! - wykrzyknął Samuel Lemke.

Billy zobaczył, jak postąpiła naprzód, stając w kręgu światła. Zauważył, jak unosi procę, odciąga gumę i zwalnia ją jednym płynnym gestem, niczym artystka malująca smukłą kreskę na kartce białego papieru. Miał wrażenie, że dostrzegł rozmytą, srebrną smugę przecinającą powietrze i tknącą ku niemu, aczkolwiek prawie na pewno był to tylko wytwór jego wyobraźni. Poczł palący, kłujący niczym odłamki szkła, ból w lewym ręku. Ból zniknął prawie tak

189

szybko, jak się pojawił. Usłyszał, jak stalowa kulka, którą dziewczyna wystrzeliła z procy, odbija się głuchym uderzeniem od ściany wozu kempingowego. W tej samej chwili uświadomił sobie, że patrzy na wykrzywione wściekłością oblicze Cyganki nie pomiędzy rozłożonymi palcami, ale przez swoją dłoń, pośrodku której był niewielki, okrągły otwór.

Postrzeliła mnie z procy - pomyślał. Chryste Panie, postrzeliła mnie! Krew, czarna jak smoła, wylasku płomieni, ściekała mu po dłoni i przesiąkała przez rękaw jego wiatrówki.

- Enkelt! - krzyknęła. - Wnoś się stąd, eyelak! Wnoś się stąd, ty parszywy morderco!
Wyrzuciła procę. Drewniana broń w kształcie litery Y z mocną gumą i łożyskiem do kulek, przypominającym przepaskę na oko, wylądowała na skraju ogniska. Gina krzyząc, uciekła w mrok. Nikt się nie poruszył. Cyganie, tworzący krąg wokół ogniska, dwaj młodzieńcy, starzec, nawet sam Billy znieruchomieli jak woskowe figury. W chwilę potem dało się słyszeć trzaśnięcie drzwiczek i krzyki dziewczyny stały się przytłumione. Ból w dalszym ciągu nie nadchodził. Nagle ni stąd, ni zowąd Billy zupełnie nieświadomie wyciągnął krwawiącą rękę w stronę Lemkego. Starzec cofnął się o krok i błyskawicznie wykonał gest "złego oka", chroniący przed urokami. Billy zacisnął dłoń, tak jak to zrobił Lemke; pomiędzy jego palców, tak jak wcześniej z ręki Cygana, pociekła krew.

- Niech klątwa białego człowieka spadnie na ciebie, Lemke! Nie piszą o niej w książkach, ale daję słowo, że ona istnieje i ty w to wierzysz!

Starzec wybuchnął potokiem słów w języku Romów. Billy'ego szarpnięto w tył tak gwałtownie, że o mało głowa nie odpadła mu od szyi. Uniesiono go w górę. Nie dotykał już stopami ziemi. Wrzucą mnie do ogniska, Chryste, opieką mnie...

Miast tego wyniesiono go z obozu Cyganów, poza obręb kręgów (ludzie w obawie przed nim podnosili się gwałtownie, a nawet spadali z krzesłek) i pomiędzy dwoma pikapami z przybudówkami kempingowymi. W jednym z nich był włączony telewizor, nadawano

190

akurat odcinek jakiegoś serialu z wgranym w ścieżkę dźwiękową śmiechem.

Chłopak w kamizelce kiwnął głową, Billy zakotłosał się jak worek ziarna (bardzo lekki worek ziarna), a w chwilę potem znalazł się w powietrzu. Wylądował z głuchym łupnięciem na trawie, za zaparkowanymi pojazdami. To bolało bardziej niż rana w dłoni; nie miał już na sobie ochronnej warstwy tkanki tłuszczowej i odniósł wrażenie, że w momencie upadku wszystkie kości w jego ciele zagrzechotały niczym poluzowane zawory starej ciężarówki. Spróbował się podnieść, ale w pierwszej chwili okazało się to dla niego zbyt trudne. Przed oczyma zawirowały mu białe mroczki. Jęknął.

Samuel Lemke podszedł do niego. Przystojne oblicze młodzieńca było gładkie, zabójcze i kompletnie pozbawione wyrazu. Sięgnął do kieszeni dżinsów i wyjął coś, co Billy w pierwszej chwili wziął za krótki patyk. Zrozumiał swoją omyłkę, kiedy Lemke nacisnął mały guzik i z rękojeści sprężynowca wyprysnęło srebrzyste ostrze. Uniósł krwawiącą dłoń do góry i Lemke zawahał się. Teraz na jego obliczu pojawił się wyraz, który Billy tak często miał okazję widzieć, przeglądając się w lustrze. To był strach.

Jego towarzysz powiedział coś. Lemke wahał się, ale ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Billy'ego. W końcu powolnym ruchem złożył sprężynowiec i schował nóż do kieszeni. Splunął w stronę Billy'ego. W chwilę potem dwaj młodzi Cyganie odeszli.

Halleck leżał przez chwilę nieruchomo, usiłując przypomnieć sobie wszystko, co się wydarzyło, wydobyć z tego jakiś sens. To była jednak prawnicza sztuczka, nie mająca szans powodzenia w tym posępnym, mrocznym miejscu. Jego dłoń zaczęła mu się dawać ostro we znaki. Stało się z nią coś bardzo złego i Billy wiedział, że już niebawem ból znacznie przybierze na sile. Chyba zamci zmienia zdanie i wróca. Wtedy Cyganie mogliby bardzo szybko i definitywnie ukrócić jego cierpienia.

Ta myśl zmusiła go do działania. Przetoczył się na bok, podciągnął kolana do tego, co zostało jego brzucha, a potem znieruchomiał na chwilę, leżąc z policzkiem wtulonym w wygniecioną trawę, podczas gdy w jego wnętrzu rozgorzała zacięta walka. Było mu

191

słabo. Mdłości raz po raz podchodziły mu do gardła, atakując niczym fale przyływu. Kiedy nudności minęły, podniósł się powoli i zaczął wspinać się na szczyt pagórka, gdzie zostawił swój samochód. Po drodze dwa razy upadł. Za drugim razem wydawało mu się, że już nie zdoła się podnieść. Mimo to jakimś cudem – głównie powodowany myślą o Lindzie, śpiącej spokojnie i smacznie w swoim łóżku – dokonał tego. Miał wrażenie, jakby od jego dłoni, przez nadgarstek, aż do łokcia, rozrastała się powoli pulsująca, ciemnoczerwona pręga zakażenia i gangreny. Kiedy w końcu dotarł do swojego forda (miał wrażenie, że trwało to całe wieki), zaczął wyjmować kluczyki. Włożył je do lewej kieszeni, więc teraz musiał sięgać po nie prawą ręką, przesuwając ją ponad kroczeniem.

Uruchomił wóz i przez chwilę siedział w kompletnym bezruchu. Sztywną z bólu dłoń ułożył wnętrzem do góry na lewym udzie. Wyglądała jak postrzelony ptak. Spojrzał w dół, na krąg półciężarów-vek i wozów kempingowych i migocące płomienie ogniska. Przypomniał mu się fragment starej piosenki: Tań czyła przy ognisku w rytm cygańskie muzyki/Piękna młodziutka dziewczyna wirująca jak fryga, oczarowała mnie w jednej chwili...

Powoli uniósł do góry lewą dłoń i zatrzymał ją na wysokości twarzy. Upiornie zielone światło żablicy rozdzielczej wozu przebijało się przez okrągły, cień my otwór w jego ręce. Oczarowała mnie, jeszcze jak – pomyślał Billy i włączył, Jazdę” w automatycznej skrzyni biegów. Poważnie zastanawiał się, czy uda mu się wrócić do swego motelu.

Jakimś cudem zdołał tego dokonać.

Rozdział 20

– William? Co się stało?

Głos Ginellego, z początku zaspany i nieco rozgniewany, stał się nagle ostry i przesycony troską. Billy znalazł domowy numer Ginellego w książce teleadresowej, poniżej numeru telefonu

”Trzech

192

Braci”. Nakręcił go, ale nie robił sobie wielkich nadziei, przekonany, że przez tyle lat na pewno został zmieniony. Jego lewa dłoń, owinięta chusteczką, spoczywała na podolku. Cała ręka, a właściwie skóra, kości i krew – to z niej zostało – przy najlżejszym ruchu powodowała potworny ból. Kropelki potu wystąpiły mu na czoło. Przyszły mu na myśl wizje ukrzyżowania.

– Przepraszam, że dzwonię do ciebie do domu, Richardzie – powiedział. – I do tego tak późno.

– Pieprzyć to, co się stało?

– Cóż, moim problemem numer jeden jest obecnie to, że zostałem postrzelony w rękę z...

Nieznacznie zmienił pozycję, jego dłoń zapłonęła żywym ogniem i rozchylił wargi, ukazując zaciśnięte zęby.

– .. -z procy. – Po drugiej stronie zapanowała cisza. – Wiem, jak to brzmi, ale to prawda.

Dziewczyna przestrelała mi rękę z procy.

– To nie żart, Williamie? Jakaś dziwka przestrelała ci rękę?

– Nie mam zwyczaju dzwonić do ludzi o... – spojrzał na zegarek i kolejna fala bólu przeszła wnętrzem jego ręki –... o trzeciej nad ranem i opowiadać kawały. Siedzę tu już trzy godziny, czekając na bardziej cywilizowaną godzinę. Ale ten ból...

Roześmiał się pod nosem, był to dziwny dźwięk, bezradny, przesycony cierpieniem.

- Ból jest okropny.
- Czy to ma jakiś związek z tym, co opowiadałeś mi wcześniej?
- Tak.
- To byli Cyganie?
- Tak. Richardzie...
- No? Cóż, mogę obiecać ci jedno. Po tym, co się stało, nie będziesz już miał z nimi problemów.
- Richardzie, nie mogę pójść z tym do lekarza, a... a naprawdę strasznie mnie boli. -
Halleck, wielki mistrz umniejszania faktów - pomyślał.
- Czy mógłbyś mi coś przesłać? Może przez Federal Express? Jakiś środek przeciwbólowy?
193

- Gdzie jesteś?
Billy zawahał się przez chwilę, po czym nieznacznie pokręcił głową. Wszyscy, którym ufał, uznali go za obłąkanego; stwierdził, iż było bardzo prawdopodobne, że jego żona i jego szef wykonali albo wykonają niebawem wszystkie konieczne czynności, aby go ubezwłasnowolnić. Nie miał zbyt wielkiego wyboru, sytuacja była wręcz ironiczna; albo zaufa temu gangsterowi, zajmującemu się handlem narkotykami, którego nie widział od blisko sześciu lat, albo zupełnie się podda.
Przymykając oczy, powiedział:
- Jestem w Bar Harbor w Maine. Motel "Frenchman's Bay". Domek 37.
- Chwileczkę. - Ginelli znów rozmawiał przez chwilę z dala od telefonu. Billy słyszał niezbyt wyraźnie wypowiedane przezeń włoskie słowa. Nie otworzył oczu. Wreszcie Ginelli ponownie podjął przerwana rozmowę. - Żona załatwi dla mnie parę telefonów - stwierdził. - Będziemy musieli z twojego powodu obudzić paru ludzi w Norwalk. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony, paisan.
- Jesteś dżentelmenem, Richardzie - rzekł Billy. Jego słowa były gardłowe i niewyraźne, musiał chrząknąć. Było mu zimno. Zbyt zimno. Miał suche wargi i próbował je zwilżyć, ale jego język również był suchy.
- Staraj się nie ruszać, przyjacielu - powiedział Ginelli. W jego głosie znów pojawiło się troskanie. - Słyszysz mnie? Nie \ ruszaj się. Owiń się kocem, jeżeli wiesz, że zostałeś ! postrzelony. Jesteś w szoku. ! - Bez kitu -
pomyślał Billy, rzygnął.
- Jestem w szoku już od dobrych dwóch miesięcy. , - O czym ty mówisz?

- Nieważne.
\ - W porządku. Ale musimy porozmawiać, Williamie.
| -
Tak. - Ja... poczekaj chwileczkę. Znów włoskie słowa delikatne i ciche. Halleck powściął powieki i wsłuchiwał się w pulsujący ból jego własnej dłoni. Po chwili Ginelli odezwał się:
194

- Jeden gość będzie akurat w tamtej okolicy i podrzuci ci środek przeciwbólowy. On...
- Och, ależ Richardzie, to nie pot...
- Nie mów mi, co mam robić, Williamie, po prostu słuchaj. Nazywa się Fander. Ten facet nie jest lekarzem, w każdym razie już nie, ale rzuci na ciebie okiem i stwierdzi, czy oprócz prochów musisz dostać jeszcze antybiotyki. Powinien zjawić się u ciebie przed świtem.
- Richardzie, doprawdy nie wiem, jak ci dziękować - powiedział Billy. Łzy spływały mu po

policzkach, otarł je machinalnie prawą ręką.

– Zdaję sobie z tego sprawę – rzekł Ginelli. – Nie jesteś makaroniarzem. I pamiętaj, Billy, **się** ruszać. Po prostu siedź nieruchomo.

Fander zjawił się parę minut przed szóstą. Był niskim człowieczkiem o przedwcześnie posiwiałych włosach, a w ręku trzymał torbę wiejskiego lekarza. Przez dłuższą chwilę przyglądał się bez słowa wychudłemu, kościstemu ciału Billy'ego, po czym delikatnie odwinął chusteczkę z jego lewej dłoni. Billy musiał przyłożyć drugą rękę do ust, aby stłumić krzyk.

– Proszę unieść dłoń – powiedział Fander, i Billy zrobił to. Ręka była mocno opuchnięta, skóra naciągnięta i błyszcząca. Przez chwilę on i Fander patrzyli na siebie nawzajem przez otwór dłoni Billy'ego. Rana była okolona ciemną obwódka z krwi. Fander wyjął z torby otoskop i poświecił nim przez otwór. Potem wyłączył go i schował.

– Rana czysta i schludna – stwierdził. – Jeżeli to była kulka od łożysk, to szansę na zakażenie **ma**niejsze niż w przypadku ołowianej kuli z rewolweru.

Przerwał, zastanawiając się przez chwilę.

– Chyba że dziewczyna przed oddaniem strzału czymś ją nasmarowała.

– Cóż za pocieszający pomysł – mruknął ochryple Billy.

195

– Nie płacą mi za pocieszanie ludzi – odparł spokojnie Fander.

– Zwłaszcza gdy wrywa się mnie z łożka o 3.30, daje tylko tyle czasu, żebym zdążył się ubrać, pakuje do samolotu, w którym na wysokości jedenastu tysięcy stóp trzęsło jak jasna cholera.

Mówi pan, że to była stalowa kulka od łożysk?

– Tak.

– A więc najprawdopodobniej ma pan rację. Raczej trudno jest nasączyć stalową kulkę trucizną, tak jak robią Indianie Jivaro, smarując drewniane groty swoich strzał kurarą. Poza tym, jeżeli rzeczywiście zrobiła to spontanicznie, jak pan twierdzi, to raczej wątpliwe, aby zdążyła ją czymś pokryć. Rana powinna zagoić się szybko i bez komplikacji. Wyjął środek dezynfekujący, gazę i elastyczny bandaż.

– Mam zamiar opatrzyć panu tę ranę, a potem ją zabandażuję. Zakładanie opatrunku będzie diablo bolesne, ale proszę mi wierzyć, że na dłuższą metę cierpiełby pan bardziej, gdyby rana pozostała odsłonięta.

Ponownie zlustrował Billy'ego przeciągłym spojrzeniem, ale w jego wzroku nie było współczucia typowego dla lekarza; patrzył na niego zimno i krytycznie, niczym spec od skrobanek.

– Jeżeli znów nie zacznie pan jeść, to dłoń będzie najmniejszym z pańskich problemów.

Billy nie odezwał się słowem.

Fander przyglądał mu się jeszcze przez dłuższą chwilę, po czym zabrał się za sporządzenie opatrunku. W tej chwili Billy i tak nie mógł kontynuować rozmowy; ból był koszmarny.

Zamknął oczy, zacisnął zęby i czekał, aż tortura dobiegnie końca.

Wreszcie kaźń się skończyła. Billy siedział, podtrzymując pulsującą bólem, obandażowaną dłoń a Fander ponownie grzebał w swojej torbie.

– Pomijając wszystko inne, pańskie radykalne wycieńczenie organizmu stwarza poważne problemy, jeżeli chodzi o zwalczenie dręczącego pana bólu. Gdyby nie miał pan takiej niedowagi, czułby się pan dużo lepiej. Nie mogę podać darvonu czy darvocetu, bo mogłyby pana wprawić w stan śpiączki albo spowodować arytmie serca. Ile pan waży, panie Halleck? 125 funtów?

196

- Mniej więcej - wymamrotał Billy. W łazience była waga i stanął na niej przed wyprawą do obozu Cyganów. W głębi duszy stwierdził, iż był to raczej dziwny sposób na dodanie sobie otuchy. Wskazówka zatrzymała się na 118. Cała ta podróż, w palących promieniach słońca, znacznie przyspieszyła proces jego chudnięcia.

Fander pokiwał głową z wyraźnym niesmakiem.

- Dam panu dość silną empirynę. Proszę brać po jednej tabletkę. Jeśli po pół godzinie pan nie czuje bólu, a ból nadal będzie nie do zniesienia, proszę wziąć jeszcze połówkę, i niech pan postępuje w ten sposób przez następne trzy lub cztery dni. - Pokręcił głową.

- Przeleciałem sześćset mil, żeby dać człowiekowi buteleczkę empiryny. To niewiarygodne. Życie potrafi być naprawdę perwersyjne. Ale z uwagi na pana wagę nawet empiryna może być niebezpieczna. Powinien pan brać aspirynę dla dzieci. Fander wyjął z torby jeszcze jedną buteleczkę, ale ta była bez nalepki. - Aureomycyna

- powiedział. - Proszę brać doustnie co sześć godzin. Jednak, i niech pan to dobrze zapamięta, panie Halleck, gdyby wystąpiły jakiegokolwiek zaburzenia żołądkowe, proszę natychmiast zaprzestać brania antybiotyku! W pańskim stanie rozwolnienie jest bardziej niebezpieczne niż ewentualna infekcja i może się okazać zabójcze. Zamknął torbę i wstał.

- Moja ostatnia rada nie ma nic wspólnego z pańskimi przygodami na swojskim terytorium Maine. Niech pan jak najszybciej kupi tabletki potasu i zacznie brać po dwie dziennie, jedną rano, a drugą wieczorem. Na pewno znajdzie je pan w dziale aptekarskim w pobliskiej drogerii.

- Dlaczego?

- Jeżeli nie przestanie pan tracić na wadze, niezależnie od tego, czy będzie pan brał darvon jakiegokolwiek inne leki, zacznie pan mieć poważne kłopoty z sercem. Arytmia. Tego typu dolegliwość jest spowodowana radykalnym brakiem potasu w organizmie. Być może właśnie dlatego umarła Karen Carpenter. Życzę miłego dnia, panie Halleck.

Fander wyszedł, gdy na niebie pojawiły się pierwsze promienie wschodzącego słońca. Przez chwilę stał na progu, wsłuchując się

197

w bardzo wyraźne, pośród panującej wokół ciszy, odgłosy fal oceanu.

- Naprawdę powinien pan przerwać tę głodówkę czy co pan tam prowadzi, panie Halleck - powiedział, nie odwracając się. - Pod wieloma względami świat to jedno wielkie gówno. Ale może być również piękny. To zależy, jak na niego spojrzeć.

Podszedł do niebieskiego chevroleta czekającego z włączonym silnikiem przed domem i zajął miejsce na tylnym siedzeniu. Samochód odjechał.

- Próbuje to przerwać - powiedział Billy do odjeżdżającego samochodu. - Naprawdę próbuję. Zamknął drzwi i wolnym krokiem podszedł do niewielkiego stolika z przystawionym obok krzesłem. Spojrzał na buteleczki z lekarstwami i zaczął się zastanawiać, jak zdoła je otworzyć, mając sprawną tylko jedną rękę.

Rozdział 21: Ginem

Billy zamówił potężny lunch. Nie był głodny, ani trochę, ale wymiotł dokładnie wszystko. Kiedy skończył, zaryzykował i łyknął trzy tabletki empiryny, uznając, że po kanapce z indykiem, frytkach i kawałku jabłeczniaka (który smakował trochę jak stęchły asfalt) nie powinny mu

zaszkodzić.

Pigułki podziały. Efekt był uderzający. Uświadomił sobie, że ból w jego dłoni wyraźnie złagodniał, a potem pojawiły się sny. Było ich kilka, urywane, gorączkowe, szalone. W jednym z nich tańczyła Gina, kompletnie naga, a w jej uszach tkwiły wielkie, okrągłe, złote kolczyki. Potem on sam czołgał się przez długi mroczny tunel w stronę jasnego kręgu światła, który, co wręcz przyprawiało o omdlenie, pozostawał przez cały czas w tej samej od niego odległości. Coś było z tyłu, za nim. Miał upiorne przeczucie, że to był szczur. Bardzo duży szczur. I nagle wy dostał się z kanału. Nawet jeżeli miał nadzieję, że udało mu się uciec, to okazała się pułapka. Ponownie znalazł się w ogarniętym falą głodu Fairview. Wszędzie piętrzyły się

198

stosy trupów. Yard Stevens leżał na środku zieleńca; w tym, co pozostało z szyi fryzjera, tkwiły białe głęboko jego własne nożyce. Córka Billy'ego opierała się o latarnię. Ciało Lindy zmieniło się w szkielet obciążony skórą. Dziewczyna była teraz kościotrupem odzianym w fioletowo-biały strój cheerleaderki. Nie mógł stwierdzić, czy żyła i znajdowała się jedynie w stanie śpiączki, czy umarła. Sęp spikował w dół i usiadł na jej ramieniu. Rozluźnił szpony, a jego łapa sunęła się do przodu. Gnijącym dziobem wyszarpnął spory pęk włosów Lindy. Na ich końcach znajdowały się krwawe strzępki skóry i tkanki, jak grudy ziemi przyklepione do korzeni wyrwanej brutalnie rośliny. Ale Linda nie była martwa; Billy usłyszał jej jęk, zauważył, że splecione dłonie drgnęły nieznacznie. -Nie! - krzyknął w tym śnie. Stwierdził, że trzyma w dłoni procę Cyganki. W gumowej łacie znajdowała się nie stalowa kulka, lecz szklany przycisk do papieru, taki sam jak w holu jego domu, w Fairview. Wewnątrz przycisku pływało coś, co wyglądało jak fioletowo-czarna burzowa chmura. Linda jako dziecko była tym zafascynowana. Billy strzelił przyciskiem w ptaka. Pocisk chybił celu i nagle ptak zmienił się w Taduza Lemkego. Gdzieś opodal rozległo się głucho dudnienie. Billy zastanawiał się, czy to może serce ogarnięte ciemnością odmawiało mu posłuszeństwa. - Nigdy tego nie zdejmę, biały człowieku z miasta - powiedział Lemke i naraz Billy znalazł się gdzie indziej, ale dudnienie wcale nie ucichło. Rozejrzał się wokół, stwierdzając, że jest w swoim pokoju w motelowym domku, choć w pierwszej chwili miał wrażenie, że była to jeszcze jedna odsłona w jego snach.

- Williamie! - zawołał ktoś z drugiej strony drzwi. - Jesteś tam? Otwórz albo wyważ drzwi! Williamie! Williamie! - Usiłował odpowiedzieć: "W porządku", ale z jego ust nie dobył się żaden dźwięk. Jego wargi były wyschnięte i sklezione. Mimo to poczuł, że ogarnia go ogromna ulga. To był Ginelli. - Williamie? Will... O, kurwa mać! - To ostatnie wypowiedział pod nosem, jakby mówił do siebie, a w chwilę potem dał się słyszeć głośny łoskot, kiedy Ginelli mocno naparł na drzwi ramieniem.

Billy podniósł się i nagle świat zawirował mu przed oczami.

199

Stracił ostrość widzenia. Wreszcie otworzył usta, a odgłos, jaki temu towarzyszył - łagodny rriipp - Billy bardziej poczuł, niż usłyszał.

- Już dobrze - wykrztusił. - Już dobrze, Richardzie. Już idę. Już nie śpię.

Przeszedł przez pokój i otworzył drzwi.

- Chryste, Williamie, myślałem, że...

Ginelli przerwał i zaczął mu się przyglądać, jego brązowe oczy rozszerzały się coraz bardziej, Billy pomyślał: - Zaraz, stąd zwieje. Nie można patrzeć na kogoś czy na coś w taki sposób i przetrwać, kiedy tylko minie uczucie pierwszego szoku.

A wtedy Ginelli pocałował kciuk prawej dłoni, przeżegnał się i zapytał:

- Wpuścisz mnie do środka, Williamie?

Ginelli przywiózł lepsze lekarstwo niż Fander - butelkę chivas. Wyjął ją ze swojej teczki zielonej skóry i nalał im obu okazałą porcję. Stuknęli pełnymi kubkami.

- Za szczęśliwsze i lepsze dni - powiedział. - Co ty na to?

- Wyśmienicie - odrzekł Billy i opróżnił swój kubek jednym potężnym haustem. Kiedy zar eksplozji w jego żołądku nieco przygasł, Billy przeprosił i poszedł do łazienki. Nie musiał skorzystać z toalety, ale nie chciał, żeby Ginelli widział go płaczącego.

- Co on ci zrobił? - spytał Ginelli. - Zatruił ci jedzenie? Billy zaczął się śmiać. Po raz pierwszy śmiał się naprawdę

szczerze. Ponownie usiadł na krześle i śmiał się, aż łzy pociekły mu po policzkach.

- Uwielbiam cię, Richardzie - rzucił, kiedy jego śmiech zamienił się w zduszony chichot.

Wszyscy inni, łącznie z moją żoną, uważają, że jestem obłąkany. Kiedy widziałeś mnie ostatni raz, miałem czterdzieści funtów nadwagi, teraz wyglądam jak strach na wróble z Czarnoksiężnika z krainy Oz, a pierwsze, co od ciebie słyszę, to: "Zatruił ci jedzenie?".

Ginelli uciszył go z wyrazem zniecierpliwienia. Billy z trudem zdusił w sobie gniew i pomyślał: Ike i Mike są dokładnie tacy sami.

200

Lemke i Ginelli tez.. Kiedy w grę wchodzi kwestia odwetu czy zemsty, nie mają poczucia humoru.

- No więc? Zrobił to?

- Chyba tak... Znaczący w pewnym sensie.

- De schudłeś?

Billy podążył wzrokiem w stronę ogromnego, pokrywanego całą ścianę lustra, znajdującego się naprzeciw niego. W jednej z książek - chyba Johna D. MacDonalda - czytał, że większość nowoczesnych motelowych pokoi w Stanach wydaje się wręcz obwieszona lustrami, ale podtatusiali, otyli biznesmeni wynajmujący te domki nie lubili się w nich przeglądać, kiedy byli brani. Billy'emu było daleko do otyłości, niemniej był w stanie zrozumieć ich niechęć wgapiania się w lustro. Przypuszczał, że to widok jego twarzy, nie, nie twarzy, całej głowy przyprawił Richarda o zgrozę. Rozmiary czaszki pozostały nie zmienione i w rezultacie głowa stanowiąca zwieńczenie jego rozplywającego się ciała, wyglądała jak ohydny przerośnięty słonecznik na patykowatej łodydze.

Nigdy tego nie zdjęję, biały człowieku z miasta - usłyszał głos Lemkego.

- De schudłeś. Winiarnie? - powtórzył Ginelli. Głos jego był spokojny, nawet łagodny, ale w oczach Włocha błyskały dziwne, ostre iskierki. Billy nigdy dotąd nie zauważył u niego czegoś takiego i poczuł lekkie zdenerwowanie.

- Kiedy to się zaczęło, to znaczy kiedy wyszedłem z gmachu sądu i ten starzec mnie dotknął, ważyłem dwieście pięćdziesiąt funtów. Dziś rano, przed samym lunchem ważyłem sto szesnaście. Wychodzi na to, że... sto trzydzieści cztery funty?

- Jezus, Maria, Józefie, cieślo z Brooklyn Heights - wyszeptał Ginelli i ponownie się przeżegnał.

- Czy on cię dotknął?

/ właśnie teraz wyjdzie. W tym momencie oni wszyscy wychodzą - pomyślał Billy; przez krótką chwilę ogarnęło go dziwne pragnienie, aby skłamać, wymyślić jakąś szaloną historyjkę o systematycznym zatrutowaniu jedzenia. Tylko że teraz nie mógł już sobie na to pozwolić. Czas kłamstw przeminął. A gdyby Ginelli odszedł, Billy poszedłby razem z nim, choćby tylko miał odprowadzić go do samo-

chodu. Otworzyłby mu drzwi i podziękował za to, że się pofatygował. Zrobiłby to, bo Ginelli zechciał go wysłuchać, kiedy Billy zadzwonił do niego w środku nocy, podostał mu raczej nietypowego lekarza, a potem przyjechał osobiście. Jednak przede wszystkim uczyniłby tak, ponieważ Ginelli, pomimo że patrzył na niego z szeroko otwartymi oczyma, najwyraźniej nie kwapił się, by wziąć nogi zapas.

A więc powiesz mu prawdę. Ginelli twierdzi, że wierzy tylko w spluwę i pieniądze, cóż, zapewne tak jest, ale ty powiesz mu prawdę, bo to jedyny sposób, żeby zrewanżować się facetowi takiemu jak on.

- Czy on cię dotknął? - spytał Ginelli i choć pytanie padło zaledwie przed sekundą, Billy ~~wiedział~~ wiedział, że minęły już całe wieki. W jego myślach panował chaos. Zdołał powiedzieć to, co było dla niego najtrudniejsze.

- Nie tylko mnie dotknął. On mnie przeklął.

Czekał, aż ta słaba iskierka w oczach Ginellego wygaśnie. Spodziewał się, że lada chwila Ginelli spojrzy na zegarek, wstanie i weźmie swoją teczkę: "Chyba już muszę lecieć. Chciałbym jeszcze posiedzieć tu trochę i pogadać o tej kłątwie, ale widzisz, Williamie, u "Trzech Braci" czeka ~~ma~~ ma talerz gorącej cielecej marsali i..."

Iskierka nie zgasła, a Ginelli nie wstał. Skrzyżował nogi, wygładził spodnie, wyjął paczkę cameli i zapalił jednego.

- Opowiedz mi wszystko - powiedział.

Billy Halleck opowiedział Ginellemu o wszystkim. Kiedy skoń czył, w popielniczce znajdowały się cztery niedopałki cameli. Ginelli wpatrywał się w Billy'ego tępo, jak zahipnotyzowany. Cisza przeciągała się. Była nieprzyjemna i Billy chciał ją przerwać, ale nie wiedział, jak to zrobić. ~~Wiedział~~ Wiedział, że wyczerpał mu się zapas słów.

- On ci to zrobił - rzekł w końcu Ginelli. - To... - Machnął ręką w stronę Billy'ego.

- Tak. Nie sądzę, żebyś w to uwierzył, ale to prawda.

- Wierzę w to - mruknął jakby od niechcenia Ginelli.

- Tak? Co się stało z facetem, który wierzył tylko w spluwę i szmal?

Ginelli uśmiechnął się, po czym wybuchnął śmiechem.

- Powiedziałem ci to, kiedy zadzwoniłeś do mnie ostatnim razem, tak?

- Uhm.

Uśmiech przygasł. - Wierzę w jeszcze jedno, Williamie. Mianowicie, wierzę w to, co widzę.

Właśnie dlatego jestem względnie bogatym facetem. I dlatego jeszcze żyję. Wiesz, co widziałem w zeszłym tygodniu w pewnej drogerii?

- Co?

- Mają tam takie urządzenia do badania ciśnienia. Podobne stoją w niektórych centrach handlowych, ale w drogerii można z nich korzystać za darmo. Wkładasz rękę w opaskę i naciskasz guzik. Pętla zaciska się. Siedzisz sobie przez chwilę, po głowie snują ci się ponure myśli i nagle ucisk się rozluźnia. Na czytniku błyskają wielkie czerwone cyfry. A potem patrzysz na tablicę, gdzie w tabelkach podpisanych: niskie, normalne i wysokie sprawdzasz swój odczyt. Kapujesz, o co mi chodzi? - Billy skinął głową. - W porządku. No dobrze. Czekam, aż facet przyniesie mi butelkę lekarstwa na żołądek (moja matka musi to brać, bo ma wrzody) i nagle wchodzi ten gość. Jest wielki, zatacza się. Dobre dwieście pięćdziesiąt funtów żywej wagi, a ~~tyłek~~ tyłek kołysze się, jakby pod materiałem żarły się dwa psy. Nos i policzki pokryte żyłkami

-

prawdziwa mapa pijackich tras – do tego facetowi z kieszeni wystaje paczka mariboro. Wybiera paczkę płatków kukurydzianych dr. Scholla i niesie je do kasy, kiedy nagle kątem oka zauważa maszynę do pomiaru ciśnienia. Siada na krzeselku, a maszyna robi swoje. Na tablicy pojawia się odczyt. Dwieście dwadzieścia na sto trzydzieści. Ni cholery nie znam się na nowoczesnej medycynie, ale wiem dobrze, Williamie, że ciśnienie rzędu dwieście dwadzieścia na sto trzydzieści to poważna sprawa. Ja bym się bał. To tak, jakbym przez cały czas spacerował ze spluwą przytkniętą do skroni. Mam rację?

– Tak.

– A co robi ten tłuścioch? Spogląda na mnie i mówi: "Wszyst-

203

kie te elektroniczne urządzenia są spierdalone". Płaci za kukurydę i wychodzi. Wiesz, jaki ~~nie~~ jest tej historyjki, Williamie? Niektórzy ludzie, a jest ich niemało, nie wierzą w to, co ~~widzą~~ widzą, chyba jeśli jest to niezgodne z ich upodobaniami. Ja nie wierzę w Boga. Ale gdybym Go zobaczył, uwierzyłbym. Nie mówiłbym na prawo i lewo:

"Jezu, to ci dopiero efekty specjalne!" Świetne! Dupek to według mnie taki facet, który ~~wierzy~~ wierzy w to, co widzi. I jeśli chcesz, możesz mnie zacytować.

Billy przyglądał mu się przez chwilę, a potem wybuchnął śmiechem, Ginelli również się roześmiał.

– No cóż – powiedział – tak czy inaczej, przynajmniej kiedy się śmiejesz, nadal jesteś Billyrn Halleckiem. Pytanie brzmi: Co zrobimy z tym starym pierdzielem, Williamie?

– Nie wiem. – Billy ponownie się zaśmiał. – Ale chyba muszę coś zrobić. Jakkolwiek by było, rzuciłem na niego klątwę.

– Tak. Już wspominałeś. Klątwę białego człowieka z miasta. Zważywszy na to, co wszyscy biali ludzie z miast zmalowali przez ostatnie kilkaset lat, ta klątwa może mieć nielichą moc... – ~~Ginelli~~ Ginelli, aby zapalić kolejnego camela, a potem, wydmuchując dym, stwierdził bez ogródek: – ~~Mógłbym go rąbnąć~~ Mógłbym go rąbnąć, wiesz o tym.

– Nie, to nie rozwiąże... – zaczął Billy i nagle umilkł. Wyobraził sobie Ginellego podchodzącego do Cygana i walącego go prawym sierpowym w oko. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że Ginelli miał na myśli bardziej definitywne rozwiązanie. – Nie. Nie możesz tego zrobić dokoń czył.

Ginelli nie zrozumiał albo udał, że nie rozumie.

– Oczywiście, że mogę. I nie mam nikogo innego, kto mógłby się tym zająć. W każdym razie nikogo zaufanego. I mogę to zrobić równie łatwo jak wtedy, kiedy miałem dwadzieścia lat. Nie mam w tym żadnego interesu, ale uwierz mi, zrobiłbym to z przyjemnością.

– Nie. Nie chcę, żebyś zabijał jego czy kogokolwiek innego – stwierdził Billy. – I wcale ~~nie~~ nie ~~chcę~~ chcę. Naprawdę nie chcę.

– Dlaczego nie? – zapytał trzeźwo Ginelli, ale Billy widział wyraźnie szalone iskierki ta ~~jego oczach~~ jego oczach. – Martwisz się,

204

że możesz zostać wplątany w morderstwo? To nie będzie zbrodnia pospolita, ale samoobrona. Bo on zabija ciebie, Billy. Jeszcze tydzień, a ludzie będą mogli czytać afisze, przed którymi ~~nie~~ nieopatrznie zatrzymasz i nie będą cię musieli prosić, żebyś się przesunął. Jeszcze dwa i będziesz się bał wyjść w wietrzną pogodę, żeby silniejszy podmuch nie uniósł cię w powietrze.

– Twój zaprzyjaźniony doktor stwierdził, że mogę tego nie doczekać, rozumiesz, arytmia serca. Wygląda na to, że moje serce, podobnie jak cała reszta ciała, również traci na wadze. – Przełknął

ślinę. – Wiesz, nigdy dotąd nie przychodziły mi do głowy podobne myśli. Żałuję, że w ogóle
nie.

– Widzisz? On cię zabija... ale to nieważne. Nie chcesz, żebym go załatwił, to nie.
Prawdopodobnie to nie był najlepszy pomysł. Załatwienie starego mogłoby nie zakończyć twoich
problemów.

Billy pokiwał głową. Też o tym myślał. – Zdejmij to ze mnie – powiedział do Lemkego.
Najwidoczniej nawet biali ludzie z miasta zdawali sobie sprawę, że uwolnienie od klątwy
wymagało pewnych określonych czynności. Bardzo prawdopodobne, że przekleństwo działałoby
dalej nawet po śmierci Lemkego.

– Kłopot w tym – rzekł z zamyśleniem Ginelli – że załatwienie gościa nie wchodzi w grę.

– Nie.

Zgasił papierosa i wstał.

– Muszę się nad tym zastanowić, Williamie. Jest dużo rzeczy, które należy przemyśleć. A
muszę mieć do tego spokojny umysł. Kapujesz, o co mi chodzi? Nie da się rozgryźć
skomplikowanej sprawy jak ta, kiedy jest się zdenerwowanym, a za każdym razem, kiedy na
ciebie spojrzę, paisan, mam ochotę wyrwać temu gościowi kutasa i wepchnąć mu go w tę gnijącą
dziurę, gdzie kiedyś miał nos.

Billy wstał i o mało nie upadł. Ginelli złapał go, a Billy objął go niezdarnie zdrową ręką.

Wrażenie, że pierwszy raz w życiu obejmował w ten sposób dorosłego mężczyznę.

– Dziękuję, że przyjechałeś – rzekł Billy. – I że mi uwierzyłeś.

– Dobry z ciebie gość – powiedział Ginelli, puszczając go. – Wpakowałeś się w nielichą kabałę,
ale może uda mi się ciebie z niej

205

wyciągnąć. Może prześlemy staremu parę serdecznych pozdrowień. A teraz wyjdę i pospaceruję
sobie kilka godzin. Muszę odzyskać jasny umysł, Williamie. Może uda mi się coś wymyślić.
Poza tym mam do wykonania kilka telefonów.

– Do kogo?

– O tym później. Najpierw muszę przemyśleć dobrze to i owo. Poradzisz sobie?

– Tak.

– Połóż się. Jesteś blady jak ściana.

– W porządku.

Znów był śpiący. Śpiący i zupełnie wyczerpany.

– Dziewczyna, która cię postrzeliła – rzekł Ginelli. – Jest ładna?

– Bardzo ładna.

– Naprawdę? – Szalone iskiereki powróciły do oczu Ginellego, jaśniejsze niż kiedykolwiek. Ich
widok wprowadził Billy'ego w zakłopotanie.

– Naprawdę.

– Połóż się, Billy. Zdrzemnij się. Zajrzę do ciebie później. Mogę wziąć twój klucz?

– Jasne.

Ginelli wyszedł. Billy położył się na łóżku i ostrożnie ułożył obok siebie zranioną dłoń. W głębi
duszy wiedział, że jeżeli uśnie, przewróci się na bok, przygniatając przestreloną rękę
całkiem i natychmiast się obudzi.

Przypuszczam, że robi to tylko, żeby mnie pocieszyć – pomyślał Billy. Na pewno teraz dzwoni do
Heidi. A kiedy się obudzę, przy łóżku będą czekać faceci z siatkami na motyle. Ci ludzie... Ale
było już wszystko. Odpłynął w krainę snów i jakimś cudem nie przetoczył się na bok, aby
przygnieść zranioną dłoń.

Tym razem nie przyśnił mu się żaden koszmar.

Kiedy się obudził, w pokoju nie było ludzi z siatkami na motyle. Tylko Ginelli siedział na krześle naprzeciw niego. Czytał książkę
206

pod tytułem This Savage Rapture i popijał piwo z puszki. Na zewnątrz było ciemno. Na pojemniku do lodu, na telewizorze, stały jeszcze cztery puszki i Billy oblizał wargi. –
Medo? – wychrypiął.

Ginelli uniósł wzrok.

– Oto Rip Van Winkle, który właśnie powstał z martwych! Jasne, że możesz. Zaraz ci otworzę. Podał puszkę Billy’emu, a Halleck wypił jednym haustem połowę zawartości. Piwo było dobre i chłodne. Zawartość jednej buteleczki empiryny wsypał do jednej z popielniczek (w pokojach motelowych nie ma tyle popielniczek, co luster, ale jest ich całkiem sporo). Wyłuskał jedną pigułkę;

połknął i popił piwem. – Jak ręka? – zapytał Ginelli.

– Lepiej. – W pewnym sensie kłamał, gdyż ręka bolała go jak wszyscy diabli. Jednak ponieważ była to również prawda. Obecność Ginellego łagodziła ból bardziej niż empiryna czy szklaneczka chi-vas. Kiedy jesteś sam, cierpienie wydaje się dotkliwsze, bardziej dojmujące. To przywiodło mu na myśl Heidi, bo to ona, a nie ten gangster, powinna być teraz z nim. Nie było jej tutaj. Niedługo miała się teraz w Fairview, trwając w uporze i arogancji, ponieważ gdyby pogodziła się faktami, musiałaby również przyjąć do wiadomości, że ona także ponosi winę za to, co się stało, a tego przecież nie chciała. Billy poczuł tępe, narastające oburzenie. Co powiedział Ginelli? “Dupek to według mnie ktoś, kto nie wierzy w to, co widzi”. Starał się stłumić w sobie oburzenie, przecież, bądź co bądź, była jego żoną. I robiła to, co uważała za właściwe i najlepsze dla niego... prawda? Oburzenie osłabło... ale niezbyt wyraźnie.

– Co masz w torbie? – zapytał Billy. Torba stała na podłodze.

– Zakupy – odrzekł Ginelli. Spojrzał na książkę, którą czytał, po czym cisnął ją do kosza śmieci. – Wciąża jak odkurzacz. Nie mogłem znaleźć nic Louisa Lamoura.

– Co kupiłeś konkretnie?

– Różne rzeczy. Na później, kiedy złożę wizytę twoim cygańskim przyjaciołom.

– Nie wygłupiaj się – rzucił ostro Billy. – Chcesz skoń czyć

207

tak jak ja? A może masz ochotę stać się fenomenem w rodzaju człowieka-stojaka-do-parasoli?

– Spokojnie, spokojnie – powiedział Ginelli. Głos miał kojący, przepięknie rozbawieniem, ale migoczące i wirujące iskierki w jego oczach nie znikły. Nagle Billy uświadomił sobie, że to, powiedział, nie było tylko wymyśloną naprędce bzdurą. Naprawdę przeklął Taduza Lemke.

Klątwa siedziała teraz na wprost niego, na tanim, obłożonym mamą skórą krześle i popijała miller lite. Nagle, zarazem z rozbawieniem i ze zgrozą, uświadomił sobie jeszcze coś. Być może Lemke znał sposób na zdjęcie swojej klątwy, ale Billy nie miał pojęcia, jak należy zniwelować przekleństwo białego człowieka z miasta. Ginelli najwyraźniej świetnie się bawił. Być może już od lat nie miał takich atrakcji. Był jak zawodowy gracz w kręgle, który po przejściu na emeryturę z radością przyjmuje zaproszenie na jednorazowy występ podczas imprezy dobroczynnej. Będą rozmawiać, ale to i tak niczego nie zmieni. Ginelli był jego przyjacielem. Jedynym człowiekiem, jakiego znał, który mówił do niego per “Wil-liamie”, a nie “Bili” czy “Billy” jak wszyscy inni.

Był przy tym wielkim i bardzo sprawnym psem goń czym, który właśnie zerwał się z łań cucha.

– Nie mów mi, żebym się uspokoił – mruknął. – Lepiej powiedz mi, co masz zamiar robić.

- Nikt nie zostanie ranny - rzekł Ginelli. - To powinno ci wystarczyć, Williamie. Wiem, że to dla ciebie ważne. Wydaje mi się, że za wszelką cenę usiłujesz się trzymać zasad, na które niezupełnie możesz już sobie pozwolić, ale skoro tak sobie życzysz, to muszę się do tego zastosować, bo to ty jesteś stroną pokrzywdzoną. Mogę ci obiecać, że nikogo nie zranię. W porządku?

- W porządku - odrzekł Billy. - Trochę mi ulżyło... ale nie za bardzo.

- Przynajmniej dopóki nie zmienisz zdania - powiedział Ginelli.

- Niezmierne.

- Nie mów hop...

208

- Co masz w torbie?

- Steki - powiedział Ginelli i wyjął jeden. Stek był obłożony w plastikową folię z nalepką Simpsona. - Wygląda smakowicie, co? Kupiłem cztery.

- Po co?

- Po kolei - stwierdził Ginelli. - Wyszedłem stąd i poszedłem do śródmieścia. Co za pieprzony koszmar! Nie sposób spacerować, tylu ludzi na chodnikach! Wszyscy noszą ciemne okulary z nalepkami ferrari i koszulki z aligatorkiem na wysokości cycka. Poza tym wygląda na to, że wszyscy w mieście mają złote koronki na zębach, a większość lubi sobie "niuchnąć".

- Wiem.

- Posłuchaj, Williamie. Zobaczyłem na ulicy chłopaka z dziewczyną. I wiesz co? Ten typ trzymał łapę w tylnej kieszeni jej szortów. Wyobraź sobie, są w miejscu publicznym, a on wkłada jej rękę do kieszeni i bezczelnie obmacuje po tyłku. Chłopie, gdyby to była moja córka, nie usiedziałyby przez dobre półtora tygodnia na czterech literach, po których obmacywał ją ten chłopak.

Stwierdziłem, że w takiej sytuacji nie zdołam odzyskać trzeźwości umysłu i dałem sobie spokój.

Znalazłem budkę telefoniczną i wykonałem parę telefonów. Och, prawie zapomniałem. Budka znajdowała się przed drogerią, więc zajrzałem do środka i kupiłem ci to. Wyjął z kieszeni buteleczkę pigułek i rzucił do Billy'ego, który złapał ją zdrową ręką. To były kapsułki potasu.

- Dziękuję, Richardzie - powiedział lekko drżącym głosem.

- Nie dziękuj, tylko łyknij jedną. Masz dość problemów i nie potrzebujesz jeszcze ataku serca.

Billy połknął kapsułkę i popił piwem. Zaczynało mu już lekko szumieć w głowie. - Znalazłem paru ludzi węszących za tym i owym, a potem wybrałem się na nabrzeże - kontynuował Ginelli. -

Przez jakiś czas przyglądałem się łodziom. Williamie, tam musiały być łodzie warte ze dwadzieścia... trzydzieści, a może nawet czterdzieści milionów dolarów! Słupy, jolki, pieprzone fregaty, to tyle, co zdołałem rozpoznać. Ni

209

choroby nie znam się na łodziach, ale uwielbiam na nie patrzeć. Są... - Przerwał i spojrzał wamyśleniu na Billy'ego.

- Uważasz, że niektórzy z tych facetów w koszulkach z ali-gatorkami i w okularach z nalepkami ferrari przewożą narkotyki w swoich cipolajbach?

- No cóż, czytałem w "Timesie", że zeszłej zimy pewien poławiacz homarów z jednej z pobliskich wysepek znalazł w zatoce, przy nabrzeżu, dwadzieścia bel, jak się okazało, bardzo dobrej marihuany.

- Tak. Tak też myślałem. To całe miasteczko wydaje się cuchnąć "towarem". Pierdoleni amatorzy. Powinni tylko pływać na tych swoich łódkach, a robotę zostawić tym, którzy ją rozumieją. Kapujesz, o co mi chodzi? Rozumiesz, czasami ścieżki handlarzy schodzą się, a w tej

sytuacji należy przedsięwziąć odpowiednie kroki i bywa, że jakiś typ zamiast bel trawki znajdzie pływające w zatoce ciała. Szkoda. Wielka szkoda!

Billy pociągnął łyk piwa i zakrzuszył się.

- Ale to nie ma nic do rzeczy. Pospacerowałem trochę, pogapiłem się na łódki i odzyskałem jasność umysłu. I wtedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł... wiedziałem już, co powinienem zrobić, a przynajmniej miałem ogólny zarys bardziej złożonego planu. Nie dopracowałem jeszcze wszystkich szczegółów, ale to drobnostka. Wróciłem do centrum i zadzwoniłem do paru ludzi. Chciałem w ten sposób zyskać na czasie. Jak dotąd nie ma nakazu aresztowania ciebie, Williamie, ale twoja żona i ten doktor-ćpun podpisali jakieś dokumenty, aby uniemożliwić dalsze działanie. Zapisałem to sobie. - Wyjął z kieszeni na piersi kartkę papieru. - Committal absentia. Dobrze przeczytałem? Mówi ci to coś?

Billy'emu opadła szczęka. Z jego ust dobył się zduszony jęk. Poczł się, jakby dostał obuchem głowę, ale oszołomienie w mgnieniu oka zastąpiła - prawie nieodłączna ostatnio - wściekłość. Przypuszczał, że może do tego dojść. Tak, brał pod uwagę, że Heidi może przystać na tę propozycję. Ale myślenie o czymś, a pogodzenie się ze świadomością, iż to stało się faktem, zwoja własna żona poszła do sądu, gdzie zeznała, że straciłeś rozum, i otrzymała

210

res gestae, nakaz ubezwłasnowolnienia, który następnie podpisała - to dwie zupełnie odmienne sprawy.

- To tchórzliwa dziwka - wymamrotał pod nosem i nagle świat poczerwieniał, przesłonięty gęstą mgłą potwornego bólu. Zupełnie nieświadomie zacisnął dłonie w pięści. Jęknął i spojrział na bandaż na lewej ręce. Na białym materiale pojawiły się czerwone plamy.

Nie mogę uwierzyć, że pomyślałeś w ten sposób o Heidi - rozległ się głos w jego myślach.

To dlatego, że nie potrafisz odzyskać jasności umysłu - odpowiedział głosowi i jednocześnie świat wokół niego na chwilę pograżył się w szarości.

To w zasadzie nie było omdlenie, bo szybko doszedł do siebie. Ginelli zmienił mu bandaż opatrunek na rękę i choć zrobił to dość niezdarnie, efekt był zadowalający. Robiąc to, przez czas mówił:

- Mój człowiek twierdzi, że nakaz nie ma mocy prawnej, dopóki nie wrócisz do Connecticut, Williamie.

- Nie, to prawda. Ale czy nie rozumiesz? Moja własna żona...

- Mniejsza o to, Williamie. To nieważne. Jeśli uda się nam załatwić tę sprawę ze starym Cyganem, ponownie zaczniesz przybierać na wadze i będzie po zabawie. Jeżeli tak się stanie, odzyskasz spokój i postanowisz, co chcesz zrobić ze swoją żoną. Może przydałoby się ją trochę utemperować. A może po prostu ją zostawisz. O tym wszystkim będziesz mógł pomyśleć, jeśli uda się nam załatwić sprawę ze starym Cyganem, bo w przeciwnym razie nic już nie zdasz. Po prostu umrzesz. Tak czy inaczej, sprawy jakoś się ułożą. Po cholere przejmujesz się jakimiś dokumentami?

Billy wysilił się na uśmiech. Wargi miał zbielełe.

- Byłbyś wyśmienitym prawnikiem, Richardzie. Masz wszechstronny dar patrzenia perspektywicznie na niektóre sprawy.

- Tak? Naprawdę tak uważasz?

- Naprawdę.

- Cóż, dzięki. Potem zadzwoniłem do Kuka Penschleya.

211

- Rozmawiałeś z Kirkiem Penschleyem?

- Tak.

- Jezu, Richaidzie.

- A co, myślisz, że nie chciał rozmawiać z takim tanim gang-sterzyną jak ja? - W tonie głosu Ginellego pobrzmiwały jednocześnie żal i rozbawienie. - Możesz mi wierzyć, że odebrał telefon. Oczywiście posłużyłem się kartą kredytową, nie życzyłby sobie mojego nazwiska na rachunku, co do tego nie mam wątpliwości. Niemniej jednak, musisz wiedzieć, przez wiele lat prowadziłem interesy z twoją firmą, Williamie.

- To dla mnie zupełna nowość - stwierdził Billy. - Wydawało mi się, że zrobiłeś to tylko raz.

- Wtedy działałem w pełni jawnie - stwierdził Ginelli - i ty brałeś w tym udział. Penschley i ja byliśmy partnerzy z firmy prawniczej nigdy nie wpakowaliby cię w nic nielegalnego. Byłeś nowy. Z drugiej strony przypuszczam, że wiedzieli, iż prędzej czy później spotkasz się ze mną, jeżeli będziesz pracował w firmie i ta sprawa stanowiła wyśmienitą okazję, abyśmy mogli się wzajemnie poznać. I była, nie zawiodłem się, możesz mi wierzyć, Williamie. A gdyby coś poszło źle, gdyby nasze sprawy nie ułożyły się tak, jak zakładaliśmy, najprawdopodobniej byłbyś skoń czony. Zrobiliby to z ciężkim sercem, ale w ich mniemaniu lepiej poświęcić "nowego" niż starego wyjadacza, specja w prawniczym fachu. Ci faceci przeważnie działają tak samo i łatwo przewidzieć ich posunięcia.

- Jakie jeszcze interesy prowadziłeś za pośrednictwem mojej firmy? - zapytał nieoczekiwanie zafascynowany Billy. Wrażenie było mniej więcej takie, jakbyś dowiedział się, że byłeś rogiaczem i to w jakiś czas potem, jak rozwiodłeś się z żoną z całkiem innych powodów.

- Cóż... wszelkiego rodzaju, i niezupełnie z twoją firmą. Powiedzmy, że byli pośrednikami w sprawach wymagających porad prawnych, korzystałem z ich usług wraz z paroma moimi przyjacielami. W każdym razie znam Kuka na tyle dobrze, że zadzwoniłem do niego i poprosiłem go o przysługę, którą mi chętnie wyświadczył.

212

- Jaką przysługę?

- Poprosiłem go, żeby zadzwonił do tych platfusów od Bartona i polecił im, aby zrobili sobie tydzień wolnego. Zapomnieli chwilowo zarówno o tobie, jak i o Cyganach. Jeśli chcesz znać prawdę, bardziej martwię się teraz o Cyganów. Możemy to zrobić, Williamie, ale byłoby nam łatwiej, gdybyśmy nie musieli ich szukać z wywieszonym ozorem od jednej pipidowy do drugiej.

- Zadzwoniłeś do Kirka Penschleya i kazałeś mu odłożyć sprawę - stwierdził Billy, rozpromieniony.

- Nie. Zadzwoniłem do Kirka Penschleya i poleciłem mu, żeby nakazał agencji Bartona odłożenie sprawy - poprawił Ginelli. - I niezupełnie tak to ująłem. Kiedy trzeba, potrafię działać bardzo rozważnie i chytrze. Chyba mnie nie doceniasz, Williamie.

- Ależ doceniam cię, jeszcze jak. Z każdą chwilą coraz bardziej.

- No cóż, dziękuję. Dziękuję, Williamie. Miło mi to słyszeć. - Zapalił papierosa. - Tak częściej, twoja żona i jej przyjaciel, doktorek, nadal będą otrzymywać raporty, tyle że nieco krócej. by to przyrównać do tekstów z "Nadonal Enquirer" czy "Reader's Digest" - okrojona wersja prawdy, kapujesz, o co mi chodzi?

Billy zaśmiał się.

- Tak. Rozumiem.

- No więc mamy tydzień. To powinno nam wystarczyć.

- Co zamierzasz zrobić?

- Wszystko, na co mi tylko pozwolisz, a przynajmniej tak mi się wydaje. Zamierzam ich nastraszyć, Williamie, a głównie starego. Napędzę mu takiego stracha, że będzie musiał podłączyć do swojego rozrusznika silnik od traktora. I będę podnosił im poprzeczkę, dopóki nie stanie się jedna z dwóch rzeczy. Mianowicie albo stary spsuje i zdejmie z ciebie tę klątwę, albo my, że nie da się go zastraszyć. W drugim przypadku, wrócę do ciebie i spytam, czy zmieniłeś zdanie co do upuszczenia krwi któremuś z nich. Ale może nie będzie potrzeba posuwać się aż tak daleko.

- Jak zamierzasz go przestraszyć?

213

Ginelli dotknął końcem buta torby z zakupami i powiedział mu, od czego ma zamiar zacząć. Billy był wstrząśnięty. Najpierw się sprzeczał, dokładnie tak, jak przypuszczał, potem, również przewidział, przeszli do ożywionej dyskusji i choć Ginelli ani na chwilę nie podniósł głosu, Billy widział wyraźnie wirujące i migocące szalone iskierki w oczach Włocha i zdawał sobie sprawę, że równie dobrze mógłby mówić do ściany.

Kiedy świeży ból w jego dłoni z wolna zamienił się w tępe, przyćmione pulsowanie, ponownie zaczęła go ogarniać senność.

- Dokąd idziesz? - zapytał, rezygnując z dalszej dyskusji. Ginelli spojrzał na zegarek.

- Jest dziesięć po dziesiątej. Dam im jeszcze ze cztery, pięć godzin. Z tego, co słyszałem śródmieściu, zbijają tu niezły majątek. Mają wielu klientów pragnących poznać swoją przyszłość. No i psy - te pitbulle. Boże wszechmogący. Psy, które widziałeś to nie były teriery, prawda?

- Nigdy nie widziałem pitbulla - odparł zasnym głosem Billy. - Te, które zauważyłem, wyglądały jak psy gończe.

- Pitbulle to mieszańce buldogów i terierów. Kosztują masę szmalu. Jeśli chcesz zobaczyć walkę pitbulli, właściwie na "dzień dobry" musisz wybulić równowartość jednego psa. To ohydny proceder. Brudny biznes. - W tym mieście, Williamie, można natrafić na wszystko - gogusie okularach słonecznych, łodzie, na których szmugluje się narkotyki, walki psów. A, zapomniałem jeszcze o tańcach i / Chingu.

- Bądź ostrożny - powiedział Billy.

- Będę - odparł Ginelli. - Nie martw się.

Wkrótce potem Billy usnął. Kiedy się obudził, była już za dziesięć czwarta. Ginelli jeszcze wrócił. Zaczął z wolna godzić się ze świadomością, że Ginelli nie żyje. Jednak za kwadrans szósta Ginelli wrócił, a energia zdawała się go nieomal rozsadać. Ubranie, twarz i ręce mokrąduzone błotem, pachnącym morską solą. Uśmiechał się. W jego oczach nadal tańczyły te obłąkańcze iskierki.

- Williamie - powiedział - spakujemy twoje rzeczy i wywie-

214

ziemy cię z Bar Harbor. Musisz się przenieść do "bezpiecznego domu", jak rządowy świadek.

Billy, zaniepokojony, zapytał:

- Co zrobiłeś?

- Spokojnie, spokojnie. Tylko to, co powiedziałem, że zrobię - i nic więcej. Ale kiedy grzebie palcami w gnieździe szerszeni, zwykle dobrze jest potem jak najszybciej wziąć nogi za pas, uważasz, Williamie?

- Tak, ale...

- Nie mamy teraz czasu. Mogę jednocześnie mówić i pakować twoje rzeczy.

- Dokąd jedziemy? - jęknął cicho Billy.

- Niedaleko. Powiem ci po drodze. A teraz do roboty. I może na początek zmienićbyś koszulę. Dobry z ciebie chłop, Williamie, ale niestety, zaczynasz już trochę cuchnąć.

Billy z kluczem w ręku ruszył w stronę recepcji, kiedy Ginelli dotknął jego ramienia i wyjął klucz z dłoni.

- Położę go na nocnym stoliku w twoim pokoju. Wprowadzając się, użyłeś karty kredytowej, zgadza się?

- Tak, ale...

- A więc możemy wyprowadzić się stąd... że tak powiem... nieformalnie. Nic się nie stanie, jeżeli ulotnimy się "po angielsku", nie zwracając niczyjej uwagi. Mam rację?

Miłośniczka joggingu, przebiegająca akurat wzdłuż szosy, spojrzała w ich stronę i gwałtownie odwróciła głowę; jej oczy wyrażały zdumienie. Ginelli zauważył to, ale Billy na szczęście patrzył wtedy w innym kierunku.

- Zostawię nawet dziesięć dolców dla pokojówki - powiedział Ginelli. - Możemy wziąć twój wóz. Ja poprowadzę.

- A gdzie jest twój? - Wiedział, że Ginelli wypożyczył samochód i dopiero teraz, ponieważ, uświadomił sobie, że przed jego wejściem do pokoju nie usłyszał warkotu silnika. To wszystko działało

215

się dla niego stanowczo za szybko, nie nadążał za rozwojem wypadków.

- Z wozem wszystko w porządku. Zostawiłem go przy jednej z bocznych dróg, jakieś trzy mile stąd i zrobiłem sobie mały spacer. Zdjąłem nakrętkę wlewu paliwa, a na przedniej szybie zostawiłem kartkę z informacją, że miałem kłopoty z silnikiem i wrócę za parę godzin. To na wypadek, gdyby trafił się tam ktoś szczególnie wścibski, choć sądzę, że to raczej mało prawdopodobne. Droga była zarośnięta trawą, wiesz? - Obok przejechał jakiś samochód, kierowca spojrzał na Billy'ego Hallecka i wóz zwolnił. Ginelli zobaczył, jak kierowca przechylił się i mocno wyciąga szyję. - Chodź, Billy. Ludzie zaczynają się na ciebie gapić. Następny może należeć do naszych wrogów.

Godzinę później Billy siedział przed telewizorem w innym pokoju motelowym - ten salonik należał do niewielkiego, acz przytulnego apartamentu "Blue Moon Motor Court and Lodge" w North-east Harbor. Byli o niecałe piętnaście mil od Bar Harbor, ale Ginelli sprawiał wrażenie zadowolonego. Na ekranie telewizora dzieciół Woody Woodpecker próbował sprzedać polisę ubezpieczeniową gadającemu niedźwiadkowi.

- W porządku - rzucił Ginelli. - Daj odpocząć ręce, Williamie. Nie będzie mnie cały dzień wracać tam?

- Miałbym wracać do gniazda szerszeni, kiedy owady są nadal rozdrażnione? Absolutnie nie, mój przyjacielu. To nie wchodzi w grę. Nie, teraz mam zamiar pobawić się trochę samochodami. Na fazę drugą przyjdzie czas później, w nocy. Może zdążę jeszcze do ciebie zajrzeć, ale w sumie nie byłbym na to.

Billy zobaczył Richarda Ginellogo ponownie następnego ranka o dziewiątej, kiedy Włoch zajechał pod domek ciemnogrnatową chevę novą, najwyraźniej nie pochodzącą z wypożyczalni Hertza czy

216

Avisa. Lakier był zmatowiały i pokryty plamami, na szybie po stronie pasażera widniała długa rysa, a na bagażniku można było dostrzec głębokie wgniecenie. Niemniej jednak wóz wyglądał na mocny, a nad maską wznosiła się charakterystyczna pokrywa turbołado-warki.

Tym razem Billy, który już ponad sześć godzin temu uznał Włocha za zmarłego, powitał Ginellego drżącym głosem i o mało się nie rozpłakał. W miarę utraty wagi coraz bardziej tracił kontrolę nad swoimi emocjami... a tego ranka, kiedy weszło słońce, poczuł pierwsze oznaki arytmii serca. Z trudem chwycił oddech i zaczął uderzać zaciśniętą pięścią w klatkę piersiową. Rytm serca w końcu się ustabilizował, ale sytuacja wyraźnie uległa pogorszeniu. To było pierwsza faza arytmii serca.

- Myślałem, że nie żyjesz - powiedział do Ginellego, kiedy Włoch wszedł do środka.

- Ty stale to powtarzasz, a ja stale wracam. Chciałbym, żebyś przestał tak się o mnie martwić. Winiarnie. Potrafię o siebie zadbać. Jestem już dorosły. Mógłbyś się przejmować, gdybym nie doceniał przebiegłości tego starego pierdziela. Ale tak nie jest. To sprytny typ i niebezpieczny myśli?

- Nic. Powiem ci później.

- Teraz!

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Z dwóch powodów - odrzekł cierpliwie Ginelli. - Po pierwsze, ponieważ namawiałbyś mnie, abym przestał się tym zajmować. Po drugie, ponieważ od dwunastu lat nie byłem równie skonany. Zamierzam pójść do sypialni i przekimać bite osiem godzin. Kiedy wstanę, zjem trzy funty pierwszego lepszego żarcia, jakie znajdzie się w zasięgu mojej ręki. A jak już będę wycofał się tam i zestrzelę księżyc.

Ginelli wyglądał faktycznie na zmęczonego, nieomal wycieńczonego. Tylko te jego oczy - pomyślał Billy. Nadal wirują w nich te same, migoczące iskierki.

217

- A gdybym rzeczywiście poprosił cię, żebyś przestał to robić? - zapytał półgłosem Billy.

Postuchałbyś mnie, Richardzie?

Richard przyglądał mu się z zastanowieniem przez dłuższą chwilę, a potem odpowiedział, aczkolwiek Billy znał odpowiedź, odkąd po raz pierwszy dostrzegł szalone błyski w oczach potężnego Włocha.

- Nie mógłbym teraz tego zrobić - odparł ze spokojem Ginelli. - Jesteś chory, Williamie. Choroba ogarnęła całe twoje ciało. Nie jesteś w stanie rozróżnić tego, co dla ciebie najlepsze. Biorąc pod uwagę, nie można ci teraz ufać.

Innymi słowy, sam mnie ubezwłasnowolniłeś. Billy chciał powiedzieć to na głos, ale w ostatniej chwili zmienił zamiar. Ponieważ Ginelli wcale tak nie uważał. Po prostu to stwierdzenie akurat brzmiało najrozsądniej.

- I dlatego, że to sprawa osobista, zgadza się? - spytał Billy.

- Tak - odparł Ginelli. - Teraz to sprawa osobista. Wszedł do sypialni, zdjął koszulę i spodnie, położył się. W pięć minut później usnął na nie rozścielonym łóżku.

Billy sięgnął po szklankę z wodą, łyknął tabletkę empiryny, a potem, stojąc w drzwiach, pił resztę wody. Przeniósł wzrok z Ginellego na spodnie wiszące na krześle. Ginelli przyjechał nieskazitelnych, nowiutkich bawełnianych spodniach marynarskich, ale podczas jednej ze swoich wypraw musiał nabyć parę dzinsów. W kieszeni znajdowały się zapewne kluczyki od samochodu. Billy mógł je wyjąć i odjechać... ale wiedział, że tego nie robi, choć fakt, że samym podpisałby na siebie niechybnie wyrok śmierci, wydawał się obecnie drugoplanowy. Teraz najważniejsze było, jak i gdzie to wszystko się zakończy.

W południe, podczas gdy Ginelli spał smacznie w drugim pokoju, Billy przeżył kolejny atak arytmii. Niedługo potem usnął i miał kolejny sen. Był krótki i całkiem przyziemny, ale przepełnił

go dziwną mieszaniną zgrozy i przesyconej nienawiścią przyjemności. W tym śnie on i Heidi siedzieli przy stole w ich domu w Fairview.

218

Jedli śniadanie. Pomiędzy nimi leżał placek. Heidi odkroiła spory kawałek i podała Billy'emu. Wziął jabłecznik.

- To cię troszkę podtuczy - stwierdziła.

- Nie chcę być gruby - odrzekł. - Uznałem, że wolę być chudy. To mi się podoba. Ty to zjedz. Oddał jej kawałek placka, przesuając rękę, nie grubszą niż kość, ponad blatem stołu. Wzięła. Billy patrzył, jak jadła, a z każdym kolejnym kęsem w jego sercu narastały uczucia zgrozy i perwersyjnego zadowolenia.

Ze snu obudził go kolejny atak arytmii. Przez chwilę siedział w bezruchu, łapczywie chwytając powietrze i czekając, aż jego serce zwolni tempo i powróci do normalnego rytmu. W końcu tak się stało. Ogarnęło go wrażenie, że przeżył coś więcej niż tylko sen - raczej proroczą wizję niż sen w tym rodzaju. Jednak podobne uczucia często towarzyszą wyjątkowo upartym snom i w miarę, jak zapominamy o śnie, w naszej pamięci zaciera się również wrażenie jego niezwykłości. To samo przydarzyło się Billy'emu Halleckowi, choć JUŻ niebawem będzie miał okazję przypomnieć sobie ów nietypowy

sen.

Ginelli wstał o szóstej wieczorem, wziął prysznic, włożył dżinsy i ciemny sweter z golfem.

- W porządku - powiedział. - Zobaczymy się jutro rano, Billy. Wtedy wszystko się okaże.

Billy ponownie zapytał Ginello, co zamierza robić i co wydarzyło się do tej pory, a Włoch raz jeszcze odmówił mu udzielenia wyjaśnień.

- Jutro - powiedział. - Ale przekażę jej pozdrowienia od ciebie.

- Komu? Jakie pozdrowienia? Ginelli uśmiechnął się.

- Ślicznej Ginie. Tej dziwce, która przestreliliła ci rękę.

- Daj jej spokój - rzekł Billy. Kiedy myślał o tych ciemnych oczach, nie zdołał wydobyć z siebie nic innego, pomimo cierpienia, jakie mu zadała.

219

- Nikt nie zostanie ranny - powtórzył Ginelli i wyszedł. Billy usłyszał odgłos zapuszczanego silnika - mocny, chrapliwy dźwięk, który wyrównywał się, dopiero kiedy wóz osiągał prędkość sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę. Ginelli wycofywał chevroleta z podjazdu i nagle Halleck uświadomił sobie, że stwierdzenie: "Nikt nie zostanie ranny" - nie oznaczało, że Ginelli zostawi dziewczynę w spokoju. Wcale tak nie było.

Tym razem Ginelli pojawił się dopiero w południe. Na czole i na prawym ramieniu miał głębokie zadrapania. Prawy rękaw jego swetra zwiślał, rozdarty na dwoje.

- Chyba znów trochę schudłeś - powiedział do Billy'ego. - Jadłeś coś?

- Próbuję - odrzekł Billy - ale strach nie wpływa zbyt dobrze na apetyt. Wygląda na to, że straciłeś trochę krwi.

- Odrobinę. Nic mi nie jest.

- Może powiedziałbyś mi teraz łaskawie, czym się do tej pory zajmowałeś?

- Tak. Opowiem ci wszystko, kiedy tylko wyjdę spod prysznicza i opatrzę te zadrapania.

Zobaczysz się z nim dzisiejszej nocy, Billy. To najważniejsze. Musisz dobrze się przygotować do tego spotkania.

Mieszanina strachu i ekscytacji zakłuła go w żołądku niczym odłamek szkła.

- Z nim? Z Lemkem?

- Z nim - potwierdził Ginelli. - A teraz pozwól mi wziąć prysznic, Williamie. Chyba nie jestem już tak młody, jak mi się wydawało. Całe to podniecenie źle na mnie wpływa; jestem kompletnie wypluty. Zamów kawę! - zawołał przez ramię. - Dużo kawy! Powiedz facetowi, żeby zostawił ją na progu i wsunął pod drzwi rachunek do podpisania. Billy z osłupieniem podążył za nim wzrokiem. Dopiero kiedy usłyszał szum włączonego prysznica, gwałtownie zamknął usta i podszedł do telefonu, aby zamówić kawę.

Rozdział 22: Opowieść Ginello

Z początku mówił szybko i chaotycznie, co chwilę przerywał, jakby zastanawiał się, co ma dalej powiedzieć. Ginelli sprawiał wrażenie rzeczywiście wyczerpanego, po raz pierwszy odkąd pojawił się w motelu "Motor Inn", w Bar Harbor, w poniedziałek po południu. Co się tyczy jego ran, były to jedynie głębokie zadrapania, ale Billy miał wrażenie, że Włoch jest mocno wstrząśnięty.

Mimo to w jego oczach znów zaczęła jarzyć się ta szalona poświata; początkowo pojawiała się gąsła niczym neon o zmierzchu, ale potem stopniowo przybrała na sile. Wyjął butelkę z wewnętrznej kieszeni marynarki i dolał sobie do kawy solidną porcję chivas. Podsunął butelkę Halleckowi. Billy odmówił. Nie wiedział, jak alkohol mógłby wpłynąć na jego serce. Ginelli wyprostował się na krześle, odgarnął włosy z czoła i zaczął opowiadać nieco bardziej spokojnie.

O trzeciej w nocy Ginelli zaparkował wóz na leśnej drodze, odchodzącej od 37-A, w pobliżu obozowiska Cyganów. Przez chwilę zajmował się stekami, po czym, z torbą na zakupy w ręce, wrócił na szosę. Gęste chmury przesunęły się przed tarczą księżyca, przesłaniając ją niczym żaluzja. Cekał, aż chmury odpłyną, a kiedy na chwilę zrobiło się jaśniej, zdołał dostrzec oddali krąg pojazdów. Przeszedł przez szosę i ruszył okreśną drogą w ich stronę.

- Jestem z miasta, drogi chłopcze, ale mój zmysł orientacji działa całkiem sprawnie - powiedział. - Śmiało mogę mu zaufać. A poza tym nie chciałem skoń czyć tak samo jak ty, Williamie.

Przeszedł przez kilka poletek i niewielki zagajnik, przebrnął przez moczary cuchnące - jak określił - niczym dwadzieścia funtów gówna wciśnięte w dziesięciofuntowy worek. Na jakimś starym drucie kolczastym, którego nie zauważył w ciemnościach, rozdarł sobie spodnie na tyłku.

- Jeżeli to ma być wiejskie życie, to wolę je zostawić dla letników - mruknął. Nie spodziewał się żadnych kłopotów ze strony

221

obozowych psów, dowodów na to dostarczył mu Billy. Nie zaczęła szczekać, dopóki nie wejdzie w krąg światła, rzucany przez ognisko, choć z całą pewnością dużo wcześniej wyczują jego zapach.

- Można by się spodziewać, że Cyganie będą mieli lepsze psy łań cuchowe - skomentował Billy. A przynajmniej tak mi się wydawało.

- Nie - stwierdził Ginelli. - Ludzie są w stanie znaleźć byle powód, aby wypędzić Cyganów z miasta, więc po co sami mieliby dodawać im jeszcze jeden?

- Psy szczekające nocami?

- Właśnie. Wyrabiasz się, Williamie. Jesteś tak sprytny i bystry, że niedługo ludzie zaczną uważać cię za Włocha.

Mimo to Ginelli wolał nie ryzykować; przesuwiał się wolno za zaparkowanymi pojazdami, omijając szerokim łukiem półciężarów-ki i wozy kempingowe i zaglądając jedynie do kombi i samochodów osobowych. W trzecim czy czwartym znalazł to, czego szukał – starą, pomiętą marynarkę leżącą na siedzeniu pontiaka.

– Wóz nie był zamknięty – stwierdził. – Marynarka nie była zła, ale cuchnęła, jakby w każdej kieszeni rozkładała się zdechła łasica. Na podłodze z tyłu zobaczyłem parę starych trampek. Były ciut przyciasne, ale mimo to włożyłem je. Dwa samochody dalej znalazłem kapelusz wyglądający jak pozostałość po transplantacji nerki i wcisnąłem go na głowę. Ginelli wyjaśnił, że chciał pachnieć jak jeden z Cyganów, ale nie tylko dla ochrony przed gromadą niegroźnych psów śpiących wokół cygań skiego ogniska; interesowały go inne psy. Te cenne. Pitbulle.

Pod koniec obchodu, w pobliżu kręgu, zauważył półciężarówkę z niewielkim okienkiem z tym, które zamiast szkła miało założoną grubą drucianą siatkę. Zajrzał do środka, ale niczego nie zauważył – pomieszczenie z tyłu samochodu było puste.

– Mimo to wyczułem woń psów, Williamie – rzekł Ginelli. – A potem spojrzałem w drugą stronę i ryzykowałem przyświecenie sobie małą latareczką, którą miałem w kieszeni. Trawa przy pace wozu była wygnieciona. Ścieżka biegnąca w dal była aż nadto wyraźna. Nie musiałeś być Dan’l Boone’em, żeby to zauważyć.

222

Zabrali psy z tej psiarni na kółkach i ukryli je gdzie indziej, tak żeby nie znalazł ich inspektor czy oszołom z towarzystwa opieki nad zwierzętami, gdyby ktoś nieopatrznie się wygadał. Nie byli jednak dostatecznie ostrożni, bo zostawili ścieżkę, którą nawet taki mieszczuch jak ja zauważyłby na pierwszy rzut oka w słabym świetle minilatarki. I właśnie wtedy naprawdę zacząłem wierzyć, że możemy im dopiec.

Ginelli ruszył wzdłuż śladu, minął niewielki pagórek, aż do skraju kolejnego zagajnika.

– Zgubiłem trop – powiedział. – Wyobraź sobie, stałem tam minutę czy dwie, zastanawiając się, co mam zrobić w tej sytuacji. I wtedy to usłyszałem, Williamie. Usłyszałem to głośno i wyraźnie. Czasami Bóg obdarza cię swoją łaską.

– Co usłyszałeś?

– Pierdzenie psa – odparł Ginelli. – Długie i głośne. Zupełnie jakby ktoś zadął w trąbkę założonym tłumikiem.

Niecałe dwadzieścia stóp w głąb zagajnika znajdowała się niewielka polana, na której zbudowano prowizoryczną zagrodę dla psów. Wykonano ją z grubych, wbitych w ziemię gałęzi oplecionych drutem kolczastym. Wewnątrz znajdowało się siedem pitbulli. Pięć drzemało. Dwa pozostałe sprawiały wrażenie naćpanych. Wyglądały tak, bo rzeczywiście podano im solidną dawkę narkotyków. Sądziłem, że będą napojone alkoholem, nie było to jednak stuprocentowo pewne i bezpieczne rozwiązanie. Kiedy tresujesz psy do walki, po pewnym czasie stają się prawdziwym utrapieniem; zaczynają walczyć między sobą i mogą zrujnować ci cały interes; chyba że zachowasz odpowiednie środki ostrożności. Możesz albo umieścić je w osobnych klatkach, albo oszołomić narkotykami. Prochy są tańsze i łatwiejsze do ukrycia. A gdyby jakiś doszły do siebie, to prowizoryczna zagroda z patyków nie zdołałaby ich zatrzymać. Pitbulle wydostałyby się na zewnątrz, gryząc się między sobą, nawet jeśli miałyby zostawić drucie kolczastym całe pasy zdartej skóry. Pozwalano im dojść do siebie dopiero przed samą imprezą, kiedy stawki zaczynały rosnąć, a tym samym ryzyko wydawało się usprawiedliwione.

Najpierw prochy, potem walka, a następnie kolejna

223

dawka prochów. –Ginelli roześmiał się. –Widzisz? Pitbulle są jak gwiazdy rock and roila. Narkotyki szybko je wypalają, ale dopóty, dopóki interes kwitnie, zawsze możesz znaleźć sobie inne pitbulle. Nawet nikt ich nie pilnował.

Ginelli otworzył torbę i wyciągnął steki. Zaparkowawszy wóz na bocznej drodze, wyjął je z folii i wstrzyknął do każdego z nich porcyjkę czegoś, co nazwał specjalnym psim koktajlem Ginellego – mieszaninę heroiny "Mexican brown" i strychniny. Teraz pomachał nimi w powietrzu i patrzył, jak zaspane psy z wolna budzą się do życia. Jeden z nich zaszczekał chrapliwie. Ten dźwięk przypominał chrapanie człowieka, cierpiącego na poważne kłopoty z nosem.

– Stul pysk albo nie dostaniesz kolacji – rzucił łagodnym tonem Ginelli. Pies, który zaszczekał, usiadł. Natychmiast przechylił łeb na bok i ponownie zaczął przysypiać.

Ginelli wrzucił pierwszy stek do zagrody. Potem drugi. Trzeci. I ostatni. Psy zaczęły wydierać sobie grube, kawały mięsa. Robiły to jednak bardzo apatycznie. Od czasu do czasu któryś zaszczekał ostrzej, ale równie chrapliwie i głucho jak poprzednio, toteż Ginelli uznał, że w zagrodzie nie ma się czym przejmować. Poza tym gdyby od strony obozu nadszedł ktoś, aby sprawdzić, co się dzieje w zagrodzie, na pewno miałby ze sobą latarkę, a co za tym idzie, Ginelli bez problemu zdążyłby się ukryć nieco dalej, w głębi zagajnika. Jednak nikt się nie pojawił. Billy słuchał z przeraźliwą fascynacją opowieści Ginellego, o tym jak siedział niewtruszenie obok zagrody, palił camele i przyglądał się powolneypowolnym psów.

– Większość z nich zdechła bardzo spokojnie – powiedział. Czy w jego słowach nie pobrzmiwała czasem nuta żalu? – zastanawiał się z niepokojem Billy. Prawdopodobnie było mu szkoda narkotyków, którymi nafaszerowano psy. – Dwa z nich miały drobne konwulsje. I to było wszystko. Ogólnie rzecz biorąc, sposób, w jaki je uśmierciłem, nie był taki zły – stwierdził Ginelli. – Cyganie szykowali dla nich coś o wiele gorszego. Wszystkie psy zdechły po niecałej godzinie.

224

Kiedy się upewnił, że pitbulle były nieprzytomne, a może nawet niektóre już zdechły, wyjął portfela dolarowy banknot, a z kieszeni na piersiach długopis. Napisał na banknocie: "Następnym razem to może spotkać twoje wnuki, starcze. Zdejmij kłatwę z Williama Hallecka". Pitbulle miały na szyjach, w formie obroży, pętle z grubego, konopnego sznura. Ginelli wsunął pod jedną z nich złożony banknot. Powiesił cuchnącą marynarkę na kołku prowizorycznej zagrody i położył na niej czapkę. Zdjął trampki i wyjął z kieszeni na biodrach własne buty, mokasyny. Włożył je i odszedł.

W drodze powrotnej trochę się zgubił i przez pewien czas błądził po moczarach. Jednak w końcu udało mu się dostrzec światła domku na pobliskiej farmie i odzyskał orientację. Odnalazł leśną drogę, wsiadł do samochodu i ruszył z powrotem do Bar Harbor. Był już w połowie drogi, kiedy, jak stwierdził, poczuł, że z samochodem jest coś nie w porządku. Zdawał się do niego nie pasować. Nie był w stanie wyrazić tego lepiej czy jaśniej; wóz po prostu był niepewny. Nie wyglądał ani nie pachniał jakoś inaczej, po prostu coś było nie tak. Miewał już wcześniej podobne przecucia w większości przypadków na szczęście nie sprawdziły się. Jednak w kilku sytuacjach...

– Postanowiłem go zostawić – stwierdził Ginelli. – Wolałem nie ryzykować. Kto wie, czy jeden z nich nie cierpiał akurat tej nocy na bezsenność i wybrawszy się na spacer, nie zauważył mojego wozu stojącego przy drodze. Nie chciałem, żeby wiedzieli, jaki mam samochód, bo w tej sytuacji mogliby zacząć węszyć, a gdyby dotarli do mnie, dotarliby również do ciebie. Rozumiesz mnie? Traktuję ich poważnie. Śmiertelnie poważnie. Widzę, co z tobą zrobili, Willia-mie, i muszę traktować ich serio.

Dlatego zatrzymał wóz przy innej, opuszczonej bocznej drodze, odkręcił kurek wlewu paliwa i dzielące go od miasta trzy mile przebył pieszo. Dotarł na miejsce o świcie. Zostawiwszy Billy'ego w nowym motelu w Northeast Harbor, Ginelli wrócił do Bar Harbor taksówką, nakazując taksjarszowi, aby jechał wolniej, bo, jak stwierdził, musiał coś znaleźć.

225

- Ale co konkretnie? - zapytał kierowca. - Może wiem, co to jest.

- Niech się pan nie przejmuj - odrzekł Ginelli. - Będę wiedział, że to właśnie to, kiedy zobaczę. I rzeczywiście, jakieś dwie mile za Northeast Harbor zauważył chevy novę z napisem "na sprzedaż" na przedniej szybie, stojącą obok niewielkiego wiejskiego domku. Upewniwszy się, że właściciel był w domu, zapłacił za kurs, a potem błyskawicznie dobił targu z farmerem. Zapłacił mu gotówką. Za dodatkowego dwudziestaka właściciel, młody facet, który, jak stwierdził Ginelli, sprawiał wrażenie, że liczba wszy na jego głowie przewyższała jego iloraz inteligencji, zgodził się zostawić tablice rejestracyjne z Maine, pod warunkiem że Ginelli odeśle mu je za tydzień. Być może nawet tak zrobię - rzekł zamyślony Ginelli. - Jeżeli będziemy jeszcze wtedy żyli, mają rozumieć.

Billy zmierzył go przenikliwym spojrzeniem, ale Ginelli w tej samej chwili podjął przerwana opowieść.

Wrócił do Bar Harbor, omijając samo miasto i jadąc wzdłuż 37-A w stronę obozu Cyganów.

Zrobił sobie tylko jeden postój, aby zadzwonić do kogoś, kogo określił mianem swojego "współpracownika" i któremu polecił, aby o wpół do pierwszej po południu znalazł się przy pewnej konkretnej budce telefonicznej w centrum Nowego Jorku. Ginelli często korzystał z tej budki i dzięki jego wpływom, jako jedna z nielicznych, prawie zawsze była czynna.

Przejechał obok obozu, zauważył oznaki aktywności, milę dalej wzdłuż drogi zakręcił i zawrócił. Przez pole, od szosy 37-A, do obozowiska wiodła wyjeżdżona droga. Jechał nią jakiś samochód. Zmierzał w stronę szosy.

- Porsche turbo - rzekł Ginelli. - Gablota bogatego dzieciaka. Na tylnej szybie nalepka z napisem: "Uniwersytet Browna". Dwójka dzieciaków z przodu, trójka z tyłu. Zatrzymałem samochód i spytałem dzieciaka za kierownicą, czy w obozie są jeszcze Cyganie, bo słyszałem, że się zatrzymali. Powiedział, że są, ale jeśli chciałem, aby przepowiedzieli przyszłość, to spóźniłem. Oni właśnie tam po to samo pojechali, ale Cyganie bezceremonialnie ich zbyli.

226

Najwyraźniej szykowali się do odjazdu. Bardzo się spieszyli. Wcale mnie to nie zdziwiło, po jak stracili swoje cenne psy.

Wróciłem do Bar Harbor i wjechałem na stację benzynową. Nie uwierzyłybyś. Winiarnie, jak też nova żre paliwo, ale trzeba przyznać, że potrafi pruć jak szatan, kiedy wciśniesz pedał gazu do dechy. Kupiłem przy okazji colę i parę kanapek, bo kiszki zaczęły mi już grać marsza.

Ginelli zadzwonił do swojego "współpracownika" i umówił się z nim na spotkanie na lotnisku w Bar Harbor tego popołudnia o piątej. Potem ponownie pojechał do Bar Harbor. Zostawił wóz na parkingu i wybrał się na dłuższy spacer, aby poszukać odpowiedniego człowieka.

- Jakiego człowieka? - spytał Billy.

- Człowieka - powtórzył cierpliwie Ginelli, jakby mówił do półgłówka. - Tego faceta poznałbyś na pierwszy rzut oka. Wygląda jak wszyscy inni letnicy, sprawia wrażenie, jakby mógł cię zabrać na przejażdżkę słupem swojego starego, odpalić ci dziesięć gramów dobrej koki albo po prostu urwać się z Bar Harbor i pojechać swoim trans amem do Aspen na święto lata. Ale on nie jest taki jak tamci i możesz go rozpoznać w dwojaki sposób. Po pierwsze, wystarczy spojrzeć na jego

buty. Są mamę. Wyczyszczone na glans, to prawda, ale mimo to mamę. Nie mają klasy i już na pierwszy rzut oka widać, że go uwierają. Po drugie, możesz to poznać po oczach. To bardzo ważny element. Mogłoby się wydawać, że ci faceci nigdy nie noszą markowych okularów przeciwsłonecznych i zawsze możesz zobaczyć ich oczy. Zupełnie jakby przez cały czas musieli się reklamować, tak jak niektórzy przestępcy, nie wiadomo czemu sami zgłaszają się na policję. Ich oczy zdają się mówić: "Kto zafunduje mi następny posiłek? Kto poczęstuje mnie następnym skretem? Gdzie jest facet, z którym miałem się tu spotkać?" Kapujesz, o co mi chodzi?

- Tak, chyba tak.

- Przede wszystkim zaś od razu wiadomo, co jest dla nich najważniejsze: Ile uda mi wyciągnąć? Jak ten stary w Old Orchard nazwał handlarzy narkotykami i ulicznych artystów?

227

- Handlarze obwoźni - rzekł Billy.

- Tak! - Rzucił z zapalem Ginelli. Świąteczka w jego oczach zawirowała.

- Handel obwoźny, racja. Tak. Idealne określenie! Takiego właśnie człowieka szukałem. Ci faceci w kurortach kręcą się to tu, to tam, jak dziwki w poszukiwaniu stałych klientów. Rzadko uda im się zbić większy szmal, przez cały czas są w podróży i ogólnie rzecz biorąc, to niegłupi ludzie... gdyby nie te ich buty. Noszą koszulki od J. Pressa, wiatrówki od Paula Stuarta markowe džinsy... ale kiedy tylko spuścisz wzrok, fatalne buty, jakie noszą, zdają się kręczyć: "Możesz mnie mieć. Jestem do kupienia. Mogę zrobić coś dla ciebie". W przypadku dziwek tak samo rzecz ma się z bluzkami. Zawsze noszą bluzki ze sztucznego jedwabiu. Przydałoby się je od tego odzwyczaić.

No i w końcu wypatrzyłem takiego faceta. Zagaiłem rozmowę. Usiedliśmy na ławeczce przy bibliotece publicznej, w bardzo miłym miejscu, i dobiliśmy targu. Musiałem zapłacić trochę drożej, bo kapujesz, nie miałem czasu, żeby się z nim potargować, ale trzeba przyznać, że gość był mocno napalony i uznałem, że można mu zaufać. W każdym razie na krótką metę. Dla tych facetów nie istnieje coś takiego jak zajęcie długoterminowe. Nie potrafią sobie z tym poradzić, jak kiepski uczeń z równaniem różniczkowym.

- Ile mu zapłaciłeś? - Ginelli machnął ręką. - Kosztuję cię masę forsy - powiedział Billy.

Nieświadomie przyjął typowy dla Ginellego sposób mówienia.

- Jesteś przyjacielem - rzekł Ginelli, odrobinę urażony. - Możemy uregulować tę kwestię później, ale tylko jeżeli naprawdę będziesz tego chciał. To dla mnie niezła zabawa. Muszę przyznać, Williamie, że dla mnie ta dziwna sytuacja to jakby jakieś wypracowanie w rodzaju "Jak spędziłem letnie wakacje". Mam nadzieję, że mnie rozumiesz. A teraz chciałbym już wrócić do tematu. Zasycha mi w gardle, to przecież nie koniec mojej opowieści i potem mamy jeszcze sporo do zrobienia.

- Mów.

228

Facet wynajęty przez Ginellego nazywał się Frank Spurton. Powiedział, że był studentem na uniwersytecie w Kolorado, miał akurat wakacje, ale Ginelli stwierdził, że facet miał jakieś dwadzieścia pięć lat, za stary na studenta. Zresztą, nieważne. Ginelli chciał, aby spacerował się do lasu, gdzie Włoch zostawił wynajętego forda, a następnie pojechał za Cyganami, kiedy już opuszczą miasto. Spurton miał zadzwonić do "Motor Inn", gdy Cyganie rozbiją obozowisko na noc. Ginelli nie przypuszczał, aby odjechali daleko. Zadzwoniwszy do motelu, Spurton miał spytać o niejakiego Johna Tree. Spurton zapisał sobie to nazwisko. Pieniądze zmieniły właściciela; część umówionej sumy, kluczyki i kurek wlewu paliwa do forda

również przeszły z rąk do rąk. Ginelli spytał Spurtona, czy da sobie radę, a ten z uśmiechem złodzieja samochodów odparł, że oczywiście.

- Podwiozłeś go tam? - zapytał Billy.

- Za pieniądze, jakie mu dałem, Williamie, mógł złapać okazję.

Ginelli wrócił do motelu w Bar Harbor i wynajął pokój na nazwisko Johna Tree. Choć była dopiero druga po południu, otrzymał ostatni wolny pokój, a właściciel wręczył mu klucze takim gestem, jakby wyświadczał mu ogromną przysługę. Był środek letniego sezonu. Ginelli wszedł do pokoju, nastawił budzik stojący na nocnym stoliku na czwartą trzydzieści i usnął. Kiedy budzik zadzwonił, wstał i pojechał na lotnisko.

Dziesięć po piątej wylądował niewielki prywatny samolot, być może ten sam, którym przybył z Connecticut do Maine lekarz nazwiskiem Fander. "Współpracownik" Ginellego opuścił samolot, a z ładowni maszyny wyniesiono trzy pakunki - jeden duży i dwa mniejsze. Ginelli wraz ze "współpracownikiem" postawili większą paczkę na tylnym siedzeniu novy, a mniejsze włożyli do bagażnika. Następnie "współpracownik" wrócił do samolotu. Ginelli nie czekał na start samolotu, tylko czym prędzej wrócił do motelu, gdzie spał aż do ósmej. Obudził go telefon.

To był Frank Spurton. Dzwonił ze stacji Texaco w Bankerton, czterdzieści mil na północny zachód od Bar Harbor. Spurton powie-

229

dział, że około siódmej cygań ski tabor prowadzony przez półcieżarówkę skręcił na pole znajdujące się na obrzeżach miasta. Stwierdził, że wyglądało na to, iż wszystko zostało ustalone wcześniej.

- Prawdopodobnie starbird - skomentował Billy. - Ten wóz zawsze jedzie na czele ich konwoju. Spurton sprawiał wrażenie zdenerwowanego... zaniepokojonego.

- Wydawało mu się, że go zdemaskowali - powiedział Ginelli. - Zamarudził i okazało się, że popełnił błąd. Najwyraźniej kilka wozów zostało w tyle, żeby zatankować czy coś w tym rodzaju. Nie zauważył ich. Wyobraź sobie, jedziesz wolniutko, czterdziestką, aż tu nagle dwie stare półcieżarówki mijają cię z głośnym ba-ba-ba--bach. Okazuje się, że zamiast zamykać konwój, facet znajduje się nagle dokładnie w jego środku. Wygląda przez boczną szybę, kiedy mija go wielki wóz kempingowy, i nagle widzi tego starego Cygana bez nosa, który siedzi obok kierowcy, gapi się na niego i przebiera palcami, nie ot, tak sobie, ale raczej jakby rzucał czary. Wcale sobie tego nie wymyśliłem, Williamie, powtarzam dokładnie to, co usłyszałem z jego ust. Przebierał palcami, jakby rzucał czary.

- Jezu-wymamrotał Billy.

- Chcesz, żebym dolał ci do kawy czegoś mocniejszego?

- Nie... tak.

Ginelli wlał mu do filiżanki porcyjkę chivas i podjął przerwana opowieść. Spytał Spurtona, czy na ścianie tego wozu kempingowego było coś namalowane. Okazało się, że tak. Dziewczyna i jednorożec.

- Jezu - powtórzył Billy. - Naprawdę sądzisz, że rozpoznali samochód? Że kiedy znaleźli zdechłe psy, rozpoczęli poszukiwania i zobaczyli twój wóz na drodze, tam, gdzie go zostawiłeś?

- Jestem o tym przekonany - odparł ponuro Ginelli. - Podał mi nazwę drogi, którą jechali. Finson Road i numer szosy stanowej, z której skręcili, aby tam dotrzeć. Potem poprosił mnie, abym zostawił resztę pieniędzy dla niego w hotelowym sejfie, w kopercie z jego nazwiskiem. "Muszę brać nogi za pas" - powiedział. I wcale mu się nie dziwiłem.

Ginelli opuścił hotel o ósmej piętnaście. O wpół do dziewiątej przejechał obok znaku drogowego oddzielającego Bucksport i Ban-

kerton. Dziesięć minut potem minął stację Texaco. Była nieczynna. Na pobliskim parkingu stało sporo samochodów, jedne oczekiwały na naprawę, inne były wystawione na sprzedaż. Z tyłu, za nimi, zauważyłem wynajętego forda. Przejechałem szosą wzdłuż rzędu samochodów, zakręciłem i zawróciłem z drugiej strony.

- Zrobiłem tak jeszcze dwukrotnie - powiedział. - Jeszcze nigdy dotąd nie miałem takich przeczuć - stwierdził - toteż podjechałem jeszcze kawałek i zatrzymałem wóz trochę dalej, na boku. Wróciłem na stację pieszo.

- I?

- Spurton był w samochodzie - powiedział Ginelli. - Siedział za kierownicą. Był martwy. Dziura w czole, tuż nad prawym okiem. Mało krwi. To mogła być czterdziestka piątka, ale nie dałbym głowy. Na siedzeniu za nim nie było krwi. Cokolwiek go zabiło, nie przebiło czaszki. Pocisk kaliber czterdzieści pięć przeszedłby na wylot, pozostawiając w potylicy otwór wielkości puszeki zupy Campbella. Wydaje mi się, że ktoś załatwił go stalową kulką z procy, tak jak dawczyni, która przestrzeliła ci dłoń. Może nawet ona to zrobiła.

Ginelli przerwał, pogrążając się w zamyśleniu.

- Na jego nogach leżał martwy kurczak. Cały rozplątany. Na czole widniało wypisane krwią jedno pojedyncze słowo. Prawdopodobnie użyto krwi kurczaka, ale chyba rozumiesz, że nie miałem czasu na przeprowadzenie stosownych badań. Takie rzeczy powinno się robić w laboratorium kryminalistyki.

- Jakie to było słowo? - zapytał Billy, ale znał odpowiedź, zanim jeszcze Ginelli je wypowiedział. - Nigdy.

- Chryste - rzekł Billy i sięgnął po wzmocnioną kawę. Uniósł filiżankę do ust, ale zaraz potem znów ją odstawił. Gdyby wypił choć łyk, na pewno zaraz by wymiotował. Nie mógł sobie na to pozwolić. Oczy widział Spurtona, siedzącego za kółkiem wynajętego forda, z głową odchyloną do tyłu, ciemnym, ziejącym otworem nad jednym okiem i kulką białych piór na podłokciu. Wizja była tak wyrazista, że potrafił wyobrazić sobie nawet żółtawy na wpół otwarty dziób ptaka, jego szkliste, czarne oczy...

231

Świat tonął pośród szarości... i nagle rozległ się gwałtowny trzask, a jego policzek zapłonął żywym ogniem. Otworzył oczy i zobaczył, że Ginelli ponownie siada na krześle.

- Przepraszam, Williamie, ale tak jak mówią w tej reklamie płynu po goleniu - po prostu tego było ci trzeba. Wydaje mi się, że jest ci żal tego faceta Spurtona, więc proszę cię, abyś przestał się zadreć, rozumiesz? - Ton Ginellogo był łagodny, ale oczy pały wściekłością. - Wszystko komplikujesz, jak ci sędziowie o krwawiących sercach, którzy, kiedy jakiś gnojek zaciuka nożem staruszkę i ukradnie jej oszczędności, starają się zrzucić winę na siebie tylko da, włącznie z prezydentem. To znaczy na wszystkich, oprócz śmiecia, który załatwił tę biedną kobietę, a teraz stoi przed nimi i czeka na ogłoszenie wyroku w zawieszeniu, żeby mógł wyjść na wolność i zrobić to ponownie.

- Przecież to bez sensu - zaczął Billy, ale Ginelli wszedł mu w słowo.

- Gówno prawda - stwierdził. - Nie zabiłeś Spurtona, Williamie. Zrobił to jakiś Cygan, a winę ponosi - o czym dobrze wiemy - nasz staruszek. Poza tym nikt Spurtona do tego nie zmuszał. Robił to dla pieniędzy i nie ma o czym mówić. Zadanie było nieskomplikowane. Spieprzył robotę i zapłacił za swój błąd. A teraz, Williamie, powiedz mi, czy chcesz, żeby zdjęto z ciebie kłatwę, czy nie?

Billy westchnął ciężko. Jego policzek wciąż był jeszcze rozpalony od uderzenia wymierzonego przez Ginellego.

- Tak - powiedział. - Nadal chcę, żeby on to ze mnie zdjął.

- W porządku, a więc nie zwracaj sobie więcej głowy tamtą sprawą.

- Dobra. - Billy pozwolił Ginellemu, aby dokoń czył swoją opowieść. Był tak zaaferowany tą całą historią, że już nie przerwał mu ani razu.

Ginelli obszedł stację benzynową i usiadł na stosie starych opon. Chciał nieco ochłonać, pakiedział, toteż przesiedział tam dwadzieścia minut, a może trochę dłużej, wpatrując się w nocne niebo

232

- na zachodzie gasły właśnie ostatnie promienie zachodzącego słońca - i próbując uporządkować myśli. Kiedy poczuł, że w jego umyśle zapanował spokój, wrócił do novy. Nie włączając światła, podjechał do stacji. Następnie wyciągnął ciało Spurtona z wynajętego forda i włożył do bagażnika.

- Może w ten sposób chcieli mi przekazać wiadomość albo próbowali mnie zrobić, gdyby facet, który prowadzi stację, znalazł ciało w samochodzie z moim nazwiskiem na dokumentach wynajmu wozu, znajdujących się w schowku na rękawiczki. Tylko że było to głupie posunięcie, Williamie, bo jeżeli gość został zabity kulą od łożysk, zamiast kulą z rewolweru, gliniarze natychmiast zwróciliby się w stronę Cyganów. Przecież, na litość boską, strzelanie z procy byłoby sowym numerem tej dziewczyny! W innych okolicznościach, z przyjemnością bym zaczekał i popatrzył, jak wpadają we własnoręcznie zastawione sidła, ale nie było na to czasu. Poza tym spodziewałem się, że jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, następnego dnia gliny będą rozmawiać z Cyganami na zupełnie inny temat, a Spurton tylko wszystko by skomplikował. Dlatego wywozłem ciało. Bogu dzięki, że stacja znajdowała się przy rzadko uczęszczanej drodze, bo w przeciwnym razie nie mógłbym tego zrobić.

Z ciałem Spurtona w bagażniku, obłożonym trzema mniejszymi pudełkami, które dostarczył Ginellemu jego "współpracownik", Włoch ruszył w drogę. Pół mili za stacją natrafił na Finson Road. Cyganie mieli swoją trasę "handlową" wzdłuż 37-A, całkiem dobrej szosy drugiej kategorii, prowadzącej na zachód, od Bar Harbor. Finson Road, bita droga, zarośnięta i pokryta koleinami, była kompletnie zapuszczona. Prawdopodobnie już od dawna z niej nie korzystano.

- To nieco utrudniło mi sprawę, bo można by powiedzieć, że musiałem po nich "posprzątać", ale ogólnie rzecz biorąc, Williamie, byłem wręcz zachwycony. Chciałem ich nastraszyć, a oni zachowywali się, jakby byli ciężko przerażeni. Kiedy już raz kogoś przestraszysz, potem to staje się coraz łatwiejsze. - Ginelli zgasił światła novy i przejechał pół mili w głąb Finson Road.

Zobaczył, że droga prowadziła do opuszczonego zwirowego dołu. - Nie mógłbym

233

sobie tego lepiej wymarzyć - powiedział. - Otworzył bagażnik, wyjął zwłoki Spurtona i przysypał je żwirem. Pogrzebawszy ciało, wrócił do novy, zjadł dwie następne kanapki, po czym otworzył większą paczkę, tę na tylnym siedzeniu.

Na pudełku było napisane "Encyklopedia Świata". Wewnątrz znajdował się automatyczny karabinek szturmowy kałasznikow AK-47, czterysta sztuk amunicji, nóż sprężynowy, skórzana damska torebka wypełniona śrutem, rolka plastra i słoiczek z czarnym mazidłem.

Ginelli poczercił sobie twarz i ręce, po czym przykleił plastrem nóż do łydki. Włożył taśmę kłóeszeni i ruszył w drogę.

- Torbę zostawiłem - powiedział. - I tak już czułem się jak jakiś pieprzony, komiksowy

superbohater.

Spurton powiedział, że Cyganie obozowali na polu, dwie mile dalej wzdłuż drogi. Ginelli wszedł w las i posuwał się w tym kierunku, równolegle do szosy. Powiedział, że nie odważył się stracić jej z oczu, bo bał się, że się zgubi.

- Szedłem bardzo wolno - stwierdził. - Raz po raz nadeptywałem na jakiś zeschnięty patyk albo pakowałem się na gałąź. Mam nadzieję, że nie wlałem w żaden pierdzielony trujący bluszcz. Jestem diabło uczulony na to paskudztwo.

Po dwóch godzinach przedzierania się przez zarośla wzdłuż wschodniego skraju Finson Road, Ginelli dostrzegł mroczną sylwetkę, na wąskim paśmie pobocza. W pierwszym momencie pomyślał, że to jakiś znak drogowy czy coś takiego. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że był to człowiek.

- Stał w absolutnym bezruchu jak rzeźnik w chłodni, ale jestem pewien, Williamie, że wystawiono go z obawy przede mną. Starłem się iść jak najciszej, ale mieszkam przecież w Nowym Jorku. Nie jestem pieprzonym Winnetou, kapujesz, o co mi chodzi. Domyśliłem się więc, że ten typ udawał, iż mnie nie słyszy, i próbował zlokalizować, gdzie się znajduję. Przypuszczalnie wtedy odwróciłby się i zacząłby pruć. Z miejsca, gdzie się znajdowałem, swobodnie mogłem go rozwalić, ale pobudziłbym wszystkich w obrębie półtorej mili, a poza tym obiecałem ci, że nikogo nie skrzywdzę.

234

No i stałem tak i stałem. Sterczałem w bezmchu dobrych piętnaście minut, obawiając się, że jeżeli zrobię jeszcze jeden krok i nastąpię na jakąś suchą gałązkę, to zabawa zacznie się nalego. I wtedy on schodzi z pobocza do rowu, żeby się odlać, a ja po prostu nie wierzę własnym oczom. Nie wiem, gdzie tego gościa uczono, jak się zachowywać na warcie, ale na pewno nie w Fortcie Bragg*. Miał przy sobie najstarszą strzelbę, jaką widziałem w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Coś, co Korsykanie nazywają loup**. Poza tym, Williamie, ten typ miał na uszach słuchawki od walkmana! Mogłbym spokojnie stanąć mu za plecami, a on i tak by się nie poruszył. - Ginelli roześmiał się. - Powiem ci jedno. Założę się, że stary nie wiedział, jak ten chłopak umiał sobie na warcie.

Kiedy strażnik wrócił na poprzednie miejsce, Ginelli zaszedł go z boku, nie zadając już sobie trudu, by robić to bezszelestnie. Po drodze zdjął pasek. Coś w ostatniej chwili ostrzegło go, że w momencie, gdy wyciągnął rękę, żeby go złapać, wyczuł jakiś ruch, nie wiadomo. W ostatniej chwili, nie oznaczając zwykle - za późno - ale w tym przypadku było inaczej. Ginelli owinał mu pasek wokół szyi i ścisnął mocno. Szamotanina trwała krótko. Młody Cygan upuścił strzelbę i obiema rękami usiłował zedrzeć pasek z szyi. Słuchawki zsunęły mu się z uszu na policzki i Ginelli usłyszał płynące w mrok nocy dźwięki Under my thumb Rolling Stonesów.

Młodzieniec zaczął wydawać zduszone, gardłowe dźwięki. Szarpał się coraz słabiej, aż wreszcie zupełnie przestał. Ginelli utrzymywał nacisk jeszcze przez trzydzieści sekund, po czym zdjął pasek z szyi (Nie chciałem, żeby uszkodziło mu się coś w mózgu - jak powiedział Billy'emu), następnie zaciągnął go na zbocze pagórka i w zarośla. Był przystojnym, dobrze umięśnionym mniej więcej dwudziestodwuletnim młodzieńcem, noszącym dżinsy i buty dingo. Ginelli domyślił się, że miał do czynienia z Samuelem Lemkem, a Halleck potwierdził jego przypuszczenia. Ginelli znalazł odpo-

* Fort Bragg - siedziba elitarniej jednostki bojowej znanej jako Delta Force. ** Loup, lupara obrzynek, strzelba z obciętymi krótko obiema lufami i wyprofilowaną kolbą.

235

więdnie drzewo i za pomocą taśmy klejącej unieruchomił przy nim chłopaka.

– To głupio brzmi, kiedy mówisz, że przyklejasz kogoś taśmą do drzewa, ale tylko wówczas, jeżeli sam tego nie doświadczyłeś. Wystarczy, że okleisz delikwenta dostateczną ilością taśmy i nie ma mowy, aby zdołał się uwolnić. Taśma klejąca jest mocna. Będziesz tak stał i stał, dopóki nie zjawi się ktoś i cię nie uwolni. Nie sposób tego rozerwać ani tym bardziej rozwiązać.

Ginelli odciął dolną część podkoszulka Lemkego, wcisnął mu do ust i umocował paroma pasami taśmy.

– Potem włączyłem mu taśmę w walkmanie i włożyłem słuchawki na uszy. Nie chciałem, aby się nudził, kiedy dojdzie do siebie. – Ginelli poszedł dalej wzdłuż drogi. On i Lemke byli podobnego wzrostu, toteż postanowił zaryzykować i samemu wyjść na spotkanie następnego wartownika, niż miałby zostać przezeń zaskoczony. Poza tym robiło się późno, a przez ostatnie czterdzieści osiem godzin uciął sobie tylko dwie krótkie drzemki. – Brak snu może spowodować, że skrewisz – powiedział. – Jeśli grasz na giełdzie, to nie szkodzi. Jednak jeśli przyszło ci się zmierzyć z draniem, którzy zabijają ludzi i wypisują im kurzą krewią słowa mające odebrać ci odwagę do dalszego działania, oznaczałoby to śmierć. Ja popełniłem błąd. Miałem szczęście, że udało mi się z tego wywinąć cało. Czasami Bóg przebacza.

Okazało się, że popełnił błąd, nie zauważając drugiego strażnika. Dostrzegł go dopiero, kiedy znalazł wartę. Po prostu Cygan był ukryty głęboko w cieniu, zamiast stać na poboczu drogi, tak jak Lemke. Na szczęście dla Ginellogo robił to nie dlatego, że znalazł sobie lepszą kryjówkę, ale wygodę.

– Ten nie tylko słuchał muzyczki – stwierdził Ginelli. – On sobie drzemał. Mierni wartownicy, czego można się spodziewać po cywilach. Poza tym nie zdołali jeszcze sobie uświadomić, że stanowią dla nich poważne zagrożenie, i to na dłuższą metę. Jeśli masz świadomość, że ktoś na dobre stara ci się dopiec, to raczej zaczynasz cierpieć na bezsenność. Wtedy nie możesz usnąć, nawet jeśli chce ci się spać.

236

Ginelli podszedł do śpiącego wartownika, wybrał odpowiednie miejsce na czaszce strażnika i odpowiednią siłą wyrzucił w niego kolbę swego kałasznikowa. Rozległ się dźwięk, jakby bezwładna dłoń opadła ciężko na mahoniowy stół. Strażnik, który opierał się plecami o pień drzewa, osunął się w trawę. Ginelli pochylił się i sprawdził mu puls. Był, słaby, ale miarowy. Poszedł dalej. Pięć minut później dotarł do szczytu niewielkiego pagórka. Po lewej, w dole rozciągało się rozległe, nieco nierówne pole. Ginelli widział ciemny krąg pojazdów zaparkowanych około stu jardów od drogi. Tej nocy nie palono ogniska. Słabe światło płynęło spomiędzy zasłon w oknach wozów kempingowych, ale to było wszystko. Ginelli przeczołgał się na łokciach i brzuchu do połowy zbocza, trzymając AK-47 przed sobą. Znalazł odpowiedni występ skalny, z którego miał idealny widok na obóz i o który mógł swobodnie oprzeć kolbę swojego karabinu.

– Właśnie wschodził księżyc, ale nie mogłem na to czekać. Poza tym swój cel widziałem doskonale, znajdowałem się o nie więcej niż siedemdziesiąt pięć jardów od niego i dobrze wiedziałem, co mam robić. To nie miała być żadna "koronkowa robota", zresztą kałasznikowi i tak się do tego nie nadawał. Równie dobrze mogłbym starać się wyciąć komuś wyrostek za pomocą piły łańcuchowej. Kałasznikow jest dobry do zastraszania ludzi. I zadałem im bobu, nie ulega wątpliwości. Założę się, że tej nocy wszyscy poszczali się równo w łóżka. Wszyscy, oprócz starego. To twardy gość, Wil-hamie.

Ułożywszy karabin na występie skalnym, Ginelli wziął głęboki oddech i wymierzył w przednią oponę wozu kempingowego z wizerunkiem dziewicy i jednorożca na bocznej ścianie. Słychać było granie świerszczy i szum przepływającego gdzieś nieopodal strumienia. Od strony

spowitego w mroku pola dobiegło zawodzenie lelka. W połowie drugiego zaśpiewu Ginelli nacisnął spust.

Huk kałasznikowa rozciął noc. Wokół wylotu lufy pojawiła się korona ognia, kiedy jeden po drugim wyleciało z niej trzydzieści pocisków kaliber 30. Magazynek karabinka mieścił dokładnie tyle pocisków – każdy w łusce zawierającej sto czterdzieści gramów

237

prochu. Przednia opona wozu kempingowego z jednorozcem nie tyle pękła, co raczej eksplodowała. Ginelli przeciągnął serią wzdłuż wozu, ale nisko, tuż nad podłogą.

– Nikogo nie chciałem zranić – powiedział. – Poszatkowałem im tylko podłogę w wozie. I żeby nie trafić w zbiornik paliwa, starałem się strzelać możliwie jak najdalej od niego. Widziałeś kiedyś wybuch wozu kempingowego? To wygląda mniej więcej tak, jakbyś zapalił petardę i nakrył ją pustą puszką. Byłem raz świadkiem takiego wypadku na autostradzie przy roгатce New Jersey.

Tylna opona wozu pękła z hukiem. Ginelli wyjął pierwszy magazynek i włożył drugi. W dole zaczęło się robić zamieszanie. Słychać było gwar głosów. Jakaś kobieta krzyczała. Kilku z nich Ginelli nie potrafił stwierdzić ilu – wybiegło ze swoich wozów. Mieli na sobie piżamy i koszule nocne, wszyscy sprawiali wrażenie zakłopotanych i przerażonych, rzucali płochliwe spojrzenia na wszystkie strony jednocześnie. I właśnie wtedy Ginelli po raz pierwszy zobaczył Taduza Lemkego. Starzec wyglądał niemal komicznie w swojej luźnej nocnej koszuli. Spod ozdobionej chwaścikiem szlafmycy sterczały kosmyki rzadkich włosów. Obszedł wóz kempingowy od przodu, rzucił okiem na płaskie, postrzępione opony, po czym uniósł wzrok, spoglądając w stronę występu skalnego, na którym leżał Ginelli. Włoch powiedział Billy'emu, że w jego pałającym spojrzeniu nie było nic zabawnego.

– Wiedziałem, że nie mógł mnie zobaczyć – powiedział. – Księżyc jeszcze nie wzeszedł, a ja pocernioną twarzą i rękoma wyglądałem jak jeszcze jeden cień pośród całego ciemnego pola. Ale... wydawało mi się, że on mnie widział, Williamie, i poczułem, jak coś zmroziło mi serce. Starzec odwrócił się do swoich ziomków, którzy mamrocząc coś bez ładu i składu i wymachując rękoma, podchodzili do niego. Zawołał do nich w języku Romów, a potem zatoczył ręką łuk, wskazując na samochód. Ginelli nie rozumiał języka, ale znaczenie gestu było całkiem jasne. "Kryć się, kretyni".

– Za późno, Williamie – rzucił ponuro Ginelli. Posłał drugą serię dokładnie nad ich głowami. Teraz więcej ludzi

238

zaczęło krzyczeć, zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Niektórzy padali plackiem na ziemię czołgali się, większość trzymała głowy nisko, a tyłki wysoko. Inni rozbiegli się na wszystkie strony, prócz tej, skąd padły strzały.

Lemke stał w bezruchu, wołając coś do nich, donośnym, tubalnym głosem. Szlafmyca spadła mu z głowy. Uciekający nadal gnali gdzie pieprz rośnie, a ci, co się czołgali, dalej pęczali ~~przede~~. Lemke być może rzeczywiście rządził nimi żelazną ręką, ale Ginelli wywołał panikę. Obok wozu kempingowego z jednorozcem stał pontiak, z którego Ginelli "pożyczył sobie" poprzednio marynarkę i trampki. Ginelli wbił trzeci magazynek do AK-47 i ponownie nacisnął spust.

– W samochodzie zeszłego wieczoru nie było nikogo i po tym, jak wewnątrz cuchnęło, domyśliłem się, że i tej nocy nikt tam nie będzie spał. Rozwaliłem ten wóz, dosłownie rozpirzyłem go w drobny mak. AK-47 to bardzo wredna broń, Williamie. Ludzie, którzy tylko

oglądają wojenne filmy, sądzą, że strzelając z karabinka szturmowego, robi się w ciebie tylko rzudek zgrabnych dziurek, ale to wcale tak nie jest. Efekt jest uderzający, nieprzyjemny błyskawiczny. Przednia szyba tego starego bonnevillera rozprysła się na kawałki. Maska uniosła się nieznacznie. Reflektory eksplodowały. Podziurawione opony popękały z hukiem, kratownica odpadła. Nie widziałem wody wylewającej się z chłodnicy, bo było za ciemno, ale kiedy wyprułem już cały magazynek, usłyszałem wyraźnie jej chlu-potanie. Kiedy skoń czyły mi się naboje, ten cholerny wóz wyglądał, jakby rozwalił się o ceglany mur. I przez cały ten czas, wokoło latały odłamki szkła i chromowanego metalu, stary Cygan nawet się nie poruszył. Rozglądał się w poszukiwaniu błysku wystrzałów, żeby móc wysłać za mną swoich ludzi, gdybym był na tyle głupi i zaczekał, aż zdoła znów nad nimi zapanować. Postanowiłem urwać się, zanim to nastąpi.

Ginelli pognął w stronę drogi, pochylony nisko, jak żołnierz atakujący pod zmasowanym ostrzałem. Dotarłszy na miejsce, wyprostował się i pobiegł co sił w nogach. Minął drugiego ze strażników, tego, któremu przyłożył po głowie kolbą karabinu, ale nawet

239

się nie zatrzymał. Stanął, aby złapać oddech, dopiero przy kępie krzewów i drzewie, gdzie zostawił pana "Walkmana".

- Znalazienie go nawet po ciemku nie było trudne - rzekł Ginelli. - Słychać było, jak krzaki trzęsą i pękają suche gałązki. Kiedy podszedłem bliżej, usłyszałem również zduszone: umf, anh, uph...

Młody Lemke usiłował się uwolnić, obchodząc drzewo, do którego był przyklejony taśmami, ale w rezultacie wiążące go plastry jeszcze bardziej się zacieśniły. Słuchawki spadły mu z uszu i zwiły na przewodach, wokół jego szyi. Kiedy zobaczył Ginello, przestał się szamotać, tylko mu się przyglądał.

- Zobaczyłem w jego oczach, że myśli o śmierci i jest diabelnie przerażony - powiedział Ginelli. Mnie to pasowało. Staruch nie dał się zastraszyć, ale powiadam ci, że ten dzieciak szczerze żałował, że oni wszyscy w ogóle zadarli z tobą, Williamie. Pech chciał, że nie mogłem naprawdę mu dopiec, nie było na to czasu.

Ukląkł obok Lemkego i uniósł AK-47, żeby młody Cygan mógł mu się uważnie przyjrzeć.

Chłopak dobrze wiedział, co ma przed sobą.

- Nie mam dużo czasu, dupku, więc słuchaj mnie uważnie - rzekł Ginelli. - Powiesz staremu, że następnym razem nie będę strzelał w powietrze, w ziemię albo do pustych samochodów. Powiedz mu, że ma zdjąć kłatwę z Williama Hallecka. Rozumiesz?

Lemke pokiwał głową na tyle, na ile pozwalała mu taśma. Ginelli zerwał mu ją z twarzy i wyjął mu z ust knebel.

- Niedługo zrobi się tu spory ruch - rzekł Ginelli. - Krzykniesz głośno, to cię znajdą. Pamiętaj, co powiedziałem. Odwrócić się, by odejść.

- Nie rozumiesz pan - rzucił ochrypłym głosem Lemke. - On nigdy tego nie zdejmie. Jest ostatnim z wielkich węgierskich wodzów, jego serce jest twarde jak cegła. Dobrze, zapamiętam, co mi pan powiedział, ale on i tak nigdy tego nie zdejmie.

Drogą w stronę obozu Cyganów gnała półciężarówka typu pikap. Ginelli spojrzał w jej stronę, po czym znów przeniósł wzrok na Lemkego.

240

- Cegły można skruszyć - powiedział. - I to też mu powiedz. Ginelli ponownie wrócił na drogę, przeszedł na drugą stronę i pobiegł z powrotem na żwirowisko. Minął go jeszcze jeden pikap,

a

potem trzy samochody jeden za drugim. Ci ludzie, zaciekawieni, kto w środku nocy, w ich małym miasteczku prowadził ostrzał z broni maszynowej, nie stanowili dla Ginellego problemu. Światła reflektorów przecinające mrok dawały mu dostatecznie dużo czasu, aby za każdym razem przykucnąć wśród drzew. Kiedy ukrył się w żwirowym dole, usłyszał dźwięk zbliżającej się syreny.

Zapуścił silnik novy i nie włączając świateł, podjechał do końca krótkiej bocznej dróżki. Opodal przemknął z rykiem chevrolet z migającym błękitnym "kogutem" na dachu.

- Kiedy odjechał, wytarłem twarz i dłonie ze szminki i pojechałem za nim - stwierdził Ginelli.

- Za nim? - wtrącił Billy.

- To bezpieczniejsze. Jeżeli ma miejsce jakaś strzelanina, ludzie mało sobie nóg nie połamią, żeby tylko zobaczyć choć odrobinę krwi, zanim gliny nie zmyją jej szlauchami z chodnika. Ci, którzy jadą w przeciwną stronę, są z miejsca podejrzani. Niejednokrotnie robią tak, dlatego mają w kieszeni nagrzane spluwy.

Zanim znów dotarł do obozowiska, wzdłuż pobocza stało już pół tuzina samochodów. Światła reflektorów przecinały się nawzajem. Ludzie biegali w tę i z powrotem, krzycząc. Samochód konstabla był zaparkowany w pobliżu miejsca, gdzie Ginelli załatwił drugiego wartownika; obracający się "kogut" rzucał błękitnawy blask na pnie drzew. Ginelli opuścił szybę.

- Co się stało, panie posterunkowy?

- Nic takiego. Nie ma się czym przejmować, proszę przejeżdżać. I, na wypadek, gdyby kierowca novy mówił po angielsku, ale rozumiał tylko rosyjski, konstabi machnął ze zniecierpliwieniem latarką w kierunku Finson Road.

Ginelli wolno przejechał dalej, przeciskając się pomiędzy stojącymi przy szosie samochodami te, jak przypuszczał, musiały należeć do okolicznych mieszkańców. - Gapiów, którzy są twoimi sąsiadami, zawsze trudniej jest przegonić - powiedział do Billy' e-

241

go. Przed kombi rozwalonym przez Ginellego ustawiły się dwie grupki ludzi. Jedną stanowili Cyganie w piżamach i nocnych koszulach. Rozmawiali między sobą, niektórzy gestykulowali z ożywieniem. Drugą grupkę tworzyli miejscowi. Stali w milczeniu, z dłońmi w kieszeniach przyglądali się podziurawionemu wrakowi samochodu. Obie grupy ignorowały się nawzajem. Finson Road miała jeszcze sześć mil długości, a Ginelli o mało dwukrotnie nie wpakował się do rowu, kiedy nieoczekiwanie z bocznych drózek wypadło na szosę kilku spragnionych mocnych wrażeń mieszkańców miasteczka.

- Mówię ci, ludziska są w stanie zerwać się w środku nocy i biec, że mało nóg nie pogubią, tylko zobaczyć krew, nim gliniarze nie zmyją jej szlauchami z chodnika. Albo raczej, w przypadku, z trawy.

Przy skrzyżowaniu wjechał na szosę do Bucksport i dotarłszy tam, skręcił na północ. O drugiej nad ranem dotarł do motelu. Nastawił budzik na siódmą i położył się spać.

Billy spojrział na niego.

- Chcesz powiedzieć, że przez cały ten czas, kiedy ja martwiłem się, że cię ukatrupili, ty spałeś smacznie w motelowym pokoju, z którego kazałeś mi się wyprowadzić?

- N00, tak. - Przez chwilę Ginelli wyglądał na zawstydzonego, po czym uśmiechnął się i wzruszył ramionami. -To brak obycia, Williamie. Nie przywykłem, aby ludzie się o mnie martwili. Z wyjątkiem mojej mamy, ale to zupełnie inna historia.

- Chyba zaspasłeś, przyjechałeś tu nie wcześniej niż o dziewiątej.

- Nie, obudziłem się, kiedy tylko usłyszałem budzik. Wykonałem jeden telefon, a potem wybrałem się na mały spacer do śródmieścia. Wynająłem jeszcze jeden wóz. Tym razem od

Avisa. U Hertza niespecjalnie sprzyjało mi szczęście.

- Będziesz miał kłopot z tym samochodem, prawda? - spytał Billy.

- Nie. Wszystko jest w porządku. Ale masz rację, mogło być ze mną krucho. Zadzwońłem właśnie w sprawie samochodu. Popro-

242

siłem mojego "współpracownika", aby przyleciał tu z Nowego Jorku. Niedaleko stąd, w Ellsworth, jest małe lotnisko. Tam właśnie wylądował. Następnie pilot udał się do Bangor, gdzie oczekiwał na powrót mojego "współpracownika". Ten zaś udał się do Bankerton. Miał...

- Wiesz, cała ta sprawa zaczyna się niewiarygodnie rozrastać - rzekł Billy. - Żeby tylko ~~prze~~rodziła się w drugi Wietnam.

- Kurwa mać, nie! Dajże spokój, Williamie!

- Niezłą masz gosposię, dolatuje aż z Nowego Jorku.

- NOO, tak. Nie znam nikogo w Maine, a jedyny mój łącznik na tym terenie dał się zabić.

Ważnym razie to już teraz nieważne. Zeszłego wieczoru otrzymałem pełny raport. Mój wspólnik wczoraj około południa pojechał do Bankerton i okazało się, że jedynym facetem na stacji był dzieciak, który wyglądał, jakby był nieźle naćpany. Dzieciak stawał na pompie, kiedy podjeżdżał jakiś wóz, ale przeważnie kręcił się przy samochodach, zajmując się smarami albo czymś innym. Mój przyjaciel wyczekał na odpowiednią chwilę, zapalił wóz "na krótko" i odjechał. Przejeżdżał tuż obok garaży z samochodami. Dzieciak nawet się nie obejrzał. Mój "współpracownik" pojechał na międzynarodowe lotnisko w Bangor i zostawił wóz na parkingu Hertza.

Powiedziałem mu, żeby sprawdził, czy na fotelu nie ma krwi. Znalazł parę kropeł na siedzeniu kierowcy, jestem przekonany, że była to kurza krew, i powycierał ją dokładnie jednorazowymi chusteczkami. Następnie wypełnił informację na odwrocie folderu, włożył go do skrzynki z ekspresową pocztą zwrotną i wrócił do Nowego Jorku.

- A co z kluczykami? Powiedziałaś, że zapalił wóz "na krótko".

- No cóż - mruknął Ginelli. - Kluczyki przez cały czas stanowiły najpoważniejszy problem. To był mój drugi błąd. Złożyłem to na karb niewyspania, podobnie jak w poprzednim przypadku, ale chyba się starzeję. Znajdowały się w kieszeni Spurtona i zapomniałem o nich, kiedy złożyłem go na wieczny spoczynek. Ale teraz... - Ginelli wyjął parę kluczyków na żółtym breloczku firmowym Hertza. Zabrzęczał nimi. - Oto i one!

243

- Wróciłeś tam - rzekł Billy, nieco ochrypłym głosem. - Chryste Panie, wróciłeś tam i odkopałeś go, żeby odzyskać kluczyki.

- NOO... prędzej czy później i tak dobrałyby się do niego drobne drapieżniki czy niedźwiedzie stwierdził Ginelli - albo znaleźliby go myśliwi. Prawdopodobnie w sezonie polowań na ptaki. kiedy mają ze sobą psy. Widzisz, pracownicy Hertza na pewno nie przejęliby się zbytnio, gdyby otrzymali pocztą kopertę bez kluczyków, ludzie często zapominają zwracać klucze od wypożyczonych samochodów czy pokoi w hotelach. Czasami odsyłają je pocztą, ale często nie zadają sobie tego trudu. Odpowiedzialny za te sprawy pracownik firmy wykręca po prostu numer 8-0-0, odczytuje numer rejestracyjny i VIN samochodu, a facet na drugim końcu linii, pracownik Forda, GM czy Chryslera podaje mu wzorzec klucza Trzask, prask i już są nowe kluczyki! Jednak gdyby znaleziono je w kieszeni trupa ze stalową kulą od łożysk w czaszce, porzuconego na odludnym zwirowisku, mogliby, idąc tym tropem, dotrzeć do mnie... A to byłoby źle. Bardzo źle. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Tak.

- Poza tym, jak zapewne się domyślasz, i tak musiałem tam wrócić, a nie mogłem przecież pojechać nową - dodał łagodnie Ginelli.
- Dlaczego nie? Przecież oni jej nie widzieli.
- Wszystko po kolei, Williamie. Zaraz zrozumiesz. Jeszcze kolejkę? - Billy odmówił ruchem głowy. Ginelli nalał sobie porcyjkę dzinu. - No dobra. Wtorek, wczesnym rankiem, psy. Wtorek, nieco później, nową. Wtorek w nocy, ostrzał obozowiska. Środa, wczesnym rankiem, wynajęcie drugiego wozu. Jak dotąd chwytasz wszystko?
- Chyba tak.
- Teraz mówimy o buicku sedanie. Facet z Avisy próbował mi wcisnąć ariesa k., mówił, że to jedyny samochód, jaki mu został, ale aries k. nie był odpowiedni. To musiał być sedan. Nie rzucający się w oczy, ale dostatecznie duży. Dopiero dwadzieścia dolców zdołało go przekonać do dostania takiego wozu, jaki chciałem. Wróciłem nim do

244

Bar Harbor, zaparkowałem i załatwiłem parę telefoniaków, żeby upewnić, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Potem łem nową tutaj. Lubię tę nową, Billy - wygląda wprawdzie jak kundel i w środku cuchnie krowim łajnem, ale to wóz z biglem!

- No więc przyjeżdżam tutaj i w końcu ci pozwalam ci się trochę uspokoić. Jestem już jednak przekonany, że po prostu padam z nóg i nie ma mowy, abym mógł wrócić do Bar Harbor, toteż spędzam cały dzień w twoim łóżku.

- Mogłeś zwrócić się do mnie z dzwonkiem, oszczędziłbyś sobie tej jazdy - rzekł półgłosem Billy. Ginelli uśmiechnął się do niego.

- Tak. Mogłem zadzwonić, ale co mi tam. Przez telefon nie mogłbym cię zobaczyć, Williamie, i nie wiedziałbym, w jakim jesteś stanie. Nie tylko ty się martwisz.

Billy nieznacznie pochylił głowę i z trudem przełknął ślinę. Znowu zbierało mu się na płacz. Ostatnio dość często się to zdarzało.

- A więc! Ginelli wstaje, odświeżony i bez szczególnie dotkliwego kaca amfetaminowego. Bierze natrysk, wskakuje do nowy, która po całym dniu na słońcu jest jeszcze bardziej cuchnie krowim łajnem, i rusza z powrotem do Bar Harbor. Dotarłszy na miejsce, wyjmie z bagażnika nowy mniejsze paczki i otwiera je w swoim pokoju. W jednej znajduje się kolt woodsman kaliber 38 kabura podramienna. Przedmioty z dwóch pozostałych paczuszek wsadza do kieszeni sportowej kurtki, a następnie wychodzi z pokoju i wymienia nową na buicka. Przez chwilę zastanawia się, że gdyby było ich dwóch, nie musiałyby poświęcać tyle czasu na zamianę samochodów jak odzwierzytny w jakiejś szpanerskiej restauracji w Los Angeles. Niedługo zacznie działać w bardziej kameralnym Bankerton i ma cichą nadzieję, że na tym koniec. Po drodze zatrzymuje się jeszcze przy supermarkecie. Wchodzi i kupuje dwie rzeczy - słoik na przetwory i butelkę pepsi. Dojeżdża do Bankerton późno, o zmierzchu. Wjeżdża na boczną drożkę. Zatrzymuje wóz przy żwirowisku i idzie bezpośrednio do celu, wiedząc, że w obecnej sytuacji nieśmiałość jest raczej nie miejscu. Wie, że jeżeli ciało zostało odnalezio-

245

ne, z powodu zamieszania wywołanego strzelaniną ubiegłej nocy, będzie ugotowany. Jednak nie ma tam nikogo i nic nie wskazuje, że ktokolwiek tu dotarł. Zaczyna odkopywać Spurtona, rozgląda się ukradkiem wokół i wyjmie nagrodę jak dziecko zabawkę z pudełka.

Głos Ginellogo był zupełnie pozbawiony wyrazu, ale Billy widział cały ten epizod jak w kinie. Nie był to najzabawniejszy film. Ginelli przykuca, dłoń mi rozrzuca na bok żwir, dotyka koszuli...

pasa... kieszeni Spurtona. Sięga w głąb. Gmera pośród drobników, które nigdy już nie zostaną wydane. Pod materiałem kieszeni wyczuwa chłodne ciało, zeszywniałe w rigor mortis. W końcu odnajduje kluczyki i pospiesznie jeszcze raz przysypuje zwłoki kamykami.

- Brr - mruknął Billy i wzdygnął się.

- Wszystko zależy od punktu widzenia, Williamie - powiedział ze spokojem Ginelli. - Uwierz mi, naprawdę.

I chyba właśnie to mnie tak przeraża - pomyślał Billy, a potem z narastającym zdumieniem wysłuchał ostatniej części opowieści o perypetiach Ginello.

Z kluczykami od Hertza w kieszeni Ginelli wrócił do biura. Otworzył pepsicołę, napełnił słoik zakręcił wieczko. Następnie ruszył w stronę obozowiska Cyganów.

- Wiedziałem, że jeszcze tam będą - powiedział. - Nie dlatego, że tego chcieli, ale dlatego, że gliniarze zabronili im opuszczać miasto, dopóki śledztwo nie zostanie zakończone. Wyobraź sobie taką sytuację; grupka, nazwijmy ich, nomadów, przyjezdnych trafia do małego, cichego miasteczka Bankerton, aż tu nagle nocą pojawia się jeden lub kilku obcych i zaczynają do nich strzelać. Taka sytuacja na pewno musiała ich zainteresować.

I rzeczywiście, byli zainteresowani. Na skraju pola stał wóz policji stanowej z Maine i dwa oznakowane plymouthy. Ginelli zatrzymał samochód pomiędzy nimi, wysiadł i zszedł po zboczu pagórka do obozowiska. Rozstrzelane kombi zostało wywiezione, prawdopodobnie do miejsca, gdzie mogli się nim zająć eksperci

246

z laboratorium kryminalistyki. W połowie zbocza Ginelli napotkał mundurowego gliniarza z drogówki.

- Proszę opuścić to miejsce - powiedział policjant. - Nie ma pan tu czego szukać.

- Przekonałem go, że jednak jestem niezbędny - stwierdził Ginelli i uśmiechnął się do Billy'ego.

- Jak to zrobiłeś?

- Pokazałem mu to.

Ginelli sięgnął do tylnej kieszeni i rzucił Billy'emu skórzane etui. Otworzył je. Rozpoznał od razu, widział kilka takich przedmiotów podczas swej prawniczej kariery. Przypuszczał, że gdyby specjalizował się w sprawach kryminalnych, miałby okazję oglądać je częściej. Była to laminowana legitymacja FBI ze zdjęciem Ginello. Na fotografii Ginelli wyglądał pięć lat młodziej. Włosy miał przycięte krótko, prawie "na zaparkę". Według legitymacji był specjalnym agentem FBI, Ellisem Stonerem.

Nagle Billy'ego olśniło. Uniósł wzrok znad legitymacji.

- Potrzebowałeś buicka, bo wygląda bardziej jak...

- Jak rządowy wóz, to oczywiste. Wielki, nie rzucający się w oczy sedan. Nie chciałem się pokazywać w tej puszczy konserw na kółkach, którą próbował mi wcisnąć facet z Avisu, a już tym bardziej w tej wieśniackiej gablocie nadającej się tylko do zaliczania pańienek na śtyndymniu.

- To... to jedna z rzeczy, którą przywiózł ci twój "współpracownik" podczas swojej drugiej wizyty tutaj?

- Tak.

Billy odrzucił mu legitymację.

- Wygląda prawie jak prawdziwa. Uśmiech Ginello przysnął.

- Jest, z wyjątkiem zdjęcia - rzucił półgłosem. Przez chwilę panowała cisza, podczas gdy Billy usiłował nie

myśleć o tym, co mogło się stać z agentem specjalnym Stonerem

i czy miał on dzieci. Wreszcie się odezwał:

- Zaparkowałeś samochód pomiędzy dwoma wozami policyjnymi i machnąłeś tą legitymacją przed nosem gliniarzowi jakieś pięć

247

minut po tym, jak na zwirowisku wyciągnąłeś kluczyki z kieszeni tego zabitego handlarza.

- Nie - odparł Ginelli. - Sądzę, że raczej dziesięć.

Kiedy znalazł się w obozie, zobaczył dwóch mężczyzn, po cywilnemu, ale niewątpliwie policjantów, klęczących przy wozie kempingowym z wizerunkiem jednorożca. Każdy z nich miał w ręku ogrodowy rydelek. Trzeci potężną latarką oświetlał ziemię kopiającym.

- Poczekajcie, poczekajcie, tu jest jeszcze jedna - powiedział jeden z nich. Wyjął kulę z ziemi i wrzucił do stojącego przy nim wiaderka. Brzdęk! Dwaj cygańscy chłopcy, z wyglądu bracia, przyglądali się ich poczynaniom.

Ginelli cieszył się, widząc policjantów. Nikt z nich nie wiedział, jak wyglądał, a Samuel Lemke widział jedynie ciemną plamę pokrytą czarną szminką. Poza tym było w pełni zrozumiałe, że agent FBI pojawia się na miejscu strzelaniny, gdzie użyty został sowiecki karabin szturmowy. Czuł jednak przy tym głęboki respekt wobec Taduza Lemkego. Nabrał owego respektu nie tyle po przeczytaniu słowa wypisanego na czole Spurtona, co raczej wtedy, kiedy Lemke stał nieruchomo, podczas gdy z ciemności w jego stronę sypał się grad pocisków. No i naturalnie nie mógł zapomnieć o tym, co się stało z Williamem. Wydawało mu się całkiem prawdopodobne, że starzec znał jego tożsamość, że wiedział, kim on był. Mógł to dostrzec w oczach Ginelliego, rozpoznać go po zapachu albo w jakiś inny tajemniczy sposób.

W żadnym razie nie zamierzał pozwolić, aby starzec z gnijącym nosem go dotknął.

Chodziło mu o dziewczynę. Przeszedł przez wewnętrzny krąg i zapukał do drzwi jednego z wozów kempingowych. Musiał zapukać raz jeszcze, zanim otworzyła mu kobieta w średnim wieku, o przerażonych, przesyconych nieufnością oczach.

- Czegokolwiek pan sobie życzy, nie mamy tu tego - powie-

248

działa. - Mamy poważne kłopoty. Wszystko jest nieczynne. Przykro mi.

Ginelli machnął legitymacją.

- Agent specjalny Stoner, proszę pani. FBI. Jej oczy rozszerzyły się. Przeżegnała się pospiesznie i powiedziała coś w języku Romów. Potem dodała:

- O Boże! I co jeszcze? Nic już nie jest normalne. Odkąd Susanna umarła, zupełnie jakby spadła na nas klątwa. Albo...

Jej mąż odepchnął ją na bok i powiedział, żeby przestała mleć ozorem.

- Agent specjalny Stoner - powtórzył Ginelli.

- Tak, słyszałem, co pan powiedział - mruknął, podchodząc do wyjścia. Ginelli przypuszczał, że tamten musiał mieć jakieś czterdzieści pięć lat, ale wyglądał starzej i pomimo że był wysoki, miał garbił, że sprawiał wrażenie ułomnego. Nosił podkoszulki z Disney Worldu i ogromne, workowate bermudy. Cuchnął winem i wzbierającymi w jego wnętrzu mdłościami. Wyglądał na faceta, któremu kłopoty żołądkowe przydarzały się dość często, mniej więcej trzy albo nawet cztery razy na tydzień. Ginelli miał wrażenie, że rozpoznał go, z owej pamiętnej nocy. Albo był ten sam Cygan, albo w obozie był jeszcze jeden mający metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Zachowywał się z wdziękiem mającego atak serca epileptyka.

- Czego pan chce? Gliny nie dają nam spokoju przez cały dzień. Nigdy nie dają żyć, ale to już... kurwa... śmieszne! - Wykrztusił to z siebie buń czucznym zaczepnym tonem, a jego żona

powiedziała do niego coś w języku Romów. Odwrócił głowę w jej stronę. – Det krigiska jag-haller – rzucił i dodał dla równowagi: – Stul gębę, suko. – Kobieta zrejterowała. Facet w koszulce Disneya ponownie odwrócił się do Ginello. – Czego pan chce? Czemu nie pogada pan ze swoimi kumplami? – Skinął w stronę pracowników laboratorium kryminalistyki.

– Mógłby mi pan podać swoje nazwisko? – zapytał Ginelli z tą samą łagodnością i obojętnym wyrazem twarzy.

249

– Czemu ich pan o to nie zapyta? – Skrzyżował wojowniczo grube, sflaczałe ramiona. Jego ogromne piersi pod materiałem koszulki zatrzęsły się. – Podaliśmy im nasze nazwiska. Spisali zeznania. Ktoś strzelał do nas w środku nocy i to wszystko, co wiemy. Chcemy stąd odjechać, opuścić Maine, Nową Anglię i całe to pieprzone Wschodnie Wybrzeże. – I nieco cichszym głosem dodał: – I nigdy tu nie wrócić. – Palec wskazujący i środkowy lewej ręki wykonały gest, który Ginelli dobrze znał, bo czyniły go zarówno jego matka, jak i babka – gest "złego oka", mający chronić przed urokami. Miał wrażenie, że ten człowiek wykonał go zgoła nieświadomie. – Możemy załatwić tę sprawę dwojako – rzekł Ginelli, grając do końca rolę superspokojnego łagodnego agenta FBI. – Może mi pan udzielić niezbędnych informacji albo zostanie pan zatrzymany i kto wie, czy nie zostanie panu przedstawiony zarzut utrudniania pracy funkcjonariuszowi wymiaru sprawiedliwości. Gdyby tak się stało, groziłaby panu kara pięciu lat pozbawienia wolności i grzywna w wysokości pięciu tysięcy dolarów.

Kolejny potok słów w języku Romów, tym razem prawie histeryczny.

– Enkeltf – wrzasnął ochryple mężczyzna, ale kiedy znów odwrócił się do Ginello, jego twarz wyraźnie pobladła. – Chyba pan oszalał.

– Nie, proszę pana – odparł Ginelli. – W tej sprawie nie chodzi tylko o kilka strzałów. Oddano najmniej trzy serie z broni automatycznej. W Stanach Zjednoczonych posiadanie broni automatycznej i maszynowej przez osoby prywatne jest zabronione. W sprawę zostało włączone FBI i muszę pana przestrzec, że obecnie tkwi pan po pas w niezłym gównie, z każdą chwilą zapada się pan coraz głębiej, a nie sądzę, aby umiał pan pływać.

Mężczyzna przyglądał mu się ponuro przez dłuższą chwilę, po czym rzekł:

– Nazywam się Heilig, Trey Heilig. Mógł się pan tego dowiedzieć od tamtych facetów. Skinął głową.

250

– Oni mają swoją robotę, ja mam swoją. Czy teraz zechce pan ze mną porozmawiać? Olbrzym z rezygnacją pokiwał głową.

Zmusił Treya Heiliga, aby opowiedział o całym zdarzeniu, jakie miało miejsce ubiegłej nocy. W pewnym momencie podszedł do nich jeden ze stanowych gliniarzy, aby sprawdzić, kim jest cywil. Rzucił okiem na legitymację Ginello, po czym szybko się oddalił. Wyglądał zarazem na poruszonego i odrobinę zmartwionego.

Heilig oznajmił, że kiedy usłyszał pierwsze strzały, od razu wypadł z samochodu, zauważył błyski ognia na wzgórzu i natychmiast pobiegł w tamtą stronę, zamierzając zająć strzelca z flanki. Jednak w ciemności potknął się o coś, uderzył głową w kamień i na chwilę stracił przytomność, w przeciwnym razie z pewnością dopadłby tego drania. W tym momencie pokazał blaknący siniec – przynajmniej trzydniowy, będący zapewne wynikiem potknięcia się po pijanemu, i lewą skroń. Uh-uh – pomyślał Ginelli i odwrócił kolejną stronę w swoim notesie. Dostyc tego hokus-pokus, najwyższy czas przejść do rzeczy.

– Bardzo dziękuję za pomoc, panie Heilig. Te słowa najwyraźniej zmiękczyły Cygana.

- No... dobra. Przepraszam, że tak na pana naskoczyłem. Ale na naszym miejscu... - Wzruszył ramionami.

- Gliny - powiedziała jego żona, stojąca z tyłu za nim. Wyglądała przez drzwi wozu kempingowego jak bardzo stary, zmęczony borsuk, który wyjrzał ze swojej nory, aby sprawdzić, ile psów krąży w okolicy i czy są szczególnie zajadłe. - Zawsze gliny, dokądkolwiek byśmy pojechali. To normalne. Ale teraz jest jeszcze gorzej. Ludzie są przerażeni.

- Enkelt, mamma - powiedział Heilig, ale tym razem łagodniej.

- Chciałbym porozmawiać jeszcze z paroma osobami, gdyby zechciał pan wskazać mi drogę - powiedział i spojrzał na czystą stronę w swoim notesie. - Z panem Taduzem Lemke i panią Angeliną Lemke.

- Taduz śpi tam - rzekł Heilig i wskazał na wóz kempingowy

251

z wizerunkiem jednorożca. Ginelli stwierdził, że była to wspaniała informacja, naturalnie jeśli była prawdziwa. - Jest bardzo stary i ostatnie wypadki nadszarpnęły jego zdrowie. Sądzę, że Gina jest teraz w swoim wozie, o, tam, panna, a nie pani.

Wskazał brudnym palcem na małą, zieloną toyotę, z drewnianą budą z tyłu.

- Bardzo dziękuję. - Zamknął notes i wsunął do tylnej kieszeni.

Heilig wrócił do swojego kampera, i prawdopodobnie również do butelki. Sprawiał wrażenie uspokojonego. Ginelli ponownie przeszedł przez wewnętrzny krąg, tym razem w stronę wozu dziewczyny. Robiło się coraz ciemniej. Powiedział Billy'emu, że kiedy podchodził do toyoty, serce waliło mu w piersi jak młotem. Wziął głęboki oddech i zapukał do drzwi.

Nie było natychmiastowej odpowiedzi. Uniósł dłoń, żeby zapukać jeszcze raz, i w tym momencie drzwi się otworzyły. William powiedział, że była piękna, ale Włoch nie był przygotowany na taką głębię urody - ciemne, szczerze oczy z tak białymi rogówkami, że wydawały się niebieskawe, czysta oliwkowa cera, pod którą można było dostrzec lekko różowawy połysk. Przez chwilę przyglądał się rękom, które były silne i znaczone węzłami żył. Nie miała lakieru na czystych bardzo krótko przyciętych paznokciach, jak u córki farmera. W jednym ręku trzymała książkę zatytułowaną Socjologia statystyczna.

- Słucham?

- Agent specjalny, Stoner, panno Lemke - powiedział. I w tej samej chwili ta dziwna przejrzystość znikła z jej oczu, jak gdyby spuszczone w nich rolety. - FBI.

- Słucham? - powtórzyła, ale w jej głosie było tyle samo życia, co w automatycznej sekretarce.

- Prowadzimy dochodzenie w sprawie strzelaniny, która miała tu miejsce ubiegłej nocy.

- Pan i połowa świata - odparła. - A prowadźcie sobie to śledztwo, ale jeśli do jutra rana

wyśle pocztą ćwiczeń z kursu

252

korespondencyjnego, obniżą mi stopnie za spóźnienie. A więc, gdyby zechciał pan mi wybaczyć...

- Mamy powód przypuszczać, że za tym wszystkim stoi niejaki William Halleck - rzekł Ginelli. Czy mówi pani coś to nazwisko?

Oczywiście, że mówiło. Przez chwilę jej oczy rozszerzyły się i zapłonął w nich ogień. Ginelli uznał, że była niewiarygodnie piękna. Nadal tak uważał, ale teraz był w stanie uwierzyć, że ona mogła zamordować Franka Spurtona.

- Ta świnią! - wybuchnęła. - Hañ satte sigpa en av stelarna! Hañ sneglade pa nytt mot hylloma vild! Vild!

- Mam kilka fotografii mężczyzny, który, jak sądzimy, może być tym Halleckiem - powiedział łagodnym tonem Ginelli. - Zostały zrobione w Bar Harbor przez jednego z naszych agentów, przy użyciu teleobiektywu...

- Oczywiście, że to Halleck! - powiedziała. - Ta świnia zabiła moją tante-nyjad, moją prababkę! Ale nie będzie nam już długo zatruwał życia! On... - Zagryzła bardzo mocno dolną wargę, urywając swój monolog. Gdyby Ginelli był tym, za kogo się podawał, to dziewczyna właśnie w tej chwili zapewniłaby sobie długie i bardzo szczegółowe przesłuchanie. Ginelli wszak udął, że go nie zauważył.

- Na jednym z tych zdjęć mężczyzna wręcza coś drugiemu, prawdopodobnie pieniądze. Jeśli jeden z nich to Halleck, w takim razie drugi to zapewne strzelec, który zeszłej nocy złożył wizytę w waszym obozie. Chciałbym, aby pani i pani dziadek obejrżeli te zdjęcia i jeśli to możliwe, dokonali identyfikacji Hallecka.

- To mój prapradziadek - powiedziała obojętnym tonem. - Teraz chyba śpi. Jest z nim mój brat. Nie chciałabym go budzić. Wydarzenia kilku ostatnich dni bardzo nim wstrząsnęły.

- No cóż, myślę, że jakoś sobie z tym poradzimy - stwierdził Ginelli. - Jeżeli przejrzy pani zdjęcia i sama zidentyfikuje tego mężczyznę jako Hallecka, to nie będzie potrzeby, aby go wyganiać starszego pana Lemke.

253

- Doskonale. Jeśli złapiecie tę świnie, Hallecka, aresztujecie go?

- Oczywiście. Mam przy sobie nakaz, który trzeba tylko wypełnić.

To ją przekonało. Kiedy wyskoczyła z samochodu, zamiatając zamasyście obszerną spódnicą i odstawiając na moment olśniewająco opalone smukłe udo, powiedziała coś, co zmroziło Ginellemu krew w żyłach.

- Nie sądzę, aby zostało z niego zbyt dużo do momentu aresztowania.

Minęli policjantów, którzy mimo zapadającego zmierzchu wciąż jeszcze wydobywali z ziemi pociski. Potem kilku Cyganów, włącznie z dwoma braćmi, przebranymi obecnie do snu w identyczne piżamy. Ginę ukloniła się niektórym spośród nich, a oni odpowiedzieli jej tym samym, ale trzymali się na uboczu. Wysoki mężczyzna, wyglądający na Włocha, idący u boku Giny był agentem FBI i najrozsądniej było nie wchodzić mu w drogę.

Wyszli poza obręb obozu; weszli po zboczach na szczyt pagórka, gdzie Ginelli zostawił swój samochód i pochłonęły ich wieczorne cienie.

- To było dziecinnie proste, Williamie - stwierdził Ginelli.

- Trzecia noc z rzędu, a wszystko szło mi gładko jak po maśle... niby dlaczego nie? Tam wprost roilo się od glin. Czy facet, który do nich strzelał, wracałby z własnej woli do jaskini? Sądzili, że nie... ale to było głupie rozumowanie, Williamie. Spodziewałem się tego po nich wszystkich, ale nie po tym starym. Skoro przez całe życie uczysz się, jak nienawidzić i nie grać, nie sposób nagle zmienić zdanie i uznać, że ci sami policjanci będą cię chronić przed kimś, kto chce cię wykończyć. Tylko że stary wtedy spał. Jest wycieńczony. To dobrze. Może uda nam się go załatwić, Williamie. Może się nam uda.

Wrócili do buicka. Ginelli otworzył drzwiczki od strony kierowcy, a dziewczyna czekała z boku.

Kiedy się pochylił, jedną ręką

254

wyjmując kolt z kabury, a drugą odkręcając pokrywkę słoika, poczuł, że nastrój dziewczyny zmienia się gwałtownie, z gorzkiego uniesienia w niewytłumaczalną czujność i ostrożność. Ginelli pracował na najwyższych obrotach, jego odczucia i doznania rejestrowały najdrobniejsze

wczulony, wręcz telepatyczny zmysł, powiedział Ginellemu, że nie musiał jej o tym

Ginelli wyrócił oczami.

drzwiczki. - Dobrze - rzucił Ginelli, wsiadając. - I nie ruszaj się.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Ginelli spojrzął na zegarek. Było po trzeciej.

Człowiek Ginellego: – Tak. Można tak powiedzieć.

Billy spojrział w stronę przyglądających się mu ludzi i pokiwał głową. Był gotowy, już od

Broadway. Letnie drzewa, ciężkie od liści, szemrały cichutko, kołysane łagodnym wietrzykiem.

kręglami i Giną strzelająca z procy do tarczy. Wtedy wszyscy by się tu zbiegli. Bo Cyganie

rzeczywistości. – Nie. Oczywiście, że nie.

- A więc... przekonałeś sam siebie, że to... Jak to nazwałeś? Targowanie się? Że to, co się stało z

dowiedziemy, że jesteście równie obłąkani jak przyjaciel białego człowieka z miasta. Gdybyśmy

- Ta klątwa, ty dekentfelt o gard da borg. Jesteś dla niej jak ojciec. Nadal chcesz się jej pozbyć?

- Jeżeli chcesz się pozbyć purpurfargade ansiktet, musisz najpierw przenieść go na placek...
a

następnie dać placek z klątwą—dzieckiem w środku komuś innemu. Ale będziesz musiał to zrobić szybko, bo w przeciwnym razie to powróci do ciebie ze zdwojoną siłą. Rozumiesz?

– Tak – odrzekł Billy.

– A więc zrób to, jeśli chcesz – rzekł Lemke. Jego kciuki ponownie się napreżyły. Ciemniejsza szczelina w skorupie placka otworzyła się szeroko.

Billy zawahał się, ale tylko przez chwilę. W myślach zobaczył twarz swojej córki. Widział ją niemal tak wyraźnie, jak na dobrze wykonanej fotografii; patrzyła na niego przez ramię i śmiała się, a pompony, które trzymała w ręku, wyglądały niczym wielkie, puszyste fioletowo-białe owoce. Mylisz się, co do targowania się, starcze – pomyślał. Heidi za Linde. Moja żona za moją córkę. To właśnie jest targowanie się. Wbił ostrze scyzoryka Taduza Lemkego w otwór w swojej dłoni. Strup pękł bez trudu. Krew zaczęła spływać w głąb szczeliny w skorupie placka. Jak przez mgłę słyszał, że Lemke mówił coś bardzo szybko w języku Romów, ale Cygan ani przez chwilę nie spuszczał wzroku z bladej, wychudłej twarzy Billy'ego. Halleck obrócił ostrze w ranie; patrzył, jak jej nabrzmięte wargi rozchylają się i odzyskują poprzedni, kolisty kształt.

~~Wmęła~~ teraz szybciej. Nie czuł żadnego bólu.

– Enkelt! Wystarczy.

Lemke wyjął nóż z jego dłoni. Nagle Billy poczuł, jakby wyszano zeń wszystkie siły. Opadł ciężko do tyłu, uderzając plecami o oparcie ławki; zbierało mu się na mdłości, ale próbował tym walczyć. Był kompletnie wyczerpany i dziwnie pusty. Miał wrażenie, że tak właśnie musi się czuć kobieta po urodzeniu dziecka. Potem spuścił wzrok i stwierdził, że krwawienie ustało.

Zupełnie.

272

Nie, to niemożliwe.

Przeniósł wzrok na placek, który Lemke trzymał na kolanach, i zobaczył drugą rzecz, która wydała mu się niemożliwa, tyle tylko, że tym razem dokonało się to na jego oczach. Kciuki starca rozluźniły się, szczelina ponownie się zamknęła... i nagle, zupełnie nieoczekiwanie, zniknęła. Po prostu przestała istnieć. Powierzchnia ciasta była nienaruszona, z wyjątkiem dwóch małych otworków, którymi uszła para, dokładnie pośrodku placka. W miejscu gdzie była szczelina, znajdowało się teraz coś, co wyglądało jak zygzakowata fałdka z ciasta.

Ponownie spojrzął na swoją dłoń, ale nie zobaczył na niej krwi, przeciętego strupa ani żywego ciała. Rana była teraz zupełnie zagojona. Pozostała po niej tylko krótka biała blizna, w kształcie zygzaka, przecinająca niczym piorun jego linię życia i linię serca.

– Jest twój, biały człowieku z miasta – rzekł Lemke i oddał mu placek. W pierwszej chwili Halleck miał chęć go wyrzucić, cisnąć precz, pozbyć się go jak ogromnego pająka, którego jakiś żartowniś mu podrzucił. Placek był obrzydliwie ciepły i zdawał się pulsować wewnątrz taniej aluminiowej tacki niczym żywa istota. Lemke wstał i spuścił wzrok, spoglądając na niego. Lepiej się czujesz?

Billy stwierdził, że tak, nawet pomimo obrzydzenia, jakie odczuwał wobec tego, co spoczywało teraz na jego kolanach. Uczucie słabości minęło. Jego serce biło normalnie.

– Troszeczkę – powiedział ostrożnie. Lemke pokiwał głową.

– Teraz zaczniesz przybierać na wadze. Jednak za tydzień lub dwa proces rozpocznie się od nowa. Ale tym razem będziesz chudł i już nic nie zdoła tego powstrzymać. Chyba że znajdziesz kogoś, kto to zje.

– Tak.

Oczy Lemkego pozostały niewzruszone.

– Jesteś pewny?

- Tak, tak! - wykrzyknął Billy.
- Trochę mi ciebie żal - rzekł Lemke. - Niedużo, ale trochę.

273

Niegdyś mogłeś mieć pokoi, dużą moc. Teraz twoje barki są strzaskane. Nic nie jest twoją winą... są powody... masz przyjaciół - Uśmiechnął się bez odrobiny radości. - Czemu sam nie zjesz swojego placka, biały człowieku z miasta? Umrzesz, ale umrzesz silny.

- Wynoś się stąd - rzucił Billy. - Nie mam zielonego pojęcia. o czym mówisz. Wiem tylko, że załatwiliśmy, co było między nami do załatwienia.

- Taak. To prawda. - Na moment przeniósł wzrok na placek, po czym znów spojrzął na Billy'ego.

- Niech się strzeże ten, kto skosztuje placka przygotowanego dla ciebie - powiedział i ruszył w stronę Billy'ego. Właśnie wtedy Halleck po raz ostatni ujrzał jego niewiarygodnie stare, wyniszczone oblicze - Nie ma żadnego targowania się, biały człowieku z miasta - powiedział Taduz Lemke. - Nigdy nie było. - Odwrócił się i odszedł.

Billy siedział na ławeczce i patrzył, dopóki starzec nie znikną mu z oczu.

Kiedy Lemke rozpułynał się w wieczornym mroku, Billy wstał i zaczął iść w stronę, z której przyszedł. Po mniej więcej dwudziestu krokach zatrzymał się i stwierdził, że czegoś zapomniał. Wrócił do ławeczki i wziął swój placek. Jego oblicze było przepełnione powagą, rysy stężały, wzrok mętny. Placek był w dalszym ciągu ciepły i nadał pulsować, ale teraz nie brzydził się aż tak bardzo. Przypuszczał, że człowiek jest w stanie przywyknąć do wszystkiego, pod warunkiem że dostarczy mu się odpowiedniego bodźca.

Zaczął iść z powrotem w kierunku Union Street.

W połowie drogi na szczyt wzniesienia, gdzie wysadził go Ginel-li, zobaczył zaparkowaną przy chodniku niebieską novę. I wtedy już wiedział, że klątwa naprawdę została zdjęta. Nadal był przeraźliwie słaby i od czasu do czasu serce w jego piersi podrygiwało gwałtownie. Zupełnie, jakbym wdepnął w coś miękkiego i tłustego - pomy-

274

siał, ale to odeszło, zostało zdjęte i dopiero teraz, kiedy było już po wszystkim, zrozumiał, co miał na myśli Lemke, kiedy powiedział, że klątwa była żyjącą istotą, czymś w rodzaju ślepego, niemądrego dziecka, które znajdowało się w jego wnętrzu i żywiło się nim. Purpurfargade ansiktet. Opuściło moje ciało. Nareszcie.

Mimo to czuł, że placek, który niósł w rękach, pulsował powolnym rytmem, a kiedy spuścił wzrok i spojrzął na ciasto, stwierdził, że jego powierzchnia poruszała się miarowo w górę i w dół. Tłonia aluminiowa tacka była nagrzana od jego ciepła. To śpi - pomyślał i wzdrygnął się. Czuł się, jak człowiek niosący śpiącego diabła.

Nova stała przy chodniku, przodem do podnóża pagórka. Jej tylne koła unosiły się w powietrzu, podtrzymywane lewarkiem. Światła parkingowe były zapalone.

- Już po wszystkim - powiedział Billy, otwierając drzwiczki od strony pasażera i wsiadając do samochodu. - Już po...

Dopiero wtedy zauważył, że Ginellego nie było w samochodzie. A w każdym razie nie zostało go tu wiele. Z powodu pogłębiających się ciemności nie zauważył, że mało brakowało, a usiadłby na odciętej dłoni Ginellego. Ręka z długimi strzępami okrwawionej tkanki odcięta na wysokości nadgarstka leżała na starym, wyblakłym obiciu fotela novy. W zaciśniętej kurczowo dłoni błyszczało srebrzyście kilkanaście stalowych kulek od łożysk.

- Gdzie jesteś? - W głosie Heidi pobrzmiwał gniew, strach, znużenie. Billy nie był szczególnie zdziwiony, kiedy stwierdził, że nie odczuwał nic, kompletnie nic wobec tego głosu, nawet odrobiny ciekawości.

- To nieważne - powiedział. - Wracam do domu.

- Wreszcie dojrzał światło! Dzięki Bogu! Wreszcie zobaczył światło! Przylecisz na La Guardia czy Kennedy'ego? Przyjadę po ciebie.

- Przyjadę sam - rzekł Billy. Przerwał. - Chcę, żebyś za-

275

dzwoniła do Mike' a Houstona, Heidi, i powiedziała mu, że zmieniłaś zdanie na temat res gestae.

- Co? Billy o czym?... - Ale po zmianie w tonie jej głosu bez trudu stwierdził, że wiedziała, czym mówił. To był ton przerażonego dziecka, które zostało przyłapano na podbieraniu cukierków, i poczuł, że traci cierpliwość.

- O ubezwłasnowolnieniu - stwierdził. - W moim fachu nazywają to także skierowaniem do wariatkowa. Załatwiłem swoje sprawy i jestem gotów zgłosić się, gdzie chcecie, do kliniki Glassmana, New Jersey Goat Gland Center czy Centrum Akupunktury Środkowego Zachodu. Ale jeśli dotrę do Connecticut i zgarną mnie gliny, i wyląduję w stanowym zakładzie psychiatrycznym w Norwalk, srogo tego pożałujesz, Heidi.

Płakała.

- Robiliśmy tylko to, co uważaliśmy, że jest dla ciebie najlepsze, Billy. Któregoś dnia zrozumiesz.

Pod jego czaszką rozległ się głos Lemkego. Nic nie jest twoją winą... są powody... masz przyjaciół... Odegnął to od siebie, ale nim to uczynił, na jego ramionach i szyi pojawiła się **gęsia**.

- Po prostu... - Przerwał i tym razem usłyszał głos Ginellego:

Poprosto to zdejmij. Zdejmij kłatwę z Williama Hallecka. Ręka. Ręka na siedzeniu. Szeroki złoty pierścień na drugim palcu, czerwony kamień, być może rubin. Gęste czarne włosy pomiędzy kostkami drugiego i trzeciego palca. Dłoń Ginellego.

Billy przełknął ślinę. Coś strzyknęło mu głośno w gardle.

- Po prostu anuluj ten dokument - powiedział.

- W porządku - odrzekła szybko i zaraz zaczęła się usprawiedliwiać. - My tylko... Zrobiłam to, uważałam... Billy, tak bardzo wychudłeś... mówiłeś takie obłąkane rzeczy...

- Dobrze.

- Mówisz tak, jakbyś mnie nienawidził - powiedziała i znów zaczęła płakać.

- Nie bądź głupia - rzucił, ale nie było to konkretne zaprzeczenie. Odrobinę zniżył głos. - A gdzie Linda? Jest w domu?

276

- Nie. Wróciła na parę dni do Rhody. Jest... bardzo roztrzęsiona tym wszystkim.

Mogę się założyć - pomyślał. Była już wcześniej u Rhody, a potem wróciła do domu. Wiedział o tym, bo przecież z nią rozmawiał. A teraz ponownie wyjechała i coś w stwierdzeniu Heidi pozwalało mu przypuszczać, że tym razem Lin sama tego chciała. Czy dowiedziała się, że ty,

Heidi, i dobry stary Houston zamierzacie ogłosić jej ojca niepoczytalnym? Czy to właśnie się stało? Ale w gruncie rzeczy to było nieważne. Wystarczyło, że wiedział, gdzie Linda wyjechała. Spojrzał na placek, który położył na telewizorze. Znajdował się w motelowym pokoju w Northeast Harbor. Skórka w dalszym ciągu pulsowała w górę i w dół niczym żyjące serce. Nie chciał, aby jego córka zbliżyła się do tego czegoś. Bo to było niebezpieczne.

- Najlepiej będzie, jeśli tam zostanie, dopóki nie uporządkujemy naszych spraw. Mamy parę problemów do rozwiązania - powiedział.

Po drugiej stronie linii Heidi wybuchnęła głośnym szlochem. Billy zapytał ją, co się stało.

- To z tobą coś się stało. Twój głos jest taki zimny, pozbawiony wszelkich uczuć.

- Rozgrzeję się - powiedział. - Nie martw się. Przez chwilę słyszał, jak głośno przetykała ślinę, usiłując stłumić szloch i zapanować nad sobą. Czekał na to z całkowitą obojętnością, nie czuł zupełnie nic. Fala zgrozy ogarnęła go, kiedy uświadomił sobie, że przedmiot na siedzeniu był dłonią Ginellego i w zasadzie była to ostatnia silna emocja, jaką odczuł tego wieczoru.

Oczywiście z wyjątkiem napadu histerycznego, piskliwego śmiechu, który przydarzył mu się nieco później.

- I co tam u ciebie? - spytała w końcu.

- Jest pewna poprawa. Podskoczyłem do 122. Zaczepnęła gwałtownie powietrza.

- To sześć funtów mniej niż ważyłeś w dniu wyjazdu!

- Ale i sześć funtów więcej od wczorajszego rana - powiedział łagodnie.

277

- Billy... Chcę, żebyś wiedział, że możemy to wspólnie jakoś przetrwać. Naprawdę możemy. Najważniejsze, żebyś zdrowiał, a potem porozmawiamy. Jeżeli będziemy potrzebowali pomocy... pójdziemy do poradni małżeń skiej czy coś w tym rodzaju... zgodzę się na to. Chodzi tylko o żebyśmy... żebyśmy my...

Chryste, znów się rozbeczy - pomyślał i jego własna oziębłość jednocześnie go zaszokowała i rozbawiła, aczkolwiek odczucia te były mocno stonowane. A potem powiedziała coś, co poruszyło go w szczególny sposób i przez krótką chwilę znów była tą samą, starą Heidi... a onarym Billyrn Halleckiem.

- Jeśli zechcesz, rzucę palenie - powiedziała. Billy spojrział na placek stojący na telewizorze. Jego powierzchnia pulsowała powoli. Góra - dół. Góra - dół. Góra - dół. Pomyślał o tym, jak ciemne było jego wnętrze, kiedy stary Cygan rozciął skorupę placka; o niewyraźnych kształtach, które mogły być wszystkimi fizycznymi niedolami ludzkości lub zwykłymi truskawkami. Pomyślał o swojej krwi, spływającej z rany w jego ręce do wnętrza placka, a potem znowu o Ginellim. Uczucie ciepła minęło.

- Lepiej nie - powiedział - kiedy rzuca się palenie, zaczyna się tyć.

Leżał na nie pościelonym łóżku z dłoń mi splecionymi na karku i wpatrywał się w mrok. Była za kwadrans pierwsza, ale nie chciało mu się spać. Dopiero teraz, w ciemnościach zaczęło do powracać oderwane wspomnienie z okresu pomiędzy znalezieniem dłoni Gi-nellego na fotelu novy i jego telefonem do żony, który wykonał właśnie z tego pokoju.

W spowitym w mroku pokoju rozlegał się jakiś dźwięk.

Nie.

Ależ tak. Odgłos przypominający oddychanie.

Nie. To tylko twoja wyobraźnia.

Ale to nie była jego wyobraźnia, to była Biblia Heidi, a nie Williama Hallecka. Potrafił odróżnić, co było rzeczywistością, a co ułudą. Wcześniej może tego nie potrafił, ale teraz już tak. Skorupa

278

placka poruszała się, niczym tkanka białej skóry pokrywającej żywe ciało, i nawet teraz, sześć godzin po tym, jak Lemke dał mu ciasto, wiedział, że gdyby dotknął aluminiowej tacki, stwierdziłby, że jest ciepła.

- Purpurfargade ansiktet - wymamrotał w ciemności, a te słowa zabrzmiały niczym zaklęcie.

Kiedy dostrzegł rękę, po prostu tylko ją zarejestrował. Dopiero w pół sekundy później uświadomił sobie, co widzi, i odsunął się na bok, z krzykiem. Jego gwałtowny ruch sprawił, że dłoń zakołysała się najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Wyglądało to tak, jak gdyby Billy zapytał, jak się czuje, a ona odpowiedziała gestem comme ęi, comme qa. Dwie stalowe kulki wyslizgnęły się spomiędzy palców, spadły w szczelinę między siedzeniami i potoczyły się do tyłu.

Billy ponownie krzyknął, obie dłonie oparł o podbródek, paznokcie przycisnął mocno do powiek. Jego oczy były rozszerzone i wilgotne. Serce załomotało mu w piersi i nagle uświadomił sobie, że placek przechyla się w prawo. Lada moment ciasto spadnie na podłogę samochodu i rozleci się na kawałki. Złapał je i poprawił nieomal w ostatniej chwili. Arytmia z wolna ustąpiła. Znow mógł oddychać. Zaczęła go ogarniać lodowata oziebłość, którą potem Heidi usłyszy w jego głosie. Ginelli prawdopodobnie nie żył - stop, poprawka, skreślić "prawdopodobnie". Co on takiego powiedział? - Gdyby zauważyła mnie pierwsza, już nigdy nie zmieniłbym koszuli. A więc powiedz to na głos.

Nie, nie chciał tego robić. I nie chciał ponownie spojrzeć na tę dłoń. Właśnie dlatego postąpił dokładnie na odwrót.

- Ginelli nie żyje - powiedział. Przerwał, a potem niejako dla poprawy sytuacji dodał: - Ginelli nie żyje i nic nie mogę na to poradzić. Co najwyżej zmyć się stąd, zanim jakiś glina...

Spojrzał na stacyjkę i zobaczył, że tkwił w niej kluczyk. Na cienkim rzemyku zwiisał breloczek zdjęciem ubranej w kusy strój sportowy Olivii Newton John. Przypuszczał, że to Ginę po położeniu

279

odciętej ręki Włocha na siedzeniu musiała włożyć kluczyk do stacyjki. Zajął się Ginellim, ale najwyraźniej nie zamierzała złamać obietnic złożonych przez jej prapradziadka przyjacielowi Ginellego, osławionemu człowiekowi z miasta; kluczyki były dla niego. Nagle przypomniał sobie, że Ginelli też wyjął kluczyki do samochodu z kieszeni trupa, teraz dziewczyna powtórzyła dokładnie tę samą czynność. Jednak to skojarzenie nie wywołało paniki.

Jego umysł był teraz wyjątkowo chłodny. Przyjął tę trzeźwość z prawdziwą przyjemnością. Wsiadł z novy, ostrożnie postawił placek na podłodze, podszedł do drzwiczek od strony kierowcy, otworzył je i wsiadł. Kiedy usiadł na fotelu, dłoń Ginellego powtórzyła ów upiorny, niezdecydowany gest. Billy otworzył schowek na rękawiczki i znalazł w środku bardzo starą mapę Maine. Rozłożył ją i zakrył nią dłoń. Potem uruchomił novę i ruszył w dół Union Street. Prowadził przez prawie pięć minut, kiedy uświadomił sobie, że jedzie w niewłaściwym kierunku, na zachód zamiast na wschód. Jednak w oddali pośród zapadającego szybko zmierzchu dostrzegł złote łuki baru McDonalda. Kiszki zagrały mu marsza. Billy podjechał do stanowiska dla zmotoryzowanych, przy interkomie.

- Witamy w McDonalddie - dobiegł głos z głośnika. - Co pan zamawia?

- Poproszę potrójny big mac, dwie duże porcje frytek i koktajl kawowy.

Jak w starych dobrych czasach - pomyślał i uśmiechnął się. Zjeść to wszystko w samochodzie, śmieci wrzucić do kosza i nie mówić nic Heidi po powrocie do domu.

- Życzy pan sobie coś na deser?

- Oczywiście. Ciasto z wiśniami. - Spojrzał na rozłożoną mapę obok siebie. Był przekonany, że niewielką wypukłość na zachód od Augusty tworzył pierścień Ginellego. Zrobiło mu się słabo. - Pudełko ciasteczek firmowych dla mojego przyjaciela - powiedział i wybuchnął śmiechem. Głos odczytał mu listę zamówień, po czym dokoń czył: "Pańskie zamówienie zostanie dostarczone na 6-90. Proszę tam podjechać". - Możesz być tego pewien -

280

rzekł Billy. - Bo przecież o to w tym wszystkim chodzi, prawda? Po prostu przejechać dalej odebrać swoje zamówienie. - Ponownie się roześmiał. Jednocześnie czuł się świetnie i chciało mu się wymiotować.

Dziewczyna podała mu przez okno dwie ciepłe białe torby. Billy zapłacił, odebrał resztę i pojechał dalej. Przy końcu budynku zatrzymał samochód i podniósł starą mapę z zawiniętą wewnątrz dłonią. Złożył mapę, wystawił rękę przez otwarte okno i wrzucił niewielki pakunek do kosza na śmieci. Na pokrywie kosza plastikowy Ronald tań czył z plastikową Grymselą. Na uchylonej klapce kosza było napisane: "Wrzuć odpadki tam, gdzie ich miejsce".

- I o to też w tym chodzi - powiedział Billy. Otarł dłoń o udo i roześmiał się. - Właśnie wrzuciłem odpadki tam, gdzie jest ich miejsce... i niech tam pozostaną.

Tym razem przy Union Street skręcił na wschód i ruszył w kierunku Bar Harbor. Prowadził, śmiejąc się. Przez chwilę miał nawet wrażenie, że nigdy nie zdoła się uspokoić, że będzie śmiał i śmiał, aż do śmierci.

Ponieważ ktoś mógłby zauważyć, jak aplikuje nowie coś, co jego kumpel po fachu określił kiedyś mianem "masażu antyodciskowe-go", gdyby Billy wybrał względnie ruchliwe miejsce - na przykład parking przed motelem, Halleck skręcił w zapuszczoną wiejską dróżkę czterdzieści mil na wschód od Bangor. Za wszelką cenę chciał zatrzeć wszystkie ślady, które kiedykolwiek mogłyby powiązać go z tym samochodem. Wsiadł, zdjął wiatrówkę, złożył ją, a następnie oczyścił nią dokładnie każdy fragment samochodu, który chwycił lub mógł dotknąć przez przypadek.

Przed biurem motelu palił się neon z napisem: "Brak miejsc" i Billy zauważył, że na parkingu było tylko jedno wolne miejsce. Znajdowało się przed domkiem, w którym nie paliło się światło. Halleck nie miał wątpliwości, że patrzył na pokój Johna Tree.

Zaparkował nową na podjeździe, wyjął chusteczkę i wytarł dokładnie zarówno kierownicę, jak i dźwignię zmiany biegów. Wziął

281

swój placek. Otworzył drzwiczki i powycierał wewnętrzną stronę klamki. Wsiadł z samochodu i zamknął drzwiczki, popychając je pośladkiem. Potem rozejrzał się wokoło. Z wyglądu zmęczona matka sprzeczała się z dzieckiem, które sprawiało wrażenie jeszcze bardziej znużonego niż ona; przed biurem stali dwaj mężczyźni; rozmawiali. Nie zauważył nikogo innego, nie wyczuł, żeby ktoś mu się przyglądał. Usłyszał dźwięki płynące z telewizorów w motelowych pokojach, a od strony miasta, z barów dobiegało głośne, rockandrollowe brzmienie; letnicy szykowali kolejny bombowy ubaw.

Billy minął motelowy podjazd; dotarł pieszo do śródmieścia i za najgłośniejszą muzyką podążył w stronę baru. Knajpa nazywała się "Salty Dog" i, zgodnie z oczekiwaniami Billy'ego, przy chodniku przed wejściem stały taksówki - w sumie trzy - czekały na chromego, chorego i pijanego. Billy zagadał do jednego z kierowców, a ten za piętnaście dolarów z prawdziwą przyjemnością zgodził się go zawieść do Northeast Harbor.

- Widzę, że ma pan już swój obiad - rzekł taksjarski, kiedy Billy zajął miejsce z tyłu.

- Albo czyjś - odparł Billy i roześmiał się. - Bo przecież tak naprawdę o to w tym wszystkim chodzi, prawda? Najważniejsze, żeby upewnić się, że ktoś dostanie swój obiad. Taksiarz przez chwilę patrzył z powątpiewaniem na jego odbicie w lusterku wstecznym, po czym wruszył ramionami.

- Cokolwiek powiesz, przyjacielu, ty płacisz za kurs. Pół godziny później zatelefonował do Heidi. Teraz leżał i słuchał, jak coś oddycha w ciemnościach; coś, co wyglądało jak placek, ale rzeczywistości było dzieckiem stworzonym wspólnie przez niego i starego Cygana.

Gina - pomyślał niemal zupełnie przypadkiem. Gdzie ona jest? Nie skrzywdź jej, tak właśnie powiedział Ginellemu. Ale wydaje mi się, że gdybym tylko dostał ją w swoje ręce, sam bym ją skrzywdził... i to bardzo, za to, co zrobiła Richardowi. Jej dłoń? Zostawiłbym

282-

remujej głowę... napchałbym jej do ust stalowych kulek i przestałbym staremu. I właśnie dlatego dobrze, że nie wiem, gdzie ona teraz jest, i nie mogę jej dostać w swoje ręce, ponieważ nigdy nie zna początku takich historii. Najpierw drobne spory i w końcu wszyscy zapominają o tym, jak było naprawdę, zwłaszcza jeżeli prawda jest dla nich niewygodna. Nikt nie ma jednak najmniejszych wątpliwości, jak ma wyglądać dalszy przebieg rozgrywki. Sprawa jest prosta; oni załatwiają jednego i my jednego, oni dwóch, my trzech... oni robią krwawą jatkę na lotnisku, my wysadzamy w powietrze szkołę... a krew spływa rynsztokami. Bo przecież naprawdę właśnie o to chodzi, prawda? O krew spływającą rynsztokami... krew...

Billy usnął, nawet nie zdając sobie z tego sprawy; jego myśli bez tądu zlały się w serię upiornych, makabrycznych koszmarów. W jednych on zabijał, w innych znowu ginął, ale w każdym z tych snów coś oddychało i pulsowało, tylko że nigdy nie mógł tego zobaczyć, ponieważ owo coś znajdowało się w nim samym.

Rozdział 26

TAJEMNICZA ŚMIERĆ MOŻE BYĆ JEDNYM Z EPIZODÓW WOJNY GANGÓW

Mężczyzna, którego zwłoki znaleziono ubiegłego wieczoru w piwnicy kamienicy przy Union Street, został zidentyfikowany jako człowiek nowojorskiego świata przestępczego. Richard Ginelli!, znany w podziemnych kręgach jako "Richie-Młot", trzy razy był postawiony w stan oskarżenia - za wymuszanie haraczu, rozprowadzanie i handel narkotykami oraz morderstwo - przez stan Nowy Jork i władze federalne. Dochodzenia, zarówno stanowe, jak i federalne w sprawach Ginellego zostały umorzone w 1981 roku po tajemniczych zgonach kilku świadków oskarżenia.

Źródło zbliżone do biura prokuratora generalnego stanu Maine

283

stwierdziło ubiegłego wieczoru, że idea tzw. "zemsty gangów" była wysuwana już wcześniej, zanim jeszcze ujawniono tożsamość ofiary, z powodu kilku szczegółów związanych z tym zabójstwem. Informator przekazał wiadomość, że Ginelli stracił jedną rękę, a na ciele miał wypisane krwią słowo "świnia".

Ginelli został podobno zastrzelony z broni dużego kalibru, ale policyjni specjaliści w balistykę ujawnili jeszcze wyników ekspertyz, które jeden z funkcjonariuszy policji skądś krótko jako "odrobinę nietypowe".

Niniejszy artykuł znalazł się na pierwszej stronie "Bangor Daily News", gazety, którą Billy Halleck kupił tego ranka. Po raz ostatni zlustrował go spojrzeniem, rzucił okiem na zdjęcie kamienicy, gdzie znaleziono zwłoki jego przyjaciela, po czym zwinął gazetę i wrzucił ją do kosza z pieczęcią stanu Connecticut na ścianie i napisem:

"Wrzuć odpadki tam, gdzie ich miejsce".

- I o to właśnie chodzi - powiedział.

- O co, proszę pana? - spytała mała dziewczynka ze wstążkami we włosach i smugami czekolady na podbródku. Prowadziła na smyczy pieska.

- O nic - rzucił Billy i uśmiechnął się do niej.

- Marcy! - zawołała z niepokojem w głosie matka dziewczynki. - Wracaj tutaj!

- No to pa! - powiedziała Marcy.

- Pa, kochanie. - Billy patrzył, jak wracała do swojej matki, a mały biały pudełek dreptał przed nią na smyczy, stukając pazurami. Ledwo dziewczynka podeszła do matki, ta zaczęła ją łajać. Billy'emu było żal dziecka, które przypominało mu Linde, kiedy miała sześć czy siedem lat, ale jednocześnie czuł się podbudowany. Waga wskazywała, iż odzyskał całe jedenaście funtów, to, że ktoś znowu potraktował go jak normalnego człowieka, było czymś całkiem innym i wielce pocieszającym, nawet jeśli tym kimś była mała dziewczynka, wyprowadzająca na spacerpieska... dziecko, które najprawdopo-

284

dobniej myślało, że na świecie jest wielu ludzi wyglądających jak chodzący wieszak.

Poprzedni dzień spędził w Northeast Harbor, nie tyle odpoczywając, co starając się dojść do siebie. Próbował podreperować nadszarpniętą psychikę. Czuł, że to nadchodzi... Ale jeden rzut oka na plasek w taniej aluminiowej tacy leżący na telewizorze wystarczał, aby jego wysiłki spełzły na niczym.

Pod wieczór włożył go do bagażnika samochodu i zaraz poczuł się nieco lepiej.

Po zmierzchu, kiedy jego psychika i przejmujące uczucie samotności przybrały znacznie na sile, znalazł starą, postrzępioną książkę adresową i zadzwonił do Rhody Simonson w Westchester County. Niedługo potem rozmawiał z Lindą, która usłyszawszy jego głos, niesamowicie się ucieszyła. Istotnie, dowiedziała się o res gestae. Łańcuch wydarzeń prowadzący do odkrycia był krótki co łatwy do przewidzenia. Mikę Houston powiedział o wszystkim swojej żonie. Ta wygadała ich najstarszej córce; prawdopodobnie była wówczas pijana. Linda i córka Houstonów bardzo się przyjaźniły od poprzedniej zimy i Samantha Houston o mało nie połamała nóg, pędząc do Lindy, aby powiadomić ją, że jej ukochana mamuska próbowała zamknąć jej kochanego tatusia w domu bez klamek.

- Co jej powiedziałaś? - zapytał Billy.

- Żeby wsadziła sobie parasol w tyłek - odparła Linda, a Billy śmiał się, aż łzy pociekły mu z oczu, choć w głębi duszy czuł również smutek. Nie było go zaledwie trzy tygodnie, miał wrażenie, jakby jego córka wydorosła i nagle przestała być dzieckiem.

Po rozmowie z Samantha Linda poszła prosto do domu, aby zapytać Heidi, czy to, co usłyszała, było prawdą.

- I co się stało? - spytał Billy.

- Strasznie się posprzeczałyśmy, a potem powiedziałam, że chcę wrócić do ciotki Rhody. Matka uznała, że to nie jest taki zły pomysł.

Billy zamyślił się przez chwilę, po czym powiedział:

285

- Nie wiem, czy muszę ci to mówić czy nie. Lin, ale nie jestem wariatem.

- Och, tatusiu, przecież wiem - powiedziała prawie karcącym tonem.

- I czuję się lepiej. Przybieram na wadze.

Pisnęła tak głośno, że musiał odsunąć słuchawkę od ucha.

- Naprawdę? Naprawdę?

- Naprawdę.

- Och, tato, to świetnie! To... Mówisz prawdę? Poważnie?

- Słowo skauta - odparł z uśmiechem.

- Kiedy wracasz do domu? - spytała.

A Billy, który zamierzał jutro rano opuścić Northeast Harbor i nie później jak o dziesiątej wieczorem zapukać do drzwi swego domu, odparł:

- Nie będzie mnie jeszcze pewnie przez tydzień, może trochę dłużej, kochanie. Chcę najpierw przybrać trochę na wadze. W dalszym ciągu nie wyglądam najlepiej.

- Och - powiedziała Linda, odrobinę zawiedziona. - No dobrze.

- Ale zanim wyruszę w drogę, najpierw do ciebie zadzwonię, żebyś wróciła wcześniej - dorzucił.

- Zdążysz zrobić jeszcze jedną lasagnę, jak wtedy, gdy wróciliśmy z Mohonk, i troszeczkę mnie podtuczysz.

- Ale, kurde, fajowo! - wykrzyknęła ze śmiechem, a potem natychmiast dodała: - Ups!

Przepraszam, tatusiu.

- Wybaczone - powiedział. - Na razie zostań u Rhody, słonko. Nie chcę więcej kłótni pomiędzy tobą a mamą.

- Nie wrócę tam, póki i ty nie wrócisz - odparła i usłyszał w jej głosie kamienny upór. Czy Heidi wyczuła w Lindzie tę dojrzałość, tę twardość? Przypuszczał, że tak. Prawdopodobnie to ona była jedną z przyczyn rozpacz, którą słyszał w jej głosie, kiedy rozmawiali przez telefon ubiegłej nocy.

Powiedział Lindzie, że ją kocha, i odłożył słuchawkę. Tej nocy usnął szybciej, ale znów śniły mu się koszmary. W jednym z nich usły-

286

szął, jak Ginelli, zamknięty w bagażniku jego wozu, wzywa pomocy. Jednak kiedy otworzył bagażnik, okazało się, że to nie Ginelli, ale okrwawiony, nagi chłopiec; dziecko z naruszoną przez czas oczyma Taduza Lemkego i złotym kolczykiem w uchu. Chłopiec-- dziecko wyciągał zbrzygane posoką dłonie w stronę Billy'ego. Istota uśmiechnęła się, a jej zęby były srebrnymi igłami.

- Purpurfargade ansiktet - powiedział zawodzącym, nieludzkim głosem, a Billy obudził się, drżący, w zimny, szary poranek, typowy dla wybrzeża Atlantyku o tej porze roku.

Dwadzieścia minut później wymeldował się i ruszył dalej na południe. Za kwadrans ósma zatrzymał się, aby zjeść suty, wiejski posiłek, ale nie był w stanie przełknąć ani kęsa, kiedy okiem na nagłówek pierwszej strony gazety, którą kupił w stoisku przed barem.

Mimo to że zjedzeniem obiadu nie miałem problemów - pomyślał, wracając do wynajętego samochodu. Bo tu chodzi również o ponowne przybieranie na wadze.

Placek leżał na siedzeniu obok niego, pulsujący i ciepły. Spojrzał na ciasto z ukosa, po czym pokręcił kluczyk w stacyjce i wyprowadził wóz z parkingu. Stwierdził, że za niecałą godzinę będzie już w domu, i poczuł dziwne, nieprzyjemne uczucie. Przejechał dobre dwadzieścia mil, zanim zdołał uświadomić sobie, co to było - podniecenie...

Zaparkował wynajęty wóz na podjeździe za swoim buickiem, wziął torbę, która stanowiła jego jedyny bagaż, i przeszedł przez trawnik. Biały dom z jasnozielonymi okiennicami, symbol komfortu, wygody i bezpieczeństwa, wyglądał teraz dziwnie, tak dziwnie, że prawie obco.
287

Tu mieszczał biały człowiek z miasta – pomyślał. Ale nie wydaje mi się, żeby on, mimo wszystko, wrócił do domu. Ten człowiek, przechodzący przez trawnik, czuje się bardziej jak Cygan. Frontowe drzwi okolone z dwóch stron zgrabnymi elektrycznymi lampionami otworzyły się i w progu stanęła Heidi. Miała na sobie czerwoną spódniczkę i białą bluzkę bez rękawów. Billy nie przypominał sobie, żeby miała ją wcześniej. Poza tym obcięła włosy na krótko i przez chwilę miał wrażenie, jakby to nie była jego żona, ale ktoś obcy, trochę do niej podobny. Spojrzała na niego; jej twarz była zbyt blada, oczy zbyt ciemne, usta drżały.

– Billy?

– To ja – powiedział i zatrzymał się.

Stali i patrzyli na siebie w milczeniu. Heidi, ze smutkiem i nadzieją, Billy, jak mu się wydawało, bez wyrazu, ale najwidoczniej musiał mieć coś dziwnego w oczach, bo nieoczekiwanie jego żona wybuchnęła:

– Na litość boską, Billy, nie patrz tak na mnie! Nie wytrzymam tego!

Poczuł, że się uśmiecha, ale miał wrażenie, że kryje w sobie tylko pustkę, chłód i nieszczerłość. Jednak wypadło to całkiem niezłe, ponieważ twarz Heidi również się rozjaśniła. Jej uśmieшек był nieśmiały i drżący. Łzy zaczęły spływać po policzkach.

Och, płacz zawsze przychodził ci z łatwością, Heidi – pomyślał.

Zeszła po schodach. Billy postawił torbę na ziemi i podszedł do żony, czując, że martwy uśmieшек nadal wykrzywia jego usta.

– Co masz do jedzenia? – zapytał. – Umieram z głodu.

Przyrządziła mu wspaniały posiłek: stek, sałatkę, potężną jak torpeda porcję smażonych ziemniaków, fasolkę i na deser borówki w śmietanie. Billy zjadł wszystko. Choć nigdy nie powiedział tego na głos, każdy jej ruch, każdy gest i spojrzenie, jakim go obdarzała, zdawały mówić to samo: – Daj mi jeszcze jedną szansę, Billy,

288

proszę cię, daj mi jeszcze jedną szansę. W pewnym sensie wydawało mu się to zabawne. Stary Cygan na pewno czułby teraz satysfakcję. Heidi zmieniła zdanie, teraz była gotowa wziąć całą winę na siebie.

Powoli, jak zbliżała się północ, wyczuł w jej gestach i ruchach coś jeszcze – ulgę. Czuła, że wybaczone. Billy'emu bardzo to odpowiadało, chciał, by Heidi tak myślała. Usiadła na wprost niego, patrząc, jak je, dotykając od czasu do czasu jego wychudłej twarzy i paląc jednego vantage'a za drugim. Dużo mówiła. Opowiedział jej o tym, jak ścigał Cyganów aż na wybrzeże; jak otrzymał zdjęcie od Kirka Penschleya i jak wreszcie dopadł Cyganów w Bar Harbor. W tym momencie drogi prawdy i Billy'ego Hallecka rozdzieliły się.

Dramatyczna konfrontacja, na którą oboje liczyli i której się obawiali, nie przebiegała tak, jak się spodziewał. Przede wszystkim starzec go wyśmiał. Wszyscy się śmiali. "Gdybym cię przeklął, byłbyś już dziś pod ziemią", rzekł do niego starzec. "Myślisz, że umiemy czarować, wszyscy biali ludzie z miasta tak uważacie. Gdybyśmy znali czary, czy jeździlibyśmy starymi

kombi i półcięża-rówkami, w których tłumiki są powiązane drutem? Czy spalibyśmy na polach? To nie żaden pokaz magii i czarów, biały człowieku z miasta, to wędrowny festyn, jarmarczne sztuczki, nic więcej. Robimy interesy z letnikami, którym pieniądze wypalają dziury w kieszeniach, po czym ruszamy w dalszą drogę. A teraz wynoś się stąd, zanim nasię na ciebie kilku z tych młodzieńców. Oni znają klątwę, nazywa się Przekleństwem Mosiężnego Kastetu”.

– Naprawdę tak cię nazwał? Biały człowieku z miasta? Uśmiechnął się do niej.

– Tak. Naprawdę.

Powiedział Heidi, że wrócił do swojego pokoju w motelu i nie wychodził przez następne dwa dni. Był w parszywym nastroju, ogarnięty głębokim przygnębieniem i prawie nic nie jadł. Na trzeci dzień stanął w łazience na wadze i stwierdził, że pomimo skromnego jedzenia przytył całe trzy funty.

289

– Ale kiedy się nad tym zastanowiłem, doszedłem do wniosku, iż nie było to wcale dziwniejsze, niż gdybym zjadł wszystko, co znajdowało się na stole, i stracił trzy funty – oznajmił. – Właśnie ta myśl sprawiła, że zdołałem wydostać się z psychicznego dołka, w którym utknałem. Cały następny dzień siedziałem w swoim pokoju i poważnie rozmyślałem, jak jeszcze nigdy dotąd. Zacząłem sobie uświadamiać, że specjaliści z kliniki Glassmana mogli mieć jednak rację. Ba, nawet Michael Houston miał po części rację, choć Bóg mi świadkiem, że nie cierpię tego małego, tępego skurwysyna.

– Billy... – Dotknęła jego ręki.

– Nieważne – powiedział. – Nie mam zamiaru dać mu w mordę, kiedy go tylko zobaczę. Ale kto wie, może poczęstuję go kawałkiem placka – pomyślał i wybuchnął śmiechem.

– Z czego się śmiesz? Powiedz. – Spojrzała na niego z zakłopotaniem.

– Nic takiego – odparł. – Tak czy inaczej, problem polegał na tym, że Houston, ci faceci Glassmana, a nawet ty, Heidi, próbowaliście uświadomić mi to na siłę; wmusić we mnie prawdę, a ja musiałem sam do niej dojść. Tak głęboką depresję wywołało poczucie winy plus, jak sądzę, połączenie iluzji paranoidalnych i świadomej autosugestii. Jednak, ogólnie rzecz biorąc, również miałem rację, Heidi. Może powody były przykre, ale nie myliłem się, kiedy powiedziałem, że muszę odszukać i zobaczyć starego. Właśnie to spowodowało odwrócenie całego procesu. Był niższy, niż mi się wydawało, nosił taniego timexa i miał brooklyński akcent. Mówił "Idondwa" zamiast "klątwa". Myślę, że to właśnie było jednym z czynników, które spowodowały przełamanie sugestii. Miałem takie samo wrażenie, jakbym słyszał Tony'ego Curtisa, mówiącego:

"Tam, to jeżdż pałac mojego łojca", w tym filmie o arabskim imperium. I dlatego chwyciłem za telefon, a potem...

Zegar, stojący na kominku w salonie, zaczął dźwięcznie wybijać godzinę.

– Już północ – powiedział. – Chodźmy do łóżka. Pomogę ci powstawić naczynia do zlewu.

290

– Nie. Poradzę sobie – odparła, a potem objęła go ramionami.

– Cieszę się, że wróciłeś, Billy. Idź na górę. Musisz być wyczerpany...

– Czuję się dobrze – odparł. – Tylko...

Nagle pstryknął palcami, jakby sobie o czymś przypomniał.

– Mało brakowało, a bym zapomniał – powiedział. – Zostawiłem coś w wozie.

– Co to takiego? Czy to nie może poczekać do rana?

– Tak, ale powinienem przynieść to tutaj. – Uśmiechnął się do niej. – To dla ciebie.

Wszedł, a serce waliło mu w piersi niczym młotem. Upuścił kluczyki na podjazd i kiedy się schylił, aby je podnieść, wyrzucił głowę w bok samochodu. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że w pierwszej chwili nie był w stanie trafić kluczykiem do dziurki w bagażniku.

A co jeśli to nadal tak pulsuje? – rozległ się głos w jego myślach. Chyba wszechmogący, przecież kiedy ona to zobaczy, ucieknie gdzie pieprz rośnie!

Otworzył bagażnik i kiedy wewnątrz zobaczył tylko łyżkę i zapasową oponę, o mało nie wrzasnął przeraźliwie. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że położył to na przednim siedzeniu.

Zatrzasnął bagażnik i szybko obszedł wóz. Placek leżał na fotelu, a jego powierzchnia była idealnie nieruchoma – dokładnie tak, jak przypuszczał.

Nagle jego dłonie przestały drżeć.

Heidi znów stała na werandzie, obserwując go. Podeszedł do niej i podał jej placek. Nadal się uśmiechał. Dostarczam towar, komu trzeba – pomyślał. Przecież o to również w tym wszystkim chodziło. Szeroko się uśmiechnął.

– Voila – powiedział.

– Ojej! – Pochyliła się nad plackiem i pociągnęła nosem. – Truskawkowy, mój ulubiony!

– Wiem – odrzekł z uśmiechem Billy.

– Jeszcze ciepły! Dziękuję!

– Zjechałem z autostrady w Stratford, żeby nabrać benzyny i jakiejś kobiety z Ladies Aid jakiejś innej organizacji sprzedawa-

291

ły ciasta na trawniku, przed tamtejszym kościołem – powiedział. – Pomyślałem... no, wiesz... kiedy wraca się do domu, przydałoby się zaopatrzyć w coś... na znak pojednania...

– Och, Billy... Znowu zaczęła płakać. Objęła go impulsywnie jedną ręką, trzymając placek na rozłożonych palcach drugiej dłoni jak kelner tacę. Kiedy go pocałowała, placek się zakotłosał.

Billy poczuł, że serce zamiera mu w piersi i gwałtownie gubi rytm.

– Ostrożnie! – wydyszał i schwycił placek, zanim zdążył zsunąć się z tacki.

– Boże, jestem taka niezdarna – powiedziała, śmiejąc się i ocierając oczy ręką z fartucha, który miała. – Przywozisz mi moje ulubione ciasto, a ja o mało go nie upuści... nie upuści...

Przerwała i opierając się o jego pierś, zaczęła szlochać. Gładził ją jedną ręką po krótko przystrzyżonych włosach, a drugą trzymał tacę z plackiem. Na wszelki wypadek, gdyby zrobiła jakiś gwałtowny ruch, odsunął placek nieco dalej w bok.

– Billy, tak się cieszę, że wróciłeś – wychlipiała. – Przyrzeknij mi, że nie znienawidzisz niczego, co zrobiłam. Przyrzekasz?

– Przyrzekam – odparł łagodnie, muskając jej włosy. Ma rację – pomyślał – nadal jest ciepły.

Wejdźmy do środka, dobrze?

Znalazłszy się w kuchni, położyła placek na stole i ponownie podeszła do zlewozmywaka.

– Nie ukroisz sobie kawałka? – zapytał Billy.

– Może jak skończę – odparła. – Jeśli chcesz, to sobie ukroj.

– Po takiej kolacji? – spytał i wybuchnął śmiechem.

– Przynajmniej przez jakiś czas będziesz potrzebował maksymalnej ilości kalorii...

– Tylko że po takiej kolacji nie wsadziłbym już w siebie ani kęsa – stwierdził.

– Chcesz, żebym za ciebie powycierał?

– Chcę, żebyś poszedł na górę i położył się – powiedziała. – Zaraz do ciebie przyjdę.

– Dobrze.

Wszedł na górę, nie oglądając się za siebie, wiedząc, że najprawdopodobniej ukroi sobie kawałek placka, kiedy zostanie w kuchni

sama. Choć zapewne już nie dziś, nie tej nocy. Przypuszczał, że przyjdzie do niego lada chwila, położy się przy nim i może nawet będzie chciała się z nim kochać. Wiedział, jak ją mógł zniechęcić. Wystarczy, że położy się do łóżka nago. Kiedy Heidi go zobaczy...

A co się tyczy placka...

"Tere-fere", powiedziała Scariet. "Zjem swój placek jutro. Jutro też jest dzień". Roześmiał się słyszawszy swój własny, posępny głos. Był w łazience i właśnie stanął na wadze. Uniósł wzrok, spojrzął w lustro i zobaczył oczy Ginellego.

Waga wskazywała, że przytył; ważył obecnie 131 funtów, ale nie był z tego powodu uszczęśliwiony. Nie czuł nic, z wyjątkiem zmęczenia. Był potwornie wykończony. Przeszedł korytarzykiem, który wydawał mu się teraz dziwny i obcy, do swej sypialni. Potknął się o coś w ciemnościach i o mało nie upadł. Przeszawiła niektóre meble w pokoju. Obcięła włosy, kupiła nową bluzkę, przestawiła krzeselko i dwa mniejsze biurka, ale był to zaledwie przedsmak niezwykłości, które tu obecnie miały miejsce. Wszystko przybrało na sile, kiedy był poza domem, zupełnie jakby Heidi została również przeklęta, aczkolwiek w dużo bardziej subtelny sposób. Czy to było aż tak irracjonalne? Billy uważał, że nie. Linda wyczuła tę niezwykłość i umknęła przed nią.

Powoli zaczął się rozbierać.

Położył się do łóżka, czekając na przyjście Heidi, ale słyszał tylko dochodzące z dołu dźwięki, które, pomimo że słabe, wystarczyły, aby domyślił się wszystkiego. Skrzypienie otwieranych górnych drzwiczek kredensu - tych po lewej, gdzie znajdowały się talerzyki deserowe. Grzechot szuflady; delikatny brzęk sztućców, kiedy wyjmowała nóż.

Billy z walącym sercem wpatrywał się w mrok.

Odgłos jej kroków, kiedy ponownie przechodziła przez kuchnię... podchodziła do stołu, gdzie zostawiła placek. Usłyszał, jak deska pośrodku kuchennej podłogi skrzypnęła, kiedy na nią nastąpiła, tak samo od lat.

Co to z nią zrobi? Mnie' uczyniło chudym, Cary' ego zmieniło w gada, z którego skóry mógłbyś sobie obstalować zgrabne buty. Hopley stał się ludzką pizzą. Co to z nią zrobi?

Deska pośrodku kuchni skrzypnęła ponownie. Heidi jeszcze raz na nią nastąpiła, przechodząc na drugą stronę. Widział ją - z plackiem w prawej ręce i pudełkiem papierosów i zapalek w drugiej. Widział kawałek placka. Truskawki, kałużę ciemnoczerwonego soku. Nasłuchiwał, spodziewając się cichego pisku zawiasów w drzwiach do jadalni, ale się nie doczekał. Wcale go to nie dziwiło. Stała przy stole, wyglądając przez okno, na boczny dziedziniec, i jadła kawałek placka szybkimi, ekonomicznymi kęsami a la Heidi. Stary nawyk. Prawie słyszał skrobanie widelczyka o talerz.

Nagle uświadomił sobie, że znowu odpływa.

Masz zamiar usnąć? Nie, to niemożliwe. Nie sposób usnąć, kiedy popełnia się morderstwo.

Ale tak właśnie było. Ponownie usłyszał skrzypienie deski pośrodku kuchennej podłogi, kiedy podchodziła do zlewu. Szum wody, kiedy myła talerz. Usłyszał, jak krzątała się po pokojach, ustawiała termostaty, gasiła światła i sprawdzała alarm przy drzwiach; rytuały białych ludzi miasta.

Leżał w łóżku, nasłuchując skrzypienia podłogi, i nagle znalazł się za biurkiem w swojej pracowni w Big Jubilee w Arizonie, gdzie przez sześć lat prowadził kancelarię adwokacką. To było banalnie proste. Mieszkał tam z córką i babrał się w "przysłowiowym gównie", co

pozwalalo im obojgu przeżyć spokojnie od pierwszego do pierwszego. Poza tym działał w stowarzyszeniu pomocy prawnej. Wiedli proste życie. Stare czasy – garaż na dwa samochody, podatki od zarobków rządu dwudziestu pięciu tysięcy dolarów rocznie, należały do zamierchłej przeszłości. Nie tęsknił za nimi i Linda chyba także nie. Prowadził kancelarię, ale nie miał wziętu spraw, a że mieszkali w pewnej odległości od Jubilee, oboje dostatecznie dobrze zdołali zrozumieć ziemię, na której przyszło im żyć. W przyszłym roku Lin pójdzie do college'u, wówczas mógłby przeprowadzić się z powrotem, ale powiedział jej, że tego nie robi, chyba że zacznie ogarniać go uczucie pustki, a na to się nie zanosilo.

294

Prowadzili całkiem niezłe życie i to było naprawdę wspaniałe, ponieważ o to w tym wszystkim chodziło, o dobre życie dla siebie i twojej rodziny. Nagle rozległo się stukanie do drzwi gabinetu. Odsunął się od biurka, odwrócił i zobaczył stojącą w drzwiach Linde. Nie miała nosa. To znaczy niezupełnie "nie miała". Zamiast na twarzy, znajdował się na jej wyciągniętej prawej dłoni. Krew wypływała z ciemnej dziury powyżej jej ust.

– Nie rozumiem, co się stało, tatusiu – powiedziała nosowym, ochryłym, niskim głosem – po prostu odpadł.

Obudził się gwałtownie, bijąc powietrze rękami i próbując ode-gnać od siebie potworną wizję. Obok niego Heidi wymamrotała coś przez sen, odwrócona na lewy bok i przykryta kocem po czubek głowy.

Powoli zaczął powracać do rzeczywistości. Był znowu w Fair-view. Jasne światło wczesnego poranka wpadało przez okna do sypialni. Spojrzał w przeciwną stronę, zegarek elektroniczny stojący na toalecie wskazywał 6:25. W wazonie obok zegara stało sześć czerwonych róż.

Wstał z łóżka, przeszedł przez pokój, zdjął z haczyka swój szlafrok i zszedł na dół do łazienki. Odkręcił prysznic i powiesił swój szlafrok na klamce, zauważając niejako mimochodem, że Heidi oprócz bluzki i fryzury miała również nowiusienki, śliczny niebieski szlafrok.

Stanął na wadze. Funt więcej. Wszedł pod prysznic i mył się z nieomal wymuszoną skrupulatnością. Namydlał skrzętnie każdą część ciała, a następnie powtarzał to kilkakrotnie.

Kiedy jej już nie będzie, muszę starannie pilnować swojej wagi. Już nigdy nie będę tak gruby jak kiedyś. Wytarł się do sucha ręcznikiem. Włożył szlafrok i stanął przy drzwiach, przyglądając sobie, niebieskiemu szlafrokowi Heidi. Wyciągnął rękę i ujął w palce skrawek nylonu. Potarł nimi o miękki, śliski materiał. Szlafrok wyglądał na nowy, ale wydawał się zarazem znajomy.

Musiła kupić szlafrok podobny do tego, który miała przed laty, dawno temu – pomyślał. Ludzki zmysł

295

twórczy nie jest w stanie pokonać pewnej granicy, w końcu wszyscy zaczynamy się powtarzać.

W sumie każdy z nas popada w swoistą obsesję.

W jego myślach rozległ się głos Houstona. Ludzie, którzy nie odczuwają strachu, umierają młodo.

Heidi: Na miłość boską, Billy, nie patrz na mnie w ten sposób! Nie wytrzymam tego!

Leda: On wygląda teraz jak aligator... jak coś, co wypełzło z bagna i włożyło ludzkie ubranie.

Hopley: Kręcisz się to tu, to tam i myślisz, może ten raz, ten jeden, jedyny raz...

~~sprawy~~ sprawiedliwości... krótkiej chwili sprawiedliwości, w zamian za całe to przesrane życie.

Billy miętosił w palcach skrawek nylonu i nagle do jego myśli zakradło się okropne uczucie.

Przypomniał sobie ów sen. Linde w drzwiach jego gabinetu, krwawiącą dziurę na jej twarzy. Ten szlafrok... nie wydawał mu się znajomy dlatego, że kiedyś Heidi miała podobny. Po prostu znał

go doskonale, ponieważ Linda miała taki sam, identyczny.
Odwrócił się i otworzył szufladę po prawej stronie umywalki. Na plastikowej ręczce czerwonej szczoteczki do zębów było napisane:

LINDA.

Czarne włosy na szczotce.

Jak lunatyk przeszedł korytarzykiem do jej pokoju.

Handlarz obwoźny zawsze jest chętny ubić z tobą interes, mój przyjacielu... Bo po to istnieje rodzaj handlu.

Dupek, Williamie, to człowiek, który nie wierzy w to, co widzi.

Billy Halleck otworzył drzwi na koń cu korytarza i zobaczył swoją córkę, Linde, śpiącą w łóżku.

Jedną ręką zakrywała oczy. Stary pluszowy miś, Amos, spoczywał w zgięciu jej łokcia.

Nie, nie, och, nie, nie.

Zacisnął dłonie na framudze i zakołysał się jak pijany, w przód i w tył. Można było przypisać wiele określeń, ale z pewnością nie był dupkiem, bo przecież zauważył wszystko: jej szarą kurtkę przewieszoną przez oparcie krzesła, otwartą walizkę z samsonitu, z któ-

296

rej wysypywały się złożone bluzki, dżinsy, szorty, bluzki i bielizna. Zobaczył plakietkę Greyhouna przyczepioną do ręczki walizki. I zobaczył dużo więcej; róże w wazonie obok zegara w sypialni jego i Heidi. Tych róż tam nie było, kiedy się kładł poprzedniego wieczora. Nie... to Linda przywiozła róże. Na znak pojednania. Wróciła do domu wcześniej, aby pogodzić się z matką jeszcze przed przyjazdem Billy'ego.

Stary Cygan z gnijącym nosem! Nie sposób nikogo winić. Powtarzasz, to sobie stale i wciąż, bez koń ca. Ale w tym przypadku nie ma mowy o żadnym targowaniu się, biały człowieku z miasta. Wszyscy płacą, nawet za to, czego nie zrobili. Nie ma czegoś takiego jak targowanie się.

W tej samej chwili odwrócił się i pognął w kierunku schodów. Strach paraliżował go i sprawiał, że Billy zataczał się jak marynarz na wzburzonym morzu.

Nie, nie Linda! – wołał głos w jego myślach. Nie Linda! Boże, proszę, tylko nie Linda!

Wszyscy płacą, biały człowieku z miasta. Nawet za cos, czego nie zrobili. Bo w gruncie rzeczy właśnie o to w tym wszystkim chodzi.

To, co pozostało z placka, stało na stole, przykryte skrzętnie folią. Brakowało dokładnie jednej czwartej ciasta. Spojrzał na kuchenny stół i zobaczył leżącą tam portmonetkę Lindy przyczepionymi do niej plakietkami rockandrollowych idoli: Bruce Springsteen, John Cougar Mellencamp, Pat Benatar, Lionel Richie, Sting, Michael Jackson.

Podszedł do zlewu.

Dwa talerzyki.

Dwa widelce.

Siedziały tu i jedząc ciasto, zakopywały topór wojenny. Kiedy? Zaraz po tym, jak przysnąłem? Zapewne tak.

Usłyszał śmiech starego Cygana i nogi się pod nim ugięły. Musiał się oprzeć o ladę, aby nie upaść.

Odzyskawszy siły, odwrócił się i przeszedł przez kuchnię; deska w podłodze skrzyknęła, kiedy na nią stąpnął.

297

Placek nadal pulsował – w górę i w dół, w górę i w dół. Jego obsceniczne, nie wygasające ciepło pokryło powierzchnię folii delikatną mgiełką. Słyszał łagodne chlupotanie.

Otworzył górną szufladę, wyjął dla siebie talerzyk, po czym wysunął szufladę u dołu, skąd wybrał nóż i widelec.

- Czemu by nie? - wyszeptał i odwinął placek z folii. Ciasto znów było nieruchome. Teraz był zwykajny placek z truskawkami, który nawet o tak wczesnej porze, wydawał się wyjątkowo kuszący.

A poza tym, jak powiedziała Heidi, w dalszym ciągu potrzebował możliwie największej ilości kalorii.

- Wsuwaj, ile zdołasz - wyszeptał Billy Halleck, a potem ukroił sobie kawałek cygań skiego placka.